

MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK



Nr 4/18/ ROK III • KWIECIEŃ 1997

CENA 4 zł

— KAZIMIERZ KUTZ – Kompleks odwróconych pleców

— Prof. MARKIEWICZ – Fikcje i prawda literatury

— JÓZEF MUSIOŁ – Ślązak z Mont Pleasant Cottage

— Raporty kulturalne

— Wiersze JÓZEFA BARANA





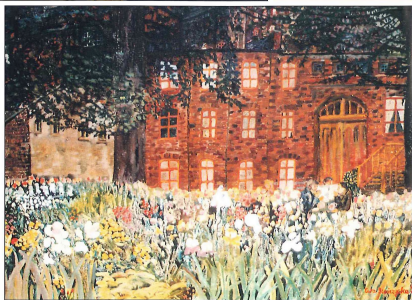
KAZIMIERZ
KUTZ
odebrał
10 marca 1997 r.
tytuł
Doctora
Honoris Causa
Uniwersytetu
Opolskiego.
Na zdjęciu
z bp ALFONSEM
NOSSOLEM
ordynariuszem
diecezji opolskiej,
pierwszym
Doctorem H.C.
Uniwersytetu
Opolskiego.

Wykład
doktorski
Kazimierza Kutza
w wersji pełnej
– publikujemy
na str. 14

Foto. Marek Sojka

Cdy kwiecień
wydmuchuje,
to siano i zboże
wyskakuje.

EWA BIENIŹCYKA
– Pejzaż śląski
z czytającymi gazetę
– kwiecień 1996,
technika mieszana,
płótno 70 x 50 cm
Katowice.
Fundusz Górnośląski.





WIELKI

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

Nr 4(18), Rok III, Kwiecień 1997

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACHRedaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelnyFELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
WIESŁAWA KONOPIELSKA
sekretarz redakcjiKRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalnyMARIAN KISIEL
dział krytyki i esejuJAN F. LEWANDOWSKI
dział społeczno-historycznyWOJCIECH ŁUKA
dział graficznyHALINA ŻMIJ
kierownictwo biura redakcjiMIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficznyANNA STRUMIŁOWSKA
ANDRZEJ ROGIER
korekta

ADRES REDAKCJI:

40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7, tel./fax 106-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:
MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI, WY-
DZIAŁ KULTURY URZĘDU WOJEWÓDZKIE-
GO I URZĄD MIASTA W KATOWICACH.Skład i montaż elektroniczny: Studio Typografii
Profesjonalnej „KorGraf” 40-084 Katowice, ul.
Opolska 22, tel. 597-271 w. 107
Druk: FIBAK MARQUARD PRESS S.A. 40-
084 Katowice, ul. Opolska 22, zam. 558/97Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skróto-
w, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do
druku oraz skracania korespondencji.Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i Dele-
gatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpo-
średnio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach
pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: OTL
- redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO II Oddz. Kato-
wice 27528-746272-136. Prenumerata roczna - 48 zł,
półroczna - 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostar-
czane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza — 4 zł
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X
Numer zamknięto 28.02.1997 r.

ŚLĄSKI MIESIĄC	2
Rajmund Hanke TO NIE PRZERASTA NIKOGO	4
REPLIKI I KOMENTARZE	
Tadeusz Kijonka NASZ JĘZYK POLSKI	5
OBSERWATOR SAMORZĄDOWY	6
Rozmowa z prof. Ireną Lipowicz SAMORZĄDOWA PROWIZORKA	7
Wiesław Kostecki PRZYSTANEK GLIWICE	8
Michał Smolorz GÓRNOŚLĄSKIE COLOSSEUM	12
Kazimierz Kutz POLSKA - KOMPLEKS ODWRÓCONYCH PLECÓW	14
Jarosław Maria Lewicki	
STARY DOM PRZY ŁAGODNEJ ULICY (opowiadanie)	18
Henryk Markiewicz FIKcje I PRAWDA LITERATURY	22
Maciej Cisko LITERATURA I KŁAMSTWO	27
Józef Mysioł ŚLĄŻAK Z MOUNT PLEASANT COTTAGE	28
Andrzej Ogrodowczyk WIERSZE	32
Stanisław Gola WIERSZE	33
Rozmowa z prof. Adolfem Dygaczem	
JESTEŚMY ŚWIADKAMI OLBRYZMICH PRZEOBRZEŃ	34
Edward Długajczyk	
CO DALEJ Z „ENCYKLOPEDIĄ GÓRNOŚLĄSKĄ”?	36
GOSPODARKA	
Krzysztof Karwat OD ZERA DO MILIONERA	37
Józef Baran WIERSZE	38
Arkadiusz Kuzio-Podurki PAŁACE DONNERSMARCKÓW	40
Maciej Siembiada WSZYSCY ŻYJEMY W KLUCZBORKU	44
ŚCIEŻKI I ROZDROŻA	
Krzysztof Karwat ŚLĄSKA KLAUSTROFOBIA	46
Ryszard Bednarczyk BRZDAKĄJĄCY POECI	47
Jacek Pikul BALLADA O WUJKU FRANCISZKU (opowiadanie)	48
WEDRÓWKI PO KINIE	
Jan F. Lewandowski ZAGADKA SZERUDY	50
Jan Różewicz „TEGO SIĘ NIE DA NAUCZYĆ”	51
PEŁNIAZ MITOLOGICZNY	
Antoni Halor ŚW. WOJCIECH NA GÓRNYM ŚLĄSKU - MILLENIUM	54
Rozmowa z Krystyną Dybówą KOMU POTRZEBNA	
JEST EDUKACJA REGIONALNA?	55
Bogumiła Krzew WIERSZE	56
ks. Jerzy Szymik SZEKSPIR W BYTOMIU (wiersz)	57
Mirosław J. Majewski REGINA (wiersz)	57
STARTY I FALSTARTY	
Marian Kisiel KLASYCZYM KOŃCA WIEKU	58
Ryszard Hładko OD PIOSENKI DO POMNIKA	59
LISTY	
Edward Polozek PRZEMYSŁENIA O GÓRNYM ŚLĄSKU	60
PODKOPKI	
Feliks Netz TRANSPLANTACJA, Czesław Czaika FRASZKI,	
Matthias Kneip AFORYZMY, Jerzy Bieliwicki BYŁO-NIE BYŁO,	
Tadeusz Kijonka LIMERYKI	62
Seweryn A. Wisłocki ARCYKAPŁAN ZUPY POMIDOROWEJ	64
Andrzej Urbanowicz	
PREPARACJE PAMIĘCI - STRUK I KOROLKIEWICZ	65
TEATR	
Marta Fox KIM BYĆ W TEJ MATNI	66
Mirosława Pindów „POWSZECHNY” W CIESZYNIE	67
MUZYKA	
Bogumiła Mika PENDERECKI I KRENZ	68
Magdalena Dziadek SZTUKA DŹWIĘKÓW - KSZTAŁTEM MIŁOŚCI	69
RAPORTY KULTURALNE	
Daria i Marek Szczepański JAK BYĆ?...	70
CZYTAŃ PO LATACH	
Krzysztof Kłoski BEZ RESZTY	72
KSIAŻKI. Recenzje. Noty. Wstępna nowość.	73
Marek Baster BLOC-NOTES	79
Marta Fox LISTY SPOD KAPELUSZA	80
Krzysztof Karwat URBANOWICZ, „NA ŻYWO”	80
GWARA I OBYCZAJE	
Jolanta Tambor OSCAR DLA KUTZA	81
NOTATNIK KULTURALNY. Katowice. Opole. Bielsko. Zaofie	82
Wojciech Janota GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	87
GBG - NOWA OFERTA KREDYTÓW	88

W kolorze:

● Andy Warhol - wystawa w Centrum w Bielsku-Białej (str. A) ● Korolkiewicz - malarstwo w Galerii Sztuki Współczesnej w Katowicach i Tomasz Struk - wystawa prac w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu (str. B) ● Andrzej Urbanowicz - wystawa malarstwa w Galerii na Żywo Radia Katowice (str. C) ● Znaki i twarze miasta Katowice (str. D).

Na okładce: Jerzy Duda-Graczy - „Obraz 1464. Portret Agaty”, 1991, olej, 120x151.

Prenumerata zagraniczna: 6,5 DM, 45 ATS, 22 FRF, 25 NOK, 25 SEK, 2,5 GBP, 100KC

■ **DWUSETNY** przeszczep szpiku przeprowadziła Klinika Hematologii Śl. AM w Katowicach kierowana przez prof. J. Holowieckiego. 31-letni pacjent przybył aż z Białegostoku.

■ **ZAWODNICZKA** Dynamitu Chorzów, Agata Suszka, zajęła wysokie dziesiąte miejsce na mistrzostwach świata w biathlonie rozgrywanych w słowackiej miejscowości Osrblie.

■ **PO** prof. Donaldzie Rossie gościem prof. Zbigniewa Religi w zabrzańskiej Fundacji Rozwoju Kardiologii był autorytet w dziedzinie kardiologii dziecięcej prof. Simacha Milo z Wydziału Medycznego Uniwersytetu w Hajfie, w Izraelu.

■ **AMBASADOR** Słowenii w Polsce, Bojan Grobovsek, przebywał dwa dni z kurtuazyjną wizytą na Śląsku.

■ **WYŻSZA** Szkoła Ekonomii i Administracji powstała w Bytomiu. Absolwenci wraz z dyplomem otrzymywać będą tytuł licencjata.

■ **WEDŁUG** Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego przeciętny mieszkaniec województwa katowickiego zarobił w grudniu ub.r. ponad 1.700 zł brutto (bez budżetówki). Płaca w Katowickim w sektorze przedsiębiorstw była wyższa niż w reszcie kraju o 550 zł.

■ **STOWARZYSZENIE** „Wspólnota Solectw” powstało w Jastrzębiu Zdroju.

■ **ORGANIZATORZY** balu charytatywnego w Raciborzu (m.in. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami) przekazali 6.900 zł miejscowemu schronisku dla zwierząt.

■ **ZMARE** dziekanu dekanatu Rybnik-Centrum ks. Henryk Joško. Żył 49 lat.

■ **ROBOTA** do wykrywania i detonowania bomb otrzymała brygada antyterrorystyczna w Katowicach. Otrzymała dziwną nazwę „Hany”.

■ **MIESZKANCY** Dąbrowy Górniczej utworzyli Grupę Samoobrony Mieszkańców w rezultacie akcji protestacyjnej przeciw wysokim podatkom od pojazdów. Głównym jej zadaniem będzie zebranie 15 tys. podpisów potrzebnych do przeprowadzenia referendum w sprawie odwołania Rady Miejskiej.

■ **KONKURS** na proekologiczną gminę woj. katowickiego wygrały Tychy, Olkusz i Krupski Młyn. Startowało 28 z 96 gmin.

■ **GÓRNOŚLĄSKA** Wyższa Szkoła Handlowa zajęła piąte miejsce w rankingu szkół ekonomicznych angielsko-języcznego „Warsaw Business Journal” wśród 27 wyższych publicznych i prywatnych szkół ekonomicznych z całej Polski. Pierwsze miejsce zajęła krakowska Akademia Ekonomiczna, drugie — Szkoła Główna Handlowa w Warszawie.

■ **NOWYM** radnym Rady Miejskiej w Tarnowskich Górach został Ryszard Lach (Forum Samorządowe Ziemi Tarnogórskiej). Zastąpił Zdzisława Franusa, który złożył mandat radnego w związku z objęciem stanowiska naczelnika Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego.

■ **WSKUTEK** odwilży wylały dopływy Odry i załatył laki. Wojewoda katowicki ogłosił pogotowie przeciwpowodziowe dla gmin Krzanowice i Pietrowice Wielkie.

■ **PONAD** 3 tysiące kłusowniczych wykuków zabrali minionej zimy myśliwi w podbeskidzkich i beskidzkich lasach. Ale morodowanie zwierząt trwa.



■ **PRZEZ** trzy dni, przebywający na Dolnym i Górnym Śląsku oraz na Opolszczyźnie poseł CSU Hartmut Koschok, odwiedzał niemiecko-języczne ośrodki kulturalne.

■ **RADNY** Piotr Mitrega został pierwszym prezesem nowo utworzonej Fundacji Ochrony Zdrowia i Środowiska „Rydultowy”.

■ **GINIA** Sońnicowska otrzymała wodociąg. Budowa trwała 5 lat, długość sieci wodociągu — 88,5 km z 1303 podłączeniami.

■ **WYSELANICY** Toyoty odwiedzili w Dąbrowie Górniczej Zakłady Gilardini SpA, produkujące układy wydechowe. Toyota szuka w Europie lokalizacji na fabrykę małych samochodów.

■ **GROZBA** zwolnienia ok. 300 pracowników zawisła nad Zakładami Odzieżowymi „Bytom”.

■ **REORGANIZACJE** podległych mu urzędów zapowiedział wojewoda Eugeniusz Ciszak, by stały się bardziej dostępne i przyjazne dla petenta.

■ **TRZECH** 16-latków zatrzymała policja w Świętochłowicach, podejrzanych o śmiertelne pobicie 19-letniego Tomasza M. z Chorzowa. Ponieważ w przeszłości był już karany za rozboje odpowiadać będą przed sądem dla dorosłych.

■ **OD** maja w Zawierciu mają się zatrzymać wszystkie ekspresy i Inter City.

■ **WŁADZE** Dąbrowy Górniczej przyznały się do błędów i zaprosiły mieszkańców za wprowadzenie przez Radę Miejską zawyżonego podatku drogowego. Zarząd Miejski przedstawił proponowane obniżki wygórowanego podatku.

■ **STRAJK** komunikacji autobusowej w Jawornicze zaskoczył kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców i... dyrektora PKM Janusza Molendę, przeciwko któremu personalnie skierowany był protest. Konflikt trwał już od 3 lat.

■ **SPOTKANIE** ewangelickich kapłanów więziennych polskich i niemieckich odbyło się w Jaworzu. Goście z Niemiec zaskoczeni byli wysoką liczbą skazanych w polskich więzieniach.

■ **TYŚCIĄ** meczów sędziował 45-letni arbitrar piłkarski z Zagórza Andrzej Boroń, w „cywilu” pracownik Huty Katowice.

■ **PROFANACJI** kościoła pw. św. Andrzeja w Olkuzie dokonali nieznani sprawcy. Z barokowego ołtarza w kapli

cy św. Anny wyrwali tabernakulum, które nie mogąc otworzyć, porzucili na posadzce. Bandyci skradli wota z kaplicy loretańskiej.

■ **FUNDACJA** Rozwoju Kardiologii w Zabrze w piątą rocznicę swego istnienia została przekształcona w Instytut Protez Serca. Wiąże się to z wdrażaniem klinicznym oryginalnej biologicznej zastawki serca, której twórcą jest prof. Zbigniew Religa, oraz polskiego sztucznego serca.

■ **CZTERY** polonezy z 1987 i 1989 r. stanowią cały majątek katowickiej socjaldemokracji RP. 27 lokali partii jest dzierżawionych przez nią. Nasuwa się natrętne pytanie: co się stało z wielkim majątkiem B. PZPR?

■ **POKAZ** mody komunijnej odbył się w zabrzańskim Teatrze Nowym. Kreacje dziewczęce można było kupić na miejscu. Ceny sukienek ważyły się od 300 do 400 zł.

■ **ZGROMADZENIE** Ogólne Kongresu Polaków w Republice Czeskiej wybrało nowego przewodniczącego. Został nim Wawrzyniec Fojcik, poseł do parlamentu czeskiego. Kongres reprezentuje interesy 70 tys. Polaków w Czechach.

■ **KOMBATANCY** uczcili 55 rocznicę powstania Armii Krajowej. Po uroczystej mszy św. w katowickiej archikatedrze złożyli wiązanki kwiatów pod pomnikiem J. Piłsudskiego. Akademia i spotkanie towarzyskie były okazją do odnowienia koleżeńskich kontaktów.

■ **CZTEROOSOBOWY** gang złodziejski ujęła katowicka policja. Znalezione 21 skradzionych samochodów i kilka ton rozmaitych części samochodowych.

■ **KATOLICKIE** Liceum Ogólnokształcące w Wodzisławiu otrzymało zgodę na działalność od Kuratorium Oświaty.

■ **PODCZAS** silowania na rękę w ramach Pucharu Zimy rozgrywanego w Ustroniu zwycięzcami zostali Monika Wacławska i Jan Kowalczyk.

■ **UROCZYSTĄ** mszę św. w okazji jubileuszu 725-lecia Zor odprawił metropolita katowicki abp. Damian Zimoń.

■ **PONAD** 50 grobów zniszczyli nieznani wandytanci na cmentarzu parafialnym św. Barbary w Sosnowcu.

■ **POD** zarzutem nakłaniania do prostytucji stanął przed sądem w Pszczynie 24-letni Bulgar Demir A. Miał cztery pracownice, którym zapewniał miejsce do spania, wyżywienie, stroje „do pracy” i przerwy w pracy. Bułgarka „pracowała” na trasie szybkiego ruchu Tychy — Bielsko.

■ **KATOWICKI** oddział Krajowej Partii Emerytów i Rencistów w piśmie do wojewody zaprotestował przeciw podwyżce cen biletów autobusowych.

■ **URZĄD** Miejski w Miesteczku Śl. rozpoczął wydawanie własnego informatora. Ukazał się już pierwszy numer „Więści z Ratusza”, bo taki tytuł nosi pismo.

■ **MISTRZ** olimpijski, uczestnik finału Pucharu Zdobywców Pucharów, finalista mistrzostw świata, zawodnik reprezentacji świata, czyli popularny i lubiany Włodzimierz Luński, obchodził 50. urodziny.

DLA PRENUMERATORÓW

KSIĄŻKI

o łącznej wartości 4000 zł
— losowanie w czerwcu —

WARTO MIEĆ ŚLĄSK
pierwsze po latach czasopismo
społeczno-kulturalne
całego Śląska
o zasięgu ogólnopolskim

**ZOSTAŃ ABONENTEM
PRENUMERATA — TO PEWNOŚĆ
ŻE PISMO CO MIESIĄC
SAMO TRAFI DO CIEBIE!**

Bądź stałym odbiorcą naszego pisma. Zaprenumeruj „Śląsk” bezpośrednio w Redakcji, na wydrukowanym obok blankiecie, bądź za pośrednictwem „RUCHU”-u S.A.

Instytucje zainteresowane prenumeratą mogą składać zamówienia w miejscowej jednostce organizacyjnej RUCH-u S.A., lub wypełniając właściwy druk zamówienia, z podaniem zamówionego tytułu, numeru indeksu, ilości egzemplarzy, adresu, numeru konta bankowego i numeru NIP — jeśli są płatnikami VAT.

**CZY CZYTASZ „ŚLĄSK”
— STAŁE, CZY DORYWCZO?
CZY MASZ KOMPLET NUMERÓW
„ŚLĄSKA”?**

Wszystkim adresatom w kraju redakcja zapewnia zdobycie brakujących numerów po obowiązującej cenie łącznie z kosztami wysyłki. Komplet 14 archiwalnych numerów (od listopada 1995 — do grudnia 1996) w cenie 30 zł z wysyłką.

UWAGA:
Numer 14 zawiera
SPIS TREŚCI

wszystkich 14 numerów do grudnia 1996 włącznie.

WARTO MIEĆ „ŚLĄSK”

— pismo niezależne, otwarte na wszystko i w wszystkich, których łączy troska o stan życia duchowego i zagrożona przyszłość tej ziemi

BĄDŹ Z NAMI CO NUMER

**CZYTAJ, WSPIERAJ, PROPAGUJ
„ŚLĄSK”**

Napisz w o piśmie cenisz i czego Ci brak

Potwierdzenie dla wpłacającego

Zł gr
słownie złotych	
grosze jak wyżej	
wzrosty	
adres	
Dokładny	
GTL - Redakcja miesięcznika dotychczasowa nazwa rachunku „ŚLĄSK” 40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7 nazwa rachunku PKO I/O Katowice nr 27528-746272-136	
Odpis	
Podpis przjm.	

Odcinek dla posiadacza rachunku

Zł gr
słownie złotych	
grosze jak wyżej	
wzrosty	
adres	
Dokładny	
GTL - Redakcja miesięcznika dotychczasowa nazwa rachunku „ŚLĄSK” 40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7 nazwa rachunku PKO I/O Katowice nr 27528-746272-136	
Odpis	
wypełnić na odwrocie	

Odcinek dla banku

Zł gr
słownie złotych	
grosze jak wyżej	
wzrosty	
adres	
Dokładny	
GTL - Redakcja miesięcznika dotychczasowa nazwa rachunku „ŚLĄSK” 40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7 nazwa rachunku PKO I/O Katowice nr 27528-746272-136	
Odpis	
wypełnić na odwrocie	

Odcinek dla poczty

Zł gr
słownie złotych	
grosze jak wyżej	
wzrosty	
adres	
Dokładny	
GTL - Redakcja miesięcznika dotychczasowa nazwa rachunku „ŚLĄSK” 40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7 nazwa rachunku PKO I/O Katowice nr 27528-746272-136	
Odpis	
Podpis przjm.	

Przekaz dla wpłat na rachunki Bankowe

To nie przerasta
nikogo!

Po ogłoszeniu książki „Zmarliaki nie śpiewają” w „Śląsku” nr 1977 najwięcej kierowało do mnie pytań w sprawie możliwości zorganizowania w Katowickim Zjeździe Chórów Ślowskiach. Przecież polska cagle uwidniana jest następstwami kryzysu gospodarczego w Polsce, niedostatek jest ogromny. Jakżeż więc wobrażam sobie taki Zjazd, w dodatku jeśli miałby być wzorowany na poznamskim z 1929 roku, który zgromadził 17 711 śpiewaków, a słuchaczy na stadionie sportowym aż 50 tys.! Czy nie poniosła mnie wyobraźnia? Rzekom w dzisiejszych czasach podobny wyczyn jest niemożliwy.

Odpowiadam: ewaria jest najgorszym doradcą. Nie tylko stać nas na podobny wyciecz (podobny a nie identyczny), ale jeśli do tego nie doprowadzimy, będziemy odpowiedzialni przed historią za grzech zaniedbania! Wystarczy, że do przedsięwzięcia przystąpią gminy województwa katowickiego. Ze każda, lub co druga gmina zabieże być współorganizatorem Słowińskiego Zjazdu Śpiewaczego z finałem w Katowicach. Wtedy, w stosownym terminie, w dwóch pierwszych dniach, gminy podejmowałyby chóry słowiańskie i siebie eksponując ich dorobek według własnych koncepcji, zaś trzeciego dnia, goszcząc w województwie katowickim chóry słowiańskie uczestniczyłyby w uroczystościach głównych, jednodniowych w Katowicach. Byłoby to spotkanie Słowian pragnących wysłuchać światu pokół, uczcić wyświeżać codzienność pozbawioną zbrojnego oręża i wszelkiej przemocy i nienawiści.

Stać gminy na taki wyzwanie, a gdy tylko na krok taki się zdecydowały, oczekując należy odpowiedniego wsparcia ze szczebla wojewódzkiego i ze strony różnych szprzymierzeńców. Twierdzenie to nie jest gółosłowne. Opieram je na doświadczeniach Święta Śląskiej Pieśni Chórnej „Trojok Śląski”. Np. w roku ubiegłym w Katowicach gościliśmy 42 chóry, w tym 6 polskich z Zaołzia i 9 czeskich, czyli ok. 1000 śpiewaków. W sali widowiskowej im. G. Fitelberga w Górnośląskim Centrum Kultury wszyscy zaśpiewali „Gaude Mater Polonia” oraz trzy pieśni śląskie pod jedną tabaką (wcześniej przygotowane według jednolitości tekstów nutowych), po czym nastąpiła także prezentacja chórów wyeksponowanych przez trzy wielkie związki śpiewacze: Polski Związek Chórów i Orkiestr, Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechach oraz Unię Chórów Czeskich. Następnie zespoły prezentowały swe umiejętności na estradach lokalnych i w kościołach. Również twierdzenie to opieram na doświadczeniach gmin: Gieraltowice, Rudę Wielką, Wodzisław i Rybnik, które u siebie organizowały własne (oderwane od Katowic) Święta Śląskiej Pieśni Chórnej „Trojok Śląski”. A więc dla chcącego nie ma nic trudnego. Zachęciem być może, a wszystko dobrze się ułoży i doprowadzimy do zadziwiających efektów.

Pozostaje jeszcze do uszczegółowienia kwestia: po co taki Zjazd? Komu jest potrzebny? Śpiwactwu, i nikomu ponadto? (Śląskiemu? polskiemu? europejskiemu?). Tu wyjaśnia wszystko — jak mi się wydaje — wypowiedź dra Leona Surzyńskiego, pierwszego prezesa Słowiańskiego Związku Śpiwaczego (po II wojnie światowej Związek się nie odrodził i organizatora Zjazdu Chórów Słowiańskich w Poznaniu).

L. Surzyński: „Naród polski umocniwszy swą organizację państwową wyciąga (...) rękę do sąsiadów i przyznaje, aby wspólnym wysiłkiem pokój powszechny stał się rzeczywistością, aby szlachetne współwzrostnictwo w dziedzinie sztuki zastąpiło walkę orężną, aby przez promyślność własnego narodu dążyć do szczęścia całej ludzkości. Narody słowiańskie... podają sobie dziś dłoń do zgody i pracy... na terenie współpracy kulturalnej i naukowej (...). Wybraliśmy pieśń, jako środek zbliżenia i porozumienia narodów słowiańskich”.

Te pragnienia wzajemnym przenikaniu się kulturalnym bratnich narodów słowiańskich, o usunięciu dzielczych zeń narody przeszkód, o zespoleńiu wielkich rzeźb Słowian do zgodnej, harmonijnej współpracy w budowaniu świata pokój, jeszcze do końca spełnione nie zostały (i czy przódzić zostaną urzeczywistnione)? Czy teraz, gdy umacniamy własną przycię w Europie, mamy zapominać o nas? O tym jak pocięzał Paweł Stalmach — „Żeśmy Słowianami, żeśmy między Słowianami Polacy, a między Polakami Ślązacy”. Potwarzam więc, wyberzmy nań jako instrument zbliżenia narodów słowiańskich. Stać ją pieśń, by była jutrzenna lepszych dni.

RAJMUND HANKE
Prezes Oddz. Śląskiego
PZChO

WARUNKI PRENUMERATY

cena jednego egzemplarza
w prenumeracie wynosi 4 zł

Prenumerata miesięcznika „ŚLĄSK”:

ROZCZNA	48 zł
PÓŁROZCZNA	24 zł

Prosimy o wpłacenie prenumeraty rocznej bądź półrocznej na konto:

Górnosławskie Towarzystwo Literackie

PKO IVO Katowice
27528-746272-136
redakcja miesięcznika

"Slask"

Adres redakcji:
40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7

PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA



iml̥ə

nazwisko

adres

100

Illość zamówień

okres prenumerately

— 10 —

Prosimy o wypełnienie drukowanym piśmem lub na maszynie

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



**Pierwsze po latach czasopismo
całego Śląska
o zasięgu ogólnopolskim**

- *kultura i sztuka*
- *ambitna twórczość*
- *historia i współczesność*
- *diagnozy społeczne*

PISMO NIEZALĘŻNE

— W SŁUŻBIE PROMOCJI
DOKONAŃ TWÓRCZYCH
I WYMILANY WARTOŚCI

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



**„ŚLĄSK” W PRENUMERACIE:
ZAWSZE NA CZAS!**

Dzięki dotacji i sponsorom
cena poniżej kosztów.

TYLKO 4 ZŁOTE
Z DOSTAWĄ DO DOMU!

Zarów dla siebie i osób,
którym Śląsk jest bliski.

WARTO MIEC „SLĄSK”
BĄDŹ Z NAMI CO NUMER

REPLIKI I KOMENTARZE

Jak mówimy i co odbija dziś język polski – zdecydowanie coraz gorzej. Nie tylko pełen płowoci i wyzwiak, jako następstwo postępującej brutalizacji życia i wzrostu agresji, bo jednocześnie poddany na niespotykaną dotąd skalę inwazji obcych słów i terminów – i to nawet wówczas, gdy istnieją pełne odpowiedniki polskie. Zjawisko to nasila się świadcząc o coraz większym braku szacunku do tego co własne, rodzime, decydujący o poczuciu tożsamości. Towarzyszy temu lekceważenie autorytetów, których opinie także i w tej kwestii nie mają większego znaczenia. Gdy wszystko jest na sprzedaż i stało się zachłannym towarem, także stosunek do języka, jako środka porozumienia i wyrazu ulega licznym dewiacjom. Gwałtowna zmiana warunków życia i kryteriów ocen ma destrukcyjny wpływ na tradycyjny system wartości, co odbija także język, szczególnie żywy, potoczny, mówiony.

Zagrożenie to jest szczególnie wielkie w dobie totalnych mediów, które znoszą dawne bariery i granice, mając zasięg nieograniczony. Język sam się nie obroni ponieważ wszystkie te zjawiska przybrały charakter masowy. Coraz częściej pojawiają się głosy wybitnych przedstawicieli polskiej kultury, w tym językoznawców, że jest to zagrożenie nie mniejsze niż w okresie utraty własnej państwowości. Wówczas istniała jednak szczególna świadomość czym jest język jako źródło narodowej tożsamości: język i ziemia ojczyzny. Jego obrona była jednoznaczna z obroną duszy polskiej zagrożonej w podstawach istnienia po utracie niepodległości. Lecz także dziś bronić pozycji i miejsca polskiego języka, bronić suwerenności duchowej, choć na pozór nie nam nie zagraża – jeśli dominacja ekonomiczna i kulturowa nie stanowią istotnie niebezpieczeństwa. Czy jednak nie następuje przyspieszona erozja tego co rodzime, polskie z dziedzictwa i stylu życia?

Można ostatecznie przeboleć wypieranie polskich nazw i terminów, których nie ma komu, ani jak spolszczyć... To, że staliśmy się krajem dealerów, pubów i wszelkich shopów; że chodzimy na lunch, zjadamy hot-dogi, cheeseburgery, sandwicze i oglądamy w telewizji talk showy. Zresztą już nie szokują nas, jak jeszcze lat temu kilka, pretensjonalne nazwy niezliczonych firm, a nawet to, że i kluby sportowe brzmią coraz częściej obcojęzycznie: Dick Black – to oczywiście drużyna z Andrychowa, Superfighter – z Nowego Sącza... Ta inwazja z czasem minie, nastąpi przesyty, wiele nazw i słów ulegnie ostatecznie spolszczeniu. Trwając od kilku lat zalew obcego słownictwa i terminologii nie musi doprowadzić do deprecjacji polskiego języka, który zniósł przecież ongiś napór francuszczyzny, czy technicznej terminologii niemieckiej. Niebezpieczeństwo zaczyna być wcale realne kiedy w słodki za obcymi wzorami następują zmiany kulturowe, w obyczajowości i świadomości: gdy coraz trudniej o

identyfikację własnej tożsamości. Potęguje je zresztą łamanie obowiązującego prawa, które ustępuje pod naporem obcej ekspansji ekonomicznej.

Są drastyczne dowody jak przede wszystkim wszechmocna angielszczyzna rzutuje na stosunki gospodarcze i związane z nimi uzależnienia. Dowiodły tego kontrole NIK-u podane do publicznej wiadomości. Oto wyszło na jaw, że z powodu zawierania umów w obcym języku – a kontrakty dotyczyły sprzedaży tak wielkich firm jak m.in. „Wedel” i Fabryka Samochodów Małolitrażowych oraz prywatyzacji Banku Śląskiego – doszło ośó do strat liczących w milionach dolarów! Okazało się bowiem, że sporządzone i podpi-

polskiego, coraz posłedniejsza – i to z naruszeniem prawa.

Kwestie te były przedmiotem ustawowych regulacji już w latach 20., gdy w odróżnionej Polsce uchwalono – wkrótce znieważowaną – ustawę o języku polskim, określającą jego status jako języka państwowego. Jeszcze dalej sięgał w tym zakresie obowiązujący dotąd, wydany już w roku 1945 dekret, ustalający pozycję języka polskiego jako wyłącznego w kontaktach publicznych, zgodnie z zasadą państwa narodowego. A więc wersje dwujęzyczne w zawieraniu kontraktów to obowiązujący warunek. Kogo to jednak obchodzi? Musiał dopiero wkroczyć NIK, by sprawa nabrała rozgłosu, tym bardziej, że poniesione straty wiązały się z wieloletnimi zalecnościami gospodarczymi.

Przypadki tych nadużyć a przede wszystkim postępująca inwazja obcego słownictwa spowodowały odruchy obronne. W celach samoobrony języka polskiego powołano z końcem 1996 roku Radę Języka Polskiego. Został także przygotowany i skierowany do Sejmu rządowy projekt ustawy o ochronie polskiego

języka. A więc świadomość tych zagrożeń i już poniesionych strat wpłynęła na podjęcie przeciwdziałań. Czy okazały się jednak skuteczne, skoro urzędujący ministrowie nie przestrzegają obowiązujących praw i rozporządzeń?

Zapewne warunki wejścia do Europy dotyczyć będą także i tych kwestii. Czy jednak powinniśmy przystać na ustępstwa ponad miarę? Warto wziąć sobie za przykład postępowanie Francuzów, którzy już ponad 20 lat temu wydali ustawę – i to restrykcyjną – w obronie narodowego języka. Nowelizacja zagiadowała wiele surowych sankcji, jednak duch ustawy został zachowany. Reguluje ona skutecznie działania na rzecz utrzymania pozycji języka francuskiego we wszystkich dziedzinach życia, w tym także w zawieraniu umów i kontraktów. Ustawa ta bowiem służyła ma jednocześnie ochronie interesów gospodarczych Francji.

O ileż jednak w trudniejszej sytuacji znajduje się polszczyzna – język kraju po ustrojowym przełomie, zmaltretowanego moralnie i politycznie, uzależnionego ekonomicznie. A przecież działają jednocześnie naciski i pokusy obfitości wolnego rynku, gdy nagle wszystko jest na sprzedaż i brakuje polskich słów, bądź też brzmią nie dość prestiżowo – bo nie na miarę obyczajowych aspiracji. Wstąpić do pubu, czy do piwiarni, to jednak nie to samo!

Obrona pozycji języka polskiego – to obrona tożsamości i kultury życia zagrożonego postępującą wulgaryzacją. Język odbija wszystko, w tym poziom duchowy społeczeństwa. Jesteśmy tacy jak nasz język – więc jacy jesteśmy?

NASZ JĘZYK POLSKI

sane w języku angielskim kontrakty nie w pełni odpowiadały uzgodnieniom, co stało się oczywiste dopiero po dokonaniu tłumaczeń. A przecież należało sporządzić równoległe, polskojęzyczne wersje, tym bardziej, iż nasze prawo określa wyraźnie, że obowiązującym językiem w tego rodzaju dokumentach jest język polski.

Także w sprywatyzowanych firmach, którymi zarządzają dziś zagraniczni namiestnicy wielkiego kapitału, obowiązują coraz częściej druki w językach obcych – angielskim i niemieckim; zawierane są w nich kontrakty, sporządzane sprawozdania. To wszystko wpływa na pozycję języka



Rys. Marek Polonicki

Strajki niczego nie załatwią

3 marca rozpoczął się na Śląsku strajk komunikacji miejskiej. Na trasy nie wyjechały autobusy większości PKM-ów. Strajk w poważnym stopniu utrudnił funkcjonowanie transportu publicznego w aglomeracji. Większość społeczeństwa przeżyła strajk z oburzeniem. Jak napisał metropolita katowicki był odbierany jako wyraz egoizmu grupowego. To prawda ale nie cała.

Komunikacja publiczna na Śląsku jest chora. Protesty i strajki powtarzające się z podziwu godną regularnością są po prostu jednym z objawów zapaści. Po upadku WPK poszczególne jego zakłady zostały przekształcone na PKM-y i przeszły na garnuszek gmin. Problem polega jednak na tym, że autobusy danego PKM-u kursują nie tylko na obszarze macierzystego miasta. Obsługują także połączenia międzygminne. To kosztuje, a żadna gmina nie jest w stanie udźwignąć tego ciężaru. Dlatego też owe połączenia muszą być dofinansowywane z budżetu centralnego (tak jak dotowany jest PKS). Podczas ubiegłorocznego strajku minister Liberadzki obiecał, że postulat ten zostanie spełniony. Tak się nie stało.

Dotacja jest zdecydowanie niewystarczająca. Przykładowo w katowickim PKM-ie koszt tzw. wozokilometra wynosi 2,36 zł (nota bene jest to jeden z lepszych wskaźników w kraju). Dotacja centralna do owego wozokilometra wynosi zaledwie 12 groszy tj. niewiele ponad 5 proc. Gminy jako organy założycielskie nie są w stanie spełniać oczekiwań placowych pracowników komunikacji. Co gorsza nie stać ich na zakup nowych autobusów. Tymczasem tabor się sypie, a nowy jelez to wydatek kilku miliardów starych złotych, dobry zachodni autobus kosztuje od 7 do 12 miliardów zł. Podwyższenie cen biletów, nawet drastyczne, niczego tu nie załatwi. Tym bardziej, że komunikacja miejska powinna być powszechnie dostępna, a więc względnie tania.

Strajki i protesty też nie rozwiązują problemu. Fachowcy są zdania, że jedynym remedium jest prywatyzacja. Pomysłowy jest wiele. Dzierżawa poszczególnych linii przez kierowników, zlecenie remontów i innych usług wyspecjalizowanym spółkom itp. Pozwoliłoby to PKM-om zmniejszyć koszty, ograniczyć nadmierne zatrudnienie. Niestety — zdaniem przedstawicieli gmin — związkowcy torpedowali dotąd wszelkie próby sanacji ekonomicznej. Żądają gwarancji placowych i socjalnych. Stawiają samorządowi wymagania. Z psychologicznego punktu widzenia jest to być może zrozumiałe, z ekonomicznego — za-bójcze.

Do lipca tego roku niesprawy-towane dotąd przedsiębiorstwa komunikacji miejskiej mają być — z mocy ustawy — przekształcone w spółki. Jeśli do tego czasu nie zostanie osiągnięty rozsądny kompromis, grozi nam znacznie większa zapaść niż podczas marcowego strajku.



OBSERWATOR SAMORZĄDOWY

Nagrody
im. Waleriana Pańki

Jak informowaliśmy SSWK przyznał — już po raz drugi — nagrody za szczególne osiągnięcia w dziedzinie samorządności. W kategorii osób fizycznych ta zaszczytna nagroda przypadła prof. Michałowi Kuleszcy.

Profesor Michał Kulesza jest specjalistą prawa administracyjnego, szczególnie interesuje się samorządem terytorialnym, problemami ustroju dużych miast, samorządem zawodowym i terytorialnym. Jest autorem około 100 publikacji naukowych, jednym z głównych twórców ustawy o samorządzie terytorialnym. Był animatorem prac nad reformą rządu i administracji centralnej, od lat walczy o nowy podział państwa. Jest gorącym zwolennikiem powiatów i silnych województw-regionów.

W 1990 r. profesor Kulesza założył tygodnik samorządu terytorialnego *Wspólnota* i był jego pierwszym redaktorem naczelnym. Stworzył międzykomunalną spółkę akcyjną *Municipium S.A.* — samorządowy dom wydawniczy oraz wydał serię reprintów polskiej klasyki samorządowej. Profesor Michał Kulesza jest współtwórcą samorządowego programu „Miasta dla Rzeczypospolitej”, doradcą Związku Miast Polskich oraz ekspertem Rady Europy.

W kategorii instytucji za upowszechnianie doświadczeń samorządowych nagrodzono wspomniany ogólnopolski tygodnik *Wspólnota*. Od chwili powstania pismo walczy o decentralizację państwa i dokonanie reform zapoczątkowanych w 1990 roku. Było związane z Kancelarią Prezydenta RP, a od 1991 r. wydawcą tygodnika jest spółka *Municipium S.A.*

Diariusz Sejmiku Samorządowego

● Pod koniec lutego odbyło się pierwsze, robocze posiedzenie Komitetu obchodów 75-lecia powrotu części Śląska do Macierzy. Poinformowano m.in., że do objęcia patronatu honorowego zostali zaproszeni Prezydent RP, premier oraz marszałkowie Sejmu i Senatu. 21 czerwca planowana jest uroczysta Msza święta w Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach. Później nastąpi złożenie kwiatów pod Pomnikiem Powstańców Śląskich, gdzie od-

będzie się odprawiać wart z udziałem pocztów sztandarowych i kompanii honorowej. Kwiaty zostaną też złożone na grobach Wojciecha Korfante, Józefa Rymera i Jerzego Ziętka. W sali Sejmiku Śląskiego rodzina Korfante odbierze przyznany mu pośmiertnie Order Orła Białego.

● W roku ubiegłym delegaci SSWK zgłosili 36 interpelacji z czego 30 dotyczyło działań wojewody, 3 z nich skierowano do Kuratorium, 1 do Górnos Śląskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów, a pozostałe do Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej oraz do Komisji Prawa Sejmiku. Interpelacje dotyczyły kwestii prawnych, finansowych oraz komunikacji i transportu. Delegaci poruszyli także problemy związane z gospodarką wodną, ekologią, kulturą i oświatą.

● W 1996 r. Prezydium Sejmiku odbyło 46 posiedzeń. Omawiano na nich tematykę kolejnych sesji, dyskutowano projekty uchwał oraz projekty uchwały dla Sejmu RP. Raz w miesiącu w obradach uczestniczyli przewodniczący Komisji, również raz w miesiącu na posiedzenia Prezydium zapraszani byli wojewoda katowicki. Stałe były kontakty z postami i senatorami naszej ziemi. W minionym roku Prezydium odbyło 3 posiedzenia wyjazdowe: w Kuźni Raciborskiej, Raciborzu i Koźle. Spotykano się też z prezydiami sejmików woj. bielskiego, opolskiego i częstochowskiego.

● Z inicjatywy SSWK w ub. roku ogłoszono dwa konkursy o tematyce ekologicznej. Pierwszy z nich nosił nazwę „Najlepsze wdrożenie rozwiązań ochrony środowiska, zrealizowane przez samorząd terytorialny w województwie katowickim w okresie 1990-1995”. Jego celem jest uhonorowanie i rozprzestrzenianie najbardziej udanych rozwiązań. Rozstrzygnięcia została druga edycja konkursu na „Proekologiczną gminę województwa katowickiego”. W kategorii gmin wiejskich zwyciężył Krupski Młyn, miejsko-wiejskich — Olkusz, a miejskich — Tychy. Gratulujemy.

● Wraz z wejściem ustawy o samorządowych kolegiach odwoławczych zmienił się nieco zakres ich uprawnień. Pozostali organami wyższego stopnia w stosunku do gmin, zyskali jednak uprawnienia nadzorcze. Mogą żądać niezbędnych informacji i dokumentów. W 1996 r. Samorządowe Kolegium Odwoławcze rozstrzygnęło 2504 sprawy. Dotyczyły m.in. podatków, opłat lokalnych, zagospodarowania przestrzennego, pomocy społecznej, spraw lokalowych, dodatków mieszkaniowych oraz gospodarki nieruchomości.

● W dniach 5-7 marca przebywała w województwie katowickim delegacja województwa Borsod-Abauj-Zemplen (Węgry). W skład delegacji, której przewodniczył wiceprzewodniczący samorządu województwa Janos Fonagy obok samorządowców wchodziły przedstawiciele organizacji i izb gospodarczych tego województwa. Węgierscy goście spotkali się m.in. z wojewodą katowickim, przewodniczącym SSWK, a także przedstawicielami Międzynarodowych Targów Katowickich S.A. Odbyło się posiedzenie Komisji Mieszanej do spraw współpracy gospodarczej pomiędzy województwami. Nawiązana została bezpośrednia współpraca pomiędzy gminami Rapashuta i Suszec.

– Jest pani członkinią Komisji Konstytucyjnej Sejmotu, która przygotowywała projekt konstytucji. Jak przebiegała praca tej komisji, gdy idzie o sprawy samorządu terytorialnego?

– W komisji nie poświęcono tej sprawie dużo czasu, ale pracowałam też wcześniej w specjalnej podkomisji do spraw samorządu terytorialnego, która już rozwiązała się, gdy skończyła pracę. Staliśmy się zaprosić do tej podkomisji również osoby spoza parlamentu, w tym naukowców. Myślę, że była to jedna z najspokojniejszych podkomisji. W gruncie rzeczy wszyscy byli zgodni, iż potrzebne są kolejne szczeble samorządu terytorialnego, różnice dotyczyły szczegółów. Dlatego bez problemu przeszły powiaty, to znaczy przeszło umocowanie powiatu w projekcie konstytucji...

– Ale przecież powiatów nie ma w tym projekcie...

– Jednak wcześniej, przez całe dwa lata, powiaty w nim były. Jak wiadomo, Sojusz Lewicy Demokratycznej wycofał powiaty w ostatniej chwili, pod wyraźnym naciskiem Polskiego Stronnictwa Ludowego. Tak więc ostatecznie w projekcie nie ma wzmianki o powiatach. Teraz znowu mówią nam, samorządowcom, że powiaty nie muszą być wcale w konstytucji, że można je wprowadzić później w drodze ustawy.

– Jak to wygląda gdzieś indziej? Czy sprawy struktury administracyjnej państwa powinny być zapisane w ustawie zasadniczej?

– To coś znacznie więcej niż tylko struktura. Tu chodzi o stopień decentralizacji państwa. Zakotwiczenie powiatów w konstytucji byłoby dla nich gwarancją rzeczywistego istnienia. Stąd to moje głębokie rozczarowanie.

– A regiony? Rozumiem, że o regionach w projekcie w ogóle nie ma mowy.

– Tośmy już przegrali. W moim przekonaniu głęboka regionalizacja nie byłaby dla Polski niczym złym, a już szczególnie z górnośląskiego i zagłębiowskiego punktu widzenia. Natomiast tę kwestię rzeczywiście już przegraliśmy, ponieważ trzeci artykuł projektu konstytucji mówi, że Rzeczpospolita Polska jest krajem jednolitym. Zatem projekt wyklucza wszelki szeroki regionalizm i federalizm. Nie wyklucza natomiast województwa samorządowego, a właściwie rządowo-samorządowego, z województwa jako przedstawicielstwa rządu. Moim zdaniem, i powiaty i województwa powinny być znalezione się w projekcie konstytucji. Przez te braki popadaliśmy już w konflikt z Europejską Kartą Samorządu Terytorialnego. To jest po prostu skandaliczne.

– Co powiada Karta w tej materii?

– Otóż Rada Europy, której jesteśmy członkiem, określała podstawowe standardy samorządu terytorialnego. Myśmy ratyfikowali tę Kartę, przecież dobrowolnie. Jest w niej zapisane, że wybory do jednostek samorządu terytorialnego powinny być bezpośrednie, a tymczasem u nas wybory do sejmików wojewódzkich są pośrednie, gdyż zasiadają w nich tylko delegaci gmin. Karta mówi, że samorządy powinny kierować się zasadą pomocniczości, to znaczy zajmować się wszystkimi sprawami bliskimi obywatelom, którzy



Rozmowa z posłanką,
dr hab. IRENĄ
LIPOWICZ

Foto: Stanisław Jesułowicz

Samorządowa prowizorka

mają do tego po prostu prawo. A tymczasem Polska jest państwem niesłyszanie scentralizowanym, o scentralizowanym i marnotrawionym przez to budżecie. Mamy wprawdzie samorządne gminy, ale to wszystko.

– Jakże sprawy wywołały jeszcze dyskusje?

– Kwestią ciągle dyskusyjną jest sprawa podziału zadań samorządowych na zadania własne i zlecone. Zadanie własne to takie, kiedy gmina może samodzielnie decydować o podziale pieniędzy. A więc sama decyduje, czy zbudować dom starców czy przedszkole. Natomiast zadania zlecone należą w istocie do rządu, a są tylko zlecone samorządowi do wykonania. Jeśli te zadania wykonuje gmina, to przecież tak naprawdę są to zadania wychodzące z Warszawy, a pieniądze przydzielane są w ściśle określonych wórczkach i nie można ich przekładać z jednego do drugiego. W tym wszystkim chodzi o to, żeby owe zadania własne samorządów były pomyślane jak najszersze, żeby stanowiły zdecydowaną większość, a zadania zlecone margines. Dzisiaj w Polsce samorządy mają bowiem coraz więcej zadań zleconych, one już przeważają nad zadaniami własnymi. Jest to patologia samorządności. Z tym podziałem wiąże się ściśle kwestia nadzoru nad samorządami. Od pewnego czasu można zauważyć, że centrum administracyjne próbuje z powrotem uzależnić od siebie samorządy (choćby nowe uprawnienia wojewody), a przecież sposobem tego uzależnienia może być również formuła nadzorowania. W projekcie konstytucji udało się przerozować formułę nadzorowania jedynie legalności, a nie celowości

decyzji samorządów. Przecież jeśli wprowadzimy do nadzoru kryterium celowości, to taki wójt – zamiast robić coś sensownego dla mieszkańców – zacznie się zastanawiać, co powieć na to kontrolerzy i czy im spodoba się jego decyzje. Przerastanie więc rządzić...

– Zacznie się asekurować?

– Dokładnie. A myśmy po 40. latach asekuracji osiągnęli poziom budżetu i dochodu narodowego wielokrotnie niższy niż w Hiszpanii czy Grecji, chociaż zaraz po wojnie byliśmy na bardzo podobnym poziomie rozwoju.

– Z gminami przynajmniej się udało, lecz pozostały inne kwestie decentralizacji.

– Niedługo już nas wyprowadzą Czechi, Słowacy i inne kraje. Bo Węgrzy już nas wyprowadzili. W tej materii zaczynamy wlec się w ogonie. To byłaby kompletna cięśka.

– Aż tak?

– Aż tak! Może jeszcze zostanie za nami Albania i Białoruś. Jeśli weźmiemy pod uwagę stopień decentralizacji budżetu, to jesteśmy na samym końcu. Ciągłe jeszcze chwylimy się, jakim to jesteśmy liderem w samorządności w naszej części

Europy, a tymczasem przynajmniej od trzech lat przestaliśmy nim być. Trudno już nawet opisać ustrój naszego kraju. Można powiedzieć, że Polska składa się z dobrych, porządnie pomyślanych gmin, a następnie z segmentów lokalnych, rejonów usług publicznych, rejonów administracyjnych, specjalnych stref ekonomicznych, wreszcie związków komunalnych. To nawet trudno zachodnim naukowcom opisać. Wszystko to improwizacja, wielka prowizorka. Wszystko jest tu namiastką, bo wszystko udaje powiat, a powiatem nie jest. To jest po prostu udawanie, że się robi reformę. Przykład z powiatami jest dobry, bo pokazuje jak SLD traktuje tę kwestię. Przecież osiągnęliśmy zgodę na powiaty w komisji, gdzie było wielu wójtów, burmistrzów, samorządowców. Ale potem, gdy trzeba było głosować, posłowie SLD głosowali tak, jak im nakazywał kierownictwo partii, nawet jeśli było to poświadczenie z naszego województwa. I trudno się dziwić, że tak to wygląda z reformą samorządową, jak właśnie wygląda.

– Czy zostaniemy więc centralistycznym ostateczem w Europie?

– Mam nadzieję, że nie. Jeszcze jedno wybory przed nami. Prowadzimy walkę o decentralizację kraju, walkę, którą na razie przegrywamy, ze stratą dla Polski. Przecież od paru lat mamy gminy i każdy może naucecznie przekonać się, że jest to forma lepsza niż zarządzanie centralistyczne. Jeśli więc tak trudno nadać przekonanie do powiatów i województw samorządowych, to nie wiem, co mam robić. W każdym razie wiem już, że należy wystrzegać się fałszywych zwolenników decentralizacji, którzy gotowi są odstąpić od tej idei dla doręcznego interesu partyjnego. I jednocześnie wierzę w to, że Polska samorządowa nie da się w ten sposób skwitować.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
JAN F. LEWANDOWSKI



Przystanek Gliwice

WIESŁAW KOSTERSKI

Nie zapowiadało gliwickiego finału. Udaję się do Krakowa delegacja GM bardziej z obowiązku i kurtuazji niż potrzeby zatrzymała się w Gliwicach. Była w drodze z jednych negocjacji na drugie. Goście zapowiedzieli, że mają 15 minut, bo zaraz muszą jechać dalej. Kiedy otrzymali dokumenty, planse, książki i zdjęcia lotnicze oferowanych terenów, przestało im się spieszyć. Pod koniec wizyty zapowiedzieli, że przyjadą jeszcze raz.

Amerikanie długo obwąchiwali Gliwice. Zanim podjęli decyzję, zadawali setki drobniagowych pytań — o stan prawny działek przeznaczonych pod budowę, możliwości doprowadzenia energii, wody, ciepła, okoliczne zakłady, uczelnie, rynek pracy, drogi i lotniska. Był nawet taki moment, kiedy wydawało się, że miasto wypadło z gry, po tym, jak ktoś doniósł Amerykanom, że rzekomo stan prawny gruntu idącego pod młotek nie jest uregulowany.

— Nie można byłoby pomyśleć o inwestycji bez Gliwickiej Agencji Inicjatyw Gospodarczych, która powstała na parę miesięcy przed złożeniem oferty koncernowi GM, oraz Międzygminnego Ośrodka Doradztwa i Orientacji Zawodowej — ocenia prezydent Gliwic Zygmunt Frankiewicz. — Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, że wybierze się to albo tamto pole i jest po sprawie. Ale żeby to pole można było zaoferować, należało wykonać gigantyczną pracę w bardzo krótkim czasie. Agencja wywiązała się z tego, w porozumieniu z władzami miasta, złożyła ofertę. Gdyby nie było agencji, nie miałby kto złożyć tej oferty.

Ostatecznie GM kupił w drodze przetargu za 50 mld starych złotych 60 ha gruntu,

General Motors rozlał sporo miodu, który wabi polskich i zagranicznych inwestorów. Czy zatem siedem błyszczących łopat wbitych w ziemię na rozpoczęcie budowy fabryki Opla w Gliwicach stanie się symbolem wielkich przemian gospodarczych i społecznych na Śląsku? Czy jeden zakład — choćby najnowocześniejszy — zdoła zmienić wizerunek regionu tkwiącego wciąż jedną nogą w poprzednim stuleciu?

który w większości należał do skarbu państwa. Wcześniej pola uprawiał tu PGR. Część ziemi zarosła krzakami. Skarb państwa zarobił najwięcej — 45 mld zł, gmina Gliwice dostała 5 mld zł. Kwota nie jest oszałamiająca. I być nie mogła, bo ziemię wyceniono według wartości gruntu ornego, a ten w Polsce nie jest drogi.

6 maja 1996 roku w sali XV-wiecznego gliwickiego ratusza miasto podpisało z koncernem umowę inwestycyjną. Dawne pegeerowskie pola położone przy betonowej szosie Katowice — Wrocław zajęły ciężki sprzęt...

PROZA ŻYCIA - KAPITALIZM

— Tędy można przejechać, śmiało! — mężczyzna ruchem ręki wskazuje wjazd na teren budowy. Auto brnie przez zwały błota.

Lutowe roztopy i ciężarówki zamieniły drogę w grzęzawisko. Wokół hałdy rozgrzebanej ziemi, wykopy, spychacze, strzeliste wiertnice. Pracowników — jak tego mężczyznę stojącego przy wjeździe — odziano w obowiązkowe pomarańczowe kamizelki i białe kaski. W tle gliwickie osiedla i zabudowania stadniny koni. Klub jeździecki to najbliższy sąsiad Opla.

Najgłośniejsza polska budowa ostatnich lat. Kiedyś relacje z wielkich inwestycji okraszano figurami stylistycznymi w rodzaju — „porywający pasos naszych czasów”, „wielkie budowy socjalizmu”, „Polak potrafi”. A tu proza życia — kapitalizm. Na drzwiach wejściowego luksusowego zaplecza kontenerowego, gdzie ulokowano kierownictwo budowy, kartka informująca, że nie przyjmuje się nikogo do roboty. Przed wejściem — jakże by inaczej — najnowsze modele „Vectry” i „Astry”. „Maluch” w tym towarzystwie wygląda jak wyrzut sumienia.

Ekskluzywne zaplecze postawiła polska firma „Mimet”. Polskie bajery w klimatyzowanych pomieszczeniach. Tylko klimatyzacja jest z importu. Ludzie z zagranicznych delegacji, którzy odwiedzają budowę, z niedowierzaniem kręcą głowami, że to wyłącznie nasza robota. Do cholery! Jednak Polak potrafi.

— Najazd z zewnątrz? — powtarza pytanie Tomasz Domin, kierownik budowy fabryki Opla. — Zagląda wielu ludzi. Pytają o pracę. Przyjeżdżają przedstawiciele firm ze Śląska. Budowę nadzoruje „Morrison Knudsen”, który ma swoich podwykonawców. Oni zatrudniają.

„Z ulicy” robotę dostali prywatni przewoźnicy, którzy przyszlizli tu i zaoferowali usługi transportowe. Teraz ich ciężarówki

wożą ziemię z wykopów. W większości aut należy do okolicznych mieszkańców. Oni pierwsi zrobili biznes z Oplem. Ale też trafiają się wozy z bielską rejestracją. O inne niż usługi transportowe pracy nie ma co właściwie myśleć. Firmy mają swoich ludzi. To szczególnie zamknięto towarzysztwo.

Tomasz Domin przyszedł tutaj z gliwickiego „Biprobuhu”. Jak było wiadomo, że GM będzie stawiał fabrykę, „Biprobuh” przeprowadził rekrutację dla koncernu „Morrisa Knudsen”, z którym wcześniej współpracował. Zebrano kandydatów, były rozmowy kwalifikacyjne. — To warte podkreślenia, że właśnie Opel został kierownikiem tak dużej i prestiżowej budowy — komentuje Zbigniew Lazar, rzecznik prasowy GM Poland.

— Wynagrodzenia? — Domin poprawia się na krześle. — To tajemnica w firmie. Negocjowane są indywidualnie. Dostaje więcej niż wynosi średnia, ale nie jest to astronomiczna kwota. O! Tutaj niektórzy pracują na wydłużonych zmianach, więc dobrze zarabiają.

SIEDEM ŁOPAT I HOSTESSY

2 października 1996 roku na inaugurację budowy fabryki zjechała świta. Siedem wypolerowanych łopat poszło w ruch. Garść ziemi przetrzucił prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, a wraz z nim m.in. niemiecki minister spraw zagranicznych Klaus Kinkel oraz minister przemysłu i handlu Klemens Schierski. Celebra — ekipy telewizyjne, błyski fleszy, przemówienia, hostessy z tacami pełnymi kolorowych drinków, orkiestra górnicza. Ponad tysiąc gości zaproszono na bankiet do dwóch gigantycznych namiotów ustawionych w miejscu budowy.

— Fabryka Opla jest dowodem, że Śląsk może ponownie zająć ważne miejsce między najbardziej uprzemysłowionymi i rozwiniętymi regionami Europy — mówił z satysfakcją prezes Opla David J. Herman. Dwa miesiące później entuzjazm inwestorów jakby nieco ostrył: — Nie chcemy być zbawcą tego regionu, nie uratujemy upadających firm, ale z pewnością będziemy mieć wpływ na ożywienie gospodarcze regionu — wywalał słowa dyrektor General Motors Poland Scott R. Mackie podczas wizyty na Śląsku.

Koncern zainwestuje w gliwicki zakład 530 milionów DM. Wybuduje tłocznice, spawalnię, lakiernię, halę montażu końcowego, budynki zaopatrzenia, zaplecza socjalnego i biura. Fabryka ma być gotowa na przełomie września-października przyszłego roku. Na początek będzie produkować rocznie 70 tysięcy aut. Drugi etap budowy, przewidziany około 2000 roku, kosztować będzie również kilkadziesiąt milionów DM. W efekcie zakład zwiększy możliwości produkcyjne do 150 tysięcy samochodów.

Opel chce zatrudniać około 2 tysięcy ludzi. Jeśli policzyć się firmy świadczące dla niego usługi oraz produkujące komponenty i części, to z fabryką powiązanych zostanie około 20 tysięcy miejsc pracy. Takie doświadczenia wykazują firmy GM na Węgrzech, w Turcji i Niemczech. Po zakończeniu drugiego etapu budowy zatrudnienie podskoczy do około 4 tysięcy pracowników.

— Nie możemy jeszcze powiedzieć, jaki model Opla będzie robiony w Gliwicach, ale wiadomo już, że ma być to auto rodzinne, klasy „Astry”, za bardzo przystępną cenę — mówi Zbigniew Lazar. — Jaka? Jeszcze nie ustalono. Gliwicki Opel na pewno nie będzie następcą „Astry” — nowy model opracowuje się kilka lat, co kosztuje około 4 miliardów dolarów!

Oprócz gliwickiej fabryki, GM uchodzący za największy koncern produkcyjny świata, buduje zakłady w Rosario koło Buenos Aires, w Tajlandii i Chinach. Zasadą jest, że stara się inwestować tam, gdzie można najwięcej sprzedać. Dlaczego więc dopiero teraz zdecydował się na budowę w Polsce, skoro od lat bijemy rekordy świata w ilości kupowanych aut? Czy fabryka nie jest już na starcie spóźniona o dwa, trzy lata?

— Opel przyglądał się Polsce od 1991 roku przewidując boom na polskim rynku motoryzacyjnym — odpowiada Zbigniew Lazar. — Problem jednak w tym, że przez pierwsze lata negocjacji trzeba było rozmawiać z ciągle zmieniającymi się premierami i ministrami. Jak rozmowy dochodziły do jakiegoś ważnego momentu, wszystko trzeba było zaczynać od początku, bo pojawiała się nowa ekipa rządowa.

Wcześniej Opel chciał wejść na polski rynek przez polskiego partnera. Pomyślano o warszawskiej FSO. Jest fabryka, jest partner. Rozmowy nie przyniosły rezultatów, więc zdecydowano, że pora na budowanie nowego zakładu.

Flirt z FSO nie wypalił z wielu powodów. — Przejęcie fabryki, która ma około 20 tysięcy ludzi i produkuje 70 tysięcy aut rocznie, oznaczałoby, że za jednym pociągnięciem piora GM zwiększyłby zatrudnienie w Europie o 25 procent — tłumaczy Zbigniew Lazar. — To nie są rzeczy, które robi się w ten sposób. W Europie Opel zatrudnia około 100 tysięcy pracowników, więc od razu widać byłoby wzięcie warszawskiego zakładu. To był epizod i strata czasu.

W FSO jest jednak zakład numer „jeden” — montownia „Astry”, należąca w 100 procentach do Opla. Po wybudowaniu fabryki w Gliwicach zakład nie będzie zlikwidowany. Właściciel zastanawia się teraz, jak go dalej wykorzystać. Może będzie tam montownia aut, na które popyt jest mniejszy niż na „Astrę”, czyli w granicach 10 do 12 tysięcy sztuk rocznie. Być może będzie to „Vectra” albo wóz dostawczy. Niewykluczone, że zakład dostanie

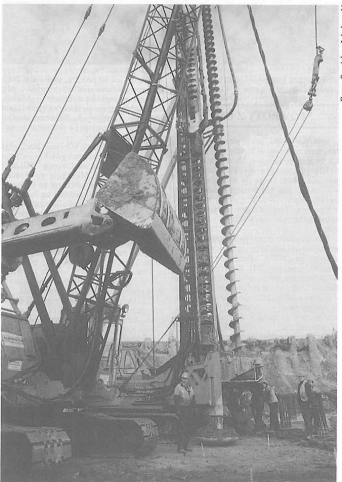


Foto: Stanisław Jakubowski



produkująca komponenty firma Delphi, która jest własnością GM.

POWROTY Z USA

Wokół wykopu, gdzie stanąć ma tłocznia, sterczą wbite w ziemię pale. Będzie ich tu jeszcze kilkadziesiąt. Na początku roku były problemy z wodą, która zatapiała miejsca robót. Teraz do wykopu można wejść autem. Od otoczenia oddziela się barwą czarny łupek, który zwozi się z Knurowa. Tam likwidowana jest kopalnia hałda, tutaj łupek służy do wymiany gruntu.

Towarzystwo międzynarodowe. Pracami ziemnymi zajęli się Austriacy z przedsiębiorstwa „PORR”. Fundamenty kładzie belgijski koncern CFE, który ma za podwykonawców Francuzów z firmy „Sole-tanche” robiących palowanie, Polaków z Katowickiego Kombinatu Inżynierii Miejskiej pracujących przy fundamentach i Niemców z „Wulkanu” zatrudnionych przy betoniarach.

Jest niemiecki „Eisenmann”, który w systemie „pod klucz” stawia lakiernię. To firma wyspecjalizowana w budowie tego rodzaju obiektów, która wzięła sobie na podwykonawcę inny niemiecki zakład — „Kellera”. Są Polacy z firmy Szostak-Duda doprowadzający media oraz przedsiębiorstwa „Gemi” zajmującego się pracami geodezyjnymi. Szczyt tej piramidy zajmują dwa koncerny: brytyjski OVE Arup & Partner odpowiedzialny za projekt i nadzorowanie budowy oraz amerykański „Morrison Knudsen” koordynujący realizację projektu.

— Razem jest tutaj około 200 ludzi — mówi Tomasz Domin. — Większość

z nich, jakieś 80 procent, to Polacy. Największe zatrudnienie będzie wtedy, gdy wejdzie na budowę zabrzański „Mostostal”, który zajmie się dostawą i montażem konstrukcji stalowych. Wówczas zacząć się roboty budowlane, a pracować tu będzie ponad 500 osób.

29-letni Michael Whitney pochodzi z Seattle. Korzenie ma polskie — jego dziadek mieszkał w Lwowie. Michael ożenił się z Polką. Mieszkają we Wrocławiu. Przez kilka lat pracował na Politechnice Wrocławskiej, później na budowie, którą we Wrocławiu realizowała firma amerykańska. Do Gliwic trafił z ogłoszenia. Żartuje, że tutaj ma najważniejszą funkcję.

— Jestem dyrektorem finansowym budowy — mówi poprawną polszczyzną. — Mam kontrakt. Później chcę pozostać w Polsce, tu jest lepiej (chwila namysłu) niż w Niemczech. We Wrocławiu mam dom i biuro obrotu nieruchomościami.

Z USA, a ściślej z południowej Kalifornii, przyjechał Peter Debski — warszawiak, którego rodzina wyemigrowała za Ocean kiedy miał kilka lat. Pracuje w firmie „Morrison Knudsen”. To jasne, że kiedy koncern zajął się inwestycją Opla, pomyślano właśnie o nim.

Polskie pochodzenie zaważyło też na wydelegowaniu przez „Morrisona Knudsen” Johna Szadzińskiego. Przed 14 lat wyemigrował go z Kielc do Montany komplikacje powstałe po stanie wojennym. Przyjechał Opel. Przed wyjazdem do USA był kierownikiem budowy w „Budostalu-2”. Fach zna więc od lat.

— To, że poważne firmy zachodnie inwestują w Polsce, jest dobrym znakiem na przyszłość — ocenia Szadziński. — Wprawdzie nie ma tutaj złotego ryna, ale Amerykanie patrzą na Polskę z wielką

sympatią. Mówią ciepło nie tylko o polskiej gospodarce. Podobnie jest z kandydaturą Polski do NATO, niezależnie od tego co politycy za kulisami wykoncypują.

ZACHODNIA BRAMA ŚLĄSKA

W ścisłym finale rywalizacji o fabrykę Opla, oprócz Gliwic, znalazły się Polkowice w woj. legnickim oraz Dąbrowa Górnicza i Tychy-Jastrzębie, które wystawiły wspólną ofertę. Co przeważało szaleć na korzyść Gliwic?

— Nie wiem, różnie mówiono — odpowiada Zygmunt Frankiewicz. — Niech pan zapyta przedstawicieli koncernu.

— Gliwice wygrały, bo delegację GM ujęła rzetelność i uczciwość w prowadzeniu negocjacji — twierdzi Zbigniew Łazar. — Inni — na przykład — zaniżali wyniki badań o zanieczyszczeniu powietrza i nie potrafili rozwiązać zamazanych spraw własnościowych ziemi. Za Gliwicami przemawiało zaplecze naukowe w postaci wyższej uczelni i instytucji, autostrada, port rzeczny, węzeł kolejowy oraz lotniska w Katowicach-Pyrzowicach i Krakowie-Balice. Według standardów światowych dojazd w ciągu godziny i 20 minut do Balic nie jest problemem. Wszędzie tak się jeździ.

Miasto staje się wizytówką regionu, zachodnią bramą Śląska. Jednym filarem będzie Opel, drugim tzw. CeLT — centrum logistyczne, a ściślej wielka strefa biznesu z supermarketami, sklepami, stacjami paliwowymi, barami, restauracjami i usługami, która powstanie w pobliżu projektowanego tutaj skrzyżowania transeuropejskich autostrad A-4 i A-1. W pobliżu jest też wolny obszar celny, sąsiadujący z Oplem przez Kłodnicę.

Nie byłoby inwestycji bez Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. W Gliwicach obejmuje ona obszar północny zamknięty ulicami: Kozielską i Portową oraz drogą krajową nr 4. To właśnie tu, na powierzchni 60 ha, powstaje fabryka. Druga część gruntów specjalnej strefy, rozciągająca się wzdłuż ul. Bojkowskiej, czeka na inwestorów.

— W strefie chcą lokować się kolejni inwestorzy i to bardzo poważni — ujawnia Zygmunt Frankiewicz. — Ponieważ trwają negocjacje, nie mogę podać o kogo chodzi.

Prezes Zarządu KSSE Marek Lichoń nie ma żadnych wątpliwości, że tym, co zwiększyło atrakcyjność Śląska i uwiarygodniło region za granicą jest fabryka Opla. Za GM ciągną kolejne firmy amerykańskie — Lear Corporation i należący do GM Delphi Automotive Systems. W styczniu japoński koncern Isuzu zapowiedział, że za 240 mln dolarów wybuduje w strefie w Tychach fabrykę supernowoczesnych silników Diesla. Wokół Śląska krążą też firmy włoskie mocno powiązane z kapitałem szwedzkim, a także francuskie i hiszpańskie.

Strefa daje szansę na obustronny biznes. Każdy, kto zainwestuje w tym wydzielonym obszarze państwa minimum 2 mln ECU, będzie przez 10 lat zwolniony z podatku dochodowego oraz podatków lokalnych, a głównie od nieruchomości przez 20 lat. Państwo ma zyskać ogromne kwoty z podatku VAT oraz podatków dochodowych od osób fizycznych — od wszystkich nowo zatrudnionych w strefie. W tym przypadku w fabryce Opla. Jak się szacuje, wpływy te mają przekraczać straty z tytułu ulg.

— Gliwice będą miastem Opla i trudno o lepszą promocję na świecie — uważa

Zygmunt Frankiewicz. — Ta inwestycja jest jak powiew świeżego powietrza. Ściąga do nas kapitał. Firma „Polinowa” buduje wytwórnię wełny mineralnej za 90 mln DM. Sieć „Holiday Inn” chce stawiać hotel. I oby tak dalej, oby utrzymała się stała tendencja do inwestowania, bo jedna fabryka nie zmieni oblicza Śląska.

Mieszkańcy miasta też chcą odcinać kupony. Już w Gliwicach zdrożała ziemia i mieszkania. O kilka procent. Trudniej wynająć przyzwyczajone mieszkanie i hotel. Pojawia się sporo drobnych polskich firm, szukających lokali i ludzi do pracy.

— Efekty będą widoczne po jakimś czasie — kontynuuje Zygmunt Frankiewicz. — Teraz mamy więcej kłopotów niż korzyści. Gminę pozostawiono sam na sam z Oplem i rolą jaką z tego wynika, czyli próbą przebudowy regionu. Specjalne dotacje? Ależ skąd! Nie ma ich znikąd.

A W STAJNIACH KONIE...

— Panie, Opel tak drogę zdewastował, że nie można tutaj dojechać — Jan Janasik, właściciel Ośrodka Jeździeckiego „Lukasyna”, beznadziejnie rozkłada ręce. — Rozmawiałem z nimi, dzwoniłem, wysyłałem pisma. Zbывают mnie, mówią, że droga jest wspólna. Jaka wspólna, skoro panowie w pomarańczowych kamizelkach i białych kaskach klientów zawracają przy wjeździe — tu teren budowy, proszę nie jeździć. Zatrzymują auta, choć nie ma zakuż wjazdu. Odwrotnie — jest tablica informująca o dojeździe do stadniny koni. Robią bezprawie.

W stajniach stoi 35 wierzchowców rekreacyjnych i sportowych. Jeździć można nawet zimą, bo jest kryta ujeżdżalnia. Wokół obszerne tereny nadające się do galo-

powania. Na budowę Opla i do klubu prowadzi jedna droga. Z betonówki. Brak tej drogi, to odciecie stadniny od świata i pieknydy.

— Przez tę budowę mam już od listopada około 100 milionów złotych strat — Jan Janasik zapala papierosa i na chwilę tonie w londyńskiej mgłę. — Skąd tyle? To proste — miałem po 100 klientów miesięcznie, a teraz zaledwie 20 do 30 osób. Nie przyjeżdżają z powodu weterpów. Kto odważy się jechać autem po takim bagnie. Dzieci z ośrodka młodzieży niepełnosprawnej nie są dowożone na zajęcia z hipoterapii. Dalej tak nie może być. Dlatego mam tracić? Chyba oddam sprawę do sądu...

Betonowa droga. Z jednej strony sporych rozmiarów plansza z informacją o fabryce, z drugiej grill bar „Malibu”. Młoda ekspedientka zza lady mówi, że jak ruszyła budowa, interes gastronomiczny zaczął inaczej się kręcić. W porze obiadowej nie ma wolnego stolika. — Przychodzą zwłaszcza Austriacy — mówi dziewczyna. — Zamawiają frytki, kołtety, piwo.

Według danych Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, na inwestycje w woj. katowickim wydano w 1995 roku ponad 3,3 mld zł. Na Śląsku mieliśmy ponad tysiąc spółek z przewagą kapitału zagranicznego, co oznacza, że ich liczba podwoiła się w ciągu ostatnich 3 lat. Ponad 60 procent tych firm należy do kapitału niemieckiego. Największym obcym inwestorem jest włoski FIAT rozbudowujący zakład Fiat-Auto-Poland w Tychach oraz amerykański koncern GM.



Foto: Stanisław Jakubowski



Istnieją trzy symbole planu sześćdziesięcioletniego, obrazujące jak bardzo chcieliśmy mleć w Katowicach prymat nad stolicą, skoro już na stołeczność nie mieliśmy szans. Gdy powstał zespół „Mazowsze”, natychmiast musiał zaistnieć i zespół „Śląsk”. Gdy Tadeusz Sygietyński skomponował porwawający przebój „Wszystko tobie ukochano ziemio”, natychmiastową odpowiedź dał Stanisław Hadyna, tworząc nieśmiertelny szlagier „Płynię Wisła błękitna od Beskidów do Gdańska”. Na tej samej zasadzie zbudowano Stadion Śląski, stale konkurujący z warszawskim Stadionem X-lecia.

Stadion i jego epoka

Górnośląskie colosseum

Oba aspirowały do miana „stutysieczników” choć ani jeden ani drugi nigdy nie miał tyle miejsc. Nie wiem, czy to symbol nowych czasów, czy upadająca stołeczność Warszawy powodują, że chorzowski stadion powoli dzwiga się z ruin ideowych i technicznych, podczas gdy warszawski utrwała swoje oblicze największego bazaru nowoczesnej Europy. Może przynajmniej ten fakt wyleczy nas z kompleksów: w tej dziedzinie konkurencję z czasów sześćdziesiątki zdecydowanie wygrał.

Stadion był jednym z najistotniejszych elementów sprawowania władzy za ańien regime'u, gwarantował bowiem zaspokojenie kilku podstawowych potrzeb rządzących i rządzonych. Po pierwsze gwarantował igrzyska wszelkiego rodzaju, a to — jak wiemy — jest od czasów starożytnych jednym z filarów panowania na społeczeństwie. Po drugie pozwalał w niespotykanym gdzie indziej wymiarze organizować i demonstrować wyrazy poparcia dla

rządzących, wyzwalane spontanicznie z tyłu piersi na raz. I z pewnością właśnie po to potrzebny był mit „śląskiego stutysiecznika”. Bardziej spektakularne były już tylko liczby manifestantów idących w pierwszomajowym pochodzie.

Choć w opinii sportowych dziennikarzy Stadion Śląski uchodził za „szczęśliwy” dla „naszych chłopców”, zaczęło się dość pechowo. Na inaugurację wybrano oczywiście mecz piłkarski, za przeciwników dla polskiej reprezentacji ustalono NRD-owców. Nic nie działo się bez przyczyny. Sport we wschodnich Niemczech był jeszcze w powojakach, a drużyna piłkarska renomę miała żadną. Trzeba więc było pokazać, że w dniu 22 lipca 1956 roku przylejemy Prusakom, nie bacząc, że to kraj zaprzyjaźniony. Zwycięstwa byli pewni wszyscy, pod jego kątem zaplanowano całą uroczystość. Przygotowano nawet puchar dla zdobywcy pierwszej bramki. Już w trakcie meczu z Komitetu Wojewódzkie-

go PZPR nadeszła decyzja, by z tej nagrody się wycofać. Bramka była bowiem samobójcza a cały mecz Polska niespodziewanie przegrała. Pieczętowanie przygotowany scenariusz diabli wzięli a propagandowy efekt „lipcowego święta” przysnął jak bańka mydlana. Już nikt nie cieszył się z całej oprawy uroczystości, defilad, przemarszów, samolotów z flagami i przemówień. Sztab antykrzysowy w KW musiał na bieżąco podejmować decyzje, będąc w stałej łączności ze stolicą.

Minał rok z okładem i wydarzenia na stadionie znow spowodowały kryzys polityczny i to na daleko większą skalę. Tym razem jednak powód był dokładnie odwrotny niż przy okazji otwarcia stadionu. 22 października 1957 roku, mieliśmy bowiem... przegrać z reprezentacją ZSRR w ramach eliminacji do Mistrzostw Świata. Tym razem scenariusz widowiska został przygotowany na kulturalną klęskę „z lepszą drużyną” i nawet największy optymistą (pesymista?) nie zakładał, że może być

inaczej. Niestety, wszystko zepsuł Gerard Cieślak strzelając dwie bramki Jasynowi. Piłkarz na długie lata został narodowym bohaterem i pewnie do końca życia kojarzony będzie z tym samym wydarzeniem, choć wielokrotnie próbował się od niego distansować. Na trybunie honorowej w czasie meczu panowała dramatycznie nerwowa atmosfera. Nie było jeszcze telefonów komórkowych, więc co chwila krążyły plotaszy w charakterystycznych prochowcach i kapeluszach, zaś gorąca linia z Moskwy rozgrywała się do czerwoności. Uspokajające słowa przyszły ponoć z samego Kremla, więc pod koniec meczu oficjele siedzieli już w miarę spokojni. Entuzjazm społeczny związany z tym samym wydarzeniem porównać można jedynie z imprezą sportową, jaka blisko dwadzieścia lat później odbyła się w katowickim „Spodku”, gdy to polscy hokejarze rozgromili drużynę ze ZSRR. To właśnie wtedy w piśmie „Czeski sport” ukazał się historyczny tytuł „Za nas, za was, za wszystkich”.

Doświadczenia piłkarskich nauczycieli sprawujących władzę pewnej ostrożności. Chodziło o to, by imprez politycznych nie łączyć z ryzykownymi wydarzeniami sportowymi. Wyszło to sportowi na dobre, bowiem oddał już najważniejsze mecze odbywały poza uroczystościami oficjalnymi, choć oczywiście nigdy do końca nie były apolityczne, bo być nie mogły. Jeszcze raz w historii Stadionu Śląskiego polityka zapanała nad sportem, a wydarzenia na płycie spowodowały gwałtowne przeczyszczenie w litych lokalnych elit władzy. W 1971 roku zdecydowano zlikwidować zaplecze lekkoatletyczne i na miejscu bieżni zbudować tur żużlowy. Już 2 września 1973 roku udało się zorganizować imprezę motorową dużej rangi: finał Indywidualnych Mistrzostw Świata. W kronikach stadionu oraz w annałach sportu żużlowego w Polsce zapisano przede wszystkim historyczne, bo dotąd jedynie mistrzostwo Jerzego Szczęślika.

Dla życia politycznego w regionie ważniejszy był jednak epizod z tego meczu, gdy w jednym z biegów radziecki zawodnik Grigorij Chlynowski brzydko sfalował bodaj Zenona Plecha, ewidentnie powodując krakę. Zapewno przerwano na blisko dwie godziny, w czasie których znów grały się telefoniczne „gorące linie”. Polscy sędziowie panicznie bali się zdyskwalifikować Rosjanina i szukali pomocy u wszystkich świętych, popadając w konflikt z zachodnimi arbitrami, którzy nie mogli zrozumieć, na czym polega problem. Było ewidentne przewręcenie, jest regulaminowa kara, więc o co chodzi?

Życie jednak płynęło na Śląsku ustalonym już rytmem. Po doświadczeniach początków wypracował się swoisty kalendarz polityczno-sportowy, ściśle przestrzegany przez długie lata. 22 lipca na stałe zagłosił imprezy z okazji „Święta Odrodzenia”, organizowane jako „Święta Młodzieży” przez Związkową Komisję (później Radę) Związków Zawodowych, oślawiony Front Jedności Narodu i organizacje młodzieżowe. Rytuał był stale ten sam: przemarsze, wielkie widowisko plenerowe, następnie kilka imprez sportowych małej rangi i wieczorem sztuczne ognie. Dobór sportowych składników tych imprez był prosty. Najbezpieczniejsze politycznie były lokalne rozgrywki derbowe, więc np. dla uczczenia W Związku ZPZR rozegrali mecz piłkarze Górnik i Ruchu, najbardziej prestiżowych drużyn w regionie. W latach sześćdziesiątych polityczne imprezy zdublowano: pierwsze obchody stawały się zbyt mało liczne, bo młodzież była na wojnach i coraz trudniej było zgnać na uroczystości i coraz gminiajszych. Do kalendarza wprowadzono

więc „Święto Trybuny Robotniczej”, zażalenie nazywane „Świętem Prasy”, które odbywało się w czerwcu.

Stadion przysługiwał się także w momentach przetworów lub kryzysowych. Gdy trzeba było okazać więź władzy ze społeczeństwem, intensyfikowano zabawy. W 1966 roku, wobec jawnego konfliktu z Episkopatem Polski na tle obchodów Milennium, stadion przysłużył się jak znalazł i lipcowe show było szczególnie upolitycznione. Zresztą nie same gryzki decydują o sukcesie w sprawowaniu władzy. Do pełni szczęścia potrzebny jest także chleb — mamy wtedy komplet łaski u rządzących. Na wielkich festynach, organizowanych na Stadionie i w całym Parku Kultury i Wypoczynku, symbolem chleba stał się oczywiście krupniok i piwo. Cien sukcesu nie była więc wysoka. O ile w innych regionach Polski kaszanka uchodziła raczej za danie pońle i bez dobrej kielbasy nie było mowy o zadowoleniu tłumów, o tyle nasz lud zadawałaf się daniem tańszym i łatwiejszym w pozyskaniu. Krwi i kaszy prawie nigdy nie brakowało, więc gryzki miały to krupniokowo-piwno. Socjologom zadającym sobie o lat pytanie o źródło sukcesów tułszej ekipy partyjnej podpowiadam prawdopodobną odpowiedź.

Ciekawą lekturą jest statystyka frekwencji na stadionie, idealnie pokrywająca się z polskim kalendarium politycznym. Okazuje się, że w latach kryzysowych organizowano znacznie więcej imprez niż w okresie stabilizacji. Było to swoiste lekarstwo ostatniej szansy, po które sięgali katowiccy oficjele w chwilach wyraźnej słabości swoich notowań. Zresztą nie dotyczyło to tylko władzy lokalnej. Praktycznie już o lat sześćdziesiątych Stadion Śląski stał się elementem sprawowania władzy także dla warszawskiej centrali. Z pewnością dlatego konkurencyjne Stadion Dziesięciolecia niemal od samego początku swego istnienia zaczął przegrywać współzawodnictwo ze Śląskiem. Zachowano dlań właściwie tylko lekką atletykę oraz Centralne Dożynki i inne imprezy ludowe.

Gdy przed dwudziestu laty „królowa sportu” zaczęła w Polsce zamierać, zaś dożynki rozpoczęły wędrówkę po kraju, wędrowną zaczął także i stołeczny stadion. Kalkulacja władz była prosta: lokalizowane w Chorzowie najważniejszych wydarzeń piłkarskich, a potem żużlowych dawalo wielokrotnie większy efekt społeczny niż w Warszawie. Tam praktycznie nigdy nie udało się zapelnit trybun z „wolnego naboru”, co na Śląsku długo było prawidłowością. I właśnie tutaj potrzebny był mit „stutysięcznika”. W kronikach Stadionu wspomina się o kilku meczach mających taki właśnie widownię, za rekordowy uznając mecz Górnik Zabrze z Austrią Wiedeń 18 września 1963 roku, mający gromadzić 120 tys. widzów. Jednak dane te wydają się mocno wątpliwe, tym bardziej, że opierają się wyłącznie na szacunkach. Dokładnych pomiarów nikt bowiem nie prowadził. Owe „sto tysięcy” jako liczba magiczna miały taki sam wyznik jak kolejne „sto milionów ton” wydobytego węgla. Na magię pięciocyfrowej liczby nabrali się zresztą także i działacze „Solidarności” za pierwsze odnowy lat 1980/81. Pierwszy przyjazd Przewodniczącego na Śląsk miał być połączony z wielką manifestacją właśnie na Stadionie. Niestety, związki aktywiści nie skorzystał z doświadczeń konkurencji i nie polaczył spotkania z festy-nem. Przewidziano tylko parę pompatycznych rezytacji, pociąg patriotycznej w wykonaniu aktorów katowickiego teatru oraz przemówienie Przewodniczącego. Zadnego meczu, żadnych sztucznych ognii, żadnych krupnioków ani piwa. Mimo tysięcy telek-

sów, jakie rozesłano do komisji zakładowych w stylu „obecność obowiązkowa”, zdołano z biedą zapelnit ledwie dwa sektory. Przewodniczący, wkraczając chorowiskim tunelem na murawę przeżył szok. Zdenierowany zbeszał organizatorów: „I to ma być, te wasze sto tysięcy?”.

Magie stadionowych trybun próbowało jeszcze zdyskontować w stanie wojennym, niestety bez większego rezultatu. Już w 1982 roku zmasowano ofertę, gromadząc na raz po dwa mecze piłkarskie, zawody żużlowe i krupniokowe. Dymity polskie kuchnie z kartonkami i nawet tysiące piwa, osiagające wówczas dono jakościowego upadku, miało chwilowo lepszy smak. Niestety, kolejne „Święta prasy” nigdy już nie zgromadziły oczekiwanych tłumów, najwyższ kilka lub kilkanaście tysięcy, gubiących się w ogromie trybun.

I wówczas władza zaszokowała wszystkich. Świadkami Jehowy, którzy zaczęli w miarę regularnie organizować na Stadionie swoje kongresy i zgromadzenia. Był to dość rozpaczliwy gest ze strony władzy, która wydając zgodę na te spotkania wyrażała chęć podzieln hierarchii Kościoła katolickiego. Świadkowie Jehowy działali wówczas nielegalnie i w tej sytuacji otrzymywali zgodę na masowe spotkania przy pełnej blokadzie jakichkolwiek zgromadzeń innych organizacji nie kontrolowanych przez władzę. Miało to swoją wymowę. Korzystał na tym sam Stadion, gdyż organizatorzy oferowali rzecz wówczas bezcenna, duży wkład prac porządkowych a nawet modernizacyjnych. Na tak wielkim obiekcie przy deficycie siły roboczej była to oferta doprawdy trudna do przecenienia.

Nowe czasy musiały przynieść dla Stadionu po prostu normalność. Jeszcze w początkach lat 90-tych „Solidarność” popołu z nowymi organizacjami społecznymi próbowała wykorzystać obiekty na organizację wielkich imprez propagandowych. Skutek był mizerny. Epoka, w której wielki stadion był elementem sprawowania władzy i kształtowania społecznych nastrojów chyba bezpowrotnie minęły. Już nikomu nie jest potrzebny propagandowy jazgot Tadeusza Janika, płynący z megafonów po równo w czasie meczu, politycznego konwentykuł jak i w pierwszomajowym pochodzie. A i sam Śląski zdążył się już zestarzać. Ani się obejrzelismy, jak stuknęło mu lat czterdziestych. Najwyższy czas na gruntowny face-lifting. Trwa więc renowacja, mająca dostosować obiekt do wymogów współczesności: murawę, zaplecze, widownię, techniczne wyposażenie. Zaś w sposób całkowicie bezwzględny i całkowicie samodzielną przebudował się duch Stadionu, potrzebny jest tylko jako obiekt dla zorganizowania ważnego meczu, koncertu rockowego czy np. spotkania z uroczystością. Za stosowne pieniadze i bez politycznego glejtu. Chociaż, kto wie? Igrzyska potrzebne będą zawsze, podobnie jak chleb. Nowe krupniok i piwo przetrwają ławę i demokrację.

A ludzie? Dopóki Stadion będzie istniał, zawsze mieć będzie jakieś przełożenie na ich codzienne życie. I zawsze wydarzy się komaś co takiego jak mnie osobście. Oto 29 października 1977 roku niefrasobliwie brałem ślub. W tym samym czasie na Stadionie odbywał się mecz piłkarski Polska - Portugalia w ramach eliminacji do Mistrzostw Świata. Z tego powodu na uroczystość na czas nie dojechał moi rodzice. Zaś kiedy już szczęśliwie przebrnęliśmy przez formalności i przystąpiliśmy do wesela — trzy czwarte gości oraz orkiestra siedzieli wpatrzonych w przenośny telewizor stojący na fortepianie. Matężństwo na szczególnie fortpianowo.

MICHAŁ SMOLÓZ



Foto: Marek Sojka

Na zdjęciu od lewej: prof. dr hab. Tadeusz Miecza (Uniwersytet Śląski), prof. dr hab. Marek M. Drozdowski (Uniwersytet Opolski), Kazimierz Kutz, prof. Henryk Klubka (PWSFTiITV w Łodzi). W głębi reżyser Janusz Kijowski.

Polska – kompleks odwróconych pleców

KAZIMIERZ KUTZ

Mówienie o Górnym Śląsku to coś takiego, jak uczestniczenie w Golgocie. Już na sam dźwięk tych dwóch słów, coś się we mnie ścina, a w głębie rośnie bulwa, która uniemożliwia artykulację. To nie jest przy-

jemność. Górny Śląsk to niestrawny ochlap dla Polski, który – na dodatek – źle trzyma się w uzębieniu. Normalnie, psy zakopują taki kawałek w ziemi i szukają łatwiejszego chleba. Ja nie mam takiej możliwości.

Oczywiście, każdy region Polski ma swoje problemy, swój historyczny remanent, także ten po latach byłego ustroju, i ten bieżący. Nawet pojedynczy człowiek – by mądrzeć – precedza swój czas. I choć mechanizmy nowego ustroju ruszyły, są w biegu i odmieniają naszą rzeczywistość szybciej niż nam się wydawało, to jednak tu – na Śląsku – wszystko ma się inaczej. Historia dawna, niedawna i terazniejsza mają tu swoją odmienność, którą trudno pojąć i do czegośkol-

wiek przyrównać. Bo Śląsk ma swoją własną historię i odmienny rozwój cywilizacyjny. Szedł inną drogą ku Europie, i inną ku Polsce. Ma inny słuch na przeszłość i swoją melodię na przyszłość. I ma swoją niemotę, czyli nieobecność w polskiej kulturze.

Bo Polska już w średniowieczu odwróciła się plecami do swoich rubieży zachodnich i trwa to poniekąd do dziś. A jeśli się już obróca na Śląsk, to po to, aby z niego coś wycisnąć, na przykład węgla

czy stali. Słowem, dla korzyści materialnej. Jest to historycznie utrwalony model traktowania Śląska przez Niemców, można go nazwać patrzyeniem woźnicy na szkapę. Polska przedwojenna, powojenna odziedziczyła ten sposób traktowania, ta współczesna też się tego trzyma. Zwłaszcza z jesienią zerka troskliwiej w te strony, tyle że przez skrzydła kaloryferów. Kaloryfery przysły do Polski niewątpliwie z Europy. Ale nie tylko one – Górny Śląsk także, bo w istocie, gdy spojrzeć na

jego wielowiekową przeszłość, to przylegać on bardziej do historii Europy, niż do historii Polski. Śląsk był czesizowany, germanizowany i repolonizowany, ale mimo to zachował swoją odrębność, swoją starą kulturę, język i swój styl. Swoją etniczność śląską. Nie wiadomo, czy gdyby Śląskowi było dane stworzyć w przeszłości własne elity, nie mielibyśmy własnej państwowości. Śląsk nigdy nie czuł się dobrze, ani w Czechach, ani w Niemczech, ani w Polsce. Nie z własnej winy nie przysyszał się łatwo i całkowicie.

I chociaż dziś, na otwartym gościńcu wiodącym ku Europie, Górny Śląsk jest wrakiem, tym bardziej nie da się go się ani ominąć, ani przeskoczyć. Ale można się przez niego wywrócić. Kojarzę to z niedawną publiczną wypowiedzią jednego z byłych ministrów z gabinetu Jana Olszowskiego, który obwieścił, że największą zawadą na drodze ku Europie jest Górny Śląsk, i najlepiej byłoby się go pozbyć. To jest zupełnie nowa myśl! O mamy przykład finalnego myślenia kolonialnego. Klondike się wyekspluowało – Klondike się porzuca! Wyśpani, zapewne inteligent i bardzo dobrej, polskiej rodziny, przez swoją szczerą kraciwość sądu, unaocznia nam do dziś trwającą, nikłą – by nie powiedzieć bezduszną – więź współczesnych elit politycznych z Górnym Śląskiem. Za tę wypowiedź powinniśmy mu być wdzięczni.

Wróćmy zatem do historii. Kiedy Kazimierz Wielki goził się w XIV wieku oddać Śląsk Czechom – nie był on już pod jego władaniem. Zainteresowanie Korony Polskiej Śląskiem w tym czasie już wygasło. Kiedy Polskę rozbierno po raz pierwszy, Śląsk był już od 50 lat częścią Prus. Kiedy Polska rozbiorno po raz drugi, na Śląsku pracowały pierwsze kopalnie, a szlachta była już zgermanizowana. Kiedy uczestnicy powstania listopadowego docierali do syberyjskich stanic, na Śląsku rozdził się niemiecki kapitalizm; opodal kopalń powstawały pierwsze hutycynku i pojawiły się pierwsze, prymitywne familoki. Śląsk stawał się wewnętrzną kolonią niemiecką. Rodził się proletariet. Kiedy dogasało powstanie styczniowe, na Śląsku legły się namiastki związków zawodowych. Kiedy w zaborze rosyjskim Polacy zaprzękali sobie głowy sprawom niepodległościowym, Ślązacy organizowali się przeciw wyzyskowi i programowemu germanizacji. Zakładali pierwsze konsumy, kasy zapomogowe i motali pierwsze strajki. Tworzyli swoje amatorskie teatry i chóry śpiewacze. Osańcowywali się w swojej służebnej pierwotności; w rodzinie, starym języku, obyczajach, matriarchacie czy patriachacie i wspólnocie parafialnej. Pamięć o Ojczyźnie przekształcała się w pamięć rodową.

Ślązacy od dawien dawna oddawali się władaniu i trawieniu, bo zamknięcie się w staropolskiej swojskości, stało się sprawdzonym sposobem na przetrwanie złego losu. I w wieloprzemysłowym chociażby zaczęli uczyć się pracowitości, przysysali się do nowych zawodów i nowych technologii. Co najmniej dwa razy tańsi od robotników Westfalii, podążali żmudną drogą europejskich przemian; ku nowoczesnej cywilizacji i rodzącej się demokracji. Partycypowali

w marnych zyskach i uczestniczyli w nie swoich wojnach. Stawali się niemieckim proletem, a w potrzebie niemieckiego państwa – jego mięsem armatnim. Ale samooorganizowali się, dbali o swoją archaiczną kulturę, lepiли swoją tkankę społeczną w każdym miejscu i niestannie. I kiedy katalizem pierwszej wojny światowej definitywnie rozsądził stary układ zaborców, i mogło powstać państwo polskie, Śląsk gotowy był do artykulacji swoich aspiracji, a co za tym idzie i czynu zbrojnego; z własnej woli postanowił dołączyć do Polski. I tak się stało.

Przetrwanie. To najważniejsze pojęcie. Każde trwanie – nawet najdłuższe – zmierza do utracenia wartości. Na Śląsku było ono pragnieniem odzyskania własnej tożsamości. Z czasem stało się spólną drogą ku Polsce. A z rozwojem dziewiętnastowiecznych ruchów narodowościowych w Europie, marzeniem ludu: śląskich chłopów i robotników.

Ale to wielowiekowe trwanie przekształciło się we własność, i stało się kategorią mentalną całej zbiorowości i poszczególnego człowieka. Ślązacy w swoim familijnym spotuleniu nauczyli się trzymać dystans do wszystkiego co obce. To, co z zewnątrz, zjawiało się zawsze by trzymać w ryzach wyzysku i poniżenia. Pojawiało się by rzadzić i wyściskać z ziemi i ludzi najwięcej, po najfajniejszych kosztach. Tych z Polski nazwano „gorolami”. To oni właśnie, przed wojną, i po wojnie ze swoją garbatą misją nawracania Ślązaków na polskość, w istocie przyczyniali się do wtórnego germanizowania Śląska. Polski kompleks odwróconych pleców skarczawo wiele redukt rodzinnej polskości. Dochodziło do tego, że opuszczali Śląsk nie tylko potomkowie powstańców, ale i oni sami.

To trwanie jeszcze w piastowskiej kulturze, w połączeniu ze spoletrawizowaniem w obcym państwie, stanowiło odmienności psycho-fizycznej i psycho-moralnej Ślązaków. Wielowiekowe funkcjonowanie tego niezwyklego sprzężenia zwrotnego sprawiło, że ukształtował się tutaj odmienny typ człowieka, Ślązaka właśnie.

Tak więc, droga Ślązaków ku Polsce jest swoista i całkowicie odmienna – i do dziś niekoherenta – z doświadczeniami historycznymi innych części Polski, Polski polojęzycznej; aż po granice niepojmowalności. To są przesłanki obiektywne i dotyczą także perspektywy odniedmieckiej. W istocie, w XX wieku, odrodzona Polska otrzymała niespodziewany – przez wielu polityków, w tym także Piłsudskiego – niechciany – prezent, skarb, którego nie była w stanie ocenić i docenić. Toteż, kiedy w 1922 roku Górny Śląsk, po sześciu wiekach stał się częścią Drugiej Rzeczypospolitej, ujawniła się rzychoj jej prawie patologiczna ułomność, którą nazywano *poliskim kompleksem odwróconych pleców*. Śląsk dla Polski nie był – i nadal nie jest – czymś, a tylko gdzieś.

Miejscem ojczyste to znaczy być u siebie, i tak wyobrażali sobie Ślązacy Rzeczypospolitą. A być u siebie, to znaczy samorządzić się, kształcić i mieć otwartą drogę do awansów społecznych na równych prawach z innymi. Chcieli demokracji i sprawiedliwości – niczego więcej – i te dwa pryncypia koiarzyli z Polską;

identycznie jak reszta Polaków w odrodzonym kraju. A więc o **dopuszczenie** szło przede wszystkim. Bo Niemcy zdeprecjonowali Ślązaków do niewolników przemysłu i nie dopuszczali ich do drabiny społecznej; ich przeznaczaniem były najcięższe prace, a z czasem najniższe szczeble administracji. Jedyną drogą do awansu społecznego było zgermanizowanie. A więc Polska oznaczała także – a może przede wszystkim – nadzieję na uwolnienie się od politycznych i społecznych praktyk Niemców. W nadziei tej zawarta była różnica pomiędzy przedmiotowym a podmiotowym traktowaniem istoty ludzkiej. Takie pojmanie polskości wypływało z doświadczeń historycznych i empirii codziennego bytowania Ślązaków, i kształtowało się w wielopokoleniowych praktykach zawodowych i środowiskowych; pośród pól, w kopalniach, hutach, w familokach i piwariach; a nie w pałacach, dworach, salonach czy na powstańczych postojach. I tu – jak to się mówi – pies jest pogrzebany, jeśli mówimy o istotnych różnicach pomiędzy Śląskiem a resztą Polski. Ślązacy myśleli o Polsce w kategoriach społecznych a nie niepodległościowych, i to jest cezurą główną, która dzieliła i dzieli do dziś Górny Śląsk od reszty Polski. Dawno utracony kontakt z Macierzą, miłość do niej, była sferą sentymentu, naiwności i iluzji śląskiego plebsu z zaboru pruskiego i niewiele miała wspólnego z kompleksem niepodległościowym polskiego ziemianstwa i inteligencji pod zaborom rosyjskim. Są to dwie różne gleby, i to co mogło by na nich być kulturowane – gdyby do tego doszło – różniło by się znacznie; często jak palma od sosny. Rzecz jeno w tym, że nad dwudziestowieczną Polską niezależnie od ustrojów, które były nam dane, ciążyło doświadczenie historyczne – a co za tym idzie – i mentalność zaboru rosyjskiego. Słaby instynkt do państwowego ładu, sobiepaństwo, relatywizm moralny, pieniactwo czy polskie warcholstwo, wysmażone na sarmackim nihilizmie, a potem utrwalone długą niewolą w feudalnym imperium rosyjskim, z natury samoderżawnym i niehumanistycznym. Cechy wywołujące się z tej kondyty ujawniały się nieustannie i nadal dominują w naszym życiu społecznym i politycznym. Ślązacy zetknęli się z tą materią po raz pierwszy, gdy stali się częścią Rzeczypospolitej, a więc w 1922 roku. W ledwo co odzyskanej niepodległości, właściwości te spetryły się dramatycznie i doprowadziły do przewrotu majowego, zdumienia młoda demokracją, a tym samym zniweczyły oczekiwania Śląska w fundamentalnych sprawach. Uzyskana autonomia w swoich najistotniejszych przesłankach stała się atropą.

Przypomnijmy zatem. Na krótko przed wybuchem III powstania rząd polski uchwalił autonomię dla Górnego Śląska. Był to przejaw woli Ślązaków i efekt politycznej licytacji państwa polskiego z państwem niemieckim o Śląsk. Niemcy po drugim powstaniu, by nie dopuścić do kolejnego, i chcąc utrzymać Śląsk w Rzeczypospolitej, zaofiarowali Ślązakom autonomię; w ten sposób wymusił niejako na stronie polskiej kontropozycję. Projekt polski szedł dalej od niemieckiego i był dziełem Wojciecha Korfiantego, jego

prawników i dyrektora odpowiedniego departamentu w polskim rządzie, który okazał się Ślązakiem cieszyńskim. Przez ten szczęśliwy przypadek mógł powstać rzetelny i kompetentny akt prawny. Był on, poza postanowieniami w dziedzinie gospodarczej i administracyjnej, także zapisem pragnień społecznych Śląska i jego dwunarodowego charakteru. Był prawną konstatacją odmienności Górnośląska w wielu płaszczyznach; jego zbiorowa świadomość i także wyrazem lęku przed powtórzeniem się złego losu, w tym również strachu przed chęcią państwowością polską. Ale głównie chodziło o zagwarantowanie równouprawnienia w życiu społecznym, czyli o dopuszczenie możliwości powstawania własnych elit. Albowiem, wielokrotnie kastrowanie możliwości postawiania własnej inteligencji, zwłaszcza humanistycznej, było najbardziej poniżającym i najdotkliwszym dziedzictwem tej ziemi. Dotąd ci, co nie godzili się z takim stanem rzeczy, skazywali się na banicję. W ten sposób talenty wielu Ślązaków służyły obcym nacjom i pejażom. Do dziś niewiele zmieniło się pod tym względem. Do dziś mówi się przecież, że aby kims zostać i coś chcieć zrobić dla Śląska – trzeba go opuścić. Jest to przekleństwo, którego końca nie widać.

Ale byli tacy, którzy się z tym nie godzili. A wręcz przeciwnie. Do nich należał Wojciech Korfanty. Mógł on znaleźć dzięki rozwojowi demokracji w Rzeczy Niemieckiej. Syn górnik spód Slemianowic wyrósł na pierwszego wielkiego Ślązaka i przysłużył się własnej ziemi najbardziej, a potem i Polsce. Wielokrotnie posel mniejszości polskiej w parlamencie niemieckim, niestrudzony organizator polskości na całym zachodnim obrzeżu, ludowy trybun a potem dyktator powstań śląskich. Doprowadzenie Śląska do Polski było dziełem jego życia; dziełem jednego inteligenta rodzimego chowu.

Toteż konflikt pomiędzy Wojciechem Korfantym a Józefem Piłsudskim, który stał się źródłem osobistej tragedii Korfantego; osadzenia w więzieniu, banicji, ponownego uwięzienia i śmierci, był także końcem nadziei na rozwój potencjału d u c h o w e g o autonomii Śląska. Można dziś przyjąć, że tylko przez pierwsze cztery lata, to jest od przyłączenia Górnośląska do Polski w 1922, do przewrotu majowego w 1926 roku, Ślązacy byli u siebie i mieli pewność, że zostaną dopuszczeni. Niestety, ledwo co, a wszystko wróciło w stare koleiny. Wielki demon polityki zmiotł śląskiego lososa. Na stoleńskim Piłsudski osadził swojego namiestnika, Michała Grażyńskiego. Zaczęły się rugi ze stanowisk zwolenników Korfantego, znów obcy nadciągali by Śląskiem rządzić i co gorzej – repolonizować... Cała historyczna nadzieja Ślązaków, cały przetrwały mowyżół modół dryfowania ku Polsce, bunt społeczny i czynny zbrojny, okazały się złud i marnotą. To był wielki zawód i gorzka lekcja. Koniec mitu. Większe *wschodnie* poknęło mniejsze *zachodnie*. Górny Śląsk ubezwłasnowolniony przewrotnym majowym, wrócił do swojej subkultur, do swojej pierwotności, tyle że polskość była jawna i Ślązacy mogli zachować swoje historyczne organizacje kulturalno-oświatowe.

Ale była Polska – jaka była taka była – i nareszcie najmłodsze pokolenia polskiego żywiołu na Śląsku mogły zasmakować polskiej szkoły. Do gwary, mowy niemieckiej, dołączył literacki język polski. I nauka polskiej historii. To już było coś.

Trzeba jednak powiedzieć jasno i dobitnie – przedwojenna Polska popopniła grzech najgłośniejszy; z motywów politycznych rządzący klan legionistów w latach 1926-1939 zaprzepścił otwarcie się Rzeczypospolitej na polską śląskości i jego europejskość; na ów niezwykły żywioł ludzi prostolinijnych, pracowitych i odpowiedzialnych – jakby rodem z marzeń Cypriana Norwida – których Ksawery Pruszyński nazwał ładnie „kruszcem ze złota”. Wobec Ślązaków zastosowano sposób, jaki niedawno jeszcze praktykowano był w Północnej Ameryce wobec ludności murzyńskiej. Biali nazywali potocznie Murzynów „asfaltami” i w poczuciu swojej wyższości rasowej uważali, że najlepiej jak trzymać „asfalt” na swoim miejscu, czyli nie dopuszczać. Coś takiego stało się przed wojną u nas, co w rzeczywistości oznaczało prolongatę starych niemieckich praktyk w polskim wydaniu. Jasne Oświęcime zaczęła najgorszym blaskiem. Kompleks pleców odwróconych święcił swoje pierwsze żniwa.

Potem przyszła druga wojna światowa i Śląsk znów stał się częścią Rzeczy. Tym razem Trzeciej. Ślązaków podzielono na cztery grupy narodowościowe i piątą odrzuconą, powstańczą, która przeznaczona była na *endlosung*, czyli na przemiał w niedalekim Oświęcimiu. Tylko dwie pierwsze grupy – Niemców napływowych i rodzimych – miały przywilej kształcenia się powyżej szkoły podstawowej. Ale z rozwojem wojny do Wehrmachtu brano wszystkich. Nawet synów powstańców.

Potem Pan Bóg ukarał nas PRL-em i Ślązacy dostali po grzbiechach i za powstania, i za Wehrmacht; ich los, jak zawsze, stał się – za przeproszeniem – losem roboczego wofu. Cudem uratowani przywódcy powstańcy, powracający z Zachodu, na całe lata ładowali w więzieniach za *dawny nacjonalizm*. Na Opolszczyźnie zdarzało się, że powstańców, którym udało się przeżyć dziesięcioletni pobyt w hitlerowskich obozach śmierci zamykano jako Niemców, wysyłano do syberyjskich kopaliń lub osadzano w polskich więzieniach. I tracieli życie. Ci co przeżyli w Wehrmachcie lub w formacjach Andersa, stawali się obywatelami drugiej kategorii; odsunięci poza wszelkie awanse, wiedli los znany im od czasów Fryderyka II. Teraz przerażali go w wersji azjatyckiej. Bo Ślązacy powojenny komunizm odczuwali jako inwazję wschodniego imperium. Po wielokrotnych tlesurze niemieckiej dostali się w leninowski-stalinowski kiertel. Towarzysze, którzy po wojnie władali Górnym Śląskiem, ze Zdzisławem Grudniem na końcu, niewiele różnili się od dawnych ciemiężców. I często ślązakozęczość smakowała im bardziej.

Na osłodę, po wojnie, mieliśmy Jerzego Ziętkę, genialnego administratora, który z końcem wojny pojawił się na Śląsku z armią polską idącą od Wschodu. Przybył aby odrobić grzechy młodości.

Był powstańcem spod Gliwic, potem – gdy Gliwice zostały po stronie niemieckiej – wybrał los uchodźcy. Po przewrocie majowym przeszedł na stronę Grażyńskiego, został burmistrzem Radzionkowskiej i posłem na Sejm z ramienia BBWR. W wojnę, osadzony w radzieckim łagrze na Zakaukaziu, wyszedł z niego by – z nastaniem wojny rosyjsko-niemieckiej – przesiągnąć Ślązaków z Wehrmachtu do polskiego wojska. Dzięki temu wrócił z wojny z dobrymi referencjami i pozwolił mu na administrowanie. Oczywiście pod czułym okiem rządzącej partii. Jerzy Ziętek odrobił kolaborację z Grażyńskim – czyli zdradę Korfantego – kolaborację z komunistami. Był to wielki dobroczynca i niezwykła osobowość. Jakis „ludowy Korfanty” a rebour, któremu udało się wiele dokonać i umrzeć we własnym łóżku.

Z takim ciężarem dziejowych doświadczeń Śląsk dotrwał do czasów „Solidarności”. I balast ten spychał z pleców na dziedzicu kopalni „Wujek”. Przez ofiarę krwi. Ślązacy raz jeszcze uwierzyli w dobroczynne światło Polski. Ale dziś, patrząc na to, co działo się w kraju przez ostatnie siedem lat – oczywiście z perspektywy Górnośląska – można spafrazować zużyty hymn robotników i powiedzieć, że był to już „bój ostatni”. Nie odżyje też stary atawizm miłości do Macierzy. Czas bogoojczyźnianych mitów i robotniczych sielanek skończył się.

Z dniem 13-tym grudnia 1981 roku, w Katowicach, pod kopalnią „Wujek”, wraz ze śmiercią 9-ciu górników, skończyła się polskość klasowa i – rodem z poprzedniego wieku – narodowościowa energia. Ten stuletni „napalm” – wyczerpał się.

Alte zadawione problemy Śląska spływały się i wyolbrzymiały przez prawa rządzące wolnym rynkiem. I ujawniły się nowe. Rzecz nie jest już w tym, ile ze Śląska można jeszcze wycisnąć, a przeciwnie; ile w niego trzeba włożyć, aby nie spowodował eksplozji społecznego buntu, który mógłby doprowadzić do zbankrutowania Polski.

Stoję tu dziś przed Wami, na Waszej ziemi świętej, zaszczepionej, i mam obowiązek, a nawet przyjemność mówienia tego wszystkiego. Nie bez przyczyny zaważam ten wywód w płaszczyźnie personalnej do osoby Wojciecha Korfantego i Jerzego Ziętkę. Są oni dla mnie przykładami na to, że mimo ceny jaką zapłacił – a trzeba wiedzieć, że pilsudczyści zlamali i zniszczyli Korfantego, zaś córka i syn Ziętkę, przez niego, popopnieli samobójstwa – ich dokonania dowodzą, ile Ślązacy mogli być dla swoich i Polsce, gdyby mogli się kształcić, kształcić zwłaszcza u siebie a potem mieć możliwość wpływu na los Śląska. Gdyby w Katowicach uniwersytet powstał w roku 1923 – rzecz jasna nie z woli jakiejś partii – a Wasz w roku 1947, inaczej wyglądałby dziś Śląsk, inaczej wyglądałaby Polska. Dlatego ta magiczna cyfra – mam na myśli rok 1989 – jest taka ważna. Bo dzięki temu co w Polsce się stało, możemy robić wszystko na co nas stać; i Wy, Wasza Uczelnia, jesteście tego przykładem. Narzecz tu będzie rodzic się rodzima elita. Bo Śląsk bez własnych elit jest jak martwe morze! Wszystko bowiem zależy od

wykształconych i utalentowanych ludzi; należy im tylko stworzyć właściwe okoliczności do samorealizacji i dopuścić do tworzenia takich instytucji jakie są im potrzebne w służbie dla swoich.

Śląsk budzi się powoli z dziejowego letargu. Zniszczony, ochwycany i bez działaczy na miarę Wojciecha Korfante go czy Jerzego Ziętki, stali gołcem przed nadchodzącym wiekiem. Jak Sahara czeka na deszcz, tak Śląsk czeka na rodzime elity. Tylko one, z potomkami wygnañców ze wschodnich rubieży, spod Lwowa, którzy tu się zakorzenili, będą zdolne sprostać obowiązkom, potrzebom i szansom jakie niesie z sobą demokracja.

Najważniejszym nakazem rodzących się elit będzie umacnianie tego co rodzime, śląskie; radykalne uaktywnienie społeczne; uczestnictwo we wszystkich ogniwach władzy i niwelowanie polskiego kompleksu odwróconych pleców. Wymagać to będzie ekstraordynarnego traktowania siebie i spraw Śląska. Nadchodzi bowiem czas przyzwalający samoistność ludziom i ich małym ojczyznom, ale i czas uiszczania rachunków za starą sromotę; za dewastację natury i odwieczny *apartheid*. Zadania, które stoją przed Wami, są czymś w rodzaju

kwadratowego jaja, które będziecie musieli toczyć przez całe swoje życie. Bo prawda jest taka – dziś Ślązak musi robić dla siebie i dla swoich, po dwakroć więcej od innych mieszkańców Polski. To jest wielkie wyzwanie i przed nim nie uciekniecie. Powiem więcej – to Wasza szansa na godziwe życie! A przecież o takim życiu Ślązacy marzyli od wieków. Ci, dzięki którym powstał Wasz Uniwersytet, są przykładem właściwego postępowania. Uczcie się od nich. Rodzimym fundament, na którym stoi Wasza Alma Mater – w regionie, w którym wyższe wykształcenie ma zaledwie 7 proc. ludności – jest przykładem postawy, która musi stać się powszechną, codzienną praktyką. Mam nadzieję, że po to tu jesteście. Uczcie się korzystać z dobrodziejstw wolności i demokracji. To najważniejsze!

Przez wieki całe rabowano bogactwa tej ziemi, wyciągano ze Śląska ile się tylko dało; dojono zeń na siłę i papataj, zdewastowano go do imentu, i w znacznym procencie nieodwracalnie. W moich Szopienicach jeszcze za sto, a może i za lat tysiąc, można będzie z jednego kilograma ziemi wytopić gram ołowiu. A ta-

kich miejsc na Śląsku jest multum. W moich stronach dzieci rodzą się z białączką, ludzie mają skórę w kolorowe centki i z trudem dożywają Abrahama. Uwędzone domy, chrobot przy oddychaniu, czarny śnieg, kwaśne deszcze i zjeżdżające słońce. Poploch w genach i nieodwracalne perturbacje w DNA.

Na Opolszczyźnie całociową pamięć, po hitleryzmie, po najęździe zdzielałej „armii wyzwoleniczej”; polskie obozy śmierci, wysiedlenia i przesiedlenia, podwójne obywatelstwa – „und so weiter”, jak mawiają Rosjanie.

Z tym wszystkim powoli już koniec. Myślę, że piekło dogasającego wieku mamy już za sobą. Cały ten paskudny chłani historii topnieją na naszych oczach. Polska, a z nią autonomiczny Śląsk, wchodzi w Europę Ojczyzn. Na tej drodze Ślązacy po raz pierwszy nie powinni dać się wyręczać innym. Używając przymiotnika „autonomiczny” mam na myśli daleko rozwiniętą samorządność, która w niedalekiej przyszłości stanie się właściwością tych regionów Polski, które do niej dorosną. Bo europejski model samorządności wymusza normy międzynarodowe. Śląsk ze swoją odmiennością historyczną, tradycją przedwojennej autonomii, ze swoim dziedzictwem pogranicza, czyli polsko-niemiecko-czeskim kodeksem kulturowym, wchodzi na tę drogę z lepszym kompasem – jest historycznie uprzywilejowany. I ze swoim najważniejszym kapitałem – ze swoim „złotym kruszcem”, jakim są ludzie tej ziemi! Dziś można już powiedzieć, że nareszcie dobry Bóg historii patrzy w naszą stronę. Pamiętajmy jednak; każdy Bóg, nawet ten który rzadzi historią – a może on zwłaszcza – może polubić nawet największych grzeszników, ale nie odpuści niedojdom!

Dawniej Śląsk był nieodzowny dla interesów gospodarczych Niemiec, dziś w Polsce, poharatany, stał się kulą u nogi jej młodożennej gospodarki rynkowej. Eksploatowany przez co najmniej 250 lat, zdewastowany i wycycany do dna, słyszy dziś głos ludzi, którzy chcieliby się go pozbyć. Oto prawdziwy paradoks historii! Przez 75 lat wmawiano Ślązakom skłonność do separatyzmu – a teraz taka wolta! Być może w niedalekiej przyszłości ludzie ci będą rządzić Polską, i zacząć Śląskiem kupczyć. Gdyby co, pozwólcmy im – niech próbują uszczęśliwić nas na siłę. Bo przecież nie będą opychać Śląska Rosji?

Ale gdyby jeszcze po stokroć większa paranoja pojawiła się przed nami, gdyby Śląsk wystawiony został na licytację nawet na perskim rynku, to nic, bo jak długo my sami będziemy chcieli tutaj żyć, i tą ziemią władać – tak długo będzie ona nasza. Damy sobie radę. Bo – jak to się mówi – wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że nie będzie już takiej siły, która mogłaby zepchać nas z europejskiego gościnnia, i odebrać nam świadomość miejsca i czasu.

Ale dziś mieć tylko świadomość – to za mało. Dziś trzeba działać!



Kazimierz Kutz, prof. Stanisław Nicieja i Franciszek Pieczka.

Foto: Marek Sojka.

Stary dom przy łagodnej ulicy

JAROSIAW MARIA LEWICKI



Szarosć ulicy potęguje jeszcze stałe panujący na niej smog. Kiedyś w nieodległych czasach, stanowiących jednak inny wymiar, ulica nazywała się Beatestrasse. Była niezwykle schludna, do połowy zabudowana secesyjnymi kamieniczkami. Na początku ulicy domy te były bardzo okazałe, pięciopiętrowe; dalej – parcele taniały a wraz z nimi kurczyły się kieszenie potencjalnych inwestorów. Budowała się tu typowa niemiecka wschodniość z jej wszelkimi zaletami i wadami.

Ulica jest łagodna w swoim prawie konwencjonalnym rysunku, chociaż zrobionym bez ładu i składu. Ta różnorodność, dla niej typowa, jest jednak inna niż w dzielnicach robotniczych, gdzie uniformalne blockiz mieszczą tak przeciętne ludzkie.

Ulica zdarzeń zwykle pospolitych, codziennych.

Sklep z wódką. Stoję w długiej kolejce, trzeba kupić alkohol na imieniny. Z bocznej ulicy wjechał karawan, oczywiście samochodowy. Był koloru szarego, w środku widać trumnę i kilku lapiduchów. W dziesięć minut później idą dwie kobiety w czerni, jedna młodsza, w trenzu, jest zapłakana, co widać ostro z jasnej twarzy. Obok starsza, szczerpa niewiasta, o suchej kostycznej twarzy jest zupełnie spokojna. Śmierć zamknięta w karawanie jest ich własnością. Lapiduchy zaparkowały samochód nie opodal sklepu z wódką, stoją teraz w kolejce, opowiadając zaszysane rozmowy podczas zabierania zwłok z domu.

Ulica jest szara, ma tylko kilka niewielkich wyinków zieleni. Przez kilkanaście lat, gdy przyzywczajłem się do niej, nie tu się nie zmieniło.

Wysoka, kostyczna, rzuca okiem na karawan, nie się nie zmienia w jej twarzy. Jest dalej kamienna. Młodsza jakby doznała lekkiego skurczu. Jej cierpienie jest widoczne, nie ma jeszcze dystansu do tego zdarzenia. Lapiduchy, podzucane butelki z wódką, wskakują raz do karawanu, który odjeżdża z lekkim piśkiem opon. Kolejka stojąca po alkoholu nawet nie dostrzega tego, wymieniane są tylko uwagi na temat ilości ganianek trunków, jakie znajdują się w sklepie.

Pośród jednej z tych wysp zieleni jest szary dom, którego front, cofnięty jest w stosunku do linii ulicy.

Naprzeciw niewielka kawiarenka z kilkoma stolikami.

Jest druga połowa lat sześćdziesiątych. Otwierają ją około godziny osiem rano. Można tu dostać kawę z włoskiego ekspresu, koniak francuski i rosyjski. Jest przyjemnie. Przychodzą tu zwykli ludzie mający kaca i pieniądze. Koniak jest drogi. O tej porze zjawia się zwykle w niestarym trenzu, unrowski jeszcze prownienicki, plastik ze zmęczoną twarzą i krótszą nogą. Zamawia podwójny koniak i małą kawę z ekspresu. Potem przychodzą inni. Przy stolikach zasiadają już ludzie rozluźnieni, patrzący inaczej na ten przed chwilą walący się na nich świat.

Jeden ze stolików jest wolny, widnieje na nim tabliczka – „Stolik służbowy”.

Barmanka siedzi za barem, kelnerkę nie ma. Trzy kwadrans na dziewiątą, przychodzi elegancka kobieta. Jest ładna, ma wypięlegnowaną twarz dostatniej blondynki. Barmanka bez słowa zabiera stojący stórcem napis „Stolik służbowy”. Kobieta siada, zakłada niebdale nogę na nogę i wyciąga pudełko „Wawelli”. Barmanka podaje jej małą kawę i małego „Meukova”. W kwadrans później zjawia się szatynka o pociągłej, rasowej twarzy i niezwykle zadbanej cerze. Ma chyba niewiele ponad trzydziestkę. Rozmawiają z ożywieniem. Plastik z krótszą nogą i zmęczoną twarzą patrzy z połażaniem, w którym widać jednak zainteresowanie. O dziewiątej przychodzi trzecia, ruda, o nieregularnej twarzy i olbrzymich zielonych oczach. Wszystkie piją kawę i „Meukova”.

Plastik wygarnia następną kolejkę. W drzwiach staje niewielka kobieta z psem rasy basset, jednym z pierwszych w tej dzielnicy, a może i mieście. Jest była przyjaciółką plastyka. Tych dwoje stanowiło niegdyś nierozłączną parę, przychodzącą regularnie na poranną kawę z koniakiem. Potem skończył się, co sprawą naturalną. Przez jakiś czas przyjaciółni się, ale i to umarło w sposób dość dramatyczny. Twarz kobiety z bassetem pozostała piękna, tylko worki pod oczami powiększył czas. Wydawać by się mogło, że przeżywa ostatnie chwile odchodzącej radości. Uśmiechała się czasami do siebie i do psa. Wierzę jeszcze ciągnęło do plastyka z krótszą nogą i zmęczoną twarzą, on jednak warczał na to ogół spokojny pies zmykał pod stół pani, która smutnym uśmiechem starała się pokryć zamieszanie swoje i psa.

Za oknem szybkim krokiem przechodził szewc, kieruje się do kiosku, gdzie kupuje dwie butelki wody brzożowej. Ma gęste, czarne włosy i jeszcze kilka lat do pięćdziesiątki.

Barmanka o wydatnym biusie i twarzy kozy czeka na gości. Basset nerwowo porusza się pod stolikiem. Od parku położonego o kilkaset metrów stąd na południe, dopływa pierwsza fala ożywczego prądu.

Własciciel kamienicy, w której mieści się kawiarnia, wysoki szczerpy Żyd z wydatnym nosem i wielką grdyką wchodził zwykle głośno, podchodząc szybko do baru. Czeka na niego już „margorzatka” pejsachówki. Starszy Nathan Herzog przed wojną zapłacił za ten dom ponad milion złotych. Mieszkał z sublokatorami. Często przychodziły do niego listy z gwiazdą Dawida, od brata. On sam nie chce jednak stać wyjeżdżać, a ten dom traktował już tylko sentymentalnie, czego nie mogli wybaczyć mu jego przyjaciele.

Dla Nathana Herzoga ten kielisek pejsachówki i poranny spacer do cichego parku były spełnieniem. Sublokator nie chciał go wyrzucić z mieszkania, czuł się szczęśliwy.

Kwadrans po dziewiątej do kafejki wchodził średniego wzrostu mężczyzna, koło pięćdziesiątki, starannie ubrany. Bez słowa kieruje się do byłego służbowego stolika, podaje blondynę karto-

nik przypominający wizytówkę. Ta łamie go wpół i jedną część oddziera. Energicznie wstaje, patrząc wokół rozmazanym wzrokiem. Wychodzą, krząc w bramie ukrytej za olbrzymim krzakiem bzu.

Nathan siedzi naprzeciw baru i pije drobnymi łyżkami swój alkohol. Tu właśnie spotykał Nathana w jego cichym zaułku samotności, do której dążył; zresztą nie wiem, może tylko tak przypuszczać. Patrząc tutaj na zadbane kobiety, płacze może potem w swoim słonecznym pokoju. Człowiek, który musi być godnie swój długolętny strach, musi być człowiekiem. Łagodność i dystans tego mężczyzny wprowadzają do rozedrganą atmosferę kawiarni tak konieczny spokój.

Po trzech kwadransach wraca do budynku. Pojawia się nagle. Jest tak samo schludna jak przedtem, może ma tylko trochę zaróżowioną twarz.

To, co działo się w domu za krzakami bzu, fascynowało wszystkich bywalców tej niewielkiej kawiarni. Następujące po sobie dni były remakami poprzednich, zmieniali się tylko mężczyźni, podchodzący do stolika, przy którym siedziały kobiety.

Gdzieś na początku lata zabrakło Nathana. Nie przyszedł na swój kielisek pejsachówki. Zmarł w nocy, siedząc przy swoim olbrzymim biurku. Herzoga, pochylonego nad kartką zapisaną w jidysz, znalazł sublokator. Pogrzeb odbył się na starym zapuszczonej cmentarzu żydowskim, położonym nie opodal miejskiej rzeźni. Odeście Nathana najbardziej przybiło barmankę z niewielkiej kawiarni. Specjalnie dla Nathana zamówiła większą ilość pejsachówki.

Rabin Rotner wraz z przyjaciółmi przyszedł do mieszkanka Nathana zrobić porządek w jego papierach. Nikt nie przypuszczał, że zmarły zostawił po sobie tak skrupulatną dokumentację.

Kilkadziesiąt brulionów zapisanych w jidysz. Rabin Rotner był zły. Zastanawiał się dlaczego Nathan nie pisał po hebrajsku, przecież był wykształconym Żydem i powinien zostawić wszystkie zapiski w tym właśnie języku. Pobieżnie kartkując bruliony, znalazł w nich tyle intymności, iż doszedł do wniosku, że nie można tego nikomu dać do rąk. Bez mała na każdej stronie pojawiała się imię Miriam, kobiety o której nie nie wiedział. Nathan nigdy podczas wspólnych rozmów nie wspominał o niej. Oprócz brulionów były jeszcze kartonowe tektury, a w jednej z nich – kilkadziesiąt okład kobiecych, zrobionych z dużym znawstwem i niewątpliwie znamiennych. W szufladzie biurka znajdował się archiwoy woreczek, a w nim cenne monety. Złoty „pelikan” leżał obok kartki papieru zapisanej również w jidysz. Rotner zaczął czytać. Był to testament Nathana: „Ja, Nathan, syn... urodzony w Włokofolamsku, mieście guberni etc”. Dalej znajdowały się dyspozycje dla rabina Rotnera, jako wykonawcy testamentu: Haima, zbliżam się do śmierci, chyba będzie krótką, gwałtowną, takiej chciałem, jestem samotny, nie będę miał więc radości z odchodzenia

w gronie rodziny. Tego, co zostało z mojego majątku jest niewiele, zdobyłem go ciężką pracą, zresztą znalazł mnie (zważ, iż piszę to w czasie przeszłym). W szafadzie biurka jest woreczek, a w nim – dokładnie dwadzieścia pięć złotych monet dwudziestodolarowych. W gdańskiej szafie bibliotecznej jest gruba półka, wyjmij ją, otwórz ostrym nożem, są tam dwa butony, niewielka kolia i pierścionek, są też drobne brylanty, kupilem je jeszcze przed wojną, w Antwerpii. Na dolnej półce jest teczka z rysunkami, są też bruliony zapisane w jidysz, za co cię przepraszam. Bruliony węz i nie oddawaj nikomu, jak będziesz umierał, przekazaj je swojemu synowi, on może je już opublikować, najlepiej poza krajem.

Tu, w tym miejscu chyba cię zaskoczę. Ołóż, bizuterię i złoto, oraz teczkę ze szkicami zaniesiesz w tydzień po moim pogrzebie do niewielkiej kawiarenki, która jest tu na dole w moim domu. Musisz tam być punktualnie o dziewiątej rano, przy stoliku obok baru, będzie siedziała kobieta, której akty zobaczysz w teście. Są to prace dość wierne, więc identyfikacja nie sprawi ci większego kłopotu. Kończąc już, czujesz się coraz gorzej, wierz mi, że cięsie się, iż umieram na serce. Twój Nathan.

Haim Rotner, prawowitny rabin, przyjaciel Nathana wiedział, że musi wykonać testament swojego przyjaciela.

Rozpoczął swój czas trudny. Gdzieś z oddali dochodziły odgłosy arabsko-żydowskiej wojny. Haim bał się, że długo już nie zostaną w kraju. Sin jego chciał natychmiast jechać, walczyć. Trudno było hamować młodzieńcze uniesienia.

W tydzień jednak po pogrzebie Nathana poszedł do niewielkiej kawiarni mieszczącej się w jego domu. Za barem siedziała czytająca gazetę barmanka z dużym biustem i twarzą kozy. Zamówił „malgorzatkę” pejsachówki, barmanka popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem. Przyniosła butelkę z zapieczką, nalała Haimowi.

Była dziewcząta. Do kawiarni weszła blondynka, niezwykle zadbana i doskonale ubrana, barmanka bez słowa wyszła z baru i zdjęła ze stolika kartkę z napisem „służbowo”, podała blondynce małego Meukova i małą kawę z ekspresu. Haim Rotner siadł w przeciwnym końcu sali, obserwował z zainteresowaniem blondynkę, ta jednak nie zwracała na niego uwagi. Pijąc drobnymi łyżkami kawę i koniak. Było już kwadrans po dziewiątej. Kobiety, której akty spożywały w teście, jeszcze nie było. Lekko uchylone drzwi rozsunął nosem łagodnie patrząc na świat basset, za nim pojawiła się sylwetka szczupłej kobiety ze zmęczoną twarzą, dużymi oczami i takimiż wro-



Ryt. Wojtek Łukasz

kami pod nimi. Wzięła małą kawę i podwójny rosyjski koniak. Basset wpadł pod stolik i tylko swój duży łeb wystawił obok nóg swojej pani. Haim Rotner czekał. Trzy kwadrans na dziesiątą weszła, otwierając energicznie drzwi kobieta, którą poznał natychmiast. Nie regularna twarz, ostro rude włosy, zgrabna sylwetka, jakiś przejmujący blysk oczu. Haim wyjął z futerału złotego Parkera i na wizytówce Nathana napisał krótko do rudej. Podszedł do baru i podał barmance kopertę prosząc, aby przekazała rudej. W nagłówku były trzy słowa od Nathana Herzoga. Basset zaszczekał, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. Plastik z krótszą nogą podszedł energicznie do baru, basset zaszczekał, bo krótsza noga plastyka zareagowała inaczej niż chciał plastik. Zarzuciło go lekko. Barmanka bez słowa podała rudej kopertę.

Haim z zainteresowaniem obserwował jej reakcję, to było coś, co nazwał by szokiem, odwróciła się gwałtownie i zobaczyła wpatrzona w siebie oczy Haima Rotnera. Wiedziała, że ten list związany jest z jej osobą. Na jej twarzy widać było przerażenie. Rotner zorientował się, że zdradził najbardziej skrytą tajemnicę tej kobiety. Był przeciw spojza klucza. I ta koperta, może to jest związane z jej osobą. Trzymała kopertę w dłoniach i patrzyła na Haima. Po chwili uśmiechnęła się i wstała od stolika. Przechodząc koło niego skinęła głową w prawie niedostrzegalny sposób. Po chwili wyszedł za nią. Spotkali się na rogu obok baru mlecznego.

– Jestem przyjacielem, przepaszam, byłem, Nathana Herzoga. Wykonuję jego ostatnią wolę. Mam pani przekazać kilka rzeczy, które od jego śmierci są pani własnością.

– Rozumiem – odpowiedziała – pan zna całą sprawę?

– Oczywiście, nie.

– To jak pan mnie rozpoznał?

Haim Rotner stał zmieszany.

– Tak, widziałem pani akty rysowane przez Nathana, to zresztą też mam przekazać pani, oprócz tego jeszcze kilka drobiazgów.

– Pan wie kim ja jestem? – zapytała ostro.

– Nie, ale czy ma pani na imię Miriam?

– Ja jestem prostytutką z wyboru i bez – jakby to określić finansowego przymusu. Na imię mam Małgorzata. To co robię, robię za pieniądze i nie mnie tak nie podnieca, jak sam moment płacenia, nie, wie pan – patrzyła mu w oczy.

Stali na rogu przed barem, Haim Rotner nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Przejdźmy się do parku – zaproponował – tu w teście mam te drobiazgi, które tam pani przekazać. Szła obok niego, milcząca. Park chwiał się w pierwszych porwach letniej burzy.

Musimy pojsć do mnie – zaproponował – żona moja Miriam nie będzie miała na przykład tego, nie zna w ogóle sprawy.

Skręcili w jedną z przecznic. Obok przechodził chudy, wysoki facet z dalmatyńczykiem. Rotner mieszkał w dostatnym domu na pierwszym piętrze. W gabinecie siedli naprzeciw siebie w głębokich klubowych fotelach. Haim otworzył elegancką, skórzaną teczkę i wyciągnął z niej tekturkę.

– Czy mam otworzyć?

– Tak, proszę – odpowiedziała swobodnie.

Na nie przystającym do ciężkich klubów stoliku chippendale rozsypany są kartony z aktami kobiety siedzącej naprzeciw Rotnera.

– Nathan chyba panią kochał?

– Może – kobieta z rozstargnieniem przeglądała swoje akty.

– Może – powtórzyła jakby z oddali.

Mężczyzna obserwował ją, jej twarz zmieniła się jednak.

– Lubiałam pozować Nathanowi, chociaż nigdy mi nie płacił. Zresztą, to było zupełnie inne uczucie. Gdy wychodziłam od niego, czułam się zaspokojona, nigdy mnie nie dotknął, uwielbiałam się rozbiierać przed nim, moje ciało przechadzało w szkie a później – w rusek, to było coś, za co oddałabym wszystko, klimat jego słonecznego pokoju... Nigdy potem nie przeżywałam podobnego uczucia. Teraz ja zmieniam modele, tylko inaczej je kreuję.

Rotner wyjął z teckii archowy woreczek i pudełko z kolia, pierścionkiem i butonami. Wysypał to wszystko na ten niewielki chippendale.

Małgorzata popatrzyła na to bez większego zainteresowania.

– Tego nie chcę, tylko te rysunki. Teraz to mnie nie interesuje. Gdybym dostała to od człowieka, którego twarz widziałam w ekstazie orgazmu to może, ale tak to nie. Niech pan przekaze to na jakiś żożny cel.



Fikcja i prawda literatury

HENRYK MARKIEWICZ

Wykład na uroczystości
otrzymania tytułu doktora honoris causa
Uniwersytetu Gdańskiego 17 X 1996.

Fikcja, prawda, literatura – o każdym z tych pojęć napisano całą bibliotekę, spory ich dotyczące nadal się toczą i nie widać im końca. W jednym wykładzie nie można nawet w największym skrócie ich przedstawić. Przypomnijmy więc jako punkt wyjścia najprostsze i najbardziej rozpowszechnione rozumienie owych pojęć.

Prawda – zgodnie z definicją arystotelesowską – to odpowiedniość czy zgodność między wypowiedzianym sądem a fragmentem rzeczywistości obiektywnej, do którego sąd ten się odnosi. /Nie bierzemy więc pod uwagę ani koherencyjnej koncepcji prawdy /gdzie kryterium jest wewnętrzna spójność wypowiedzianych sądów/, ani koncepcji pragmatycznej – gdzie kryterium jest ich użyteczność/, ani też tym bardziej koncepcji prawdy jako szczerości, tj. zgodności sądów z wewnętrznymi przekonaniemmi wypowiadającego je podmiotu/.

Większy kłopot z literaturą. Sam wyraz ma dane pochodzenie łacińskie. Oznaczał początkowo tylko umiejętność czytania i pisania, potem to, co nazwalibyśmy dzisiaj wykształceniem literackim, potem jeszcze – teksty pisarzy pogańskich w odróżnieniu od chrześcijańskiej *scriptura*, w drugiej połowie XVIII wieku – najpierw wiedzę o poezji i prozie artystycznej, potem samą już poezję i prozę artystyczną. Trzeba pamiętać, że artystycznego opracowania wymagano wówczas także od przemówień, kazań, rozważań moralnych, dzieł historycznych, słowem – od całego piśmiennictwa treści humanistycznej. Czasem jednak literaturę utożsamiano z piśmiennictwem w całym jego zakresie – i w związku z tym pojawiło się uściślające określenie „literatura piękna”, dziś jeszcze czasem używane.

Granice tak rozumianej literatury były nieostre i zmienne – to rozszerzały się, to zwężały. Zawsze jednak obszar centralny, bezspornie literacki stanowiły te utwory, w których występowała fikcja. Nazywano je najczęściej poezją. Pewne kłopoty klasyfikacyjne sprawiała tu liryka, a z czasem powieść. Liryka dlatego właśnie, że jej fikcjonalność była sporna (o tym za chwilę), powieść, bo pisana była prozą, a za drugi obok fikcji wyznacznik poezji przyjmowano powszechnie jej wierszowe ukształtowanie.

Samą pojęcie i termin „fikcja” wywodzi się z antycznej retoryki, gdzie oznaczało użycie w przemówieniu jakie-



Henryk Markiewicz.

goś przykładu lub założenia nierzeczywistego. Rozróżniano przy tym fikcję prawdopodobną (*argumentum*) i nieprawdopodobną (*fabula*). Czasem, choć rzadziej, o fikcji mówiono także w związku z poezją: „*ficta voluptatis causa sint proxima veris*”, „to, co wymyślone dla przyjemności niech będzie

najbliższe prawdy” – zalecał Horacy w *Sztuce poetyckiej*. Polskim odpowiednikiem fikcji stało się po wiekach „wymyślenie” albo „zmyślenie”. „Wymyślenie więc imaginacji czyli (jak pospolicie nazywamy) fikcja duszą jest poezji” – pisał w podręczniku *O wymowie i poezji* (1786) Filip Nereusz Golański.¹

Foto: Zbigniew Łagodziński

Tu jednak należy zaznaczyć, że w refleksji o poezji obecny był od wieków nurt całkowicie przeciwny: rozpatrywano mianowicie niektóre jej wytwory jako odsłonięcie wyższych, nadprzyrodzonych prawd. Już Platon mówił, że natchnieni poeci są „tłumaczami bogów w zachwyceniu” (*Ion*, 534 C). Koncepcja ta rozpowszechniła się szczególnie w dobie romantyzmu.

„Prawdziwy poeta jest zawsze, jak od wieków, Wizjonerem, oko jego obdarzone jest mocą postrzegania boskiej Tajemnicy Boskiego Świata i odczytania nowych linii jego niebiańskiego pisma; możemy nazwać go *Vates* (wieszcz) albo *Wizjonerem*” – pisał Thomas Carlyle w esej *Śmierć Goethego*.

Jeszcze dobitniej brzmi projekt przedmowy Słowackiego do raposu *II Króla-Ducha*:

„Znajdziesz w nim tajemnicę początku i końca – Alfę i Omegę świata, a zatem i ojczyzny. (...) Wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało dotąd poecie pod trwogą Boga zostające mu”.

Otóż takie pojęcie poezji przekreślało fikcję; co najwyżej wyjaśniano, że poeci zmuszeni są posługiwać się pewnymi konstrukcjami zastępczymi, aby w języku ludzkim przekazać prawdę o tym co nadprzyrodzone. Ale te konstrukcje nie są fikcją, lecz symboliczną rewelacją, odsłonięciem tajemnic bytu.

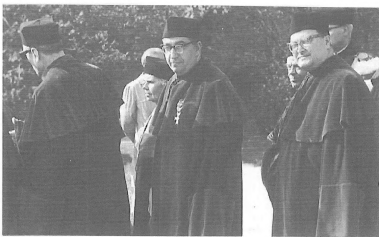
Tym jednak nurtem nie będziemy się tu zajmować. Zajmuj nas – powtórzmy – takie pojmowanie literatury, które wiąże ją z fikcją.

W starożytności rozprawiając w tym duchu o poezji najczęściej używano po prostu słowa „kłamstwo”. „Wiele zmyślają pieśniarze” – mówił Solon i wyrażenie to stało się przysłowiowe. Poeci kłamią, czasem mimo woli – tłumaczył Plutarch – czasem jednak świadomie, by zwiększyć przyjemność słuchaczy, bo „fałsz mający pewne cechy prawdomodobieństwa” – fantazja, baśń, mit ma więcej uroku niż prawda i jeśli chodzi o oddziaływanie estetyczne, „ważniejszy jest niż piękno wiersza i styl”.

Tak też tłumaczył sobie należy sławne zdanie sofisty Gorgiasza, że tragediopisarz, wywołując złudę, a więc oszukując – jest sprawiedliwszy od tego, kto nie oszukuje, a ten, kto daje się oszukać, jest mądrzejszy od tego, kto się oszukać nie daje.”

Ale czy poeci wymyślając rzeczywistość kłamią? Zastanawiali się nad tym zwłaszcza teoretycy epoki oświecenia. Boccaccio dowodził, że „fikcje” poetów nie mają nic wspólnego z żadną postacią kłamstwa, gdyż nie jest zamierzaniem poetów kogośkolwiek wprowadzić w błąd swymi wymysłami.” Podobnie sądził Philip Sidney w *Obronie poezji*: poeta nigdy nie kłamie, więcej nawet – kłamać nie może, ponieważ niczego nie stwierdza.

Ta linia rozumowania znalazła wielu kontynuatorów w naszym stuleciu. Np. I. A. Richards twierdził, że w poezji wystę-



Henryk Markiewicz w gronie profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

pują tylko *pseudo-statements*, pseudo-twierdzenia; nieco później Roman Ingarden rozwinął koncepcję tzw. quasi-sądów. Są to zdania wypowiedziane bez asercji, bez przysiędzenia ich prawdziwości ze strony podmiotu mówiącego i jako takie rozpoznawane przez odbiorcę. One to konstytuują fikcję – świat przedstawiony dzieła literackiego. (Tu nawias terminologiczny: pozytywne jest używanie dwóch różnych przymiotników: fikcjonalny i fikcyjny. Fikcjonalne są zdania, czy też dłuższe odcinki tekstu, fikcyjne są postaci, sytuacje, zdarzenia, które się z owych twórców językowych wylaniają).

Dla zaistnienia fikcji konieczna jest więc obecność takiej właśnie intencji autora, i to dającej się rozpoznać przez czytelnika. W innej szacie terminologicznej koncepcja ta powróciła niedawno na terenie tzw. teorii aktów mowy (John Searle, Richard Ohmann). Głosi ona, że autor dzieła literackiego tylko udaje, pozoruje wypowiadanie zdań twierdzących – i daje to do zrozumienia czytelnikowi, a zarazem apeluje do niego, by zajął wobec tej wypowiedzi postawę określaną trudnym do przetłumaczenia wyrażeniem *make believe* – udawać, że się w coś wierzy, ale udawać przed samym sobą.

Skąd jednak czytelnik wnioskuje, że ma do czynienia z owymi *quasi-sądami* czy też pozorowanymi tylko aktami mowy, a za ich pośrednictwem z fikcją literacką? Teoretycy poświęcili temu problemowi wiele uwagi, przyznają jednak, że odpowiedź nasręca sporo trudności. Sygnałem fikcyjności może być określenie gatunkowe, np. „powieść” czy „dramat”, pewne formuły stylistyczne (np. jeśli opowiadanie zaczyna się od słów: „za gołumi, za lasami, żył sobie...” już dziecko oczekuje, że usłyszy bajkę), czy wreszcie pewne sposoby konstruowania świata przedstawionego; tak więc tylko na terenie fikcji narrator może mieć bezpośredni dostęp do tego, co się dzieje we wnętrzu psychiki innego człowieka, jako fikcję traktujemy wydarzenia wyraźnie sprzeczne z naszą wiedzą empiryczną, albo dziejące się w przyszłości

(ze względu na czas napisania utworu). Żeby z tych okoliczności zdawać sobie sprawę, trzeba oczywiście pewnej kompetencji ze strony odbiorców. Czytelnik naiwny może tu zostać oszukany: zamałpiano podobno msze za duszę pana Podbięty i pisano donosy na Matysiąków. Ale myślą się niekiedy także czytelnicy wyrobieni: w wieku XVIII wielu z nich uważało *Dziennik zarazy* Daniela Defoe’a a nawet *Robinsona* za utwory autentyczne. Przed trzydziestą laty niektórzy recenzenci nabrali się na *Stenogramy* Anny Jambor, których autorem był w rzeczywistości Kazimierz Bieroński. W sytuacjach, gdy utwór swą fikcyjnością tak skutecznie maskuje, fikcja graniczy z mistyfikacją.

Osobne problemy stwarza literatura współczesna, gdzie zjawiskiem czystym stała się inwazja fikcji do gatunków, w których do niedawna obowiązywał pakt faktograficzny, tzn. czytelnik zakładał, że autor zobowiązuje się w nich do pisania tego, co uznaje za prawdę. Tymczasem w *Dzienniku* Gombrowicza, *Kalendarzu* i *klepsydry* Konwickiego, czy *Przyczynku do biografii* Kotta mamy do czynienia z świadomym wykraczaniem poza prawdę faktów. Oczywiście, czynił tak już Goethe w swym pamiętniku, ale też nazywał go wyraźnie – *Dichtung und Wahrheit*...

Inna teoretyczna trudność to występowanie na terenie gatunków uważanych za fikcyjne pewnych zdań ogólnych, które zdają się pretendować do prawdziwości, a także postaci i zdarzeń wziętych bezpośrednio z rzeczywistości – np. w *Ogniu i mieczem* końcowe słowa: „Nienawście wrosła w serec i zatruta krew pobratymca”, czy też charakterystyka Jerzego Ossolińskiego jako meła stanu. Dwojako te zjawiska ujmowano: albo twierdzi się, że w kontekście powieściowym także one ulegają fikcjonalizacji, albo – że teksty, w których się znajdują, traktować należy jako hybrydyczne, niejednorodne: w obrębie fikcji znajdują się jakby enklawy historii.

W komunikacji literackiej przeważa jednak zdecydowanie sytuacja, w której utwór literacki swą fikcyjnością sygn-



Prof. Henryk Markiewicz w karykaturze Andrzeja Stopki.

luzuje, a czytelnik potrafi ją rozpoznać. W jakim stosunku pozostaje ona do prawdy w znaczeniu podstawowym, a więc zgodności z rzeczywistością? (dla uproszczenia przyjmujemy, że autor i czytelnik nie różnią się w jej pojmowaniu). Odpowiedź musi być negatywna – fikcja jest przeciwieństwem, odbiciem od rzeczywistości, a jeśli nawet okaże się, że przez jakiś przypadek się z nią pokrywa (np. gdyby powieściopisarz wymyślił sobie jakiś zdarzenie a potem badania historyczne wykazały, że takie zdarzenie rzeczywiście nastąpiło) to fikcja owa nie jest w tekście literackim asertowana, tj. nie została zakomunikowana jako prawda. Co do tego – wszyscy się zgadzają.

Ale w dalszych rozumowaniach drogi różnych twórców i teoretyków się rozchodzą. „Życie jest chmurne, a sztuka radosna” – głosił Schiller (*Wallenstein. Prolog*). „Precz z mrokiem niskich prawd! Wybieram kłamstwo, co wznosi nas, choć mami – pisze Puszkina (*Bohater*, przeł. J. Tuwim). „Wasz świat prawdziwszy, ale mój piękniejszy!” mówi bo-

hater wiersza Staffa *Modlitwa wesolego pielgrzyma*. „Istotą prawdziwej sztuki jest kłamstwo” – dowodził prowokacyjnie Oskar Wilde – ono tylko potrafi „czarować, zachwycać, sprawić rozkosz”.

Teoretycy uściślają, że fikcja dla różnych innych celów niż prawda jest kreowana – aby kompensować obrazami lepszego czy weselszego niż rzeczywistość świata poczuć krzywdy, bezsilności, przygnębienia; aby być rozrywką dla wyobraźni i inteligencji (np. w powieści detektywistycznej); aby dawać zastępcze zaspokojenie różnym potrzebom emocjonalnym i podświadomym popędom; aby wreszcie swoimi jakościami formalnymi – językowymi i kompozycyjnymi przynosić zadowolenie estetyczne.

Ale przeważa w tradycji inny sposób myślenia o literaturze: twierdzi się mianowicie, iż niezależnie od funkcji wymienionych poprzednio fikcja może być szczególnym, pośrednim sposobem komunikowania tego, co autor uważa za prawdę i co czytelnik także za prawdę uzna lub też jako prawdę odrzuci.

Protoplastą tej koncepcji jest w kulturze europejskiej Arystoteles: dowodził on w *Poetyce*, że poeta przedstawia zdarzenia nie rzeczywiste, lecz tylko do nich podobne, a podobieństwo to wynika z ich możliwości, rozumianej tu jako kategoria nadrzędna wobec konieczności i prawdopodobieństwa. Poezja jest więc sztuką naśladowczą, mimetyczną, a zarazem „bardziej filozoficzną i poważną niż historia, poezja wyraża przeciwieństwo, co ogólne, historia natomiast to, co jednostkowe.” Po wiekach pisał Giambattista Vico:

„Poezi odbiegają od codziennych form prawdy, aby stworzyć doskonalszą postać prawdy. Pomijają to, co w naturze jest chwilowe, by utrzymać to co w niej jest trwałe. Wypowiadają fałsz, by w pewnym sensie być bardziej prawdziwymi.”

Podobnymi torami przebiegały doktryny klasycystyczne poezji i realistyczne powieści do schyłku XIX wieku. Nacisk padał albo za Arystotelesem na to, że poezja przynosi wiedzę ogólną przeciwnie – właśnie wiedzę jednostkową, albo wreszcie, że ma szczególną moc zespolenia ogólności i zindywidualizowania. Kiedy mówiono o ogólności postaci, zwłaszcza w dramacie – posługiwano się nazwą „typ”, kiedy o zindywidualizowaniu, używano określenia „charakter”. Często jednak „typ” oznaczał zespolenie w tej samej postaci cech jednostkowych i ogólnych, tzn. reprezentatywnych dla jakiejś zbiorowości. W tym sensie William K. Williams rozpowszechnił paradoksalne określenie Hegłowskie „konkretny powszechnik”.

Przy takim pojmowaniu literatury fikcję wyrażała przede wszystkim selekcja elementów wziętych z obserwacji, eliminująca wiele z tego co przypadkowe i nieistotne (ale pozostawiająca przy tym pozór pewnej przypadkowości), swobodna kombinacja tych elementów, kondensacja uzyskana dzięki większemu niż w życiu tempu zdarzeń i wyolbrzymieniu cech postaci, dzięki doprowadzeniu ich losów do ostatecznych konsekwencji, przed którymi ludzie w rzeczywistości zazwyczaj się cofają.

Dzięki fikcji więc literacki obraz rzeczywistości odstania w sposób bardziej wyrazisty jej cechy istotne i tendencje rozwojowe niż mogłaby to uczynić relacja faktograficzna i badania naukowe. Dodajmy tutaj, że w wieku XIX znaczne obszary rzeczywistości współczesnej znajdowały się poza zakresem zainteresowań nauki. Socjologia empiryczna dopiero się rozwijała. Reportaż występował głównie w formie tzw. listów z podróży. Dyskretna czy pruderia zamykała dostęp do dzienników i pamiętników wielu zjawiskom obyczajowości czy życia wewnętrznego. Literatura funkcjonalna korzystała pod tym względem ze znacznie większej swobody. W swoich wysiłkach osiągnięciach nie ilustrowała więc potocznych opinii, czy też uprzednich ustaleń naukowych. Kreując swoje światy możliwe, opisywała na nowo i reinterpretowała świat rzeczywisty, uobecniała to, co było zanegowane lub pominięte w oficjalnych opiniach, rozbiła rozpowszechnione stereotypy, eksplorowała dziedzinę przez naukę jeszcze nie zagospodarowaną. Oczywiście rozwój socjologii i psychologii a także różnych form literatury faktu, rozluźnienie normy in-

tymności w pamiętnikach i dziennikach – wszystko to zwęziło obszary „ziemi niczyjej”, pisarzem pozostaje jednak prawo do intuicyjnego domysłu, do artystycznej hipotezy, często odkrywczej i podziwianej przez uczonych. Tak jest i dzisiaj; jeden ze współczesnych teoretyków literatury (Christopher Prendergost) pisze:

„W następstwie lektury wielkiej powieści rzeczy nie są już „tymi samymi co były” (wyrażenie filozofa Gottloba Fregego). Szuka rozwiera złodowaciała, homogeniczną powierzchnię danego nam świata i rzuca nam w dziedzinę tego, co wielokrotnie i różnorodnie, w przyciędo wynalazłości i odkrycia.”

Te wartości poznawcze fikcji mieścić się mogą na różnych piętrach rzeczywistości humanistycznej. Znakomity socjolog Ludwik Krzywicki podziwiał *Lalkę* za to, że dzięki niej będzie wiadomo, jak ludzie żyli życiem powszednim w drugiej połowie XIX wieku. Ingarden uznawał za najwyższą wartość literatury to, że występujące w niej sytuacje odsłaniają nam pewne trudne do zdefiniowania jakości (nazwał je w sposób może niezbyt szczęśliwy „metafizycznymi”) – takie jak wzniosłość, tragizm, groza, ale także wdzik czy groteskowość, w których odnajdujemy to co nazywa się „sensem życia”. Właśnie dlatego, że w literaturze są one ufikcyjnione – możemy je w pełni kontemplerować – „poznac smak wszystkiego, co nam jakościowo ofiarowują, nie będąc przez nie w ścisłym sensie dotknięci, przytoczeni czy wyniesieni”.

Alie nie przeceniamy bezkrytycznie walorów poznawczych fikcji. Często utwory jej tylko ilustrują znane już prawdy, powielają rozpowszechnione schematy, co gorsza – sugerując prawdziwość, w istocie rzeczy są jej pozbawione. Sugerowanie np. mogą, że rzeczywistość jest taką, jaka być powinna, a więc służyć celom propagandowym, jak to się działo w powieści socrealistycznej. Trzeba też pamiętać, że utwory literackie wywoływać mogą u różnych czytelników refleksje uogólniające różnej treści i zasięgu, że posiadają niemal nieograniczoną rozprężliwość znaczeniową, co bywa traktowane jako zaleta, ale może być też i wadą literatury... Przede wszystkim zaś – dzieło literackie w zasadzie tylko ukazuje nam pewien obraz rzeczywistości, nie dokumentuje go jednak, nie udowadnia występujących w nim prawidłowości – i dlatego jego wartość poznawcza jest zawsze wątpliwa.

Mowa była dotychczas o fikcji literackiej respektującej reguły prawdopodobieństwa życiowego, mówiąc ostrożnie – tych przeświadczeń o prawdopodobieństwie życiowym, jakie w danej epoce są uznawane. Fikcja jednak wielokrotnie owe granice przekracza – poprzez skrajne wyolbrzymienie, sytuacje nieprawdopodobne, a nawet fantastyczne. Zabiegi te jednak specyficznej prawdziwości utworowi

nie odbierają, więcej, czasem umożliwiają jej wystąpienie. Nie były prawdopodobnie nie tylko z naszego, ale i z autorskiego punktu widzenia sytuacje, z których rozwija się akcja *Makbeta*, czy *Króla Leara*, powieści *Jaszczyr* Balzaka czy *Wesela* Wyspiańskiego – a jednak ta nieprawdopodobna konstrukcja fabularna pozwalała na szczególną dobitnością ujawnić się pewnym prawdom o zawiłościach ludzkiej psychiki. Słowacki także pisał do matki o swojej *Balladynie*: „Tragedia cała (...) przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak staralem się aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca.”

To samo można powtórzyć o *Mistrzu i Malgorzacie* Bulhakowa, o *Nosorożcu* Jonesco, o *Stu latach samotności* Marquessa i wielu innych znakomitych utworach literatury współczesnej.

Fikcja fantastyczna może też być antycypacją przyszłości – jako jej zapowiedź aprobatywną czy ostrzegającą lub po prostu przewidującą, a więc jako utopia, antyutopia, *science fiction*. Utopie się nie sprawdzają, ale jak dalece inne prognozy bywają trafne – przykładem powieści Verne’a czy *Zamiatina* zub Huxleya.

Alie fikcja fantastyczna jeszcze w inny sposób może być przekazem prawdy: oto postacie, sytuacje, zdarzenia w utworze przedstawione mają być przez czytelnika traktowane jako obrazy zastępcze, pośrednio tylko uobecniające, inne, prawdziwe stany rzeczy. Taki użycie fikcji sięga czasów bardzo odległych. Wystarczy przypomnieć bajki Ezopa. Wbudowane w nie morali wprost pouczają, że bajka opowiada np. nie tylko o przypadkach kruków i lisa, lecz o ludzkiej próżności i wykorzystującym ją podstęp. Później pod wpływem mitów religijnych i *Biblii* uprawiana była często alegoryczna interpretacja tekstów literackich. Dante pisał w *Uczcie*, że poezja winna być rozpatrywana w czterech różnych sensach: dosłownym, alegorycznym, moralnym i anagogicznym (odnoszącym się do rzeczy ostatecznych). Tak więc *Boska komedia* w sensie dosłownym przedstawiała losy różnych dusz ludzkich

po śmierci, alegorycznym – postępowanie człowieka zasługującego sobie na pozagrobową nagrodę lub karę, moralnym – drogę do odkupienia społeczności ludzkiej, anagogicznym – dążenia duszy ludzkiej do zjednoczenia z Bogiem. Te trzy sensory nadbudowane nad dosłownym nazywano też alegorycznymi, w szerszym znaczeniu tego słowa.

W wieku XIX od alegorii odróżniono symbol. Mijał on być spontanicznym i oryginalnym tworem poety, w przeciwieństwie do alegorii posługującej się znakami zakorzenionymi w tradycji i jako takie powszechnie zrozumiałymi. Gdy alegoria była jednoznaczna, symbol był nieokreślony, dopuszczał różne interpretacje, jakby wachlarz zbliżonych i zachodzących na siebie znaczeń lub układ koncentryczny znaczeń węższych i szerszych, które odbiorca powinien sobie uobecniać – nie dokonując między nimi wyboru. Bywa przy tym i tak, że owe znaczenia są rozbieżne a nawet przeciwstawne. Sąd, przed którym staje bohater *Procesu* Kafki, bywa interpretowany jako wartość dodatnia lub ujemna, w szczególności – jako sąd bohatera nad samym sobą, jako rzeczywistość polityczno-społeczna, jako nadprzyrodzona instancja, przed którą człowiek jest odpowiedzialny itd.

W wielu wypowiedziach, zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku utrzymywano, że symbol ukazuje czy sugeruje te sfery rzeczywistości, które niedostępne są zarówno poznaniu potoczному, jak i naukowemu, a więc z jednej strony – pokłady nieświadomości w psychice jednostkowej („mare tenebrarum” Maeterlincka, „naga dusza” Przybyszewskiego), z drugiej – dziedzinę transcendencji, bytów idealnych czy nadprzyrodzonych – „bezkresnych widoków ukrytych, nieskończonej, wiekistej, niezmienniej i niepojętej istoty rzeczy”, jak pisał Zenon Przesmycki (Miriam).¹⁵ Niekiedy tworzenie takich symbolów traktowano w sposób zbliżony do wzniakowanej na wstępie romantycznej koncepcji poezji wieszczej – wtedy symbol przestawał być konstrukcją artystyczną, a więc fikcją, stawał się autentyczną rewelacją.



W katowickiej WSP: Stanisław Zabierowski, Henryk Markiewicz, Tadeusz Bajnik.

Natomiast w programie Stanisława Ignacego Witkiewicza najcenniejsza funkcja poznawcza, właściwa tylko dziełom sztuki, przypisana została utworom, w których występuje fikcja najbardziej radykalna, najbardziej samowolnie i fantastycznie przekształcająca i kombinująca składniki wzięte z rzeczywistości. Ona bowiem dopiero pozwala na pełne ujawnienie się walorów konstrukcyjnych dzieła, jego „jedności w wielości”. Ale ta jedność w wielości – formuła bardzo zresztą stara – nie jest dla Witkiewicza tylko źródłem zadowolenia estetycznego. Sądził on, że poleganie ona i w twórcy i w odbiorcy zarówno poczucie własnej jedności osobowościowej, jak i bezpośrednie przeżywanie jedności z całością Bytu. Można więc powiedzieć, że witkiewiczowska Czysta Forma, jako rezultat radykalnych zabiegów funkcjonalizujących ma również swoistą, hierarchicznie zresztą najwyższą funkcję poznawczą.

Mowa była dotąd przeważnie o utworach ukazujących wymyślony świat wymyślonych postaci, sytuacji i zdarzeń... (Przypominamy przy okazji, że w języku angielskim „fiction” oznacza przede wszystkim prozę fabularną. A co z poezją liryczną, w której podmiot mówiący wypowiada swoje uczucia, pragnienia, refleksje? Dawniejsi teoretycy przyjmowali jako oczywiste, że tym podmiotem mówiącym jest autor wiersza, poza przypadkami, kiedy tytuł, treść czy forma utworu wskazuje, że autor utworzył wyraźnie odrębną od siebie postać jak np. Mickiewiczowski *Farys* albo obó żołnierzy, co się żali: „Ja w tej izbie spać nie mogę...”; nazywano to „liryczną rolą”. Ale w pozostałych wypadkach treści wiersza przypisać należy autorowi: to Mickiewicz – sądzono – mówi: „Nigdy więc, nigdy z tobą rostać się nie mogę...” albo „Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie/Ala razem gościsz w domku mego ducha”. Przyprowadzając, że zdarzają się tzw. „fikcje liryczne”, jak np. – pisał Maciej Kazimierz Barbski – gdy Horacy, „celem wyrażenia szczerzej prawdy (że słowa jego nie jest niemiernie) posługuje się nową jakby fabułą i fikcją, że przemienił się w lądzia i że lata ponad wszystkimi ziemiemi”. Czyli: fikcją jest owa lądzia metamorfoza i lądzia lot, ale tym obrazowym, pośrednim sposobem poeta komunikuje zdania, które czytelnik ma traktować jako autorskie przesłanie. Historycy literatury traktowali nawet niekiedy utwory liryczne jako dokumenty psychologiczne i biograficzne i na ich podstawie próbowali odtworzyć na przykład hierarchię rozpaczy Kochanowskiego po śmierci Orszulki, czy miłości Mickiewicza do Marii. Z czasem dostrzeżono, że poetom lirycznym zaność dozwierać nie należy, że w swych wierszach czasem przynajmniej figułą oni i fakty i uczucia. Czeski romantyk Karel Hynek Macha zupełnie inaczej pisał o swojej ukochanej w wierszach do niej skierowanych, inaczej w swoim dzienniku. Słowacki pisał: „Gódności nie

mam – przed męką uciekle” i coś wręcz przeciwnego: „A póki okręt walczył – nie dzielam na maszcie, a gdy tonął – z okrętem poszedłem pod wodę...”

Wypowiedzi w kwestiach generalnych, religijnych czy politycznych, rozpatrywano jednak nadal jako wyraz przekonań autora. „Przestałem się wadzić z Bogiem, /Serdecznie to były zwady” lub „Sa w ojczyźnie rachunki krzywd, /Obca dłoń ich też nie przekreśli” traktowane jako poetyckie formuły rzeczywistych postaw Kasprowicza czy Broniewskiego. Później, dopóki teoretycy wystąpili z poglądem, że w wierszu lirycznym podmiot mówiący to zawsze konstrukt fikcyjny, różny od osoby autora. I oto dziś w szkołach i nauczyciel i uczeń boją się powiedzieć, że to Kochanowski, a nie podmiot liryczny wyraża w *Trenach* rozpacz po śmierci córki.

Wydaje się to historycznym uproszczeniem. Dyktam się trzemaśmiu uczuciowymi doznawaniemi przez poetę a trzemaśmiu uczuciowymi utrwalonymi w jego wierszu był w różnych okresach, w różnych autorów i w różnych tekstach zmieniany. Zmieniały się też warunki niepisanego aktu między autorem a czytelnikiem, określającego, jak należy traktować podmiot utworu literackiego i wypowiadane przez niego zdania.

Bez względu jednak na to, ile w nich jest fikcji, utwory liryczne mogą być nośnikami pewnych prawd o sytuacjach uczuciowych człowieka, co więcej – niekiedy one dopiero tworzą do nich formy wyrazu jego myślenia, nadają wyrazisty kształt temu, co my sami w sposób niejako tylko doznajemy. W dramacie Goethego *Torquato Tasso* mówi bohater:

Gdzie człowieka /Oniemiała boleść, tam mnie Bóstwo dala/Siłę, że umiem powiedzieć, jak cierpię! (przeł. J. Kasprowicz)

Jakże często źródłem naszej satysfakcji z lektury wiersza lirycznego jest poczucie, że nazwał on dobitnie i celnie, nadal kontury temu, co my sami tylko mgliście odczuwaliliśmy i nie potrafiliśmy przedtem nazwać!

Argumenty i przykłady dotąd rozważane wzięte były z odległej już bliżej przeszłości. Funkcje fikcji w literaturze współczesnej bardzo się skomplikowały, przeważnie jednak są one tylko bardziej wyrafinowanymi wariantami dawniejszych. Powracają więc w różnych wersjach tezy, że fikcja stanowi świat całkowicie „wosbny”, nie odnoszący się do rzeczywistości, tworzony na zasadzie gry. U autorów angielskich pojawiają się tu słowa „play” albo „game”. „Play” to domena improwizacji i swobodnej przypadkowości, „game” to realizacja określonych, ale arbitralnie przyjętych reguł kombinatorycznych. Na tej drodze literatura chce się wyzwoić od „tematu, sensu, prawdy” (Philippe Sollers), z „opowieści o przynadzie” przekształcać się w „przygodę samej opowieści” – według zgrabnego powiedzenia Jeana Ricardou.

Ta „przygoda opowieści” stanowi z kolei często „metafikcję” czyli powieść o po-

wieści – o sposobach jej pisania, o jej możliwościach i ograniczeniach. Inaczej mówiąc: poprzez fikcję przedmiotem poznania staje się tu sama literatura lub szerzej – mechanizmy produkowania tekstów.

Kiedy indziej jednak twórczość współczesna nie przestaje odnosić się do świata zewnętrznego: poprzez fikcję ukazuje albo entropię, chaotyczność, absurdalność rzeczywistości, jej niepoznawalność (np. gdy zestawia różne wykluczające się nawzajem wersje tych samych zdarzeń i zaciera i gmatwa identyczność postaci, jak to czyni Robbe-Grillet w swych późnych powieściach), albo wreszcie – płynność granic między realnością a fikcją, a nawet – nieuchronną, nieusuwalną funkcjonalność rezultatów wszelkiej działalności poznawczej. Jeden z amerykańskich eksperymetatorów, Raymond Federman pisał: „Powieść będzie ustawicznie denuncjacja własnej kłamliwości, tego czym naprawdę jest: iluzją (fikcją), tak jak iluzją (fikcją) jest samo życie”.

Zwrócić jednak uwagę, że rozumowanie to można odwrócić: jeśli wszelka aktywność poznawcza to tylko tworzenie fikcji, wtedy fikcja literacka może być szczególnie pouczającym, bo wyrazistym modelem tego, jak w ogóle tworzymy nasze obrazy rzeczywistości.

Eksperymenty najbardziej skrajne i programy najbardziej paradoksalne skupiają na sobie uwagę ze względu na swą nowość. Nie znaczy to jednak, że one wyznaczają tor główny literatury współczesnej – tej najwyżej ceniowej i przez znawców i przez zwykłych czytelników. W swoim przemówieniu sztokholmskim po otrzymaniu nagrody Nobla w roku 1976 Sol Bellow sygnalizował rosnące u pisarzy i czytelników „pragnienie powrotu z marginesu ku temu co proste i prawdziwe”, „tęsknotę do szerszego i pełniejszego obrazu tego, czym my ludzie naprawdę jesteśmy, kim jesteśmy i dlaczego żyjemy”. „Powieść daje nam możliwość wypowiedzenia się i obiecuje harmonię, a nawet sprawiedliwość. Joseph Conrad powiedział prawdę” – kończąc nawiązując do jego znanych słów o „oddawaniu sprawiedliwości widzialnemu światu”, jako zadaniu pisarza.¹⁵

Ala – dodaje Milan Kundera – racją bytu powieści (a można to zastosować do całej literatury) – jest „mówić to co jedynie powieść powiedzieć potrafi”. Powieść nie głosi przy tym jednoznacznych tez i wskazywać. Przeciwnie, patroluje jej mądrość Cervanteś, który opowiada „o trudnościach wiedzy i nieuchwytliwościach prawdy”. Duchem jej jest względność, wątpliwość, pytanie, złożoność. „Każda powieść mówi czytelnikowi: rzeczy są bardziej złożone niż myślisz”.

Z tym zastrzeżeniem – jak dawniej oczekujemy, że literatura pozwoli nam poprzez fikcję lepiej i głębiej zobaczyć, odczuć i zrozumieć nasz świat rzeczywisty.

(Zdjęcia i rysunki pochodzą ze zbiorów Autora).

Przypisy

- F. N. Golański, O wymowie i poezji. Warszawa 1988, s. 387-388.
- Cyt. W. K. Wimsatt, C. Brooks, *Literary Criticism*. New York 1957, s. 418.
- J. Słowacki, *Dzieła wszystkie*. T. XVII. Wrocław 1975, s. 81.
- Plutarch, jak młodzieńca poznano słuchając poetów. Warszawa 1957, s. 16.
- Zob. W. Tarkiewicz, *Historia estetyki*. Wrocław 1960, t. I, s. 127.
- Zob. W. Tarkiewicz, *j.w.*, t. III, s. 24.
- O. Wilde, *Dialogi o sztuce*. Przeł. M. Feldmannowa. Warszawa 1923, s. 26.
- Arystoteles, *Retoryka* – Poetyka. Przeł. H. Podbielski. Warszawa 1988, s. 330.
- Zob. W. Tarkiewicz, *j.w.*, t. III, s. 320.
- C. Prendergast, *The Order of Mimesis*. Cambridge, 1986, s. 76.
- R. Ingarden, O dziele literackim. Przeł. M. Turowski. Warszawa 1960, s. 353.
- J. Słowacki, *Dzieła*, Wrocław 1950, t. XIII, s. 220.
- Z. Przesmycki (Miriem), *Wybór pism krytycznych*. Oprac. B. Korzeniowska. Kraków 1967, t. I, s. 307.
- M. K. Barbski, *Wykłady poetyki*. Przeł. i oprac. S. Skimins. Wrocław 1958, s. 47.
- R. Federman, *Surfikię-cztery propozycje w formie wstępu*. W: *Nowa proza amerykańska*. Oprac. Z. Lewicki. Warszawa 1983, s. 428.
- S. Bellow, Joseph Conrad powiedział prawdę. „Forum” 1977.
- M. Kundera, *Sztuka powieści*. Przeł. M. Bieńczyk. Kraków 1993, s. 22.

Literatura jest kłamstwem i jest prawdą.

Oko pisarza w tej samej chwili fotografuje i wyświetla rzeczywistość; patrząc na nią, zmienia ją.

Przestrzeń dzieła literackiego ma charakter wirtualny, dlatego nie jest mądrze łapać pisarza za słowo, co jednak czynią cenzorzy wszystkich czasów.

„Rzec” znaczy „urzec”. Sztuka słowa zaczyna się od teurgii, próby zaklania mocy, rozkazywania bogom ziemi.

Dawny szaman leczył i bałaj, jak słowiański „balij”; uzdrawiał i kłamał, jak „wracz” („wrat” znaczy w języku rosyjskim „kłamać”).

Kłamstwo jest jedną z prawd tego świata. I oto cała prawda; prawda po grecku nazywa się „aletheia”, „nieskrytość”. Zmyślenie stanowi nieusuwalną potrzebę ludzkiej psychiki. Dlatego „literatura faktów” bywa zwykle złą literaturą. Natomiast dobra jest fabuła, fantazja, mit, baśń, realizm magiczny.

Arystoteles powiada: „W poezji lepsza jest rzecz niemożliwa, a trafiająca do przekonania, niż możliwa, nie budząca wiary” (*Poetyka* 25,19).

W istocie sama cywilizacja człowieka jest wielkim zmyśleniem... Otaczają nas projekcje naszych mózgów i nerwów: marzenia i lęki, polity i szaleństwo, przyobleczone w kształt miast, narzędzi, upraw, ubrań, języków, kultów i fanatyzmów, praw i bezprawia.

I jeszcze więcej, bo nawet i przyroda wydaje się być jakoś zarazem prawdziwa i zmyślona? Pelzające gady roily o fruwanie i unosiły się w powietrzu jako ptaki. Ptaki pochodzą przecież od gadów. Natura jest może samo-poszukiwaniem się Boga? Owego „Słowa, które było na początku”, a które my w sztuce słowa, zwanej literaturą, po swojemu wypełniamy, łącząc dwojaką rzecz: mowę i przedmiot, formę i treść.

Rzecz to przedmiot orzeczony, rozpoznany, a jednocześnie słowo, które wstąpiło w materię, stając się ciałem.

Pisarz chce być rzecznikiem obu tych „rzeczy”. Powtórzmy: „rzec” znaczy „urzec”, oczarować nawzajem sobą i pożenić: ducha z materią.

Nie jest tak jednak, żeby fikcja literacka nic nie kosztowała. Prawdziwe kłamstwo świata, a także literatury, jest

Literatura i kłamstwo

zło-dobre, nie jest niewinne. Brahman rozdwarzając się na siebie i na stworzenie, doznaje upadku, o czym mówi słynny 129 hymn Ry-

gwedy z X księgi. Hebrajska Biblia maskuje upadek Boga mitem o buncie aniołów i grzechu pierwotnym Adama i Ewy. Pisarz rozdwarzając się na siebie i utwór, sprzedaje swoją prywatność, a to jest także zgorszenie. Zdrada i cierpienie bywają największe, gdy obnażeni i bezbronni stają przed publicznością ludzie bliżsi autorowi, ci co mu zaufali.

Literatura i kłamstwo... Wśród *Przygód Alicji w krainie czarów* Lewisa Carrolla jest też jedna bardzo literacka. Chodzi o nieprawdopodobną narrację Susła, która budzi protesty bohaterki książki, a jednak Alicja przystaje na głędzenie bajarsza, ponieważ głód bajedy w człowieku, nawet małym, lub zwłaszcza małym, jest przepętający. Przeczytajmy na koniec fragment bajki Susła (przekład Macieja Słomeczyńskiego):

„– Były sobie raz trzy siostrzyczki – rozpoczął Susel z wielkim pośpiechem – a na imię miały Elsie, Lacie i Tillie i mieszkaly na dnie studni...”

– A co jadły? – powiedziała Alicja, którą zawsze ciekawiły zagadnienia związane z jedzeniem i picciem.

– Jadły melasę – powiedział Susel po trwającym minutę lub dwie namyśle.

– Wiesz przecież, że nie mogły – zauważyła łagodnie Alicja. – Rozchorowałyby się później.

– I rozchorowały się – powiedział Susel – bardzo się rozchorowały.

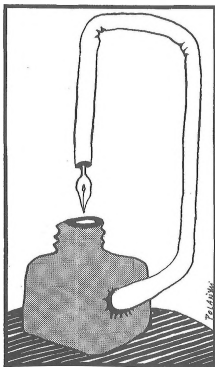
Alicja z pewnym wysiłkiem spróbowała wyobrazić sobie, jak wyglądałyby ta niezwykła egzystencja, lecz tak ją to zaciekawiło, że dodała: – Ale dlaczego zamieszkały na dnie studni? (...)

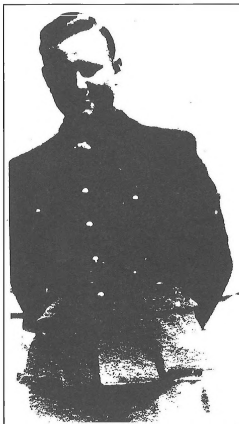
Rozmyślanie nad tym zajęło Susłowi ponownie minutę lub dwie, później powiedział: – Była to studnia z melasą.

– Nie ma niczego takiego! – zaczęła Alicja ze złością, ale Kapelusznik i Marcowy Zająk psyknęli: Ciii! Ciii! – a Susel zauważył kwaśno: – Jeżeli nie umiesz być grzeczną, może lepiej będzie, jeżeli sama skończysz tę bajkę.

– Nie, mów dalej, bardzo proszę! – powiedziała ze skrucha Alicja. Nie będę ci już przerywała. Przypuszczam, że być może, jest gdzieś jedna taka studnia”.

MACIEJ CIŚŁO





Jerzy Malcher w mundurze Armii Polskiej we Francji w 1940 roku

Ślązak z Mount Pleasant Cottage

Jerzy Malcher, syn górnika z Chwałowic, jest bodaj jedynym Polakiem, a na pewno jedynym Ślązakiem, który po II wojnie światowej doszedł w brytyjskim Ministerstwie Obrony do stopnia Senior Principal — polskim wojskowym odpowiednikiem jest stopień generała brygady.

We wrześniu 1939 roku był żołnierzem generała Kleberga, potem pierwszym harcercskim kurierem z Węgier do Polski, obrońcą Francji w 1940 r., absolwentem kursu cichociemnych w Glasgow, oficerem wywiadu i współinicjatorem wielkiej akcji przejmowania z brytyjskich obozów jenieckich Ślązaków — przedtem wcielonych do Wehrmachtu. Kilkadziesiąt tysięcy wyszkolonych żołnierzy — Ślązaków stanowiło wkrótce liczące się uzupełnienie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Liczący już 82 lata Jerzy Malcher, mieszka obecnie niedaleko Londynu wraz z żoną Jadwigą, długoletnią więźniarką hitlerowskiego obozu w Ravensbrück. Jest nadal aktywny, czynny — oddany sprawom wolnej Polski.

Jerzy Karol Malcher urodził się 11 lipca 1914 r. w Chwałowicach. Był synem górnika Józefa i Marty z domu Matuszczyk. Miał dwa tygodnie, kiedy ojca wcielono do wojska niemieckiego i rzucano w wir I wojny światowej. W bitwie pod Sommą, Józef Malcher dostał się do niewoli angielskiej i jako jeńiec niemiecki przebywał w obozie na terenie Anglii przez trzy lata. Minie 21 lat i jego syn,

Jerzy, dotrze do Anglii — już nie jako jeńiec wrogiej armii, ale żołnierz stojący w jej obronie. Oto poplątane losy Ślązaków.

Gdy po latach wojennej tułaczki Józef Malcher wrócił do Chwałowic, jego jedyny syn, Jerzy, nie znał ojca. W 1920 r. w domu Malcherów urodziła się córka Hilda, a w cztery lata później — druga córka Maria. W domu panował klimat polskości, szacunek dla wiedzy i rzetelnego spełniania obowiązków.

Jerzy Malcher okazał się wyjątkowo zdolnym i chłonnym wiedzy dzieckiem. Ze szkoły w Chwałowicach w 1926 r. poszedł do klasycznego Gimnazjum Państwowego w Rybniku, które było kuźnią młodej inteligencji na Górnym Śląsku. Był jednym z najzdolniejszych uczniów. Związał się niezwykle głęboko z harcerstwem. To w dużej mierze ukształtowało jego patriotyzm i społeczne zainteresowania.

Z harcercskim gołdem

Rok 1933 był dla Jerzego Malchera rokiem sukcesu: zdał dobrze maturę, z piątką harcerzy z IX Drużyny im. Tade-

usza Kościuszki w Chwałowicach, brał udział w pierwszym spływie do morza, płynąc Wisłą od Strumienia do Gdańska na kajakach zbudowanych własnoręcznie. Wkrótce podjął studia na Wydziale Prawa i Administracji najstarszej polskiej uczelni, na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Interesowała go służba zagraniczna i dlatego rok później zaczął dwuletni kurs w Szkole Nauk Politycznych przy U.J. prowadzącej m.in. badania nad faszyzmem.

W Krakowie poznał studiującą polonistkę, młodszą o 3 lata swoją przyszłą żonę, Jadwigę Kauczor, harcerkę, wywodzącą się z Opolszczyzny, która uczęszczała do Gimnazjum Urszulanek w Rybniku. To ich zbliżyło do siebie. W tym czasie także pod jej wpływem zaczął się interesować sytuacją mniejszości polskiej na Opolszczyźnie i jej harcerstwem, które odgrywało coraz większą rolę.

Jako podharcemistrz przez kilka lat przed wojną wchodził w skład Chorągwi Śląskiej, w której zajmował się pracą wydziału starszego harcerstwa i prowadził dział zagraniczny. Z czasem został współpracownikiem Wydziału Zagra-

nicznego Główniej Kwatery Harcerzy, dla której sporządzał raporty z pobytów w Niemczech, przedstawiając w nich warunki pracy ZHP jak i sytuację ludności polskiej. W 1937 r. brał udział jako instruktor w akcji letniej Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech.

Swoje obowiązki wobec ojczyzny stawiał wysoko. W tymże 1937 roku przebrał nawet studia w celu odbycia służby wojskowej w Szkole Podchorążych Rezerwy przy 30 Dywizji Syberyjskiej w Brześciu nad Bugiem. Ostatnie lata przedwojenne były politycznie bardzo gorące także w kręgach młodzieży akademickiej. Coraz mocniej aktywizowały się wpływy oenierców; coraz agresywniej zaznaczała się działalność kolumny niemieckiej. Młodzież demokratyczna do której należał Malcher, stanowiła lewicę odłamu sanacyjnego i stanowczo przeciwdziałała się młodzieży faszystującej.

Malcher współpracował w tym czasie blisko z Pawłem Dubielem, był zaangażowany w Bratniaku i nadal w harcerstwie. Kontaktował się również z ówczesnym wojewodą śląskim dr M. Grażyńskim. Wtedy też zapadła decyzja, że po obronie pracy dyplomowej we wrześniu 1939 r. rozpocznie pracę w służbie dyplomatycznej, w Polskim Konsulacie w Lipsku. Był na IV roku, gdy zamiast bronić dyplomu, 26 sierpnia 1939 r. został zmobilizowany do 85 pp w Brześciu. 4 września pułk był już na froncie.

Ucieczka z niewoli

Podchorąży Jerzy Malcher znalazł się w batalionie zapasowym jako dowódca drużyny i miał dołączyć do jednostki. Ostatecznie znalazł się w Batalionie Zapasowym 30 DP w składzie Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”, generała Franciszka Kleeberga. Byli w obszarze tzw. nieczyjzego terenu. Niemcy i bolszewicy postanowili nie zbliżać się do siebie zbyt blisko i zostawili po obu stronach Bugu pas wolny od wojska. Generał Kleeberg przygotował się do odsieczy Warszawy, lecz wkrótce okazało się, że Warszawa padła.

Generał Kleeberg postanowił w tej sytuacji wydać walkę Niemcom. W grę wchodziły nie tylko honor, ale i warunki kapitulacji. Było parę faz walki. Trwało to kilka dni w rejonie Kocka.

— Tak jak pamiętam — wspomina Malcher — była to Wola Gutowska, stacja kolejowa Krzywda. Mimo, iż wieczorem 5 października gen. Kleeberg wysłał parlamentariuszy, artyleria niemiecka nadal w nas bila. Zostałem ranny i wzięty do niewoli; wsadzono mnie na wóz i odwieziono do Dębina, skąd specjalnym samochodem-łorą przez dwa dni, pod eskortą, transportowano jeńców do szpitala polowego w Radomiu. Na szpitala polowy wykorzystano tam dużą salę kinową przy placu targowym. Sala nie miała okien i dlatego każdy jeńiec mógł pół godziny dziennie stać w otwartych drzwiach pod okiem uzbrojonego żołnierza. Przez cały czas nie opuszczała Malchera myśl o ucieczce. Pod wieczór 15 października zdecydował się na ucieczkę. Kilka dni później stojąc w ogonku po zupę dla biednych, ledwie poznał stojącego za nim w kolejce Leona Wawrzyniaka, którego spotkał dwa miesiące wcześniej w Pol-

skim Konsulacie w Lipsku. Szczęśliwi ze spotkania zatrzymali się obaj na dwa tygodnie na poddaszu prawie pustego domu. Byli zdecydowani pojechać do Krakowa, by zbadać możliwość przejścia na Węgry.

12 grudnia 1939 r. wyjechali z Krakowa pociągiem do Nowego Targu i dotarli do Białki Tatrzańskiej, gdzie przekroczyli granicę. Na Słowacji często udawali niemieckich turystów, bo słyszeli, że Niemcy płacą po 5 marek za każdego zdybanego Polaka. Trzeciego dnia wyczerpani i zdezorientowani wciąż jeszcze byli w górach, nim wreszcie znaleźli przewodnika gotowego przeprowadzić ich za papierosy na węgierską stronę. Tam zaraz w pierwszym domu otworzył im młody człowiek, który kilka lat wcześniej brał udział w zlocie harcerskim w Spale. Wyслуchał ich, nakarmił i przygotował nocleg. Potem zgodnie z lokalną instrukcją, zawiadomił policję o przybyciu polskich zbiegów. Następnego dnia zabrano ich na

posterunek. Stamtąd po krótkim przesłuchaniu przewieziono ich do obozu dla internowanych Polaków.

W roli kuriera

Po kilku dniach wezwano ich do polskiego poselstwa w Budapeszcie, skąd wysłano ich do specjalnego obozu harcerskiego na wyspie Sziget-Monasty na Dunaju. Po paru tygodniach przybył tam zastępca Naczelnika ZHP hm Zbigniew Trylski. Mówił o potrzebie łączności z młodzieżą w kraju, zwłaszcza z harcerstwem. O Szarych Szeregach się jeszcze wtedy nie mówiło. Następnie omawiał z nimi projekt powrotu do Polski w roli kurierów.

Wawrzyniak od razu oświadczył, żeby na niego nie liczono, bo dość ma niemieckiej tajnej policji (Gestapo). Malcher bez wahania podjął się roli kuriera.



Ślub Jerzego Malchera i Jadwigi Kauczor w 1946 roku we Włoszech

W poselstwie w Budapeszcie, wg Malchera, najważniejszą osobą był płk Emisarski. Malcher przeszedł krótkie przeszkolenie. Celem misji było nawiązanie kontaktów z ośrodkami harcerskimi w Krakowie, Warszawie i Radomiu. Podróż do kraju rozpoczęła się 10 marca. Malcher dotarł do Nowego Sącza a następnie do Krakowa, skąd zabrał sześć pierwszych zeszytów rozporządzeń gubernatora Franka i przewiózł je do Budapesztu. Wcześniej w Warszawie odszukał naczelnika ZHP hm A. Olbromskiego i przekazał mu syfury, wyjaśnił zasady ich odnawiania. Głównie jednak notował w pamięci środowiska, gdzie prowadzono skuteczną działalność.

Prywatnie nie miał szczęścia. W odpowiedzi na list do Jadwigi Kauczor, że czeka na nią w Krakowie, otrzymał wiadomość od jej siostry. Okazało się, że wraz z koleżanką i dwoma chłopcami Jadwiga wyjechała do Austrii, żeby przedostać się do Jugosławii. Potem okazało się, że została ujęta przez Niemców przy przekraczaniu granicy.

Jerzy Malcher wrócił na Węgry trasą kurierską 20 kwietnia 1940 r. i zgłosił się w poselstwie. Właśnie dzięki niemu, jak podaje Walenty Kaczmarek (Nowiny, nr 8 z 21 lutego 1990) Komitet Harcerski działający w Paryżu otrzymał informację o pracy harcerstwa w kraju pod krytycznym „Szare Szeregi”.

Dalsza żołnierska droga Malchera prowadziła do Francji. Został przydzielony do samodzielnej kompanii ppanc (działka 40 mm) przeznaczonej dla tworzącej się 3 polskiej dywizji. Jako dowódca działu sierżant podchorąży Malcher rozpoczął drugą kampanię wojenną tym razem na terenie Francji.

Kłeska Francji nie była dla tego twardego Ślązaka końcem wojny, mimo że 17

czerwca 1940 r. uławiane tłumy zgromadzone na przejazdach kolejowych krzyczały „La guerre est finie!”. Malcher opuścił Francję 21 czerwca 1940 r. wraz z tymi, którzy z portu La Tuballe statkami rybackimi dopłynęli do stojących na pełnym morzu konitorpedowców brytyjskich.

Misja w Afryce

W Wielkiej Brytanii Malcher do marca 1942 r. służył w 2 Batalionie 1 Brygady Strzelców „Lwiątek Lwowski”, broniąc wybrzeży Szkocji. Był tłumaczem, do jego głównych zadań należało utrzymanie łączności z jednostką Royal Air Force na lotnisku Leuchars na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Wkrótce jednak otrzymał propozycję odbycia rocznego kursu cichociemnych. Malcher wyraził na to zgodę. Już wiedział, że Jadwiga znajduje się w obozie koncentracyjnym. Był wtedy żołnierzem gotowym się podejmować niebezpiecznych zadań.

W marcu 1942 r. został skierowany na kurs cichociemnych w Glasgow ze specjalnością — wywiad. Po ukończeniu kursu w lutym 1943 r. został przeniesiony do II Oddziału Sztabu Naczelnego Wojska w Londynie. W nagrodę na zakończenie kursu z I lokatą, miał zostać oficerem łącznikowym w Waszyngtonie. Szybko jednak zmieniono zdanie: odkryto pilną i bardziej odpowiednią dla niego pracę. W Afryce Północnej było wtedy wiele obozów jeńców niemieckich. W obozach tych przebywało tysiące Polaków, głównie ze Śląska i Pomorza, wcielonych przymusowo do Wehrmachtu. Trzeba było wybrać tych, co przyznawali

się do polskości, przesłuchiwać ich i zapewnić im opiekę polskich władz.

Malcher został przydzielony do Ekspozytury „Afryka” w Algierze, którą kierował podówczas major, później generał Mieczysław Słowikowski. Przez 6 miesięcy objeżdżał samochodem poszczególne obozy jenieckie. Wysłano wtedy drogą morską do Anglii kilka dużych grup spośród wybranych jeńców, którzy zasiliли Polskie Siły Zbrojne. Jerzy Malcher był jednym z pomysłodawców tej akcji.

Leży przede mną dokument:

Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Algierze Nr. 414/9 z dnia 9 października 1943 r. skierowany do ppor. Jerzego Malchera:

Wobec zbliżania się do końca mojego udziału w akcji segregacji jeńców na terenie Afryki Północnej, pragnę przesłać Panu moje serdeczne podziękowania za pomoc okazaną w tej akcji wyróżniającą się zapałem i szczerym zainteresowaniem w ratowaniu naszych rodaków w obozach jenieckich dla naszej Armii.

Konsul Generalny
E. H. Czapski
Minister Pełnomocny

W październiku 1943 r. Jerzy Malcher został odkomenderowany z Ekspozytury „Afryka” do Sztabu Tyłów Dowództwa 8 Armii Brytyjskiej we Włoszech, w celu przyfrontowej pracy wywiadowczej. Od tego czasu nosił angielski mundur w randze porucznika. Podobnie jak w Afryce zajmował się wyszukiwaniem jeńców pochodzących ze Śląska i Pomorza. Jeńców tych kierowano już bezpośrednio, celem uzupełnienia, do 2 Korpusu Polskiego gen. Andersa, który przybył wtedy do Włoch z Bliskiego Wschodu.



Jadwiga i Jerzy Malcherowie (zdjęcie współczesne)

Przed końcem lata Sztajb Tyłów 8 Armii został przeniesiony do Austrii, jako część Wojsk Brytyjskich w Austrii (BTA). Malcher nie wyjechał wtedy do Anglii wraz z 2 Korpusem. Postanowił sprowadzić z Polski Jadwigę Kauczor.

Jadwigę aresztowaną w 1939 r. przy przekraczaniu granicy została osadzona w Ravensbrück, następnie w ciężkim więzieniu w Jauer, w którym przebywała do listopada 1944 r. Po wojnie powróciła do rodziców i zamieszkała w Strzelcach na Opolszczyźnie. Malcher sprowadził ją nielegalnie do Austrii w marcu 1945 r. Przewiezł przez strefę okupowaną przez armię radziecką do strefy brytyjskiej, a stamtąd do Mogilano pod Wenecją. Ślub wzięli 8 sierpnia 1946 w kościełku nad jeziorem Garda. W 1947 roku urodziła się im córka, Patrycja, Anna.

W stopniu generała

Wiosną Jerzy z Jadwigą wrócili do Austrii. On nadal służył w Brytyjskich Wojskach Okupacyjnych aż do marca 1949 r. Utworzenie Korpusu Przysposobienia Cywilnego spowodowało, że reszta personelu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie przeszła pod jurysdykcję Armii Brytyjskiej. Dla Malchera oznaczało to awans na kapitana. Obywatelstwo brytyjskie otrzymał już w 1948 r. Wysłał wówczas Jadwigę i córkę Patrycję do znajomych w Anglii. Sam natomiast opuścił stanowisko i wrócił do Anglii dopiero w marcu 1949 r.

W czerwcu 1949 r. Malcher rozpoczął swoją trzydziestoletnią pracę jako lingwista w brytyjskim Ministerstwie Obrony. Mimo 6 lat pracy w sztabach armii brytyjskiej, musiał zaczynać od najniższego szczebla. Po dwóch latach, dzięki dobrej znajomości kilku podstawowych języków, został kierownikiem grupy lingwistów. Grupę tę rozbudowywał w ciągu kilku następnych lat, aż powstała Służba Lingwistyczna, licząca 72 osoby, złożona z osób z wyższym wykształceniem.

Malcher awansował czterokrotnie — aż do stopnia Senior Principal, którego wojskowym odpowiednikiem jest stopień generała brygady. Brytyjski Institute of Linguistics nadał mu stopień naukowy Fellow (FIL). Jest też kawalerem wielkiej odznaczeń zarówno z okresu wojny, jak i nadejnych po wojnie. W 1957 r. został odznaczony brytyjskim orderem Member of the British Empire (MBE). Na zakończenie swojej trzydziestoletniej pracy w angielskiej służbie państwowej Civil Service od 1959 do 1979 r., Malcher otrzymał list od zastępcy Ministra Obrony Wielkiej Brytanii E. Broedbeata a nr CB.CMG z dnia 7.07.1979, którego wyjątek przytaczam:

Pan rozumiał i wypełniał różnorodne zadania Ministerstwa. Z upływem czasu, w coraz większym stopniu, przejmował Pan rolę kierowniczą i przeprowadzał poważne zmiany w składzie i zakresie obowiązków Służby Lingwistycznej Ministerstwa. W miarę odchodzenia „emigracyjnych” tłumaczy, Panu przypadło zadanie doboru, organizacji i wyszkolenia wielkiej liczby rodzimych absolwentów uniwersyteckich. Dzięki Pana wysiłkom całe Ministerstwo Obrony może obecnie polegać na pierwszorzędnym wsparciu ze strony lingwistów. Pozostawia Panu po sobie Służbę, która odzwierciedla Pana wieloletnie kierownictwo i wpływ.

W imieniu wszystkich kolegów żyję wielu szczęśliwych lat w stanie spoczynku.

Dom pod Londynem

Spełniło się też marzenie Malchera, niedaleko Londynu w Mount Pleasant Cottage — domku milego wzgórza — śląska rodzina znalazła swoje miejsce w Anglii. Z lotu ptaka ukazuje się obraz dworku na wzniesieniu otoczonym w zieleni. Rozbudowanie i uporządkowanie całego obiektu jest dziełem Malchera, który odkrył w sobie zdolności rzeźbiarskie. W szczycie domu z jednej strony jest płaskorzeźba polskiego orla w koronie, z drugiej krzyż.

Dom jest pełen polskich pamiątek, w tym rzeźb w węglu z Polski. Dom ten stał się przystanią dla córki Patrycji, dwóch synów Marka i Andrzeja, wnuków i wnuczek, jak i dla rodziny z Polski przybywającej w odwiedziny do Anglii.

Postawa Jerzego Malchera różni się od postawy wielu Polaków na emigracji. Nigdy nie czekał na akty łaski, sam krok za krokiem zdobywał wszystko. Ma w sobie coś z pozytywisty; ogromnie pracowity, dokładny i konkretny, ale wstrząsający się losem swoich rodaków. Kiedy w września wieczór 1990 r., po 50 letniej nieobecności w Polsce, wspominaliśmy ofiarę krwi jako ślaczcy ponieśli w czasie okupacji hitlerowskiej, Jerzy Malcher wskazał na szaro-brązowe zeszyty, warskierne broszurki opracowane przez Walentego Kaczmarczyka z Hufca im. Józefa Pukowca w Rybniku, w tym zeszyt zatytułowany „Straty osobiste Rybnickiego Harcerstwa w czasie II wojny światowej”.

Niech Pan zestawie te nazwiska harcerzy tylko z powiatu rybnickiego — mówi: 56 zginęło w obozach koncentracyjnych, 17 w egzekucjach publicznych, 6 w więzieniach, 17 w różnego typu akcjach, 10 w obozach jenieckich, 6 w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie i 14 w armii niemieckiej.

W zeszytach opisana też jest martyrologia trzech rodzin harcerskich przed wojną i w czasie okupacji hitlerowskiej zamieszkałych w Chwałowicach. W rodzinie Pukowców najstarszy syn, Józef Pukowiec, bohater polskiego ruchu oporu, został ścięty na gilotynie w Katowicach; Bronisław — naukowiec, rozstrzelany w Oświęcimiu, Alojzy — oficer, zaginął w czasie transportu z obozu koncentracyjnego w Neugam, Stanisław, umarł po powrocie z Mauthausen i Buchenwaldu.

W rodzinie Koździejów, ojciec: Paweł Koździej, zmarł w obozie w Ravensbrück, matka Franciszka Koździej — w obozie w Oświęcimiu, syn Paweł — zginął w partyzanckiej akcji AK w Chwałowicach. W rodzinie Tkoczów — ojciec i syn Alojzy, zginęli w obozie koncentracyjnym Gusen, matka z córką Jadwigą, zginęła w Ravensbrück, syn Ryszard — w egzekucji publicznej w Tybach, syn Alfred — po wysłaniu z Oświęcimia na roboty w Bremen.

Książki, w których oskarża

Przejdzie na emeryturę w 1979 r. oznaczając dla Jerzego Malchera pełną swobodę w oddaniu się badaniom naj-

nowszej historii. Jest niezwykle płodny, pisze książki, szkice, drukuje w prasie polonijnej, pisze dla Radia Wolna Europa, wspomagając intelektualnie opozycję w Polsce. Pilnie śledzi przebieg wydarzeń przed i po stanie wojennym. Na podstawie publicznych wystąpień naszych polityków odtwarza obraz Ludowego Wojska Polskiego, co spotyka się z ządzad krytyką, wręcz atakami ze strony ówczesnego „Żołnierza Wolności”, w którym autor ograniczony w swej wiedzy nazywa go „pewnym Amerykaninem na zwiskiem Malcher, który zajmując się kilka lat Polską w charakterze taniaka wywiadowczego, napisał studium o naszym wojsku...” („Żołnierz Wolności” z 11.03.1987 r.).

Faktycznie Jerzy Malcher wydał w 1984 r. w Ameryce książkę „Poland's Politicized Army — Communists in Uniform” (Upolitycznienie Wojska Polskiego — komuniści w mundurach).

Choć nie ze wszystkim zgadzam się z autorem tej książki, uważam, że jej przekład powinien się ukazać w Polsce. Jest to ciekawe studium, bo pokazuje jak postrzegane było Ludowe Wojsko Polskie przez Polaka stale zamieszkującego poza krajem.

W czasie jego pierwszej po 50. latach wizyty w Polsce zaaranżowałem spotkanie w Bellonie. Wyadawnictwo MON, gdzie entuzjastycznie przyjęto propozycję wydania w Polsce tej książki. Natychmiast też, to znaczy w pierwszej dekadzie września 1990 r., podpisało z autorem umowę i proponowało wypłacenie honorarium autorskiego. Jerzy Malcher jak zwykle skromny i rzetelny odczytał przyjęcie honorarium na czas po wydrukowaniu książki. Książki jednak dotąd nie wydano, chociaż już przed podpisaniem umowy wydawnictwo znalazło jej treść, bo została jeszcze przed 1989 r. przetłumaczona dla celów wewnętrznych.

Za najlepszą książkę Jerzego Malchera uważam jednak „Blank Pages — Soviet Genocide Against the Polish People” (Białe plamy — sowieckie ludobójstwo popełnione na Polakach), wydaną w Anglii w 1993 r. przez Pyrford Press. Książka ta obnaża zbrodnie sowieckie popełnione na narodzie polskim a także ich przemilczanie, a nawet ukrywanie przez Zachód. Malcher zwraca uwagę na bardzo drażliwą sprawę ukrywania prawdy o radzieckim ludobójstwie na Polakach. Admistracje te, zdaniem Malchera, w odróżnieniu do Kongresu USA i Parlamentu brytyjskiego albo wprost ukrywały prawdę, albo — jak się to czasami określa — z prawdą obchodzili się bardzo oszczędnie.

Amerykani stosowali ten pierwszy sposób, Anglicy drugi. Kłamstw nie prostowano. Szczególnie dotyczy to prawdy o Katyniu. Jak pisze autor, **jednostronne ustępstwa na rzecz ZSRR i ukrywanie jego ludobójstwa wymagało wyrzeczenia się moralnych zasad obowiązujących zachodnie społeczeństwa**, w tym wypadku zasad wiążących w życiu publicznym i polityce międzynarodowej.

Jerzy Malcher i jego żona Jadwiga, których związał w młodości śląskie harcerstwo, a którzy pokonali nieprawdopodobne przeszkody aby być razem, chociaż od lat mieszkają daleko od Polski, Polska żyli i żyją. Byli i pozostali wierni nie tylko sobie — także ideałom wyniesionym z rodzinnego domu. ■

Ikar i morze

Ogrodnik uprawia ziemię.
Mysz beztrząsco rozkrzewia iskry
w piołunie.
Kupiec podziwia tłustą wiśnię w
aksamicie.

Tańczą delfiny.
W magnolii upał oddycha.
Pająk w zieleni liścia wszywa złotą nić
Drży cisza w ukwiałach.
Obłok zasypia w muszli.
Dla morza jego ciało małe jak lza.
Nic nie znaczy.
Ale w fali, iskierka słońca.
Pamięta.

Upadek Ikara

Zamyka oczy.
Chciałby spalić wewnątrz ciała,
Czarnym światłem świat.
Ale tylko lza zostaje. Rtęć lży.
Powoli spala się żal nad sobą.
Śmierć rzuca cień na morze,
Na wszystko dokoła.
Biały sen pod żebrami,
Przeciwko otchłani.

Oślepie

Mak słońca oślepie. Szorstkość jego
krwi, ukwiału oddechu,
Mdłość bólu i zmęczenia. Śpią lawiny.
Zgaś wiatr.
Z oddalenia jest kreską, hieroglifem.
Milczenie idealnej bieli.
Z półkola szczytów śmierć patrzy.
Całuje płatkami śniegu.
Ona wie, jaka jest barwa jego strachu.
On wie, że powinien schodzić w jej
stronę.
Mak słońca oślepie.

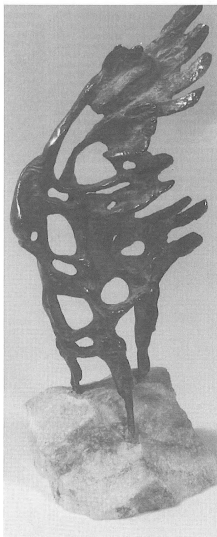
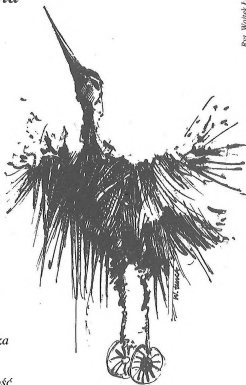


Foto: Józef Wróbel

Wierszoterapia dla Nobla

Jeśli wojny są zbędne
czemu się zdarzają
tak jak miłości
które są niezbędne
na tej może niezbędnej planecie
trochę zajętej przez życie
udane i nieudane
zmęczone ciągłym przemijaniem
i równoważone
śmiesznością aktów płciowych
z których czasem wylania się
jakaś jednostka w ludzkim kształcie
cztery kilogramy przeciętnie na poród
i bocian w dodatku
zbędny dla dorosłych
niezbędny dla dzieci
element tradycji
choć nie wiadomo skąd się to wzięło
i po co
jeśli ciało do życia istotnie niezbędne
co począć z duszą zbędną i bez praw
do praw fizycznych
skoro nawet wybitna wierszoterapeutka
wyjechała po Nobla
z duszą na ramieniu
i czy to możliwe że jej fizyczna obecność
jest bezwzględnie właśnie tam niezbędna.



Rys. Wojtek Łukasz

STANISŁAW GOLA

Któż to wie

Jackowi Sztydlowskiemu

Jeszcze nie załatwiono tego
co ważne we wrześniu
o już październik pootwieriał
szafy z jesionkami
wpatrzono tam
gdzie lato odjeżdża na skrzypiącym wozie
choć nie wiadomo z czego jest ten wóz
przeciążony sianem nieba
i niedokochanymi miłośnikami
może ten wóz jest z czwartego wymiaru
może z samych drabiniastych chwil
Któż to wie
przecież każda dojrzałość składa się
z tego co się zieleniło
i co się topiało
oraz z koniczyn pana Einsteina
które rosną na końcu
zakrzywionego wszechświata.

Komunikat

Gdy podano wiadomość
o przesunięciu nadziei
z Ziemi Obiecanej w naszą stronę
natychmiast spece od rankingu
zaczęli się rozbierać
do kąpieli w mleku i miodzie
także w telewizji wstrzymano
reklamę margaryny
i od razu wystrzelono race na wiwat
w całym tym zamieszaniu
spadł z siódmego piętra jakiś gość
wypchnięty przez ciekawość
dopiero w wieczornych wiadomościach
sprostowano
że z przyczyn technicznych
przesunięcie nadziei
odwołano
być może wrócą do sprawy
jak zaszyją dziurę ozonową
jak skończą się rzezie w Zairze
i jak będzie więcej środków
na rozproszenie wątpliwości.



Foto: Bogdan Kulakowski

Jesteśmy świadkami olbrzymich przeobrażeń

- Tak wiele mówi się ostatnio o zachowywaniu dawnych, tradycyjnych wartości w poszczególnych grupach społecznych, etnicznych, o ich szczególnym znaczeniu w poszukiwaniu własnych korzeni, tożsamości narodowej. Kiedy rozpoczyna się dyskusje o autonomizacji, a zarazem jedności tych grup - np. w ramach jakiegoś regionu - dokonuje się odniesień do wartości kulturowych. Szczególnie widoczne jest to na Śląsku.

- Śląsk to jest wielki konglomerat, region, w którym miesi się folklor różnych grup społecznych i regionalnych, także innych grup etnicznych - np. niemieckich. Wydawać by się mogło, że element etniczności już się nie miesi w tym obszarze. Ale miesi się o tyle, o ile jest przedstawicielem swojego narodu - nie zapomina o sobie, stale powołując się na te wartości, które są jej najbliższe, i które wyssała z mlekiem matki. Są i inne grupy społeczne i narodowościowe - jak Czesi, sąsiadujący z nami od południa, którzy przecież wcale nie zamierzają rezygnować ze swoich wartości. My też nie wyrzekamy się wartości, do których mamy prawo się przynależać. Dlatego nie mamy żadnych wątpliwości co do tego, że jedna grupa przekazuje je drugiej grupie, zapożycza od niej wartości, obdarowując się nawzajem. Jest to moim zdaniem niezmiennie ciekawy proces.

- Jakże to ma znaczenie w dążeniu do autonomii tych grup, niezależności, szukaniu własnej tożsamości? Na ile te procesy wpływają na poszukiwanie jedności, a na ile w poszukiwaniu jedności?

- Ma to poważne znaczenie. Nie boimy się tego. Moglibyśmy się bać, gdyby nie było wiadomo co z tym zrobić, gdyby-

śmy zaczęli wartościować, mówić, że jedna grupa jest więcej warta od drugiej. Nie wolno tak traktować tych spraw. Stoimy przed wielkim zagadnieniem - zresztą nie tylko my, ale także i w Polsce centralnej - lecz nasza świadomość regionalna powinna być większa wobec ogromu przetwarzania, nakładania się procesów kulturowych. Jesteśmy świadkami ciągłych przekształceń. Ciekawie rzecz wygląda od południa, bo jesteśmy krewni Słowianie: Czesi, Słowianie, a i Cyganie też mają coś do powiedzenia i coraz bardziej dopominają się o to. Z zachodu - Niemcy, którzy twardo bronią swego, a wcale nie muszą. Powinniśmy mądrze zapożyczać, przekazywać a także chłonać ich wartości. Ten proces jest olbrzymi, ale dziś zachodzi on wszędzie. Także w Wielkopolsce, ale nie ujawnia się tak mocno jak na Śląsku. Niemcy mają obecnie tendencje nadawania swoim wartościom może nadzbyt dużej wagi i znaczenia, ale z biegiem czasu to się ułoży. Nie powinniśmy się tego bać. Ja mam obowiązek widzieć to i wyrażać opinie. Nie możemy na pniu decydować co jest rdzennie polskie, a co np. niemieckie. Zwykle są to sumy wartości, którym trzeba się dobrze przyjrzeć. Musimy być świadomi tego, że jesteśmy świadkami olbrzymich przeobrażeń.

- Czy wobec tych przeobrażeń - ekonomicznych, społecznych, socjologicznych - możemy mówić, w odniesieniu do regionu śląskiego o istnieniu tradycyjnego folkloru robotniczego - górniczego, hutniczego, który związany był przecież z prestiżem tych zawodów, budował hierarchię rodzinną.

- Możemy mówić o istnieniu folkloru robotniczego, ale tylko o tyle, o ile go dostrzegamy. Pewne wartości stały się już

historią: jak język, cywilizacja czy dziedzictwo kulturowe, które jest stopem różnorodnych wartości. Okazuje się, że istnieje nadal przekazywanie zawodu z ojca na syna, kultywowanie tradycji rodzinnej. Istnieje nadal kultura pracy, większa aniżeli w innych regionach kraju. Gdyby tego nie było, znacznie więcej ludzi wyjechałoby stąd, chociażby do Niemiec. Tradycyjne wartości trwają nadal. Obyczajowość zawodowa, zanikanie niektórych zawodów - nie powoduje zanikania folkloru danej grupy zawodowej. To się nadal utrzymuje, choć jest może mniej widoczne dla niewtajemniczonych, dla ludzi którzy tego nie badają. Bezrobocie nie ma wpływu na zanikanie tych wartości. Istnieje chęć do pracy. Umiłowanie pracy jako takiej. Są pieśni potwierdzające podobne sytuacje - bezrobotny ojciec i bezrobotny syn, którzy jednak ciągle dążą do zdobycia pracy. Wydawałoby się, że przestaje istnieć obyczajowość związana z grupami robotniczymi - górniczymi czy hutniczymi. Zmienia się status społeczny tych grup zawodowych. Górnik mniej uzyska za otrzymane wynagrodzenie, ale prestiż zawodu w określonym środowisku nadal pozostaje.

Folklor grup zawodowych, ten tradycyjny, odzwierciedla ważkie realia, dotyczące tak procesów produkcji, jak i życia publicznego i prywatnego. Głosi kult pracy, podnosi pracę do rangi wyznacznika człowieczeństwa. Twórczość grup zawodowych odznacza się także większą, aniżeli pozostały folklor, świadomością społeczną. Związka, nacechowane realizmem, pieśni są nosicielami radykalnych myśli, mających na celu nie tylko wprowadzenie sprawiedliwszego ładu społecznego, ale także zdążającego do naprawy obyczajów. Ważny problem wyłania się

w związku z pieśnią nabożną. Górnicy ślaski mieli z nią długie i ściśle związki. Prym wódł kult świętej Barbary.

Do krystalizacji pieśni, w szczególności górniczej, wniósł nowe elementy okres bezrobocia na Śląsku w latach 1930 - 1933. Z braku zajęć górnicy zbierali się często na haldach, gdzie zapadły czasem ważne decyzje masowych wystąpień, a nierzadko rozbrzmiewała pieśń górnicza o nowej, ciężkiej sytuacji materialnej robotnika. Muzyka stała się też źródłem utrzymania dla bezrobotnych, którzy śpiewali, zbierając datki po podwórzach i placach miejskich, w czasie targów, jarmarków i odpustów. Powstała spora ilość nowych wariantów o specyficznych tematyce pracy w bledaszybach, włóczęgostwa, autoironii i satyry.

- Zdaże się, że autoironia i satyra przetrwała w nowo powstających, a mających wyłącznie rodowód śląski piosenek kabaretowych lub tych urozmaiaczących spotkania górników podczas dorocznych, tradycyjnych karczm piwnych.

- Przed polskim folklorem górniczym stoją dalsze perspektywy rozwoju. Przy swojej wielkiej sile odżywczej dla kultury narodowej, nie zdoła mu przeszkodzić nurt kultury obcej. Przeciwnie, przy nowoczesnych środkach, masowego przekazu jego siła i zdolność oddziaływania wydane nie są wzmożone.

- A jak sytuacja wygląda na śląskiej wsi? Czy obyczajowość i zwyczajowość jest szczerze podtrzymywana, kulturowana wyłącznie na pokaz lub na użytek nauki?

- Dowodów na istnienie określonych wartości zawsze trzeba szukać długo. Czasem trzeba szukać dalekich odniesień. Dla przeciętnego obserwatora nie zawsze jest to widoczne. Region zmienia się wraz z przepływem wartości. Zresztą zmieniał się zawsze, tylko nie tak gwałtownie jak teraz. Zmiany muszą następować, wtedy staną się dostrzegalne.

- Co się dzieje z dawnymi wartościami? Jaki sens ma kulturowanie tych dawnych tradycji, rodzinnych hierarchii?

- Współczesny świat z pewnością stanowi zagrożenie dla wielu dawnych, tradycyjnych wartości, ale trzeba go brnąć takim jaki jest.

Zbierane przez mnie śląskie pieśni ludowe dowodzą wartości charakterystycznych dla ziemi śląskiej: umiłowanie życia rodzinnego, kult przeszłości historycznej, etos pracy, a także radość życia. Bogate jest też zawarte w nich słownictwo gwarowe, nawiązujące do epoki staropolskiej. Świadczy to o pielegnowaniu od wieków mowy polskiej na Śląsku.

- Istnieją ostoje tradycji, dawnych wartości?

- Nie ma jednoznacznych miejsc. Nie zanikają, ale zmieniają się. Dlatego trzeba ich szukać. Zmieniają się składniki kulturowe. Nie należy się bać tych zmian.

- W takim razie - jeśli trzeba ich daleko szukać, czy oznacza to, że kultura robotnicza i wiejska to już tylko czas miniony?

- Nie możemy dopuścić do tego, żeby kształt Śląska sprzed pięćdziesięciu lat został zachowany po dziś dzień. Muszą dokonywać się zmiany. Zresztą nigdy nie stał w miejscu. Dlatego należy szukać wartości dnia dzisiejszego. Wiąże się to ze zmianami społecznymi, ekonomicz-

mi, także z etnicznymi. Wartości etniczne odgrywają również ważną rolę. Ciągłe żywy jest język związany z konkretnymi zawodami, ich kulturą i tradycją. W minionych latach nie szanowano Śląska, dlatego ośmieszano mieszkańców i ich język. Stąd tendencje do zamknięcia gwaru. Ja też musiałem stąd wyjechać. Nie zmienialem miejsca zamieszkania, ale warsztat.

Nikt nie może nikogo zmuszać do kultuowania tradycji. Na co dzień nikt nie będzie chodził w ludowym stroju, ale trzeba mieć świadomość tradycji. W niektórych miejscowościach - jak np. w Dąbrowie Wielkiej, pod Bytomiem - można spotkać nawet młode osoby ubrane od święta w tradycyjny strój.

- Czy oznacza to powrót do tradycyjnych wartości, do odszukiwania ich na nowo?

- Na pewno. Kiedy były ośmieszane, oceniane negatywnie, nie stanowiły bodźca do poznawania własnej kultury, która nie jest obca nawet młodym ludziom, bo nadal - szczególnie na przedmieściach miast - istnieje i funkcjonuje. Siła pamięci starszego człowieka jest inna. Dziś często tradycję nie wynosi się z domu, lecz z innego środowiska - ze szkoły, rodziny. Dlatego jest też inna.

Rozmawiała:
WIESŁAWA KONOPLESKA

Prof. dr hab. Adolf Dygacz - ur. 23 lipca 1914 r. w Droniowicach koło Lublińca. Muzykolog, wybitny znawca folkloru ludowego, znakomity pedagog, krytyk i publicysta muzyczny. Ceniony specjalista w zakresie wychowania muzycznego i teorii muzyki. Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach (obecnie Akademia Muzyczna), także muzykologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Odbiwał studia prawnicze i ekonomiczne na Uniwersytecie Warszawskim i Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach. Jest profesorem nadzwyczajnym w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie.

Związany był z Akademią Muzyczną (1951-1975), Katedrą Etnografii Uniwersytetu Wrocławskiego (1975-1980), od 1980 z Filią Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, gdzie do 1992 r. pełnił funkcję kierownika Zakładu Teorii Muzyki i Folklorystyki Muzycznej.

Zbiaractwem folkloru zajmuje się od 1933 r. W swoim archiwum zgromadził 12 tysięcy pieśni ludowych, bogate zasoby ludowej literatury ustnej i kolekcję instrumentów muzycznych.

W dorobku naukowym posiada 12 pozycji książkowych, ponad 100 rozpraw, studiów i artykułów drukowanych w kraju i za granicą. Wiodący obszar jego penetracji obejmuje kulturę ludową polskich grup zawodowych, przede wszystkim zaś muzyczny folklor górników (węgla, rudy, soli i ropy) i hutników (żelaza, metali kolorowych i szkła). Osłabienia w tej dziedzinie badań mają charakter odkrywczy i nowatorski. W swoich pracach naukowych dąży do uchwycenia całokształtu przejawów polskiej muzyki ludowej, zwłaszcza folkloru śląskiego, a także jego powiązań z kulturą muzyczną krajów sąsiednich i europejskich.

HEJ GÓRNICY, GÓRNICY...*

Hej, górnicy, górnicy, kaj tak wczas idziecie?

Jeszcze słonka nie widać,
jeszcze noc na świecie.

Kiedy górnik wczas wstaje,
do pracy się zbiera,
żona lampkę podaje, synek drzwi otwiera.

A gdy stanie pod szybem, z kolegą się wita,
co śluchać na filarze? Zaraz go zapyta.

A gdy przyjdzie na numer,
spójrzy na budynek,
wszystko stoi w porządku, filar, jako rynek.

Choć tu ptaszek nie śpiewa,
słonko nie zaświeci,
przy robocie czas wartko górnikowi leci.

A po szychcie do domu do żoneczki spieszy,
tam fajeczkę zakurzy, dziećmi się nacieszy.

Kalety/Lublińca, 1948.

Wyjrzał miesiąc z ciemnych chmur**

Wyjrzał miesiąc z ciemnych chmur,
bydźcie jasno nocka,
właźcie, chłopcy do swych dziur,
bo tam węgło mocka.

Dziś fedrunek pójdzie nóm,
bydźcie ze dwie tony,
bo ciskacza swego móm,
i psa dla obrony.

Rano tu przyjdzie wóz,
sprzedomcy urobek,
do bydyszyb przeza już
choć lichy zarobek.

Świętochłowice, 1957.

*) **) Pieśni pochodzą ze zbioru Adolfa Dygacza pt. "Pieśni górnicze", który jest częścią cyklu wydawnego od 1995 r. przez Górnosłaską Oficynę Wydawniczą w Katowicach. Dotychczas ukazały się cztery tomy tzw. Biblioteczki Profesora Adolfa Dygacza, a w niej: "Śląskie pieśni ludowe", wspomniane "Pieśni górnicze", "Pieśni katowickie" i "Śpiewnik pieśni Zagłębia Dąbrowskiego".

W 1982 roku Instytut Śląski w Opolu wydał *Encyklopedię powstań śląskich*. Cieszyła się nadzwyczajnym powodzeniem. Pamiętam kolejkę przed księgarniami. Wydaje się, że katowickie środowisko naukowe pozazdrościło sukcesu kolegom z Opolu. Głośno się o tym nie mówiło, ale w grudniu tegoż roku w Śląskim Instytucie Naukowym w Katowicach w szerszym gronie zastawiano się nad podobnym przedsięwzięciem. Podobnym, ale jak na katowickie ambicje przystało – większym i wspanialszym. Szło o wielotomową encyklopedię typu regionalnego. Przed wojną myślał o takiej książce Emil Szramek.

W 1984 roku Instytut katowicki obchodził 50-lecie swojego istnienia (z przerwami). Encyklopedia znakomicie nadawała się na pomnikowe dzieło. Zamyślało się na zainteresować władze wojewódzkie. Uchwała z 23 marca 1984 roku Wojewódzka Rada Narodowa w Katowicach zobowiązała się objąć patronat „nad tym doniosłym wydawnictwem z wszystkimi tego konsekwencjami”. Owe „konsekwencje” zapewniły Śląskiemu Instytutowi Naukowemu odpowiednie finanse z budżetu wojewódzkiego i udzieliły „niezbędnej pomocy w pracach nad publikacją”. W domyśle: chodziło o „zabezpieczenie” niezbędnej ilości reglamentowanego wówczas papieru i polecenie Katowickim Zakładom Graficznym wygospodarowania „mocy produkcyjnych”. O pieniądzech nie ma co mówić. Nie przemówią do wyobraźni wskutek późniejszej inflacji.

Wojewoda katowicki, jako kurator Śląskiego Instytutu Naukowego, powołał 67-osobową Radę Naukową, której przewodnictwem powierzył prof. Janowi Szczepańskiemu z Warszawy. Wicyprezydencjuszami zostali prof. Władysław Luśbaś i prof. Wanda Mrozek, redaktorem naczelnym prof. Alojzy Melich, sekretarzem kolegium redakcyjnego doc. Andrzej Szefer. W składzie Rady znalazło się wielu naukowców spoza Śląska. W tym gronie zasiadali również Wilhelm Szweczyński i Edmund Osmaciński. Utworzono dziesięć działów (zespołów) problemowych, obsadzając ich kierownictwa wybitnymi specjalistami:

1. Środowisko geograficzne, ochrona środowiska (prof. Józef Szaflarski).
2. Ludność, zatrudnienie, osadnictwo (prof. Andrzej Stasiak).
3. Życie gospodarcze (prof. Józef Popkiewicz).
4. Historia i życie społeczno-polityczne (prof. Stanisław Michalkiewicz).
5. Kultura, sztuka, oświata (prof. Dorota Simonides).
6. Poziom życia (prof. Leszek Borecz).
7. Zabytki, architektura (prof. Tadeusz Teodorowicz-Todorowski).
8. Technika, postęp techniczny, nauka (prof. Tadeusz Zagajewski).
9. Administracja i zarządzanie (prof. Karol Sobczak).
10. Biogramy (prof. Irena Homola-Dzikowska).

Taki był stan wyjściowy. Potem się trochę pozmieniło, także w zakresie obsady personalnej, ale tron pozostał stały.

Uchwałę Wojewódzkiej Rady Narodowej poprzedziła inauguracyjne posiedzenie wspomnianej Rady Naukowej. Dwa

problemy zdominowały dyskusję: zasięg terytorialny Encyklopedii i jej nazwy. Oba nie doczekały się ostatecznego sprecyzowania. Przyjęła się – tak jak to proponował poseł Osmaciński – robocza nazwa *Encyklopedia górnośląska*. Zaprezentowanie ciągnących się przez następnych kilka lat debat na temat pojęcia „Śląsk” i „Górny Śląsk” samo w sobie było interesujące. Praktyka poszła w kierunku rozszerzającym te pojęcia. Najwięcej materiału zgromadzono w odniesieniu do obecnego województwa katowickiego, w dalszej kolejności bielskiego i opolskiego, zdecydowanie najmniej – częstochowskiego. Bogato zaprezentował się Śląsk Cieszyński, a to dzięki aktywności cieszyńskiego środowiska naukowego.

Tak się niefortunnie złożyło, że tworzenie Encyklopedii przypadło na okres zmian ustrojowych w kraju. Dzieło z mie-

zeniem zbioru. Z tekstów haseł trzeba sporządzić kserokopie i tylko nimi posługiwać się w dalszych pracach.

Poprawianie i uaktualnianie Encyklopedii obecnie nie wchodzi w rachubę, gdyż wymagałoby sporych nakładów organizacyjno-finansowych, wznowienia korespondencji z autorami, z których liczni już nie żyją. Dla części haseł nie sposób ustalić autorstwa.

Eventualne wydanie zgromadzonego materiału mogłoby nastąpić w formie *Źródeł archiwalnego*, bez merytorycznej ingerencji wydawcy, jako dokumentu przeszłości, „akamieliny” końca epoki socjalizmu. Wały i ulomności nie mogą przesłonić trwały, ponadczasowej wartości Encyklopedii, a ta jest bezsporna. Tytuł wydawnictwa *Materiały do Encyklopedii górnośląskiej* dobrze tłumaczyłby sens zamierzenia. Takie wydawnictwo posłużyłoby w dalszej, nie dającej się przewidzieć przyszłości za punkt wyjścia do nowej Encyklopedii górnośląskiej.

Zbiór został w Archiwum ogólny i spaginowany. Z podliczenia wynikało, że należałoby sporządzić około 30 tys. kserokopii. Na to nie było ani papieru, ani kserokopiarki. Trzeba zaraz powiedzieć, że Archiwum Państwowe nie stać na ewentualne partycypowanie w kosztach, tym bardziej na wydanie całości. Encyklopedia była od początku finansowana z budżetu województwa katowickiego.

Byłoby dobrze, aby z pomocą Urzędu Wojewódzkiego lub też Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego niefortunne to dzieło doprowadzić do honorowego zakończenia. Na obecnym etapie nie sposób ustalić nawet najogólniejszego kosztorysu całości. Wpierw trzeba sporządzić kserokopie.

Jak zaznaczyłem, Encyklopedia miałyby się ukazać w takim stanie, w jakim przetrwało na nią prace pod koniec lat osiemdziesiątych; bez merytorycznej ingerencji wydawcy. „Obrobka” redakcyjna tekstu ograniczałaby się do formalnego ujednolicenia zapisów zgodnie z przekazanymi swego czasu autorem wskazówkami dotyczącymi opracowania haseł, ewentualnego sporządzenia odsyłaczy i usunięcia haseł powtarzających się. Hasła, tak jak planowano, ułożyłoby się alfabetycznie. Na pewno trzeba by sporządzić tematyczny wykaz haseł (skorowidz tematyczny). Hasła zgodnie z koncepcją przyjętą w Śląskim Instytucie Naukowym nie byłyby podpisane. Za wstępem umieszczyłoby się wykaz autorów (około 100 nazwisk).

W ubiegłym roku przedstawiłem na piśmie Panu Wojewodzie koncepcję dalszej pracy nad Encyklopedią i jej wydania, prosząc o finansowe przedsięwzięcie. Sprawa „ześliznęła się” do Wydziału Kultury. Pani dyrektor Lucja Ginko – zdaje się – pozdławiła moje zapartystwa. Ale na tym właściwie się skończyło. Nie wiem, jak daleko potoczą się losy Encyklopedii. Uważam, że mam obowiązek przedłożyć opinię publiczną o sprawie. W skrytości ducha nie tracę nadziei na pomyślny finał. Żeby ruszyć z miejsca potrzeba pieniędzy. Nie ma co ukrywać, że sporo, bo też idzie o obszerne dzieło. Szkoda, by się zmarnowało. Już tyle włożono w nie zbiorowego wysiłku. To prawda, że po części zastarzało się i zbuntowało, ale cała reszta pozostaje zdrowa.

EDWARD DŁUGAJCZYK

Co dalej z „Encyklopedią górnośląską”?

się na miesiąc dezaktualizowało się. Na poprawki i uzupełnienia zabrakło pieniędzy. Instytut, uwikłany w konflikt z ówczesnym wojewodą, chylił się ku upadkowi, wreszcie w 1992 r. uległ likwidacji. Materiały archiwalne (dokumentacja o wartości historycznej) zlikwidowanego SIIN przejęło Archiwum Państwowe w Katowicach. Materiały redakcyjne Encyklopedii pozostawiono w formie depozytu nowo powstałemu Instytutowi Górnośląskiemu, który nosił się z zamiarem kontynuowania przerwanych dzieł. Atoli w lutym 1995 r. Instytut Górnośląski z powodu braku funduszy i trudności lokalowych zrezygnował z dalszego przechowywania depozytu, który teraz już fizycznie znalazł się w posiadaniu Archiwum Państwowego w Katowicach.

Wspólnie z prof. Tomaszem Faleckim, także pracownikiem Archiwum Państwowego, po zapoznaniu się z materiałami redakcyjnymi Encyklopedii, doszedłem do przekonania, że:

– Encyklopedia stanowi bezcenne kompendium wiedzy o Górnym Śląsku i jego obrzeżach; jest zbiorowym dziełem całego miejscowego, a nie tylko, środowiska naukowego.

– Encyklopedia odzwierciedla stan wiedzy i tendencje ideowo-polityczne połowy lat osiemdziesiątych. Tendencje te uwidaczniały się częściowo w doborze tematyki i interpretacji przedstawianej rzeczywistości.

– Obecny stan uporządkowania uniemożliwia korzystanie ze zbioru. W pierwszej kolejności należałoby zastany materiał uporządkować w stopniu pozwalającym na przegląd całości. Nie powinno się manipulować oryginalnymi tekstami haseł, obecnie rozproszonymi po kilku miejscach (przy nazwiskach autorów, w teczkach tematycznych, w dziale finansowym), gdyż groziłoby to zupełnym zbu-

Od zera do milionera

To hasło jest czytelne i zrozumiałe dla wszystkich. Odwołuje się do zrodzonego niegdyś w Stanach Zjednoczonych mitu pucybuta, który uporem i mozolną pracą dochodzi do wysokiej pozycji społecznej. XX wiek dostarczył licznych dowodów na to, że istotnie szczęśliwy spłot okoliczności, połączony z determinacją ludzką, może „przenieść góry”. Tak rodziły się wielkie fortuny. Często właśnie od „zera”. Nigdy jednak – to zrozumiałe – sukces nie spada z nieba. Szczęściu trzeba pomóc.

Te proste prawdy legły u podstaw akcji inwestycyjnej, zainicjowanej przez Fundusz Górnośląski S.A. – instytucję finansową powstałą w ramach Kontraktu Regionalnego dla Województwa Katowickiego.

Fundusz inwestuje w różne obszary gospodarki, interesując się zarówno państwowymi przedsiębiorstwami, wymagającymi pełnej restrukturyzacji, jak i prywatnym biznesem, najchętniej firmami małymi bądź średnimi, bo one, jak uczą doświadczenia Zachodu, są podstawą gospodarki rynkowej. Najnowszą akcją Funduszu zwraca się właśnie w stronę prywatnych przedsiębiorców, a ściślej – do grupy najaktywniejszych wśród nich, co wcale nie oznacza, że najbogatszych.

W tym roku na akcję „Od zera do milionera” Fundusz wydzielił ze swojego kapitału 1 milion zł. O pieniądze z tej puli ubiegać się mogą przedsiębiorcy, którzy w terminie od 1 kwietnia do 30 czerwca zgłoszą swe propozycje przedsięwzięć gospodarczych. Będzie to więc rodzaj konkursu ofert biznesowych. Najciekawsze z nich, te najlepiej umotywowane i dające nadzieję na powodzenie, będą mogły liczyć na finansowe wsparcie. Ale jak w każdym innym przypadku – Fundusz Górnośląski nie będzie pieniądze po prostu rozdawał, gdyż – jak podkreśla na każdym kroku jego kierownictwo – nie jest instytucją charytatywną.

- Kwota ta nie jest też przeznaczona na kredyty preferencyjne czy też na pomoc bezwrotną – wyjaśnia **Dariusz Paweł** z biura prasowego Funduszu – *lecz będzie zagospodarowywana w sposób typowy dla funduszu inwestycyjnego. Fundusz Górnośląski wykupując część udziałów bądź obejmując całość kapitału założycielskiego, jednorazowo w granicach od kilku tysięcy złotych do 100-150 tysięcy, weźmie na siebie ryzyko związane z realizacją danego przedsięwzięcia. Sukces będzie oznaczał możliwość odkupienia przez projektodawcę od Funduszu – po dwóch, trzech latach – całości bądź części udziałów.*

Wypada zatem powiedzieć jasno – to propozycja dla ludzi odważnych i to wyobraźni. Chodzi przecież o to, by szukając gotówki na rozwinięcie swojej firmy, dopuścić do świadomości myśl, że nie tylko kredyty temu

służą. Można również do swojego interesu, nawet niewielkiego, skoro można tu także o pojedynczych tysiącach złotych, wpuścić inwestora zewnętrznego, który po pewnym czasie gotowy jest się wycofać i odsprzedać wcześniej objęte udziały. Nie ma więc obawy, że utraci się kontrolę nad swoją firmą. Inna rzecz, że pragnąc się rozwijać, trzeba również umieć i chcieć dzielić się zwiększonym ryzykiem. To się oplaca. Fundusz, choć istnieje od niedawna, jest na pewno dla niewielkich firm partnerem potężnym, a więc także godnym najwyższego zaufania.

To również droga, która wiedzie do założenia własnej firmy. Warto więc spróbować swych sił. Akcja powinna zmotywować wszystkich, którzy od dawna myślą o pracy „na własny rachunek”, lecz w realizacji pomysłów natrafiali na tę podstawową i paralizującą trudność – brak gotówki.

- Fundusz nie będzie jednak służył tworzeniu firm jednoosobowych czy rodzinnych bez perspektyw szybkiego wzrostu – zastrzega od razu **Paweł**. - *Kapitał służył ma pomysłom, które z firm nowo tworzonych bądź już istniejących, jedno- czy pięcioosobowych, uczynią szybko rentujące się i zwiększające zatrudnienie rynkowe „gazele”.*

Dalekosiężne cele akcji „Od zera do milionera”, wyraźnie korespondujące z zapisami Kontraktu Regionalnego, zmierzają zatem przede wszystkim do tworzenia nowych

miejsz pracy. Trudno już dzisiaj o tym przesądzać, ale wydaje się, że z owego miliona korzystać będą mogli w pierwszym rzędzie ci, których propozycje właśnie ten element wezmą pod uwagę. Takie projekty mogą liczyć na szybką realizację, i to jeszcze w tym roku.

Warto zwrócić uwagę na to, że Fundusz Górnośląski nie ogranicza obszarów działania. Gotowy jest wejść ze swym kapitałem wszędzie tam, gdzie rysuje się szansa powodzenia. W grę wchodzi więc nie tylko projekty produkcyjne, ale również sfera usług, tak bardzo przez dziesięciolecie całe zaniębywana i lekceważona. W niej, jak się wydaje, tkwią największe rezerwy. Zwłaszcza u nas, na Górnym Śląsku, gdzie przed czy później tysiące ludzi będzie zmuszonych do tego, by przekwalifikować się i szukać zajęcia poza przemysłem, poza górnictwem czy hutnictwem.

Powodzenie akcji zależeć będzie nie tylko od samego Funduszu, który zanim do niej przystąpił, już z góry założył, że musi znaleźć sojuszników. Także w mediach. Temu służy między innymi cykl artykułów informacyjnych i wyjaśniających, ukazujących się w katowickiej mutacji „Gazety Wyborczej”.

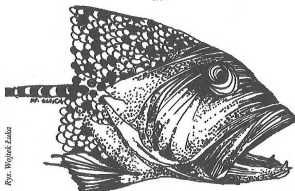
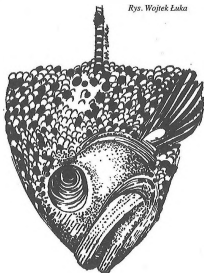
Alte to zapewne nie wystarczyłyby. Ideę tę wsparł Górnośląski Bank Gospodarczy, który dostrzegł w niej sposób na podkreślenie swego regionalnego charakteru, nakierowanego na pomoc miejscowemu biznesowi. We wszystkich 11 oddziałach BGB utworzono punkty konsultacyjne, gdzie można uzyskać fachową poradę i szczegółowo dowiedzieć się, jak należy projekt przygotować, by zyskał akceptację i szansę na realizację. Tam też odsyłamy wszystkich zainteresowanych udziałem w tej akcji.

- *Propozycje współpracy i współdziałania, jaką otrzymaliśmy od prezesa Funduszu, Andrzeja Czarnika, przyjęliśmy z uwagą – twierdzi **Tadeusz Wnuk**, prezes Zarządu Górnośląskiego Banku Gospodarczego S. A. -- My przecież również pragniemy wspierać przedsiębiorców, działających na Śląsku i w Zagłębiu. Decyzję przyszło nam podjąć o tyle łatwiej, że niejako równolegle zapropojemy osobom, które się do nas zgłoszą, także naszą nową ofertę. Będzie nią regionalny kredyt przedsiębiorcości, pochodzący z funduszu poręczeniowego Banku Gospodarstwa Krajowego. Niewykluczone więc, że ci, którzy zjawiają w naszych punktach konsultacyjnych, zdecydowały się nie tylko na udział w akcji Funduszu Górnośląskiego, ale jednocześnie skorzystają z naszej propozycji. W obu jednak przypadkach – potencjalni klienci zostaną dokładnie „prześwietleni”. To zrozumiałe, gdyż ani Fundusz, ani BGB nie udziela poparcia projektom chybionym bądź „podejrzanym”.*

Do pięknej przeglądającej się w lustrze

*nie przywiązuj się tak mocno
do własnego odbicia
odbicia są zmiennymi rybami
w lustrze heraklita
nie traktuj żadnego
zbyt na serio
żeby śmierć
nie potraktowała cię dosłownie
przyjdzie Wieczność
wszystko wykpi*

1996



Ballada listopadowa

*listopad to niekochana kobieta
co narzeka narzeka narzeka
rozpuściła włosy przed lustrem
i na nic już nie czeka*

*przeczytała wszystkie listy z drzew
w żadnym nie znalazła nic dla siebie
rozrzucone leżą u jej stóp
wiatr roznosi je po ziemi i po niebie*

*popatrzyła w gwiazdy a tam smutki
już na resztę życia jej pisane
więc zaniósła się wariackim śmiechem
żeby nikt nie wiedział co jest grane*

Spóźniona odpowiedź na listy Emily Dickinson

witaj droga Emily
w moim ogrodzie w Borzęcinie
gdzie po stu pięćdziesięciu latach
dotarły do mnie
twoje listy do świata
światła dawno wygasłej planety

nad moją głową dzieciot
wykuwa w gruszy mieszkanie
i błękit nieba tak nieskalany
że jest wyrzutem dla istnienia

cieszę się że myślimy tak samo
naprawdę Wielkie Wydarzenia
to nie rozwrzaskliwe
przechwałki epoki
lecz zachwyt wróbla
nad okruszyną chleba
nadejście wiosny
tak cudowne i nieoczekiwane
że nie wiadomo co począć z sercem

grzeszyłem narzekając że los
przyniósł zbyt mało odmian
a przecież nawet to co mam
to o wiele za wiele
rozmów twarzy
przeoczyłem tyle skarbów
migaty kalejdoskopy podróży
gdy ty obserwowałaś
przebijanie się fiołków przez darnię
i z każdej chwili wylatywałaś
odbicie Wieczności

witaj droga Emily
która mnie zawstydzasz
piękna duszko świerszczu w ogrodzie
swoim śpiewem bezinteresownie
wtórujący codziennej
ziemskiej krzątaniu

Lipcowy tren

Ojciec mój
któryś jest w ziemi
święć się imię Twoje
na polach i łąkach
gdzie pogwizdujesz z wiatrem
wojskową piosenkę
wymachując kosą,
po lasu widnokres
Twoją anonimową sławę
niosą po niebie skowronki
pełno Cię wszędzie.
w ogrodzie zagrodzie
na furze siana
i na polnej drodze
w obłokach Twoje twarze
odcisnęły pieczęć
gdzie tylko spojrzeć
ślady takie świeże
Ojciec mój
któryś jest
we mnie



Herb książęcy von Donnersmarck
(rys. z LINEA 1996 r.).

Pałace Donnersmarcków

ARKADIUSZ KUZIO-PODRUCKI

Państwowe Wydawnictwo Naukowe w swojej Nowej Encyklopedii Powszechnej umieściło hasło Donnersmarckowie. Choć nie obyło się bez niecisłości, faktem pozostaje, iż stało się to po raz pierwszy od czasów II wojny światowej.

W swych najdawniejszych dziejach związani byli ze Śląskiem. Dziś są rozproszeni po całej Europie, a nawet na świecie. Jednak przez ponad trzy stulecia domem dla nich był Górny Śląsk. Tutaj zbudowali swą fortunę i tutaj do dziś można spotkać ślady ich działalności. W minionej epoce o wszystkim co było ich dziełem należało milczeć, albo mówić źle. Obecnie na nowo odkrywamy przeszłość. Historii nie można jednak zmienić. Ona zawsze wróci. Najwyżej będzie trudniejsze jej odtworzenie.

SPISKI CZWARTĘK

Gdyby dzisiaj szukać domu Hencklów w Spiskim Czwartku, nie znajdziemy go. Wiemy jednak na pewno, że stamtąd się wywodzi. Świadczy o tym ich drugie nazwisko: Donnersmarck. Jest to trochę zmieniona niemiecka nazwa tej miejscowości, czyli Donnersmarkt (Słow. Spišský Štrvrtok, łac. Quintoforum). Gdyby mury mogły mówić to niewykluczone, że tamtejszy kościół parafialny pochodzący z XIII w. opowiedziałby nam o najstarszych przodkach rodu. Nazwisko niejakiego Henckel de Quintoforo po raz pierwszy zostało zapisane w dokumentach w końcu XIV w. W Polsce wówczas panował król Ludwik Węgierski, jego córka Jadwiga i później Władysław Jagiełło. Odległe to czasy.

Na soborze w Konstancji Polacy sądzili się z Zakonem Krzyżackim. Przybijający tamże cesarz i król węgierski Zygmunt Luxemburg w 1417 r. wydal dokument uznający za szlachetnie urodzonych Piotra, Jakuba i Mikołaja, sy-

nów Henckel de Quintofora. Po raz pierwszy wymieniono imiona najstarszych przodków rodu.

LEWOCZA

Przez następne dwa stulecia domem dla nich była Lewocza, jedno z najważniejszych i wówczas bardzo bogatych miast na Spiszu. Tam sprawowali kilkakrotnie urząd rychtarza, najważniejszej osoby w mieście (dziś nazywalibyśmy go burmistrzem, albo prezydentem). Podróżowali po świecie, np. Mikołaj II Młodszy w połowie XV w. był studentem krakowskiej akademii.

Jego krewniak Jan II (zmarły w 1539 roku), na pocz. XVI w. zrobił sporą karierę. Przeznaczony przez rodziców do stanu duchownego związał się z dworem czesko-węgierskiego władcy, najpierw Ludwika II Jagiellończyka, potem Ferdynanda I Habsburga. Mieszczanie lewoccy doceniając jego wpływ wybrali go na swego proboszcza. Wdzięczny postanowił zostawić pamięć miastu. Rzeźbiarz mistrz Paweł prawdopodobnie był uczniem Wita Stwosza. Na zamówienie lewoczkich mieszczan wykonał dla kościoła parafialnego główny ołtarz (gotycki, najwyższy w świecie — ponad 18 m.). U niego złożył też zamówienie Jan Henckel. W bocznej nawie stanął mniejszy ołtarz. Swym pięknem i nowatorskim wyglądem był przykładem sztuki nowej epoki renesansu. O fundatorze przypominają do dziś napisy, wymieniający go z imienia. Ostatnie lata swego życia spędził na Śląsku. Podobno przybył tutaj za namową swego krewnego Jana V Turzona biskupa Wrocławia. Ten ostatni przez wielu mu współczesnych nazywany był polskim biskupem, gdyż otaczał się Polakami. Jan Henckel umarł jako kanonik we Wrocławiu i został tamże pochowany.

W ślad za Janem II przybywali inni jego krewni. Jednak dopiero na pocz. XVII w. w czasach tragicznej wojny 30-letniej przenieśli się na stałe na Górny Śląsk. Była to zasługa dwóch Łaza-

rzy, ojca i syna. Pierwszy pożyczył cesarzowi pieniądze. Drugi doprowadził sprawę do końca i objął w posiadanie zastawione ziemie na Górnym Śląsku. Choć byli protestantami nie obawiali się robić interesów z katolickim monarchą. W ten sposób stali się panami Bytomia, Tarnowskich Gór i Bogumina. Powiększając swe bogactwo, Łazarz II Młodszy zapewnił mu też odpowiednią oprawę. Od cesarza Ferdynanda II w 1636 r. otrzymał tytuł dziedzicznego barona Rzeszy (niem. Reichsfreiherr) von Donnersmarck. Kilkanaście lat później wyniesiony przez arcyksięcia Ferdynanda Karola do godności dziedzicznego hrabiego Rzeszy (niem. Reichsgraf), a potem także został hrabią czeskim. Jako pan stanowy był nie tylko ko równy książętom, ale mógł mówić o sobie: arystokrata.

ŚWIERKLANIEC

Choć ziemia nazywała się bytom-ska, najważniejszym miastem wówczas były Tarnowskie Góry. Główną siedzibą pana stanowego był zamek w Świerkławcu. Wybudowano go już w czasach Piastów. Od XVII w. stał się domem dla Hencklów. Łazarz II Młodszy miał trzech synów. Podzielili się oni spadkiem.

BOGUMIN-CHAŁUPKI

Najstarszy Eliasz otrzymał w podziału Bogumin (czes. Bohumin, niem. Oder-berg). Na siedzibę obrał zamek nad Odrą. Jego syn Eliasz Andrzej ożenił się w poł. XVII w. z Barbarą-Heleną baronówną von Maltzan. Jego teściową została Anna-Urszula hrabianka von Hohenzollern. Jej rodzina była już głośna w Europie (panowali wówczas m.in. w Brandenburgii i Prusiech). Czy związki te pomogły Hencklom — nie wiadomo. Na pewno jednak podniosły splendor i znaczenie rodu. Możliwe, że z tego powodu wybudowano w 1682 r. na miejscu starego zamku nową rezy-

dencję. W pol. XVIII w. po wojnach śląskich dobra bogumińskie zostały przedzielone granicą. Miasto zostało po stronie habsburskiej. Zamek dostał się pod władzę Hohenzollernów. Gdy na pocz. XIX w. umierał hr. Jan Erdmann, był on ostatnim z tej linii rodu. Nie miał synów. Jego dobra dostały się po kilkunastu latach ostatecznie w ręce Rotszyldów austriackich. Oni też byli właścicielami do czasów II wojny światowej.

BYTOM

Gabriel drugi syn Łazarza II otrzymał przy podziale miasto Bytom z okolicznymi dobrami. Spadek po nim prawie w całości otrzymał trzeci z braci Jerzy Fryderyk. Jego synowie stali się założycielami dwóch głównych — nie wygasłych do dziś — linii rodu.

Starszy Leon Ferdynand po opuszczeniu Świerklańca, za siedzibę obrał Bytom. Planował wybudowanie sobie odpowiedniej rezydencji. Skończyło się jednak tylko na planach. Od mieszczańskich bytomskich zażądał oddania ratusza. Tam też urządził swój dom. Mając niezłą fantazję umieścił tam także swój zwierzyniec. Na jego postępowanie skarżono się. Jego poddani ślali pisma nawet do samego cesarza. Nic nie pomagało. Pomimo kłopotów znaczenie hrabiego wzrastało. Tuż przed śmiercią wyniesiony został do godności wolnego pana stanowego Bytomia. Od prawdziwych książąt różnił go tylko brak odpowiedniego tytułu przed nazwiskiem. Władzą i przywilejami w niczym im nie ustępował.

Cesarz, nadając nową godność, postawił jeden warunek. Musieli Hencklowie porzucić protestantyzm. Drugi wolny pan stanowy Bytomia Karol Józef Erdmann był już katolikiem. Odtąd starsza linia rodu zwana była katolicką, młodsza protestancką. Zmienił się pan i jego wiara, nie zmienili się metody rządów. Wystosowana długa lista założeń na hrabiego w 1722 r. nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Dopiero wojny śląskie nieco to zmieniły. Karol Józef Erdmann był zwolennikiem prze-

granych w tym konflikcie Habsburgów. Na początku nie zaszkodziło mu to. Jednak w 1745 r. nowy pan Śląska Fryderyk II pruski skonfiskował jego dobra. Wygnany udał się na emigrację, z której miał już nie powrócić.

KARŁUSZOWIEC

Prawdopodobnie w czasie wojen konfiskacie uległ również ratusz w Bytomiu. Zwrócono go miejskim rajcom. Syn wygnańca Franciszek Ludwik odzyskał wprawdzie dobra, ale musiał poszukać nowego domu. Stał się nim pałac w Karłuszowcu dziś dzielnicy Tarnowskich Gór (niem. Carlshof bei Tarnowitz). Nie był on zbyt długo główną rezydencją rodu.

SIEMIENOWICE

Kolejny właściciel bytomskich dóbr Łazarz III w 1768 r. obrał za swą siedzibę pałac w Siemianowicach (niem. Siemianowitz), kupiony już pół wieku wcześniej. Odtąd na następne ok. 150 lat stał się on dla nich domem.

Czas wojen napoleońskich był tragiczny dla rodziny Henckłów. W Dreźnie w 1813 r. zmarł śmiertelnie ranny hr. Karol. Jego spadkobiercą został jedyny, zaledwie dwuletni syn Hugo I. Zył prawie 80 lat do 1890 r. Były to czasy wielkich zmian w gospodarce. Hrabia nie tylko przyczynił się do rozwoju przemysłu wokół Siemianowic, Wirkia i Radzionkowa, ale również kupował nowe posiadłości ziemskie. Jego fortuna powiększała się niemalże z dnia na dzień. Synowie wspólnie zarządzili odziedziczonym majątkiem. Każdy jednak wybrał inny pałac na swój dom.

BRYNEK-KROWIARKI

Najstarszy syn Hugo II osiadł w pałacu w Brynku (niem. Brunneck). Z jego inicjatywy został on rozbudowany. Bogactwo rodu uzyskało dodatkowo wspaniałą magnacką rezydencję.

Wrz z ręką Wandy hrabianki von Gaschin przejął majątek wokół Krowiarek (niem. Poln. Krawarn, potem Preuss. Krawarn) niedaleko Raciborza wraz z tamtejszym pałacem. Jeszcze za jego życia zamieszkał tam młodszy syn Edgar. W 1911 r., otrzymał on od króla pruskiego przywilej połączenia nazwisk swoich rodziców: Henckel i Gaschin (róż ten — polskiego pochodzenia — wygasł w 1894 r.). Odtąd każdorazowo właściciel dóbr w Krowiarkach mógł się tytułować hrabią von Henckel-Gaschin.

W czasie wojny pałac w Brynku hitlerowcy skonfiskowali. Jego właściciel hr. Karol zginął w 1940 r. Jego młodszy brat Hans 2. hr. von Henckel-Gaschin, chyba nie za bardzo lubił nowe porządki w III Rzeszy. Podobno wołał zapłacić co miesiąc karę, ale hitlerowskiej flagi ze swastyką nie wywiesił na swym pałacu. Jeżeli wierzyć w te opowieści, to w dosyć oryginalny sposób walczył hrabia z Hitlerem.

NAKŁO-RAMUŁTOWICE

Drugi syn Hugona I, hr. Łazarz IV za swą siedzibę obrał pałac w Nakle (niem. Naklo). Zamieszkał w nim już za życia ojca. Z jego inicjatywy wybudowano tamtejszy kościół parafialny. On też leży na powstającym pod Tarnowskimi Górami zakład św. Jana dla nałogowych alkoholików prowadzony przez zakon OO. Kamilianów (dla szpitala miejski nr 2). Jego syn, który dożył końca I wojny światowej, aktywnie włączył się w działalność mniejszości niemieckiej w II RP. Po jego śmierci synowie podzielili się pałacami. Starszy Łazarz V osiadł w Nakle, młodszy Fryderyk Karol w Ramułowicach (niem. Romolkowitz, potem Ramfeld) między Wrocławiem i Środą Śląską. Obydwaj stracili swe domy w 1945 r.

WOLFSBERG

Najmłodszy z braci Artur przeniósł się do Karyntii, gdzie przyjął austriackie obywatelstwo. Tamtejszy śre-

Henckel von Donnersmarck (szkocki)
zgr. Adalfrida Kruza-Podrebi

Henckel von Donnersmarck
(XIV w.)

Łazarz II Młodszy (1664)
pan Bytomia, Tarnowskich Gór / Bogatnia
hans von Donnersmarck od 1636
brat brat Henckel von Donnersmarck od 1631
brat Henckel von 1641

Elżbieta (1667)
pan Bogatnia
Joanna Augustyna
(zmarła 1693)

Gabriel (1666)
pan Bytomia

Jerzy Fryderyk (1670)
pan Tarnowskich Gór / Świerklańca

Leona Przemysław (1670)
3. wolny pan stanowy Bytomia od 1697

Karol Michał (1720)
pan Świerklańca

Elżbieta Augustyna / wieniewska

Elżbieta Augustyna / wieniewska

Hugo I (1698)

Leona Jan Bogatnia (1697)

Leona Michał (1711)

Karol Erdmann (1706)

Hugo II (1708)

Leona IV (1714)

Artur (1701)

Leona Michał (1711)

Artur (1701)

Leona na Bydli / Krowiarkach
(zmarła 1708)

Leona na Bydli / Krowiarkach
(zmarła 1708)

Leona na Bydli / Krowiarkach
(zmarła 1708)

Leona na Bydli / Krowiarkach
(zmarła 1708)

Leona na Bydli / Krowiarkach
(zmarła 1708)

Andrzej (*1759)
s. Leona v. Hohenberg

Andrzej (*1759)
s. Leona v. Hohenberg

Andrzej (*1759)
s. Leona v. Hohenberg

Andrzej (*1759)
s. Leona v. Hohenberg

Andrzej (*1759)
s. Leona v. Hohenberg



Pałac w Krowiarkach (fot. A.K.-P., 1994).

dniowieczny zamek okazał się dobrym domem na bardzo długo... do dziś. Jego właściciele kontynuowali zamilowanie swego przodka Hugona I do koni i polowań. Ogromne tamtejsze lasy i parki umożliwiały to.

GRĘBOSZÓW

Poległy pod Dreznem w 1813 r. hr. Karol miał młodszego brata Łazarza Jana Nepomuka. On to wraz z ręką swej krewniczki Eleonory hr. Henckel von Donnersmarck z linii protestanckiej objął w posiadanie Gręboszów (niem. Grambschütz). Do rodziny dołączyły się one jako dziedzictwo jej matki Joanny Eleonory v. Prittwitz z Gaffron. Tamtejszy pałac przebudowany na

przełomie XIX i XX w. był wspaniałą rezydencją o barokowym wystroju. To kolejny dom Henckłów na Śląsku.

ŚWIERKLANIEC (po raz drugi)

Karol Maximilian, młodszy brat Leona Ferdynanda I, wolnego pana stanowego odziedziczył przy podziale dóbr w 1671 r. zamek w Świerkłańcu. Starszy syn Leon Maximilian w 1748 r. otrzymał odebrany jego katolickim kuzynom tytuł wolnego pana stanowego Bytomia. Niewątpliwie wzmocniło to pozycję rodziny. Jego potomkowie z linii saskiej obrali karierę wojskową. Wiktor-Amadeusz (XVIII w.) był pruskim generałem w wojnie 7-letniej. Wilhelm Ludwik Wiktor jako szef bry-

gady dowodził wojskami okupacyjnymi we Francji po upadku Napoleona. Jego następcy nie należeli do najbogatszych. Nie udało im się zbudować jednego stałego domu. Ich potomek hr. Wiktor (XX w.), jako doktor medycyny specjalizował się w radiologii. Jego prace można znaleźć w niejednej uniwersyteckiej bibliotece.

Karol Erdmann (XVIII w.) i jego spadkobiercy dążyli przede wszystkim do powiększenia swej fortuny. Gromadzili ziemie i majątki. Erdmann Gustaw był panem Świerklańca i Tarnowskich Gór. Gottlob Ernest posiadał Maciejów koło Kluczborka. Niedalekie Nagodowice należały do kolejnego z braci Gotthelfa Traugotta itd. Gdy w XIX w. nadszedł czas przemysłu, było gdzie budować fabryki, kopalnie i huty. Rozpoczął działania na tym polu hr. Karol Łazarz. Do największej jednak potęgi i bogactwa

spośród całego rodu doszedł jego syn Guido. Gdy przejmował w 1848 r. majątek – tonął w długach obciążony na hipotece w wysokości kilkuset tysięcy talarów. Najpierw uporządkował sprawy z nimi. Potem zaciągnął nowe pożyczki i szczęśliwie je zainwestował. W stosunkowo krótkim czasie przy sprzyjającej koniunkturze stał się najbogatszym na Śląsku magnatem przemysłowym. Nieobca była mu także polityka. Podobno to on obliczył, że Francja może zapłacić 5 miliardów franków kontrybucji, a nie tylko 1 miliard jak chciał Bismarck. Obaj panowie byli zresztą dobrymi znajomymi. Słowo przyjaciela przeważało. Francja zapłaciła tę większą kwotę i to w złocie. Dla takiej fortuny potrzebna była odpowiednia rezydencja. Stary zamek

w Świerkłańcu był za mały. W sąsiedztwie wybudowano pałac. Jego piękno wielu zachwycało. Nowy dom Donnersmarcków zwano „Małym Wersalem”. Wielu twierdzi, że nie może się równać rezydencji francuskiego króla-słońce. Tutaj powstała jej kopia, nie tak wielka, ale równie wspaniała. Nie pozostały nie nagrodzone jego działania polityczne. 18 stycznia 1901 r. cesarz niemiecki i król pruski Wilhelm II nadał Guidonowi tytuł pruskiego księcia (niem. Fürst) von Donnersmarck. Teraz nad nimi stali już tylko panujący. Nowo wywyższony nie musiał jednak się ich obawiać. Często przewyższał ich bogactwem. W Niemczech po Alfredzie Kruppie (jeszcze jeden jego dobry znajomy) płać drugi największy podatek fiskusowi. Jego majątek w przeddzień I wojny światowej oceniano na ćwierć miliarda marek. Sumę wówczas (i dziś) ogromną.



Pałac w Chwałupkach (fot. A.K.-P., 1995).

Jego synowie zrobili podobnie jak siemianowicy kuzyni — spadkobiercy Hugona I. Wspólnie zarządzali wszystkimi fabrykami, kopalniami itd. Każdy jednak wybrał inny pałac na swą siedzibę. Starszy Guidotto 2. książe von Donnersmarck pozostał w świerkowieckim „Wersalu”. Młodszy Kraft wybrał neorenesansowy pałac w Reptach. Niektórzy mówią, że jego wybór był lepszy. Pałac na pewno wspaniały, był bardziej przytulny i położony wśród pięknego parku.

II wojna światowa pozbawiła Henckel von Donnersmarcków ich górnośląskiego bogactwa i siedziby. Uciekali przed frontem. Różne były ich kolejne domy. Hans 2. hr. von Henckel-Gaschlin znalazł go w Kawiarkach Brazylii. Jego pałac w Krowiarkach wspaniały, o bogatym wystroju, służył wielu. Kolejni użytkownicy doprowadzili go prawie do ruiny. Dopiero zmiany po 1990 r. pozwoliły kolejnemu właścicielowi na zabezpieczenie przed dalszą dewastacją. Pałac teraz czeka na ponowną świetność.

Pałac w Brynku przetrwał wojnę. Obecnie mieści się tam Technikum Leśne. Gdy niedawno przyjechały tam córki ostatniego właściciela, ponoć były zadowolone, że pałac istnieje i służy młodzieży.

Łazarz V, ostatni pan nakieńskiego pałacu, zajął się po 1945 r. działalnością w zakonie maltańskim. Otrzymał wysoką godność Baliwa Wielkiego Krzyża. Był także przewodniczącym śląskiej organizacji kawalerów tego zakonu. Domem dla jego rodziny stała się Szwajcaria, a później i Luxemburg. Pałac w Nakle mieści dzisiaj Technikum Ogrodnicze. Rezydencja w Ramultowicach nie przetrwała wojny. Pozostały tylko oficyny.

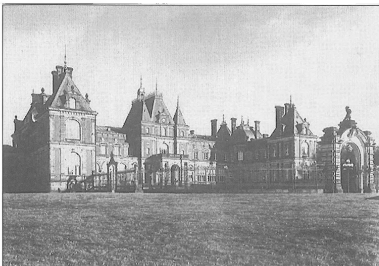
Jeszcze jeden ich dom służy dziś jako szkoła. W Karlsruhu jest Technikum Odzieżowe. W oficynach pałacowych mieści się szpital gruźliczy.

Zamek w Wolfsbergu nadal jest własnością Henckłów. Często gościli tam po wojnie uciekinierzy ze Śląska.

Hrabia Jerzy ostatni właściciel Gręboszowa jako dyplomata podróżował wiele po świecie. Dom swój znalazł w Holandii. Jego rodzina w Bawarii. Pałac w Gręboszowie nie ostał się. Wkraczający żołnierze raczyli się alkoholem z hrabiowskiego browaru. Zaprószone przez nich ognie, dokonały dzieła zniszczenia. Pozostała tylko kordegarda, a także Donnersmarckowe groby na parafialnym cmentarzu.

Hencklowie z linii saskiej wymigrowali aż do oceanu, do Stanów Zjednoczonych.

Guidotto 4. ks. von Donnersmarck mieszka ze swoją rodziną w Bawarii, a z okna swego domu ma widok na Alpy. Ma mieszkanie także w Monachium



„Mały Wersal” w Świerklańcu (fot. H. Poddeński 1937 r., ze zbiorów Inst. Sztuki PAN w Warszawie).

i w dalekim Tokio. Wspaniały pałac „Mały Wersal”, stary piastowski zamek na wyspie w Świerklańcu oraz pałac w Reptach spaliły się w 1945 r. Nobile PRL dopełnił zniszczenia. W latach 60-tych wysadzono w powietrze pozostałości zamku i pałacu w Świerklańcu. Nieco wcześniej wydana ekspertyza konserwatorska zalecała odbudowanie obiektów, a przy braku środków zabezpieczenie jako trwałej ruiny. Komuś jednak się spieszyło. Odnowiony kościółek w świerkowieckim parku służy miejscowej parafii. W Domu Kawalera jest hotel i restauracja. Na miejscu pałacu w Reptach wybudowano ogromny kompleks szpitalno-rehabilitacyjny.

W pałacu w Chatupkach mieści się hotel i restauracja. Czekaający w kolejce do granicznej odprawy mogą tutaj się zatrzymać, a nawet zostać na dłużej.

Henckel von Donnersmarckowie pomimo strat pozostali jednak arystokratami. Karol Józef, syn Łazarza V w 1958 r. pojął za żonę Marię Adelajdę młodszą córkę ówczesnej wielkiej księżny Luxemburga Charlotty von Nassau. Jako szwagier obecnie panującego wielkiego księcia Jana von

Luxemburg znalazł swój dom w Luxemburgu. Najstarszy syn tej pary hr. Andreas w ubiegłym roku ożenił się z Joanną księżniczką von Hohenberg. Pochodzi ona z bocznej linii dynastii Habsburgów. Wywodzi się od arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i Zofii hr. von Chotek, zamordowanych w 1914 r. w Sarajewie. Dla niedawno poślubionej młodej pary domem jest zamek w Wolfsbergu.



Pałac w Reptach (fot. H. Poddeński, 1937 r., ze zbiorów Inst. Sztuki PAN w Warszawie).

Jedno zdanie,
napisane
półtora wieku temu,
sprawiło,
że Gustaw Freytag
nie ma
w Kluczborku
tablicy pamiątkowej.

Wszyscy żyjemy w Kluczborku

Freytag — zanim stał się właścicielem pisarskiej rezydencji i biogramów w encyklopediach — urodził się sto metrów od kluczborskiego rynku przy obecnej ulicy Piłsudskiego. Dom stoi do dziś i ma nieproporcjonalnie okna, które celowo przerobiono po to, aby między nimi umieścić Freytagowi tablicę.

Tablica wisiała do powrotu Polski. Polska przyszła na początku 1945 roku, zmiotła z ulic Kluczborka pył wojenny i skrzywiła się nad gotykiem liter, które mówiły, że w domu — ocalałym przed niszczycielskim entuzjazmem Rosjan — urodził się Freytag. Węć tablica została surowcem wtórnym w piecu koksowniczym z opolskich hut, a jej adresata skazano na pięćdziesiąt lat zapomnienia.

Krótko przed końcem kariery Freytaga eksplozja demokracji obudziła miejscową mniejszość niemiecką, a ta przybyła do władz miasta z postulatem historycznej amnestii i ufundowania pisarzowi nowej tablicy. Władze pomysł zaakceptowały i pewnie wkrótce zyskały on trwałość metalu, gdyby nie fakt, że nazajutrz w Kluczborku rozgorzała wojna.

Pierwsze armaty wytoczył polski obóz patriotyczny, który ostrzelał mniejszość niemiecką ostrą amunicją; że Freytag uparcie zapomniał o piastowskim rodowodzie Kluczborka, że popierał pruską politykę i że był narodowcościowym daltonistą; na Śląsku widział tylko Niemców.

Mniejszość odpowiedziała pociskami dużego kalibru: Miejscem Freytaga w panteonie pisarzy europejskich, szcunkiem, jaki okazują mu redaktorzy polskich encyklopedii i dumą, która w związku z tym powinna promieniować na Kluczborku.

Zanim jednak opadł dym obydwu salw, po którym spodziewano się w mieście zawieszenia broni, a na domu przy Piłsudskiego dwujęzycznej tablicy symbolizującej pojednanie — w Kluczborku wybuchła bomba i trzeba było ściągać kontygent pokojowych sił literatury.

Bombę detonowała jedno zdanie wygrzebane w którymś z romansów historycznych Freytaga i określające Polaków jako „pijaną tuszczę”. Oooo... Herr Freytag — zaszczeli patriotci — za coś takiego to pan tablicy

mieć nie będzie. Chyba że po naszym trupie.

Węć barometry kluczborskich konfliktów polsko-niemieckich znów pokazały stan alarmowy, a sytuacji nie opanował kontygent rozjemczy w sile plutonu naukowców z Instytutu Śląskiego w Opolu i jednego asystenta z Uniwersytetu Wrocławskiego piszącego z Freytaga doktorat.

Węć wojna trwa i psuje samopoczucie burmistrzowi.

☆☆☆

Bo burmistrz Ginter Jendrszok najlepiej czuje się wtedy, gdy uda mu się zażegnać kolejny konflikt będący rezultatem kluczborskich emocji i jałtańskiej beztroski.

Salomonem został przypadkowo. Sześć lat temu — zaraz na początku kadencji — mniejszość niemiecka wmaszerowała do jego gabinetu żądając w gminie własnych bibliotek. Był rok dziewięćdziesiąty, wszyscy chodzili oszołomieni demokracją, nie było gdzie zadzwonić po radę, a tu z RFN płynął strumień książek obfitszy niż ówczesna produkcja polskich drukarni. Począta pękła od paczek, a kluczborskie bruki od ciężaru furgonetek z białymi tablicami rejestracyjnymi wożących literaturę bez wytchnienia silników. Coś trzeba było z tym zrobić. Tylko co?

Zaprotestować — znaczyło zadzwonić ze świeżej demokracji i narazić się na pokrewieństwo z komunistyczną cenzurą, ksenofobią i Bóg wie czym jeszcze. Pozwolić — wrożyło podział, który w ciągu kilku dni doprowadziłby do konfliktu. Może tylko do paru swastyk na murze i zachłapania farbą szylu niemieckiej biblioteki? Może do wybięcia jej szyby? Może...

Węć burmistrz wziął otówek i nakreślił argumenty komunalne: Adaptacja lokali, czynsze, opał, pensje dla bibliotekarzy. Po co wam to? — zapytał, celując w niemieckie zamilowanie do gospodarki. No po co? Nie prościej ustawiać regały z wierszami Rilkego i powieściami Manna w bibliotekach już istniejących?

Postulowali. Wszyscy z wyjątkiem jednej wsi, która uparła się, że niemiecki księgozbiór musi być gdzie in-

dziej niż polski. Dziś, po sześciu latach, mało kto z niego korzysta.

☆☆☆

A potem już szło łatwiej. Czasami Autochtonów i repatriantów ze Wschodu — wymieszanych w gminie jak w tyglu — udawało się rozbroić zwykłym: „Podajcie sobie ręce, a ja osobiście pójde do sklepu po pół litra”, czasem trzeba było odwoływać się do migawek z Bośni we wczorajszych wiadomościach telewizyjnych i pytać czy zwaśnione strony chcą w Kluczborku tego samego? Burmistrz przerobił jedno i drugie. Tłukł pięścią w biurko lub oddawał się koronkowej dyplomacji — jak chociażby podczas rozmów z pastorem Schroderem.

Pastor ma w Kluczborku trochę dusz, niekwestionowane zasługi kulturalne i apetyt na odzyskanie majątek, które przed wojną stanowiło majątek miejscowego kościoła ewangelickiego. Olbrzymi majątek: Kamienice, szkoły, szpitale i dziesiątki innych budynków tworzących imperium parafii, która trzęsa miastem: Kto nie był ewangelikiem nie miał szans na awans nawet na pocztę.

Tylko, że to było przed wojną, kiedy protestanci stanowili 90 procent populacji miasta. Dziś jest ich garstka, a ich kościół — mimo koncertów organowych z udziałem wirtuozów z Anglii i Japonii — jednoznacznie kojarzy się z niemieckością. Co się stanie, gdy zechce wykorzystać ustawę regulacyjną i sięgnąć po część miasta, zasiedlonego w 90 procentach przez rodziny katolickich repatriantów? Może wówczas przyjdzie przywoływać ku prestródze telewizyjne migawki z Belfastu?

☆☆☆

Burmistrz wierzy w magię stołu i rozmów. W tym roku — po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat — udało mu się posadzić przy lampce szampana byłych żołnierzy walczących w armii Andersa u boku Amerykanów i w armii Berlinga u boku Rosjan. Pretekstem była... rocznica 50-lecia pożycia małżeńskiego jednego z „neutralnych” kluczborskich kombatanów: Więźnia Oświęcimia, noszącego charyzme uczestnika sławnego apelu, na którym ojciec Kolbe ofiarował życie

za Gajowniczą. Dla tej charyzmy przysli wszyscy zaproszeni. Jedni i drudzy. Nie odrywali się do siebie, ale wzniesli wspólny toast, co graniczy z cudem. Ich synowie bez oporów piją piwo z potomkami żołnierzy Wehrmachtu, ale ockowie nigdy nie będą tego potrafić. Kiedyś zakwasa cmentarna głębie wojenną złością i pamięcią krzywd, których lekarzem jest tylko czas.

Nie ma lepszego terapeuty. Niedawno odwiedziła burmistrz delegacja wsi Smardy i burmistrz nie umiał ukryć zdumienia: Rada Sołecka postanowiła budować most przedpogrzebowy. Budować?! W Smardach! Toż przez pół wieku wieś konsekwentnie popadała w ruinę. Repatrianci zza Bugu którzy zajęli opuszczone gospodarstwa w 1945 roku, najpierw siedzieli na walizkach czekając na zmianę europejskich porządków („Jedna wojna atomowa i wrócimy znów do Lwowa”), a potem na remont poniemieckich zagrod — spleśniałych z bezczynności — było już za późno. Więc mury pokrył liszaj czasu, obsunęły się dachówki i gmina statystyka, którą Smardy zawsze zaniżały. Aż tu nagle: inwestycja.

Więc burmistrz Jendrsczok wziął głęboki oddech, żeby zamaskować wzruszenie i oświadczył: Dostaniecie pieniądze na budowę kaplicy cmentarnej, bo jest wsi niezbędna. Bo zrozumieliscie wreszcie, że skoro tu chowacie swoich zmarłych, to tu jest wasza ziemia. Od dzisiaj jesteście u siebie.

Czas potrafi aranżować historyczne wzruszenia nawet z drobiazgów. W Kujakowicach opowiadają jak sąsiad-repatriant pożyczyl od sąsiada-autochtona kosiarkę do trawy. Ten drugi przez chwilę walczył z myślami, wreszcie uznał, że przez całe życie nie można żyć obok siebie w dystansie nieufności. Pożyczył.

Kosiarka wróciła wy-czyszczona i lśniąca jakby wczoraj opuściła fabryczną taśmę. Ślązak obejrzał ją jak urządzenie z innej gałaktyki, a potem podszedł do płotu i powiedział, pokonując wrodzoną powściągliwość: Sąsiedzie, jeśli będzie pan potrzebował skosić trawnik, to proszę mnie nie pytać o zgodę, tylko brać maszynę jak swoją.

Zamiast rdzy i resztek trawy z podkluczoborskiej kosiarki przypadkowo usunieto korozję Grunwaldów, Auschwitzów i uprzedzeń.

☆☆☆

Niewierzącym w symbiozę burmistrz każe jechać do Łowkowie. Wieś, słynna z pszczelarstwa księcia Dzierżonia

i starego, sześciowiekowego miodu polskich sympatii, rychło zgorzkniała pod pregięciem powojennej władzy. Zamknęła się w śląskości, w tożsamości zawieszona między dwoma nacjami i określonej geograficznie liniami horyzontu własnych pól. Przemilczała krzywdy, przekłania „szwabskie” obelgi, przeżyła ataki repatriantów, którzy zasiedlili jedną z pobliskich osad. Była gotowa do przelewu krwi, który nastąpiłby niechybnie gdyby łowkowiczanie i sąsiedzi mieli wtedy karabiny. Powód, dla którego krew się nie polala, wyszedł na jaw dopiero podczas kadencji Jendrsczoka:

Łowkowie zgłosili postulat nazwania głównej ulicy wsi imieniem zmarłego proboszcza — księdza Rigola. — Należałem do tych, którzy głosowali przeciw — przyznaje burmistrz. Tłumaczyłem im: Ludzie, dopiero co przeszedłem wojnę o zmiany nazw ulic Kluczorka: Nowe tabliczki, pieczątki, meldunki. Zostawicie drogi w spadku dzieciom i wnukom, więc nazywajcie je jakoś rozsądnie: Jak ulica prowadzi w kierunku Buczyny — niech będzie Buczynska, jak jest przy niej szkoła — to Szkolna, albo Mickiewicza... Niechby nawet — Goethego. Byle spokojnie, neutralnie. Byle za parę lat znów nie musieli zmieniać.

Rada podzieliła ten pogląd i wniosek został odrzucony.

Mimo nieodwołalności decyzji łowkowiczanie przyszli ponownie. Po chłopsku podrapali się w głowy i powiedzieli: Panie burmistrzu, wie-

my, że mówił pan, żeby nazywać ulice imionami prawdziwych bohaterów — takich nie do ruszenia. Ale parafia nie będzie już mieć bohatera większego niż ksiądz Rigol. Wy nawet nie wiecie, ale on nas pojednał. Sprawili, że żyjemy w zgodzie z sąsiadami, z którymi się nienawidziliśmy. Ma na koncie wiele sakramentów udzielonych mieszanym małżeństwom.

Na kolejnej sesji rady gminy nazwa głównej łowkowickiej ulicy została przegłosowana bez głosu sprzeciwu.

☆☆☆

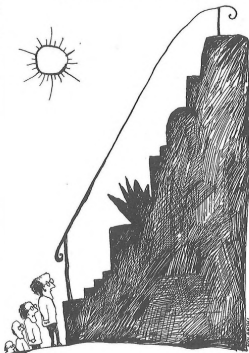
Burmistrz wierzy w tablicę Freytana Bga. W to, że kiedyś wystyną iskry, a tolerancja pozwoli ofiarować kawałek metalu jednemu mieszkańcowi miasta, który trafił do encyklopedii PWN, choć zachwycał się niemieckim drylem i nie szczędził Polakom krytycyzmu. W to, że ktoś wreszcie powie: Nie kłómy się, w końcu wszyscy żyjemy w Kluczorku.

Póki co próba obrony Freytana kosztowała burmistrza anonimy z groźbą skrzywdzenia dzieci i obietnicą przecięcia w samochodzie przewodów hamulcowych. Przez jakiś czas był pod dyskretną opieką policji.

Wypomniano też Jendrsczkowski niemieckie imię, ale takie zarzuty nie przyspieszają mu tętna. Jest Ślązakiem, pochodzi z miejscowego rodu sztucznie rozpolowionego przez

ówczesną granicę polsko-niemiecką i dysponuje drzewem genealogicznym, z którego można wystrugać kneble dla krzyżaków obu stron: Ma w rodzinie Jana Nikodemara Jaronia — polskiego poe i oficera III powstania śląskiego oraz profesor Ursulę Lehr — byłego ministra zdrowia w rządzie Helmuta Kohla.

Z tradycji rodzinnych najchętniej wspomnia opowieści o przedwojennych odpustach, podczas których rodzina spotykała się przy wspólnym stole. Jedli rolady, kluski, modrą kapustę i nie psuli sobie apetytu sporami dłażego pisarz Piontek zmienił nazwisko na Freytag. A potem — tradycyjnie obdarowani kofalcem — zegnali się i szli do domów leżących kilkaset metrów od siebie w dwóch różnych państwach.



Rys. Marek Polanski

Niedawno uczestniczyłem w kilkudniowym seminarium, zorganizowanym w Dusznikach Zdroju przez Duszpasterstwo Mniejszości Narodowych Diecezji Opolskiej oraz Konwersatorium Josepha Eichendorfa, niewiele zresze-
 nie inteligencji zwrócone głównie w przeszłość i wydobywające z niej ślady niegdyśszej świętoci kultury śląskiej, no, i wydające interesujące niskonakładowe pismo. Pismo dwujęzyczne, polsko-niemieckie. W seminarium tym brali udział duchowni pracujący w typowych śląskich parafiach, paru pracowników naukowych, kilku publicystów, działacze samorządowi i aktywiści mniejszości niemieckiej. Debata dotyczyła inteligencji śląskiej, jej znaczenia i roli w podtrzymywaniu tożsamości etnicznej i narodowej. Hasło tak szerokie, że nie dziwiła, iż referaty i dyskusje były wielowątkowe, momentami bardzo interesujące, bo dowodzące, że nie istnieje jedna, mogąca wszystkich godzić i łączyć prawda o Górnym Śląsku.

Podobnych spotkań organizuje się ostatnio coraz więcej. W Katowicach działa na przykład Klub im. Ossowskich, który do tutejszego empiu ściąga wcale liczne grono dyskutantów. Podobne publiczne, otwarte debaty zapowiedziano na kwiecień i maj w Uniwersytecie Śląskim, Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Katowicach i na zakończenie Gliwickich Spotkań Teatralnych, a godzi się podkreślić, że w tych przypadkach będą to przedsięwzięcia ludzi młodych, zdawać by się mogło - „programowo” nie zainteresowanych problematyką regionalną. Widać, jest bądź bywa inaczej.

Staram się brać udział w tego rodzaju konwentkach, bo ich uczestnicy to naturalni sojusznicy naszego mieszczyka, ludzie, dla których myślenie i mówienie o Śląsku jest czymś niezbędnym w życiu. Oni niosą w sobie pewne doświadczenia, niekoniecznie własne, bo nieraz dziedziczone, układające się w rodzaj zbiorowego losu, doświadczenia, z którymi nie mogą sobie dać rady, bo ich gniota i przytłacza, wpędzając w długi skrywane przed światem frustracje, bądź przeciwnie - nakazując uwewnętrznić własne przekonania i przeżywania, z dumą wykrzyścić swoją inność, swoją odmienność, swoją tożsamość.

Temperatura podczas takich spotkań nigdy nie jest „umiarkowana”. Dzieje się tak dlatego, że każda dyskusja teza, zwłaszcza, gdy odnosi się do historii, wspierana jest przykładami wyjętymi z biografii, własnej bądź bliższych, które przeciwstawia się prawdom „podręcznikowym”. Jest coś charakterystycznego w tym, że Ślązak, gdy przyjdzie mu spierać się o przeszłość, szukając argumentów, zawsze na końcu odwołuje się do instancji rozstrzygającej i ostatecznej, czyli pamięci o własnych, dramatycznych, nie wolnych od upokorzeń przeżyć, bądź jeszcze częściej - do pamięci rodziny. „Moja matka widziała... moja babcia opowiadała... mój dziadek doświadczył...” - oto jak zwykle rozpoczyna się taki dialog, w którym nie ma zwycięzców i pokonanych, bo

Motywy i jednych, i drugich są zrozumiałe, linie podziałów zaś często mają charakter pokoleniowy. Ci pierwsi, a przezwajają wśród nich roczniki przedwojenne, nie mogą zerwać z myśleniem stereotypowym, co w skrajnych przypadkach przybiera postać antypolonizmu lub odwrotnie - nieprzejdanej niechęci do wszystkiego, co niemieckie. Ci drudzy, na ogół już bez tych najcięższych balastów przeszłości, w śląskości widzą zbiór wartości kulturowych o uniwersalnych, europejskich dystynkacjach, zawierający jakieś nowe, być może nawet wyidealizowane, przesłanie na przyszłość, dobrze wpisujące się w realia polityczne końca XX wieku.

Konserwatyści - tak ich nazwijmy - będą hodowali w sobie urazy i kompleksy, bojąc się otwarcia, gdyż podświadomie czują, że groźba asymilacji wisi nad ich głowami niczym miecz Damoklesa. Najpełniej widać to w działaniach mniejszości niemieckiej, szukającej szansy na przetrwanie w hermetycznych gettach. Ślązacy o polskiej orientacji narodowej często postępują podobnie. To wybór naturalny, bo najłatwiejszy i historycznie uprawniony, choć grozi swoistą klaustrofobią. Za niepowodzenia i porażki odpowiedzialność spada na „obcych”, a w każdym razie - „tamtych”, których zawsze podejrzewa wypada o co najmniej złą wolę.

Na seminarium w Dusznikach doszło do konfrontacji między „młodymi” i „starymi”. Studenci opolscy, działacze młodzieżowych organizacji mniejszościowych, przypuścili atak na pokolenie swych ojców, zarzucając mu, że blokuje ich aspiracje, wypychając w takie koleiny życiowe, z których nie sposób się wyrwać. Pozostanie zaś w nich, zdaniem młodych, oznacza brak jakichkolwiek szans na osiągnięcie wyższych pozycji społecznych i zawodowych, słowem - jest równoznaczne z powieleniem losu poprzednich generacji. Wiele użytych przez dwudziestolatków argumentów było wątpliwej jakości, bo nie respektowało racji historycznych, mentalnych i politycznych, przecie jednak, tak to już jest, historia zwykle młodym przyznaje potem rację. Tym razem będzie podobnie. Zamknięcie się w obrębie ciasno wyznaczonych granic narodowych czy etnicznych może skutkować - w przypadku polskich Niemców - nową falą wyjazdów z kraju.

W szerszym, ogólnosiłaskim planie - rzecz wygląda podobnie. Tożsamość etniczna budowana wyłącznie na opozycji do tego, co zewnętrzne, więc obce i wrogie, nie wytrzyma konfrontacji z uniwersalizującym walcem, który toczy się przez Europę. On, by tak rzec, ze szczególną pieczołowitością gniecie wszelkie skanseny, w których pozoruje się normalne życie. Omija zaś te miejsca, które są otwarte na wpływy z zewnątrz, ściągając zyciową uwagę swą odmiennością i oryginalnością, wymuszającą szacunek i zainteresowanie, a nie agresję i lęk.

ścieżki i rozdroża Śląska klaustrofobia

trudno polemizować z czymś żywym, z prawdą wpisaną w biografię. Kłopot tylko w tym, że te śląskie biografie, niby do siebie podobne, w każdym przypadku czymś się różnią, zaś Ślązacy chcieliby wrzeszcze, by ich zbiorowy los został jednoznacznie nazwany i zdefiniowany. Tego zaś zrobić się nie da. Polemiczny charakter takich śląskich debat jest więc czymś naturalnym.

Zawsze jest tak - i nie inaczej było podczas spotkań w Dusznikach - że walczą z sobą dwie postawy. Jedni dążą do tego, by dokończenie śląskości służyło wyznaczeniu ostrej granicy między „naszymi” i „obcymi”. Wprawdzie podkreśla się jednocześnie, że cała historia Górnego Śląska to świadectwo tolerancji i przecinania się wpływów różnych kultur, języków i religii, to jednak istoty swej odrębności szuka się najpierw poprzez wskazanie na odmienność sąsiadów, a dopiero w drugim rzędzie - na „swojskość” śląskiego matecznika. Drudzy - szansę dostrzegają w otwieraniu się na zewnątrz, w jawnym manifestowaniu śląskich odmienności, które jednak nie łączy się z imperatywem kulturowej konfrontacji i rywalizacji.

KRZYSZTOF KARWAT

Jak to jest z tą popularnością poezji? Czy zwyciężył znany pogląd Tadeusza Peipera, iż jest muzyką dla dwunastu? Do takiego sądu można przychylić się, gdy słysząc zewsząd narzekania na topniejącą ilość czytelników poetyckich książek wydawanych w znikomym nakładzie. Ale z drugiej strony optymizm napawać mogą tłumy przybywające na wieczory autorskie Czesława Miłosa, Stanisława Barańczaka i Wisławy Szymborskiej. Zapewne w tym ostatnim przypadku przyczyniła się do tego nieoczekiwana Nagroda Nobla przyznana klasycznej już za życia poecie. Z pewnością to wyjątki ale nie jedyne. Bo równie dobrze w gąszczu urynkowanej poezji poruszają się poeci młodzi, których nazwiska jeszcze nie trafiły do podręczników literatury. Autorzy zaledwie trzydziestoletni, umownie zwani grupą „bruLionu” od nazwy tego skandalizującego czasopisma. Marcin Świetlicki, Jacek Podsiadło, Maciej Melecki, Wojciech Kuczek, by wymienić tylko tych kilka nazwisk, także potrafią przyciągać na spotkania autorskie tłumy ludzi. A czynią to w sposób swoisty, aczkolwiek znany z historii literatury.

Na czym polega to novum? Młodzi autorzy przede wszystkim zerwali z tradycją i scenariuszom wieczoru poezji z reguły składającego się z nudnawego czytania utworów, później mniej lub bardziej udanej dyskusji zrozumiałej dla znawców. Młodzi lubują się w powrocie do muzycznych źródeł poezji. Recytacja odbywa się przy akompaniamencie instrumentu jazzowego i rockowego. Saksofon, kontrabas, gitara przejęły niejako rolę starogreckiej liry. Najdalej pod tym względem poszedł Marcin Świetlicki, zakładając punkową poetycką kapelę „Świetliki”, z którą koncertuje z prawą estradowcą i nagrywa płyty nierzadym młodzieżowemu idiom. I to jest z pewnością sposób na ożywienie martwiejącej muzy autorskiego wygłaszania wierszy.

Jednak samo śpiewanie i brzdąkanie na gitarze czy łomot perkusji nie wystarczy. Wszakże poezja głównie jest pracą w słowie i tym się różni od tekściarstwa. Tę różnicę doskonale rozumieją młodzi poeci. Ich strofy odznaczają się sporym kunsztem. Tyle że młodzi bawią się słowami. Ukazują paradoksy istnienia. A że życie bywa i radosne, dlatego witalny humor służy ukazaniu jaśniejszej

Brzdąkający poeci

strony egzystencji, bez tragicznej nuty. Pozbawieni płaszcza narodowych obowiązków poeci bawią się słowem dla samej gry. Ironia nie jest podszyta politycznymi podtekstami. Historyczna chwila nie wymaga od twórców ważnych politycznych deklaracji, służenia idei, więc są ludyczni. Co nie oznacza bezideowości. Poezja najmłodszych zawiera bowiem sporo sytuacyjnych odniesień do krajowej rzeczywistości, choć pozbawionych nadmiernej socjologizacji. Działania masowe obce są młodym. Solidarnościowy idiom, który zagościł w poezji starszych na dobre, w strofach młodszych poetów przybiera oblicze prześmiewcze. Etyka wspólnoty oporu, martyrologia stanu wojennego staje się materia do tworzenia pastiszu na serio. Poprzez przedrzeźnianie podniosłych wersów liryki stanu wojennego czy też religijnego oratorstwa wyraża się pokoleniowa odrębność tych, którzy byli zbyt młodzi by przeżyć 13 grudnia uznać za swoje.

I tak to objawia się taktyka skandalu, który ściąga uwagę tłumy. Szarganie narodowych świętości, kpina nie tyle z poległych na ołtarzu Solidarności, co z konwencji lirycznego opisu cierpienia, staje się zarazem głosem

odrębności. Prowokacja pozwala wyartykułować własną poetykę, co jest nowością, a ta przyciąga publikę, która bawi się, śmieje z każdego udanego konceptu słownego wbijającego szpilę drwiny w zastępy idiom wierszy.

Kto wie, czy właśnie sięganie po tworzywo językowe w regiony mowy potocznej, niekiedy zwulgaryzowanej, nie jest największą prowokacją „bruLionowców na dziko”. Niby tak było zawsze. Szokowali ordynarnością tekstów twórcy sprzed lat czterdziestu czy dwudziestu. Jednak wówczas słowa wulgarne służyły odnawianiu prawdy życia. Poeci turpiści czy Nowej Fali w gruncie rzeczy zaznaczali swój dystans wobec przekleństw, które były tylko cytatem z rzeczywistości. Obecnie ordynarne słownictwo w strofach poetyckich traktowane jest jako równoprawne tworzywo. Wulgaryzm błuz tworzy punkt wiersza, bez której zniknąłby sens utworu. Odzywki w rodzaju: „tobie z mordy jebie” czy też „spierdalał nie jesteś poetą krajobrazu” — szokują, ale i są akceptowane, bo są mową własną autorów i słuchaczy, nas wszystkich. Dlatego nie budzą sprzeciwu, tracą moralne piętno, sięgają sztuki i stają się poezją. Czyż w gruncie rzeczy właśnie to odium zła, jego przezwyciężenie nie jest fascynujące?

Ale w tej nazbyt łatwej popularności wierszy poetów z kręgu „bruLionu” czy „Frondy”, kryje się pewne niebezpieczeństwo. Dla każdego twórcy nadchodzi bowiem czas stateczności. Nie uchodzi w nim stroić się w krótkie majteczki tuściarstwa i trwać w aureoli skandalu. Atak na literackich przeciwników zaczyna tracić sens, gdy po piętnach zacinających deptać jeszcze młodzi. Prześmiewanie ideałów niezłomności też w końcu zużywa, bo polityka zmienna jest jak Solidarność. Umumycznianie tekstów, szpikowanie wulgaryzmami przestanie budzić zdziwienie. Liczyć bardziej zacznie się wartość intelektualna tekstu, jego artyzm. Taką próbę nie każdy poeta potrafi przetrwać. Wówczas zapomina o nim publika, topnieją tłumy na spotkaniach autorskich. Zaczyna się szarżyć tworzenia dla dwunastu albo nuda poezji akademickiej.

Chyba że otrzyma się literacką Nagrodę Nobla. Ale to już przywilej nielicznych wybranych, których mniej niż pół tużina.

RYSZARD
BEDNARCZYK



Rys. Eugeniusz Rzeźniak

Ballada o wujku Franciszku

JERZY PIKUL



Mąż mojej ciotki, Franek, był komunistą stalinistą. W okresach przełomów, zwrotów, zakrętów historycznych, kiedy wydawało się jeszcze, że utrwalona przez Słoneczko Narodów socjalistyczna doktryna jest reformowalna, mąż mojej ciotki, Franek, zawsze umiał się znaleźć.

I utrzymywał się dzięki temu w partyjnym aparacie przez czterdzieści lat. Pewnie by przetrwał i ostatni polityczny przełom, gdyby nie to, że dnia pewnego nie przetrwał zdrowotnego. Zawał serca powalił go z nóg.

Mąż mojej ciotki, Franek, po prostu wykorkował.

Trzy dni trwały przygotowania do pogrzebu, w piątym pochowano wujka z wielką pompą na cmentarzu pośród akacji i olch. Ponieważ na dwa miesiące przed śmiercią, jakby przeczuwając swój kres, wujek nawrócił się, jak to mówią, do Boga, pogrzeb był katolicki. Brało w nim udział trzech księży.

Po mszy wprowadzono trumnę ze zwłokami z kościoła i cały kondukt pomaszzerował na cmentarz.

Stałem z daleka i patrzyłem jak trumna po dętej celebrze znika ot w dół. Zrobiło mi się smutno. Nie żebym żałował wujka Franka.

Służył idei nie wierząc w nią. Na spotkaniach rodzinnych opowiadał kawały o komunistach, nagrażając się z nich w żywe oczy. Ale na akademiach zawsze stał w pierwszym szeregu. Machał ręką i uśmiechał się z trybun pierwszomajowych. Wtedy oddany był komunizmowi jak nikt.

Wieńc, jak widzicie, nie służył idei, ale samemu sobie, swej nienasyconej pazerności na pieniądze, swej pazerności na prestiż i władzę. Był sprytnym lawirantem, spadającym na cztery łapy chytrym kotem.

Wieńc kiedy złożono go do grobu, zrobiło mi się smutno nie dlatego, iżbym bardzo żałować miał, że umarł, lecz metafizycznie tak, eschatologicznie jakoś.

Po pogrzebie siedłem koło ciotki przyglądając się od czasu do czasu jej zaplakaną twarz. Znajdowaliśmy się jeszcze na cmentarzu.

Ciotka powiedziała:

– No i widzisz, Krzys! Żyje się, a potem umiera.

– Amerykę ciocia odkryła – odpowiedziałem dość gburnie, gdyż nie lubię gdy ktoś opowiada dyrdymały.

– Co, nie wierzysz, że tak właśnie jest? – zapytała głupawo. Ze się żyje, a potem umiera?

– Nie – odpowiedziałem.

– Więc jak jest według ciebie? – zapytała z powagą.

– Najpierw się żyje – odrzekłem – a potem... już tylko straszny.

Przechodziliśmy koło jakiegos grobu. Była to wysoka murowana budowla, pod którą spoczywała pięcioosobowa rodzina. Kiedy mijaliśmy ten wielki grób, nagle na nogę ciotki skoczył z jego dachu duży czarny kot.

– Ojej! – krzyknęła ciotka i przytuliła się do mnie. – O Jezu!

– Spokojnie, ciociu – zareagowałem. – To kot.

Rys. Wojtek Łaski

- Tak - odrzekła. - Lecz wystraszyłam się.
I rzeczywiście. Ciotka mówiła prawdę. Jej twarz zmieniła barwę na dosłownie białą.

- Nie ma się czego bać - rzekłem i obejrzałem się za siebie. W mig spostrzegłem, że kot idzie za nami. Lecząc w grubie rzeczy za ciotką, gdyż włókł się przy jej nodze lewą stroną alicy.

- Idźcie za nami - oznajmiłem spokojnie.

- Kto? - zapytała ciotka drząc jeszcze.

- Kot.

- Kot? - zdziwiła się.

- Tak - odpowiedziałem. - Za tobą, ciociu.

Nie mówiłem tego, żeby ciotkę nastraszyć jeszcze bardziej, ale wyraźnie widziałem, że kot patrzył na nią swym wielkim czarnym spojrzeniem, i że ona tylko spośród wszystkich ludzi go interesowała.

Kiedy doszliśmy do cmentarnej bramy, ciotka mając dość towarzysztwa kota, który odprowadził ją aż do samego muru, powiedziała odwracając się:

- A psik! A pójdziesz ty, czarnuchu wstrętny.

Kot oparł się na tylnych łapach, spojrzał na ciotkę, zamruczał głośno i dał dyla w cmentarne zarośla.

Upłynęło parę dni. Ciotka, jak to w zwyczajach bywa, chodziła przez cały czas cała na czarno. Ten jej czarny kostium denerwował mnie. Także czarna chusta przykrzywiająca jej głowę. Po prostu nie lubię czarnego koloru.

Raz wróciła ciotka z pracy ogromnie przerażona. Usiadła rozdygotana w fotelu i jął opowiadać.

- Idę ja sobie ot z pracy do domu.

- I co, ciociu? - przerwałem. - Diabeł wyskoczył zza krzaków? A miał kopyta?

- Nie - mówi ciotka.

- Nie miał kopyt?

- Nie o kopyta chodzi - besza mnie ciotka.

- Więc o co, ciociu?

- Kot - mówi ciotka. - Kot wybiegł zza krzaków.

- Jak? - pytam, gdyż ta historia zaczyna mnie interesować.

- Czarny duży kot - odpowiada. - I tłusty!

- Tłusty?

- Cholemnie!

- To może ten... z dnia poprzedniego?

- Tamten? - pyta ciotka. - A też był tłusty?

- Też, ciociu.

- No to ten sam - mówi cicho z rezygnacją i strachem w głosie. - Ani chybi.

- I co? - pytam. - Szedł za ciocią?

- Tak - odpowiada z płaczem. - Przynajmniej kilometr. W końcu zdenerwowałam się. A psik, mówię, przeczehło. A poszedł ty! Ale ten zaparł się na tylnych łapach, spojrzał na mnie swym diabelskim spojrzeniem, zamruczał głośno i czmychnął gdzieś między parkowe drzewa. Pędziłam do domu jak oszalała. Czego, bestia, ode mnie chce? Mam nadzieję - dodała pochlipując - nigdy go więcej nie spotkać.

Ale nadzieje ciotki, jak tyle innych nadziei występujących na tej planecie, nie spełniła się. W kilka dni później wróciła ciotka z pracy tak samo przerażona.

- Kot! - krzyknęła od progu. - Znowu ten czarny kot.

- Ten sam? - zapytałem.

- Nie mam wątpliwości.

- I mówi ciocia, że chodzi wyłącznie za nią?

- Tak - odpowiedziała bez wahania.

- Jest ciocia pewna?

- Obserwowałam go - odpowiedziała. - Zdaje się, że nie ma jednego zęba na przedzie - dodała patrząc na mnie spod oka.

- I co, ciociu?

- Nic - odrzekła. - Wypadnie Bóg wie skąd. Tak jakby furka była jakaś w powietrzu. Potem idzie za mną. Kilometr albo dwa. A potem znika. Też Bóg wie gdzie. Pewnie je też furcie. O Jezus Maria. Nie wytrzymam dłużej.

- A może to... wujek Franek? - zapytałem, ale chyba bardziej biorąc ciotkę pod włos, niż z przekonaniem, że to naprawdę wujek.

- Co wujek Franek? - zapytała z niepokojem.

- No, może to wujek... zmienił się w kota?

- Franek?

- Tak, ciociu.

- Eeeee - powiedziała ciotka. - Też ci przyszło do głowy.

- Wujek Franek - rzekłem - też był cholemnie gruby.

- No - zachnęła się ciotka. - To jedyna rzecz, którą go może łączyć...

- A żęby, ciociu? - zapytałem. - Wujek Franek też nie miał jednego zęba na przedzie.

Była to prawda. Ciotka spojrziała z trwogą, zrobiła znak krzyża. Któregoś dnia siedziałam na murku z kumpami i opowiadaliśmy o dziesięciu, bo akurat skończyłem czternaście lat i śmiertelnie byłem w jednej zakochany. Po uszy. Całe dnie i noce myślałem o niej. Opowiadałem właśnie o tej zabójczej miłości i nagle na podwórku między blokami zauważyłem ciotkę.

Szła w tej swej czerni i wyglądała jak zakonnica. A za ciotką jak gdyby nigdy nie maszerował ot sobie czarny gruby kot. Nie miałem wątpliwości, że to ten, co skoczył ciocie na nogę na cmentarzu.

Ciotka bez przerwy ogłądała się za siebie, krzyczała:

- A psik! A psik!

A kot szedł za nią dalej nie sobie nie robiąc z faktu, że ona nie życzy sobie jego towarzysztwa.

W pewnym momencie usłyszałem, jak mając go dość, krzyknęła wniebogłosy:

- Franek! A zostaw ty mnie w spokoju, do jasnej cholery. Słyszysz? Zostaw mnie, na rany Chrystusa.

- Ciociu! - krzyknęłam.

- No - westchnęła patrząc jak na deskę ratunku. - Szczerbie, że jesteś. Weź tego kota, bo zwariuje. Przeognoł go na koniec świata.

Więc pobiegłem za nieszczeniściem do miejsca, gdzie ciotka odprowadzała nad nim swoje egzorcyzmy. Ale nim dobiegłem, zniknął mi z oczu. Pewnie wskoczył, pomyślałem, przez piwniczne okienko do któregoś z bloków.

W każdym razie nie spotkałem go tego dnia więcej, choć wszyscy razem, a było nas czterech, urządziliśmy obławę.

Lecz to nie miał być jeszcze koniec tej historii.

Któregoś dnia siedziałem w domu po południu i czytałem Dziennik Camusa, którą uważałem za najpiękniejszą książkę świata. Nagle usłyszałem za drzwiami głos ciotki. Odożyłem książkę i pędem wybiegłem na korytarz. I tam ujrzałem ciotkę z bladą jak ściana twarzą, z rozwianym siwym włosiem, stojącą nad czarnym kocurem, który patrzył na nią wulgiastymi oczyma. Na przedzie rzeczywiście miał dziurę w zębach. Mógłbym przysiąc, że w tym samym miejscu, co wujek Franek.

- Franek! - wrzeszczała na całą klatkę schodową ciotka. - Prosiłam Franek, żebyś zostawił mnie w spokoju. Jesteś bez serca. Cóż ja takiego złego uczyniłam. Byłam dla ciebie dobra. Wychowałam na ludzi dwoje twoich dzieci. A kiedy umarła siostra, wzięłam na wychowanie Krzysztofa.

To o mnie, pomyślałem, mówi teraz ciotka.

Nie chciałem jej przerywać, nie chciałem tamować słów, które płynęły jej z gardła.

A kot ani drgnął. Stał i patrzył, i słuchał.

- Franek! Proszę cię - mówiła ciotka. - Daj mi święty spokój. Inaczej dostanę kota. Och, co ja mówię. No widzisz, już zwariowałam na dobre. Idź sobie w każdym razie, gdzie cię oczy poniosą. Zamówię mszę za twoją duszę. Ale daj mi żyć! Słyszysz to słowa, pożałowałem nagle, że wspominałem ciocie, iż ten kot to wujek Franek. Zrobiło mi się wstyd, że postąpiłem niegodziwie. Tymczasem ciotka ustawała:

- No idź, proszę cię. I daj mi spokój!

I wtedy ten kot, jak stał dotychczas, i patrzył, i słuchał, tak teraz cofnął się o krok i zawrócił, i zbiegł po schodach klatki.

I nagle wtedy, w jednym oka mgnienia, poczułem się jak odczarowany. Bo do tej pory stałem w bezruchu słuchając słów ciotki.

Kiedy się więc ocknałem, na łeb na szyję popędziłem za tym czworonogiem. Ale nie znalazłem go nigdzie, choć przeszukałem wszystkie kąty i piwnice, i wszystkie załomy podwórka. Kot zapadł się pod ziemię.

Wróciwszy na górę, zastałem ciotkę wstrząśniętą do łez, rozmodloną, zagłębioną w Biblii leżącą na jej podłokiu.

A co z kotem? Nie wiadomo. Nigdy więcej nie zakłócił już spokoju ciotki, nie spotkała go już ani razu. Ani na cmentarzu, który odwiedzała bardzo regularnie, przynajmniej raz w tygodniu, ani w parku, ani na żadnym skwerze, gdzie wysiadywała, ani też na żadnej z ulic naszego miasta, którymi chodziła aż do swojej śmierci.

Dzięki archeologii filmowej zdaje się, że znajduwane są kopie starych filmów sprzed dziesięcioleci, które uznawano za bezpowrotnie stracone. Nie jest rzeczą wykluczoną, że może kiedyś odnajdzie się także kopia „Inżyniera Szerudy” w reżyserii Józefa Lejtesa.

Niedługo przed wybuchem II wojny światowej aż 2 reżyserów filmowych zainteresowało się głośną wtedy powieścią Gustawa Morcinka „Inżynier Szeruda”, wydaną w 1937 roku. Najpierw debiut Jerzy Gabryelski rozpoczął realizację „Czarnych diamentów”, korzystając wyraźnie z powieści śląskiego pisarza, lecz bez jego zgody i współpracy. Morcinkową zgodę na ekranizację otrzymał bowiem Józef Lejtes, uznawany słusznie za najlepszego polskiego reżysera filmowego z okresu II Rzeczypospolitej. W efekcie latem 1939 roku powstawały równocześnie dwa filmy rozgrywane się w podobnej scenerii górniczej. Żaden nie zdążył wejść na ekrany przed wybuchem wojny.

Za powieścią Morcinka film Lejtesa prezentował historię inżyniera Jana Szerudy i jego nieszczęśliwej miłości na tle katastrofy kopalni. To powieść romansowa, lecz poprzez postać bohatera osadzona silnie w realiach górniczych. Dodajmy, że te same motywy, miłość i katastrofa w kopalni, tyle że inaczej rozłożone, znajdujemy również w „Czarnych diamentach” Gabryelskiego. Jeśli jednak „Czarne diamenty” szczęśliwie ocalały podczas wojennej zawieruchy i znajdują się dzisiaj w zbiorach Filмотeki Narodowej w Warszawie, to sprawa „Inżyniera Szerudy” przedstawia się nader zagadkowo.

Z fragmentarycznych informacji wiadomo, że Lejtes rozpoczął realizację filmu w połowie 1939 roku. Spotykał się wtedy z Morcinkiem na Śląsku, a podczas zdjęć plenerowych w Cieszynie przedstawił mu Elżbietę Barszczewską i Jana Kreczmara, którzy grali główne role. Scenariusz filmu napisali wspólnie Lejtes, Stanisław Urbanowicz i Bohdan Popławski, a jego producentem był Stefan Nasfeter, stryj znanego powojennego reżysera Janusza Nasfetera. Zdjęcia kręcił Stanisław Lipiński i Seweryn Kruszyński, którzy współpracowali także z Gabryelskim przy „Czarnych diamentach”. Przy obu filmach pracowali także ci sami dekoratorzy, Jacek Rotmil i Czesław Piaskowski.

Niedługo po wojnie Morcinek oceniał pozytywnie współpracę z Lejtesem i jego „Inżyniera Szerudę”, powiadając wtedy (w 1947 roku) na łamach branżowego „Filmu”, że „przyszła wojna i film prawie już ukończony spłonął w Warszawie podczas powstania”. Nie wyjaśnił wszakże, czy spłonęły materiały negatywowe czy też może gotowe już kopie.

wędrowki po kinie Zagadkowy Szeruda

Również sam Lejtes, który miał na koncie tak głośne tytuły jak „Młody las”, „Granica” i „Dziewczęta z Nowolipiek”, zaliczał „Inżyniera Szerudę” do swoich najlepszych filmów, wspominając iż wyciągnął z tej pracy „dużo satysfakcji”.

Po wielu latach Józef Lejtes, który po wojnie wyładował w Hollywood, napisał w 1964 roku w liście do Barbary i Leszka Armatysów, że pracę nad montażem „Inżyniera Szerudy” przerwał z powodu braku pieniędzy i rozpoczął realizację innego filmu, którego też zresztą nie zdążył ukończyć.

„Niestety, wojna przerwała zdjęcia – pisał Lejtes do Armatysów – i do montażu »Szerudy« nigdy nie doszedłem. Kilka lat później dowiedziałem się, że Niemcy jakoby zmontowali »Szerudę« i wypuścili go na swoich terenach. Co się stało z negatywem i jakie były dalsze losy tego filmu, nie wiem”. I to w istocie wszystko, co może służyć dalszej spekulacji.

Szkoda, że Lejtes nie podał źródła tej pogłoski o wyświetlaniu filmu przez Niemców. Ale nie wydaje się to niemożliwe, bo Niemcy istotnie wprowadzili na ekrany Generalnego Gubernatorstwa kilka polskich filmów, które nie zdążyły wejść na ekrany przed wrześniem 1939 roku,

by wspomnieć „Żołnierza królowej Madagaskaru” w reżyserii Jerzego Zarzyckiego.

Jednak dotąd nie znalazłem potwierdzenia sugestii reżysera. W każdym razie, nie ma „Inżyniera Szerudy” na zestawionej pieczętówce przez Jerzego Semilskiego liście tytułów wyświetlanych podczas okupacji w Krakowie. Z innych obszarów takich okupacyjnych repertuarów nie mamy.

Wprawdzie biograf Lejtesa, Jacek Cybysz napisał wprost, że Niemcy zmontowali i udźwiękowili „Inżyniera Szerudę”, a potem eksploatowali na terenach Rzeszy, lecz opiera się najwyraźniej na wspomnianym wyżej fragmencie listu Lejtesa. O żadnych innych źródłach, w każdym razie, nie wspomina.

Ktoś, kto chciałby wyjaśnić tę zagadkową kwestię, musiałby zbadać archiwalia niemieckie i żmudnie przeglądać repertuary kin z okresu wojennego. Jednak film niekoniecznie musiał wejść na ekrany Generalnego Gubernatorstwa. Być może wyjaśnienie zagadki kryje się w tym zdaniu, w którym Lejtes sugeruje, że Niemcy wypuścili film „na swoich terenach”. Co miał na myśli w tym zdaniu? Czy wszystkie tereny kontrolowane przez Niemców? Czy okupowaną Polskę? A może właśnie tylko Rzeszę, jak to ujął Jacek Cybysz? Jedna nieznaczna sugestia, a tyle możliwości interpretacyjnych.

W gruncie rzeczy nie jest wcale pewne czy materiały negatywowe dostały się w ręce Niemców i czy można wierzyć Morcinkowi, gdy wspomina, że film spłonął podczas powstania. Wiadomo, że wytwórnia „Falanga”, będąca producentem „Inżyniera Szerudy”, posiadała w Warszawie dwa studia przy Trębackiej i Chopina oraz laboratorium przy Leszczyńskiej. I wiadomo także, że studio przy Trębackiej spłonęło całkowicie od wybuchu bomby zapalającej już we wrześniu 1939 roku. Sugestia Lejtesa staje się uprawniona tylko przy założeniu, że negatywy nie trzymał przy Trębackiej. Jeśli było inaczej, dalsze hipotezy nie mają najmniejszego sensu.

Jeśli „Inżyniera Szerudę” trzymano gdzie indziej, pozostaje zagadka. Jeśli negatyw filmu spłonął w powstaniu warszawskim, to sprawę możemy uznać także za zamkniętą. Ale jeśli Niemcy rzeczywiście zmontowali film i wypuścili choćby tylko parę kopii ekranowych, to nie jest wcale rzeczą wykluczoną, że jakaś kopia odnajdzie się kiedyś w zagranicznej filмотece albo w zapomnianym magazynie na przedmieściu.

Chciałbym wierzyć, że tak się kiedyś stanie.

JAN F. LEWANDOWSKI

Gorzko o szkołach teatralnych

**Reżyser teatralny
(w przeciwieństwie do filmowego)
zagadnięty na jakikolwiek temat,
powinien bez względu
na porę dnia czy nocy,
udzielić potocznej odpowiedzi.
Mniejsza o jej spójność i logikę...
z co większych bzdur
zawsze można się wycofać
na następnej próbie albo
w innym czasopiśmie.
Poproszony więc o wypowiedź
na temat tajemnic
wydziałów reżyserii
w szkołach teatralnych
natychmiast chwyciłem za pióro.**



Rys. Ryszard Twardoch

„Tego się nie da nauczyć”

JAN RÓŻEWICZ

Musimy pamiętać, że teatr jest, przede wszystkim, sztuką formy. Naczelnym zadaniem szkoły teatralnej, jeśli chce ze studenta zrobić profesjonalistę, jest nauczanie go form i stylów, przygotowanie do działania w teatrze narodowym. Termin „teatr narodowy” może mieć różne znaczenia, niektórzy utożsamiają go z teatrem akademickim. Dla mnie jest to po prostu teatr reprezentujący najwyższe kwalifikacje artystyczne. (Hm... hm). Dlatego mody reżyser-student powinien być z miejsca rzucony na głęboką wodę, musimy mu dać szansę na naukę poprzez pracę w zawodowych zespołach teatralnych. W tym eklektycznym zawodzie człowiek staje się doktorem wszech nauk. W szkole stwarzamy mu warunki rozwoju, choć oczywiście może się też kształcić sam. Jest mnóstwo różnych kursów, paraukelni, studiów — ale akademia artystyczna ma za zadanie przygotować artystę odpowiedniego, mającego na celu nie tylko własną karierę, lecz chcącego kroczyć w awangardzie Polskiej Kultury. Teatr jest pełen ludzi rozczarowanych, potrzeba im autorytetów. To rola uczelni! Wszyscy chcą zmieniać teatr, ale te zmiany trzeba zacząć od siebie! (Okłaski! Ociecam zimny pot z czoła i piszę dalej). Widzę szkołę teatralną organi-

zowaną na zasadach Akademii Platonskiej jako miejsce, w którym ludzie działają w specyficznej atmosferze intensywności, gdzie studenci różnych wydziałów i lat nawiązują ścisłe kontakty a temperatura tych kontaktów nie wynika z zaprogramowania, czy wymagań pedagogów lecz tworzy się w sposób spontaniczny.

Na wydziale reżyserii odkrywamy wiele dróg prowadzących do twórczego fermentu. Zapraszani są specjaliści z wielu dziedzin, którzy razem ze studentami rozważają różne aspekty dzieła teatralnego, nie ograniczają się oni do punktu widzenia literackiego, bądź scenicznego. Nie, ich uwaga skupia się na analizie i stopniowej syntezie, na odnajdywaniu wyższego uporządkowania różnych znaków i symboli z zakresu filozofii, psychologii czy psychoanalizy oraz teorii literatury. Zadaniem profesora jest zorganizowanie tych wszystkich aspektów jak w soczewce i skierowanie, wykorzystanie do rozwiązywania poszczególnych problemów, jakie zawiera materiał dramatyczny. A zadaniem ogólniejszym, posłannictwem jest nauczanie młodego człowieka miłości do teatru w sobie a nie siebie w teatrze... jak zwykł mawiać nauczyciel nas wszystkich — Stanisławski.

Trudne, trudne zadanie! W ogóle czuję, że dwu czy trzyosobowy klub moich fanów, do których przypadkowo dołączył ten tekst czuje się mocno zaniepokojony. Spokojnie — powyższe okrzyki, hasła i pragnienia nie są moje. To wy-

ciąg, mikstura z wypowiedzi kilku rektorów i dziekanów naszych wyższych szkół teatralnych. Ci artyści, otoczeni powszechnym szacunkiem i mający ogromny dorobek w różnych dziedzinach, nie stronią jak widać od patosu —

ale bez tego w teatrze nie da rady. Rzeczywistość jest może mniej piękna, ale to o bardziej interesującego. Rozdźwięk pomiędzy szczytnymi ideałami, założeniami a praktyką zaczyna się już przy egzaminach wstępnych. Tak się składa, że

zdałem do PWST warszawskiej i krakowskiej. W obu wypadkach moimi informatorami na temat formy egzaminów, ich treści i dalszego przebiegu studiów, byli ludzie prowadzący te uczelnie. Wysokie koneksje skończyły się dla mnie fatalnie — ale to już inna bajka. Egzaminy miały być spotkaniem dorosłych ludzi, równych sobie intelektualnie a różniących się wiekiem i doświadczeniem. Starzy specjaliści od teatru sprawdzają, po prostu, przedpoczępcze w tym kierunku młodych specjalistów z bardzo różnych dziedzin. Otóż, ostrzegam, że dużym błędem jest próba wykazania swojej równości w czymkolwiek wobec komisji egzaminacyjnej. Moi dwaj nieszczęśliwi przyjaciele, z których jeden był specjalistą od Witkacego a drugi przez parę lat prowadził teatr studencki zostali skasowani w pierwszej turze egzaminów za arogancję. „Panowie u nas niechcą się nie nauczyć - usłyszeli - przecież wiecie już wszystko”. Spotykamy się z ważnym problemem. Członkowie komisji najczęściej prowadzą zajęcia na obu wydziałach - aktorskim i reżyserkim. Mają świadomość, że to są zupełnie inne parafie, ale ciągle o tym zapominają.

Wiedza jest substancją ulotną i najbardziej zasłużony profesor musi być przygotowany na klęskę w sporze teoretycznym z młodym człowiekiem, który dopiero co napisał pracę o „Teorii dzieła sztuki teatru w semiologicznym modelu humanistyki”. Takie spotkanie powinien doświadczyć pedagog przyjął z radością i nie chować w sercu urazy. Niestety bardzo często w podświadomości uczących tkwi odwieczny nakaz - „teatr wymaga pokory”. Pomijam fakt, że pokora aktora i reżysera powinny być zupełnie różne, ale szkoda mi zdolnych, młodych ludzi, którzy pożegnali się z uczelnią już na jej progu, bo gremium oceniających, zbyt pewne i zdecydowane wypowiedzi, uznało za „urazające towarzysko”. Swobodna wymiana poglądów mająca równocześnie na celu sprawdzenie wiadomości kandydata jest jak najbardziej wskazana pod warunkiem, że przygotowana jest również komisja. Improwizacja w teatrze odgrywa ogromną rolę, ale dobrze byłoby, gdyby całe wieloosobowe „ciało oceniające” orientowało się, o czym w danej chwili mowa. Innym problemem jest właściwie pojęta solidarność członków komisji. Nie może być tak, że zasłużony reżyser ocenia zdającego, na niedostateczny, a jego koleżanka - specjalistka od teorii dramatu na bardzo dobry. Lub odwrotnie. Dlatego ktoś, nie wiem kto - jakaś siła wyższa - powinien zadbać o to, aby osoby zasiadające w komisji nie znajdowały się w stanie permanentnej wojny. Bywa bowiem, że dwaj zasłużeni dyrektorzy teatrów, bawiący się w pedagogów, przez całe lata wymieniają złośliwe ciosy a sińce zostają na wrażliwości i życiorysach studentów. Animożje takie szkodzą sprawie. Pisałem o notabach wprowadzających mnie w życie szkoły. Otóż było tak, że rozmawiając z zupełnie sobie obcym młodzieńcem, rektor mówił nie najlepiej o dziekanie i vice versa. Prawił jeden: *„Dziekan jest człowiekiem oschłym, nieprzyjemnym, ale zna swój fach!”*

A dziekan na to:

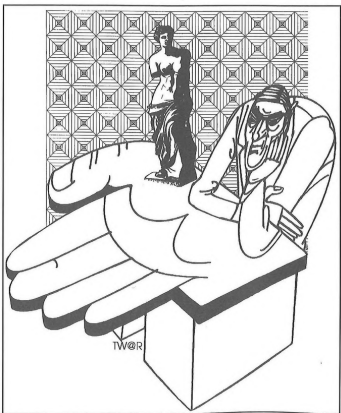
— *Rektor bywa niekonsekwentny i przeciążony obowiązkami, ale kocha swoją pracę!*

Pytanie, po diabła człowiek oschły, nieprzyjemny czy niekonsekwentny, bierze się za nauczanie, czynność wymagającą cech zgola przeciwnych. zachowaniem dla siebie. Zaniepokoił mnie fakt, że ludzie, których podziwiałem jako widz teatralny, a którym miałem zaufać na cztery lata jako student, są wobec siebie nielojalni. Wiem, artyści mają mało miodego w sercach. Czasem podziwiam się i chwalę wzajemnie, ale jakoś tak się składa, że poeta dobrze mówi o malarzu, rzeźbiar o filmowcu, muzyk wynosi pod niebiosa powieściopisarską, aktor hold oddaje scenografowi itd. Nie zdarzyło mi się natomiast przez dwadzieścia lat robienia w tym fachu, usłyszeć reżysera dobrze mówiącego o innym reżyserze. Nie, przepraszam, był taki wyjątek. Mój przyjaciel Helmut Kajzar, otwarcie podziwiał niektórych swoich starszych i młodszych kolegów. Ale Helmut odszedł i nikt nie zastąpił go... nie tylko pod względem etycznym. Tymczasem na egzaminach semestralnych, polegających na demonstrowaniu przez studentów przygotowanych przez siebie scen, dzieją się rzeczy straszne. Nie chodzi już o to, że młody człowiek może usłyszeć: „praca z aktorem znakomita, no ale to są przecież zawodowi aktorzy i od pana niczego się nie nauczyli, niestety pańska interpretacja jest błędna, niedostateczny” - albo odwrotnie. Najgorsze jest, kiedy na korytarzu podchodzi do niego cze-

rech z sześciu członków komisji i wszyscy unisono zawodzą - dawno nie widzieliśmy tak znakomitej sceny!

- *Dlaczego więc państwo jej nie broni- li? - pyta pobladły student. - Niestety, wie pan jak to jest, z K. nikt nie wygra!*

Oczywiście po takim numerze student już „wie jak to jest” i dochodzi do słusznego wniosku, że nie ma co się wysilać, bo kryteria oceny jego pracy po prostu nie istnieją, a nawet gdyby istniały można by wrzucić do kosza, skoro jedna opinia przeważa pięć pozostałych. W ogóle ten typ egzaminów jest wielką loterią. Jedno jest pewne, prowadzący zajęcia, który powinien kontrolować ewolucję poszczególnych scen, musi czuć się współodpowiedzialny za nie, skoro dopuścił do ich demonstracji w czasie egzaminu. Nawet gdyby miał się narazić rozmaitym potęgą. Tutaj dotykamy jeszcze jednej ważnej a ciemnej sprawy. Jak zrobić, żeby naukowcy w PWST byli całkowicie niezależni? Interesy w niewielkim światku teatralnym popłatane są jak korzenie w lesie mangrowym, nie mówiąc już o tym, że dla aktora pensja wykładowcy może być rzeczą znacznie droższą, niż baśni o sprawiedliwości i obiektywizmie. Zresztą pewne sprawy są nierozwiązywalne. Jak na przykład ma się zachować prowadzący, który wie, że wrażliwa i pracowita studentka przez dwa miesiące pracowała dzień w dzień ze swoimi kolegami z wydziału aktorskiego nad jakąś trudną sceną, która na egzaminie nie znajduje uznania w oczach komisji? Równocześnie widzi, że jego



Rys. Ryszard Twardoch

koledzy na celujący oceniają pracę lotra, który za ukradkowe wdowom i sierotom srebrniki skrzyknął bandę zawodowców z renomowanego teatru i w dwie piane noce zmusił ich do nauczania się tekstu. Jak się zachować? Przecież nie można wolać o sprawiedliwość, bo w piekielnym świecie teatru nie takiego nie istnieje, liczy się jedynie efekt. Nieszczęsny pedagog zostaby wymiany przez członków własnego stada. A może jednak po prostu coś z tym zrobić, bo to przecież jeszcze nie Teatr tylko Szkoła? Każdy nauczyciel musi sobie sam dać radę z tego rodzaju wątpliwościami. Większość macha ręką i dochodzi do wniosku, że szkoła teatralna jest miejscem dla twardej i pomysłowych. Pewnie dlatego na każdym korytarzu spotyka się tu wiele znakomitości z przeróżnych dziedzin sztuki, ale pedagoga można szukać ze świecą. Po prawdzie zresztą studenci nie tęsknią za Mistrzem, ale za kimś kto umie uczyć, albo od kogo można się czegoś dowiedzieć, co wcale nie jest jednoznaczne. Nikt przystojny nie będzie twierdził, że nauczyciel się dużo na zajęciach profesorów Tischnera, Korzeniewskiego czy Kantora, ale uwielbialiśmy ich zajęcia - bo byli ciekawymi ludźmi.

Różnie różni uczyli. Niektórzy nie uczyli w ogóle. Znakomity kompozytor, mający nas zaznaczyć z muzyką w teatrze, mignął nam gdzieś raz i to z daleka. Nie mieliśmy do niego żalu, bo wiedzieliśmy, że jest rozorywany. Ulatwił nam życie, sami wpisując sobie zażalenie. Geniusz od krytyki literackiej tak był przejętym barokową w różnych gremiach, że trzykrotnie, w ciągu trzech tygodni powtórzył nam ten sam wykład. Nie wyprowadziliśmy go z błędu, ciekawi czy poczyni jakieś zmiany w intonacji i gestykulacji, lecz był bezzębny. Doszliśmy do wniosku, że profesor jest sztuczny, poruszany jakimś tajemniczym mechanizmem. Pewien artysta teatru w randze dyrektora, nie krył przed nami, że myśli mu się zaczynać mająć, jeżeli co dwadzieścia minut nie strzeli czegoś mocniejszego. Ponieważ prowadził zajęcia indywidualnie, każde z naszej szóstki (tyle nas było na roku) odbywało zajęcia w innej knajpie. Nauczyć się niczego nie nauczyliśmy, ale było wesoło a Mistrz, trzeba mu to przyznać, zawsze za siebie plał.

Wróćmy do refleksji, że „zapraszani są specjaliści z wielu dziedzin (...) których zadaniem jest zogniskowanie jak w soczewce itd...” Prawda, dziedzin są rozliczne, gorzej z ogniskowaniem... Zaczynamy od indeksu, znajdziemy tam: zagadnienia estetyczne, elementy etyki, teatru i dramatu, inscenizację i reżyserię, muzykę w teatrze, lektorat językowy, pracę z aktorem, elementy teorii kultury, elementy filozofii współczesnej, prawo teatralne, plastykę w teatrze, historię dramatu polskiego, angielskiego, powszechnego, współczesnego (?), kulturę języka itd... itd. Ba, ja miałem jeszcze „wybrane zagadnienia nauk politycznych” - ale to chyba już przeszłość.

Wiedzy teoretycznej nigdy dość. Zawsze doznaję pewnego zawstyżenia rozmawiając z kolegą, tóreum, „Craig” kojarzy się z marką australijskiego piwa a „Reinhardt” wyłącznie z generałem SS. Podejrzewam, że czas w którym magistrów nauk humanistycznych i innych od

nowa uczy się analizy wiersza lub interpretacji zakończenia „Zemsty” jest zanurzony. W ciągu jednego dnia można pochłonąć setki informacji — bardzo ważnych, ale jeżeli każdy nauczyciel uprawia tylko własne poletko i cały ten ładunek wiedzy nie jest w jakiś sposób ukierunkowany, to przedsięwzięcie przestaje być produktywnie. Powiem więcej, specjalista od muzyki w teatrze powinien oczywiście nauczać o Wagnerze, Strawińskim i Radwinie. Jego kolega, scenograf wyczerpująco musi omawiać rolę Appia, Kandynskiego czy braci Proszacko — to są podstawy. Tych przedmiotów uczyć naprawdę wybitni artyści, jednak młody reżyser z dyplomem często nic nie wie o tajemnicach studia nagrań, ani o pulapkach, jakie na dźwięk potrafi zastawić przestrzeń teatralna. Obecnie są paskudne właściwości różnych materiałów, odbijających światło w zupełnie nieoczekiwany sposób, nic nie wie o możliwościach łączenia różnych elementów plietkowej scenografii. Uczy się tego w praktyce — na własnej skórze, na skórze zespołów i widzów. Oczywiście ma to do pomocy pozostałych członków świętej teatralnej trójcy: muzyka i scenografia. Twórcy ci mają często własne, śmiałe pomysły, może się w nich oduzić tęsknota do eksperymentu! Wtedy na ruinach przedstawienia pozostaje młody reżyser, który podpisał cyrograf w ich imieniu.

Przepraszam, to już tematy pozaszkolne. Wróćmy do sprawy „zogniskowania jak w soczewce”. O co mi chodzi? Ano o to, żeby pani od dramatu wiedziała co w danym okresie przerabia spec od inscenizacji, a gdyby w tej wiedzy mieli również udział wykładowcy innych wymienionych dyscyplin, rzecz całą zaczęłaby nosić znamiona pewnego systemu, a nie partyzancki. Jedynym słowem: Mistrzowie i Nauczyciele zapoznają się ze sobą, koordynując swoje działania i umiejscawiając je w program, w realizacji którego możecie się pięknie różnić, ale cel, choćby mglisty, niech będzie wspólny: użreć nie zagadnienia dramatologiczne w całej jego wieloaspektowości. Może w tym brać udział nawet pan od wf-u, naprawdę.

Jeśli chodzi o praktykę „rzucanie studenta na głęboką wodę”, rzeczywistość jest bardziej złożona. W grę zaczynają tu wchodzić takie elementy etyki, na które w profesjonalnym teatrze nie bardzo jest miejsce. Odbijający asystentów reżyser student (takie trzy są przewidziane) może odnieść trwałe okaleczenia zawodowe. Kto kocha teatr, wszystko zrozumie i wybaczy — zakrzyknie ktoś patrzący na te instytucje jak na sympozjum pięknych i wzniosłych duchów. Pewnie, że wszystko zrozumie i wybaczy, ale od prowadzącego staż reżysera będzie zależało czy jego asystent zacznie podchodzić do zjawiska z cynizmem czy z pełnym zrozumieniem zaangażowaniem. Reżyserzy związani ze szkołą mają obowiązek przyjąć pod swoje skrzydła dwóch, trzech asystentów i „opiekować się” nimi, w czasie realizacji swojego przedstawienia. Mistrz, oczywiście, skupiony na swoim dziele nie ma czasu (choćby na niego miał zamiar) bawić się w pedagoga. Asystent jest wykorzystany na etapie pracy przy stoliku. Tu może zaproponować jakieś ciekawe skreślenia, czy nawet odmienne interpretacje. Zlecane mu jest poszukiwanie dodatkowych źródeł, grze-

banie po słownikach i encyklopediach. Coś! Kiedy próby przenoszą się na scenę, asystent wykorzystywany jest głównie jako posłaniec, łącznik z uczelnią, facet serwujący kawę, nudzi! Pamiętaj tu rzadkie wypadki zauroczenia, kiedy każda chwila spędzona z Mistrzem jest dla studenta rozkoszą i ważną inspiracją. Podobno zdarzają się tacy ale ja, znający nieźle cztery roczniki tego dzwinnego i dość podejrzanego towarzystwa z niczym podobnym się nie spotkałem. Kiedy student się nudzi, zaczyna działać na własną rękę. Zaprzyjaźnia się z aktorami, technicznymi, a nawet z administracją... i wtedy łatwo może ułuszczyć o swoim Mistrzu-Reżyserze opinie nie nadające się do druku. Młody człowiek zaczyna mieć wątpliwości. Bo jeżeli wszyscy jakoś mówią o koryfeuszach reżyserii jako o niezłym despicie i cymbale, to może coś w tym jest. Dlatego reżyser-pedagog powinien ze swoim uczniem stworzyć chłubiłby cień partnerstwa, czasem go wysłuchać, a nawet posłuchać. Mnie uświadomił uczniowi jak wielka samotność i odpowiedzialność ciąży nad wykonawcą tego zawodu... Wojciech Siemion po jakiejś niezbyt udanej próbie zapytał:

— *„Słuchaj, jak znosisz to, że wszyscy cię w teatrze nienawidzą?”*

— *„Mnie?”* — byłem trochę zdziwiony.

— *„Wszystkich reżyserów, bez wyjątku, no bo to można czuć do gościa, który mówi ci co masz robić, jak masz myśleć, decyduje o wszystkim, a sam...”* — tu Wojciech machnął ręką.

Sprawa ostatnia, naprawdę ostatnia, bo spraca pismna jest po warsztacie i dyplomie scenicznym ostatnim akordem studiów, potem już tylko egzamin końcowy — i dalej w świat, z licencją w kieszeni... Otóż młodzi koledzy mówili mi, że coraz częściej udaje się tę „pisemną pulapkę” ominąć, nie bardzo sobie wyobrażam jak, ale jeżeli coś takiego rzeczywiście ma miejsce, to niedobrze. Całe te studia polegają na gadaniu i patrzeniu. Bywa, że człowiek wprawdzie władający piórem wychodzi po czterech latach studiów jako ktoś używający tego narzędzia tylko do skreślenia w tekście i podpisywaniu umów. Przez kilka lat byłem kierownikiem literackim teatru i żądno z licznych poznanych przy okazji reżyserów nie udało mi się skłonić do napisania kilku słów, które mogłbym zamieścić w programie. A płaćtem dobrze! Po prostu, inteligentni i wykształceni ludzie woleli się powstrzymać od wyrażania swoich myśli na piśmie, a pisanie zmusza do pewnej dyscypliny intelektualnej, od której wolne jest ulotne słowo mówione.

Szkoła teatralna to miejsce trochę niebezpieczne ale i piękne, jak tropikalna dżungla. Trzeba tu mieć wystraszony wzrok, słuch, węch, mocne zęby i pazury, grubą skórę — prócz tego nie zaskodzi poczucie humoru i talent. Ponieważ nie zdarzają się istoty mające te wszystkie cechy naraz, więc każdy inaczej przeżywa konfrontację z tą uczelnią. Niektórzy nie przeżywają, ale spróbować warto! Dlatego Panie i Panowie, jeżeli macie odwagę i jakieś pojęcie o tym, co chcielibyście zrobić w teatrze — zdawajcie do PWST!

„Sława i światłość wielkich narodów: czeskiego, polskiego, węgierskiego, przetrwałej i najczystszej, kapłan i męczennik Chrystusów, Wojciech... narodu onego, od sławy nazwanego, słowieskiego, z Czechów idący, zanie i z królami krwią spójne rodzice miał, których on chwale i stan wielki święci świętym i dziwnym żywotem swoim duchowym okraszył i wślawił”. Tak zaczyna się ks. Piotra Skargi „Żywot świętego Wojciecha arcybiskupa gnieźnieńskiego męczennika sławnego ze starodawną od jego rówieśnika mnicha benedyktyna barzo uczenie napisany w Rzymie w klasztorze św. Cecylii należony, i z kronik polskich wybrany...”.

W rodzinnym kalendarzu dzień 23 kwietnia jest od wieków dniem tego świętego, biskupa, męczennika, pierwszego patrona Polski. Podług tradycji dokładnie tego dnia Prusacy... porwawszy św. Wojciecha, siedm wódców w nim utopili i rozsiekawszy, na drzewo zawiesili roku Pańskiego 997, co stało się w niezidentyfikowanej do dziś miejscowości Romowe, nie opodal ujścia Wisły?, Pregoly?, lub na Półwyspie Sambijskim (Truso). I choć tak dokładna data dzienna budzi kontrowersje co bardziej nieufnych historyków, data roczna nie podlega dyskusji. W bieżącym roku miało dokładnie tysiąc lat od tamtych wydarzeń.

Wojciech (955?-997), na Zachodzie znany pod imieniem Adalbert (które stało się łacińskim odpowiednikiem Wojciecha, choć nie ma z nim żadnego związku etymologicznego), pochodził z czeskiego książęcego rodu Sławnikowiczów z Libic, święcenia kapłańskie przyjął w Pradze ok. 981, w roku 953 został biskupem Pragi, później mnichem benedyktyńskim w Rzymie. Po otrzymaniu zezwolenia na pracę misyjną wśród pogan udał się w 997 roku do Prus, zatrzymując się po drodze na dworze Bolesława Chrobrego. Równie szlachetny, co genialny polityczny gest Chrobrego, który wykupił i sprowadził do Gniezna zwłoki Wojciecha, miał istotne dla przyszłości młodego państwa praktyczne konsekwencje. Śmierć poniesiona w misji apostołskiej zapewniła pierwszemu słowiańskiemu męczennikowi sławę w całej Europie. Głośna podróż cesarza Ottona III do grobu Świętego (kanonizowany prawie natychmiast — w r. 999), zbudowanie potem kościołów jego imienia w Akwizgranie i Rzymie, tę część tylko wspomnę.

Krótki pobyt św. Wojciecha w Polsce pozostawił w rodzimych tradycjach liczne ślady. „Gdy św. Wojciech szedł z Krakowa do Gniezna” — bo tak zaczyna się większość podań — głosił Ewangelię w różnych miejscach, w których zbudowano jego kościoły, kapliczki, w których odprawiał msze i czynił różne cuda.

Nie mniej żywym echem odbiła się postać św. Wojciecha w tradycji ludowej na Górnym Śląsku wczesnie przecząc oderwanym od dziedziny Piastów. Istnieje cały szereg zapisanych bardzo dawno legend związanych z podawaniem w wątpliwość przez licznych historyków tutejszym pobylem Świętego. Tak jak w folklorze ogólnopolskim i na Śląsku znajdziemy miejscowości, w których się zatrzymał, głosił Ewangelię, zakładał kościoły. Podług zapisanej w XVIII w. legendy, św. Wojciechowi zawdzięcza swe powstanie Opole. A jeśli nie samo miasto, to w każdym razie kościół p.w. św. Marii i Wojciecha na „Górcie”, o czym

pejzaż mitologiczny

ŚWIĘTY WOJCIECH NA GÓRNYM ŚLĄSKU - MILLENIUM

ANTONI HALOR



Św. Wojciech na ryc. z icones miracula sanctorum polonorum (ok. 1600 r.)

informuje kronika Opola F. Idzikowskiego z 1863 r.: „Św. Wojciech... przybył również do Opola i głosił kazania z szczytu wzgórza, nawrócił wielu i spowodował zbudowanie w tym miejscu kaplicy (ecclesiola) na cześć NMP”. Z jego osobą wiązano również znajdującą się tam, dziś wyschniętą studnię, z wodą jeszcze w XIX w. cieszącą się sławą uzdrawiającą: „Gdy pewnego dnia wokół Świętego stłoczyła się wielka liczba ludu pragnącego... otrzymał sakrament chrztu, stało się, że brakło mu wody. Ufny w boską Opatrzność ujął w dłoń parostół i uderzył nim w ziemię. I oto ze skały trysnęło żywe źródło... Niebawem Święty doznał w kramie Prusów męczennickiej śmierci. Minęło od tamtych wydarzeń wiele pokoleń, ale źródło przy kościele św. Wojciecha wciąż bije”. Ale już wariant tej legendy, zapisany w latach 20-tych z objaśnieniem: „źródło św. Wojciecha rozbudowano w głęboką studnię” informuje, że: „Studnia zachowała się do dziś, ale źródło, które ją ongiś karmiło, wyschło” (jak się zdaje jeszcze przed I wojną światową).

W południowej nawie bocznej katedry wrocławskiej pod ścianą prezbiterium można oglądać, stojącym tam od niepamiętnych czasów, walcowaty blok granitowy, którego brzegi spina szeroka żelazna obroż. Na górnej powierzchni kamienia widoczne są wgłębienia w kształcie stóp naturalnej wielkości: „Kamień św. pierwotnie znajdował się w Opolu. Stał na nim podobno bosymi stopami święty Wojciech, gdy głosił na Górnym Śląsku słowo Boże. Jego stopy w cudowny sposób odcisnęły się w twardej skale... Jeszcze sto lat temu kamień otaczała głęboką czcią. Było w wzywaniu że wierni całowali go nabożnie”. Istnienie tego wzywania potwierdził nie zachowany dziś dokument z XV wieku.

Stojący w Łagiewnikach obłomek starego krzyża kamiennego jedno z licznych związanych z nim podań łączy z pobylem Świętego. Biskup praski wygłaszał miał kazania również w pogańskiej wówczas Jemielnicy, w pow. strzeleckim. Tamtejszą świątynię boga wojny zamienił w kaplicę „zaś wizerunek bożka wtrącił do pobliskiego stawu”. W zagonionym wrocławskim rękopisie z 1846 r. Lompa zanotował: Gdy św. Adalbert (Wojciech) zdążył z Opola w głąb Polski przez Dobrodzień, ów kościół właśnie zaczęto wznosić. Biskup pobożnie sławił budowę i rzekł: Jak długo będzie istniał ostatni drewniany kołek, tak długo w miejscowości tej nie pojawi się zaraza... Tamże w innym miejscu znajduje się studnia, a obok niej kapliczka... z wizerunkiem Świętego. Podług legendy ustawiono ją w miejscu w którym miał prawić kazanie.

Kościół pielgrzymkowy w Czarnowasach zawdzięcza swe powstanie uczniom św. Wojciecha, którzy: ścilił święte dęby, a z ich drewna zbudowali kaplicę... Natomiast własnoręcznie miał św. Wojciech, o czym czytamy w Triesta (1864). Sporo miejsca poświęca tej legendzie Ludwik Musiol w monografii historycznej gminy i parafii, w rozdziale „Ludowa tradycja o pradawnym istnieniu kościoła w Bujakowie” (w odróżnieniu od wielu innych historyków) utrzymujący, że: „Z itinerarium tego św. męczennika za wierząc chrześcijańską wiarę, że udawał się w swoją podróż do Prus z Moraw, i stamtąd na pewno droga jego wiodła też przez Śląsk Górny.”



Foto: Stanisław Jakubowski

Komu jest potrzebna edukacja regionalna?

— Edukacja regionalna... Kilka lat temu, w okresie zachłyśnięcia się wolnością rozdzieli się wspaniałe plany rozwoju tego przedmiotu. Co zostało się z tych planów — jak z tym jest dziś?

— To wszystko posunęło się znacznie do przodu. W wielu szkołach naszego województwa nauczyciele opracowali i realizują własne, oryginalne programy edukacji regionalnej. Są też gminy, które w siódmej klasie wprowadziły przedmiot dodatkowy, w wymiarze jednej godziny tygodniowo (Zory, Knurów). Istnieją gminy, które realizują zajęcia pozalekcyjne, bądź tylko jedną godzinę lekcyjną dodatkowo, w konkretnej szkole, tam gdzie jest nauczyciel przygotowany nauczyciel, który gwarantuje odpowiedni poziom lekcji. Natomiast generalnie, rzeczywiście nie wprowadzono tej edukacji we wszystkich szkołach naszego województwa.

— No właśnie. Przede wszystkim — o ile wiem — brak do dziś nowoczesnej, prawdziwej i obiektywnej syntezy dziejów Śląska. Były przymiarki, próby, lecz książka taka nie powstała. Podobnie jak nie ma podręcznika geografii, czy odpowiedniego kompendium wiedzy o kulturze regionu.

— Chcę powiedzieć, że trafiała już do szkół znacząca pomoc. Myślę o podręczniku „Polszczyzna w szkole śląskiej” wraz z ćwiczeniami opracowanym przez Helenę Synowiec i Bożenę Czastkę-Szymonową. Książka będzie doskonale służyć zarówno dzieciom posługującym się na co dzień gwara, jak i przyjeźdnym, które tej gwary nie znają. Jest tu słownik gwary, jak i krótkie kalendarium z zakresu kultury śląskiej. To jakby pierwsza jaskółka. Ukazała się również i jest do nabycia w księgarniach „Geografia województwa katowickiego” Renaty Dulias i Adama Hibsiera. Jak sam podtytuł wskazuje, jest to pomoc do nauki geografii w szkole. Co do historii. Istnieje dziś wiele niezłych opracowań popularnych. To nie jest tak, że nauczyciel kompletnie nie ma z czego korzystać, musi tylko troszeczkę poszukać w bibliotekach. Musi po prostu chcieć.

— Tutaj wkraczamy na grunt przeszkód subiektywnych. Często się słyszy, że nasi nauczyciele są raczej niechętni nowemu przedmiotowi, inni natomiast są zbyt słabo przygotowani, by realizować własne, oryginalne programy autorskie.

— Nauczyciele faktycznie nie byli na studiach przygotowani do nauczania takiego przedmiotu jak wiedza o regionie. Dopiero od kilku lat na Uniwersytecie Śląskim wykładana jest historia naszej ziemi jako przedmiot. Na polonistyce dotąd nie ma obowiązkowych zajęć z literatury regionalnej. Wraz z Wojewódzkim Ośrodkiem Metodycznym organizujemy w tym roku już piątą edycję kursu doskonalącego dla nauczycieli historii. Dotąd ukończyło ten kurs około 200 pedagogów. To właśnie oni stali się

gorącymi zwolennikami edukacji regionalnej. Ich praca daje już pierwsze owoce, a ich wychowankowie są z reguły laureatami rozmaitych konkursów i przeglądów.

W Instytucie Socjologii Uniwersytetu Śląskiego uruchomiono niedawno Podyplomowe Studium Wiedzy o Regionie. Studium ma charakter wybitnie interdyscyplinarny, a jego absolwenci z pewnością wkrótce wesprą wysiłki niezbyt licznej na razie grupy nauczycieli-pasjonatów.

Niestety takiego doskonalenia nie prowadzi się jak dotąd na uniwersyteckiej polonistyce. Bardzo dużo natomiast robi się na Wydziale Geografii UŚI. Zakładem dydaktyki tego wydziału kieruje energicznie profesor Maria Rulinowa. Autorzy wspomnianego podręcznika są właśnie z tego zakładu.

Intensywnie pracuje Rada Edukacji Regionalnej. Jest to zespół złożony z 21 osób, są to zarówno naukowcy z wyższych uczelni jak i nauczyciele-metodocy. Do końca kwietnia tego roku chcemy opracować podstawowy program edukacji regionalnej przeznaczony dla tych szkół, które we własnym zakresie nie były w stanie takiego programu opracować.

Wszyscy dyrektory śląskich szkół deklarują, że edukacja regionalna jest na Śląsku bardzo potrzebna. Natomiast gdy przychodzi im sformułować jej cele, odpowiedzieć na bardziej szczegółowe pytania, na przykład: jakie wydarzenia, jakie postacie, czy zabytki wydają im się warte spopularyzowania — na formularzach przeprowadzonej niedawno ankiety sondażowej pojawiły się puste miejsca. Dlatego myślę, że najważniejszą barierą jest właśnie kwestia wiedzy oraz świadomości. A przecież od dyrektorów szkół i nauczycieli-praktyków w najwyższym stopniu zależy, czy nowy przedmiot na dobre zagości w naszych szkołach.

— Czasem słyszy się tezę, że edukacja regionalna byłaby zagrożeniem dla integralności państwa polskiego. Czy rzeczywiście? Jaki jest stosunek MEN do tego problemu?

— Stosunek ministerstwa jest obecnie bardzo pozytywny. Już od półtora roku obowiązuje w szkołach program ministerialny „Dziedzictwo kulturowe w regionie”. Władze oświatowe wprost zachęcają do wdrażania tego przedmiotu. Niedawno Kuratorium Oświaty, Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka i Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego zorganizowały dla dyrektorów szkół i nauczycieli wydziałów edukacji w gminach, wojewódzką konferencję nt. „Dziedzictwo kulturowe regionu jako wartość w edukacji”. Uczestnicy wysłuchali m.in. referatu wizytatora MEN, Ewy Repsch, współautorki wspomnianych założeń programowych. Pogłoski o niechętnym podejściu MEN, to powielanie zwierzytałych stereotypów.

Z naszych ankiet wynika natomiast, że właśnie tu u nas bardzo niski jest stan świadomości regionalnej. Wielu nauczycieli nie zdaje sobie sprawy z wagi problemu. Wербalnie wszyscy są zgodni, że ta edukacja jest potrzebna, natomiast robi się stanowczo zbyt mało. Za mało jest rozmaitych form kształcenia i doskonalenia nauczycieli.

— Tradycje nauczania o małej ojczyźnie liczą na Śląsku blisko 200 lat. Ogromne osiągnięcia miała na tym polu szkoła niemiecka. Warto odnotowania są także działania polskich nauczycieli podejmowane zarówno w okresie międzywojennym jak i — mimo licznych trudności i szykanów — także w okresie powojennym. Czy nie należałoby skorzystać z tego dorobku?

— Tradycje są rzeczywiście wspaniałe, istnieją określone wzory. Trudno jednak korzystać z nich bezpośrednio. Nauczyciele, którzy zgłaszają się na nasze kursy doskonale o tym wiedzą. Świat się przecież zmienia, uczniowie są inni niż kiedyś. Trzeba zatem dostosować metody nauczania do współczesnych potrzeb. Muszą to być formy aktywizujące, zajęcia lekcyjne muszą być atrakcyjne. Cieszy, że wiele samorządów sfinansowało produkcję kaset video opowiadających o danej gminie, czy mieście. Są one lepsze lub gorsze, bardziej lub mniej profesjonalnie zrobione, ale nauczyciele i uczniowie bardzo chętnie z nich korzystają.

Do sieci bibliotek pedagogicznych trafiło właśnie bardzo interesujące opracowanie o śląskich tańcach ludowych. Z tego co wiem telewizja ma przygotować cykl programów poświęconych dziedzictwu kulturowemu Śląska. Bardzo daje się natomiast we znaki brak wypisów z literatury regionalnej. To ogromnie wdziczne zadanie, ba wyzwanie dla śląskich polonistów. Generalnie jednak muszą stwierdzić, że ciekawych i wartościowych pomocy dydaktycznych jest coraz więcej, rośnie też liczba odpowiednio przygotowanych nauczycieli. To dobrze rokuje na przyszłość.

— Dlaczego zatem wprowadzenie nowego przedmiotu jest w województwie katowickim takie trudne? O niektórych barierach była już mowa. Jakże jeszcze przeszkody należałoby pokonać? A może edukacja regionalna jest na Śląsku zbędna, po prostu niepotrzebna?

— Edukacja ta jest nam oczywiście potrzebna i to bardzo. Ale jej wprowadzenie musi potrwać. Jest to pewien proces. Musi to być oddolna, dobrowolna inicjatywa pedagogiczna. Dlatego tak wielką rolę mają do odegrania dyrektorzy szkół. To oni powinni zachęcać i inspirować nauczycieli. Stwarzać im odpowiednie warunki do pracy, umożliwiać podnoszenie kwalifikacji. Dobrze jeśli w danej placówce szkolnej jest przynajmniej jeden taki nauczyciel-pasjonat. Idealnie jednak byłoby gdyby w proces nauczania o małej ojczyźnie włączyło się większe grono nauczycieli. Gdyby to, co uczeń usłyszy, powiedzmy na lekcji polskiego, czy historii, współgrało z tym, o czym dowiaduje się na geografii, czy wychowaniu muzycznym.

Na szczęście są w naszym województwie takie wspaniałe Szkoły. Jak chociażby Szkoła Podstawowa nr 1 w Bieruniu, SP nr 33 i 47 w Katowicach, szkoła w Rudach Raciborskich, wiele szkół tyskich, czy przykładowo LO w Pszczynie, które doskonale dają sobie radę. Nie wszystkie jednak są takie. Tymczasem to oczywistość, nawet banał, że w nauczaniu trzeba wychodzić od tego, co uczeń widzi wokół siebie, w swoim najbliższym otoczeniu. To jest jego świat.

Paradoks polega na tym, że dziś śląskie dziecko często wie sporo o dalekich, egzotycznych krajach, a nie ma pojęcia o tym co działo się kiedyś na jego ulicy, w jego miasteczku, wsi, czy pobliskim lesie. Ten niedobry stan rzeczy pragniemy zmienić.

— Dziękuję za rozmowę.

Bilans

*Tyle samo niepewności
co spokoju*

*Tyle samo bezsilności
co poczucia mocy*

*Tyle samo zagubienia
co pewności dróg*

*Tyle samo rozpacz
co radości*

*Tyle samo modlitwy
co złorzeczenia*

*Tyle samo nadziei
co zwątpienia*

*Tyle samo goryczy
co marzenia*

*Tyle samo spełnienia
co niespełnienia*

*W rubryce: tęsknota
— bezmiar
i już więcej nic*

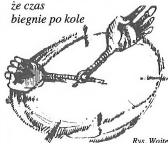
*Urodziłam ci dziecko
jak chciałeś
młode drzewko*

*Listki słów nieśmiało szeleszczą
ocierają się o cienie znaczeń*

*Wszystko było jak w księdze
ty On i ja —
naczytnie naczytni*

Prośba

*Otul mnie
cieplem słów
Zatrzymaj rwący potok spraw
na chwilę
a potem
dotykem drżących rąk
przepędź niepokój
i powiedz raz jeszcze
że czas
biegnie po kole*



Rys. Wojtek Łuka

Szekspir w Bytomiu

Z baru „Hamlet” wychodzą kolejni pijani
nad barem „Hamlet” dziś majowa burza
grzmot jak kara Boska
deszcz jak łaska Boska
pod barem „Hamlet” czteroletnie dziecko
myje stopy i ręce w kałużach

zanim postawi pytanie
o być albo nie być
ma spore szanse
zostać prostytutką
ucząc się bycia
pod barem „Hamlet”

z trzeciego piętra
poprzez ścianę deszczu
widzę ją
śliczną
kruchą
jakby to było wczoraj

a
czteroletnia
musi się domyślać
że krąży nad nią nieśmiala modlitwa
jak niewidzialny parasol
jak jastrzęb przyjazny
gotowy do obrony i ataku.
Może ją uratuje przed wyrokiem???

a
czteroletnia
musi się domyślać
bo co chwilę zadziera głowę do góry
i mruży oczy.
A przecież
nie świeci słońce nad barem „Hamlet”
nigdy.
Trwa pijana burza
i żadne światło nie przegląda się
w ciemnych majowych kałużach

30 maja 1995 r.



Rys. Wojtek Łuka

Regina

(Sørenowi Kierkegaardowi
którego kochać trzeba)

uciekam regino
przed tobą
w siebie
i po za
horyzont

tonę
w oceanie
melancholii
którą podtrzymuję
jak
ogień

bóg
regino
jest ucieczką moją
miastem schronienia
i tym
który ściga mnie
odkąd
tylko sięgam pamięcią

to ja
regino
nie ty
Jestem tym izaakiem
zapatrzonym
w szaleństwo
ojca

ojca...

bądź zdrowa
kwiecie
mojego obłędu
chwał boga w dzień
i
w noc

mój ojciec mieszka
na górze
moria
w jego dłoni
sztylet a
w oczach
zastygłe pytanie

ale to nic

zaśpiewajmy razem bogu
halleluja
regino
skoro już przysłaś
do mnie

1. Z każdym, nowo przeczytanym, tomikiem młodego poety — odzywa we mnie, ciągle ponawiane przy różnych okazjach, pytanie o kształt liryki generacji, która wstąpiła do naszej literatury po roku 1989. Pytanie to między innymi tym mocniej, im bardziej uświadamiam sobie fakt, że oto mija już osiem lat od pierwszych ważnych artykulek pokoleniowych, a wciąż słyszyny głosy zdumienia, jak gdyby nowa liryka dopiero ustawiała się na pasie startowym. Pojawili się (i to niejednokrotnie znakomite) pierwsze próby syntezy dokonania „trzydziestolatków”, a mimo to nadal panuje niepodzielnie Rogardziasz Interpretacyjny i nikt nie myśli go dekonstruować.

Krytyk, który pisze o najnowszych zjawiskach w liryce, w efekcie wciąż znajduje się w paśmie nieciągłości. Ni by wie, do czego odnieść konkretną praktykę twórczą, w jakim polu tradycji ją ułokować, a przecież nadal woli pisać o wierszu (tomiku, poecie) z perspektywy wartości autonomicznych. Izoluje wiersz (tomik, poetę) od innych wierszy (tomików, poetów), stwarza hipotazę wartości tam, gdzie tych wartości może nie być, bądź też gdzie są one nader lichy. Rzadko zdarza mi się przeczytać recenzję, w której nakreślono by (choćby i fałszywie) perspektywę aksjologiczną dla omawianego zbioru, w której próbowano by dociec, w jakie kierunki dana praktyka twórcza biegnie.

2. Wzemy choćby klasycystów, których mamy w nowszej poezji polskiej bez liku. Dlaczego się pojawili, jak tłumaczyć ich dzisiejszą obecność? Czy są oni wyłącznie dobrymi uczniami dawnych Mistrzów, czy może ich twórczość jest znakiem zupełnie innego rodzaju? Nikt nad tym poważnie nie zastanawia, nikt nie próbuje dociec sensowności owego ruchu u schyłku wieku — przecież raczej zdegenerowanego, niechętnego tradycji i nastawionego na to, co przyniesie dzień kolejny, równie chaotyczny jak poprzedni. A tymczasem, jak mi się wydaje, powód pojawienia się — w tak zmasowanej grupie — klasycystów po roku 1989 jest zrozumiały.

Pierwszy ruch należał wtedy do „poetów codzienności”, którzy odnaleźli się na łamach „bruLionu”. Początkowo stanowili oni grupę podobną Skamandrowi, jakkolwiek można było w jej obrębie znaleźć i współczesnych futurystów (krąg totartu) i ekspresjonistów (pacyfistyczni WiP-owcy z Jackiem Podsiadłą na czele), i nawet postawianych gardowych metafizyków, hojnie czerpiących z Krynickiego (przykładem niech służy poeta Jakuba Ekiera). Dominowali jednak „poeci codzienności”, ci — według Mariana Stali — z linii Białoszewskiego.

Wystąpili oni z programem aneksji do liryki świata jaki jest, łącznie z jego językiem, również tym dalekim od kulturalnej normy. Postanowili przekroczyć zasadę obowiązującą powszechnie i tylko przez niektórych negowaną, iż słowo kolokwialne jest niepoetyckie. Pokazali, że jest na odwrót, i że tym właśnie, co posiada sankcje prawdziwo-

Starty i falstarty

Klasycyzm końca wieku

ści jest konkretne w swoim kształcie słowo pospolite. Twórczość „bruLionowców” (czy „trzydziestolatków”) u swoich początków stała się w tym choćby wymiarze pokoleniowo jednorodna. Nie tyle pewnie chciała uośnaczać bunt przeciwko normie języka kulturalnego, ile poszerzyć ową normę tak, iżby mogły istnieć w niej na równoprawnych zasadach „kołyszące się dzwony durowe na wieży” (Wojciech Wencel) i „flupy z pizdy” (Zbigniew Sajnog), piękne słowo i wulgare odzwymki, wyszukana metafora i niestosowne porównanie, retoryczny ton i dosadna pointa.

Było to poezji polskiej potrzebne. „Poeci codzienności” ostatniej dekady wieku uośnaczyli bowiem czytającą publiczność fakt, że poezja jest również asertywna, że może oddziaływać w tym samym stopniu co publicystyka, i że — wreszcie — ma ona prawo do wypowiedzania się o świecie na wszelkie możliwe sposoby. Nie jest wyłącznie lekturą na akademie, do poduszki, do pamiętników, listów miłosnych i zaproszeń na ślubu. Objawia się w swojej okrutnej prawdzie; dewaloryzacji norm współczesnego języka.

3. Rzecz w tym, iż to, co powinno być zaledwie uderzeniem, stało się powszechnym zjawiskiem. W nowej poezji polskiej szybko staliśmy się świadkami postępującej „pauperomarii”. Poezja zaczęła się pospolityzować w tak błyskawicznym tempie, że i krytycy stracili nagłe orientacje, co jest autentyczną wartością „w dykcji codzienności”, a co klasza. Moda na poezję transgresyjną (owi coraz częściej poeci-

masturbanci, poeci-homoerotomani, poeci-dewianci; wszyscy — oczywiście — obojga płci), moda na wulgarność (młodzieżka poetka deklaruje, że kto nie czyta poezji „ma wjebane”), moda na abulie, itd. — wszystko to powoduje, że coraz częściej czytelnik (nie tylko krytyk) zaczyna tęsknić za tym, co zawsze było autentyczną wartością liryki — za tajemnicą, jej walorami. Tajemnicą wszelkiego rodzaju, również tajemnicą słowa poetyckiego, którego przecież nie można (i nie da się) sprowadzić wyłącznie do kolokwialności.

I tutaj objawia się w pełni heroizm wyboru postawy klasycystycznej. Nawet jeżeli była ona początkowo reprodukcją stylów już doskonale znanych (wedle Mariana Stali — linii Miłosza i Herberta), to przecież nie da się ukryć i tego, że w owym wyborze dykcji klasycystycznej ukryta także była szlachetna chęć ratowania liryki przed pospolityzowaniem. Po roku 1989 nasi nowi klasycyści zrozumieli to chyba nader dobrze: idea rekonwalescencji poezji musi pojawić się w momencie, kiedy ta poezja jest w stadium zupełnego zawirowania. Gorące głowy rówieśników muszą zobaczyć, że ich mefistofeliczne skłonności napotykały na opór innych, z tego samego pokolenia biologicznego. Opór w imieniu obrony tradycyjnych wartości. Tradycyjnych, to nie znaczy gorszych i nieaktualnych. To znaczy tych, które stanowią o ciągłości wszelkiego bytu. Również — bytu kultury.

4. Klasycystyczna idea rekonwalescencji poezji polskiej u schyłku XX wieku przypomina tedy podobną tendencję w modernizmie. Dekadentyzm, owa wielka rewolta indywidualizmu w obrębie zbiorowości, która bierze w zastępy w ideach materializmu — niebezpiecznie stawał się nie tylko ideą literatury, także ideą życia. Uwodzielską trucizną. W poezji zaowocował samodzielnym batalionem epigonów, w życiu — plutonem samobójców. Dekadence filozofii katabolizmu klasycyzm przeciwstawił więc ideę scalania, negacji — wartość ocalenia, emocjonalnemu rozdariusi — pewność uczuć, egzystencjalnym lekodem — zgodę na egzystencję, nirwanie — ideę rozumnego bytu, kulturze wynaturzeń — kulturę wartości trwałych.

Nie inaczej dzieje się i teraz. Nowy klasycyzm odrzuca pospolitość na rzecz tego, co niecodzienne. Przywraca znaczenie walorom sztuki, która rozwija się poza modą i poza peryferyjne skutki wyobraźni. Nadaje sens słowom zdegradowanym, pojęciom niemodnym, zachowaniem uznawanym za nie w stylu epoki. Cokolwiek da się powiedzieć niegatywnego o takim powrocie w przeszłość literatury, da się także odwrócić. Klasycyzm jako moda jest bowiem także uśensownieniem wartości. A bez wartości pewnych nie mogą istnieć te, które nazywamy antywalorami.

5. Dobrze jest o tym pamiętać, czytając dzisiejszych „obliźwaczy starych tyłek”. Nie pamiętam, kto ich tak nazwał, Peiper lub Irzykowski.

MARIAN KISIEL

Od piosenki do Pomnika

Nie odżałowanej pamięci „Civis Opoliensis”, czyli p. Szymon Koszyk nie wiecie, czemu uwielbiał zasiadać się u mnie do późnego wieczora, najpierw na Reymonta, potem na 1 Maja. Godzinami też przetrzymywał mnie w swym mieszkaniu najpróżniej na Ks. Opolskich, a na krótko przed swoim zgonem na (ówczesnym) pl. Lenina, dzisiaj Teatralnym. Tłumacząc to sobie jedynie tym, iż te nasze „rozmowy” faktycznie sprowadzały się do monologów p. Szymona, w trakcie których, przez szacunek do wybitnej osobowości zasłużonego gawędziarza, pisarza, działacza i archiwisty rzadko miałem okazję odezwać się, by wtargnąć swoje trzy grosze.

Może i lepiej. Wyszło na dobre. Bo wiem to dzięki p. Szymonowi mogłem biegać aniżeli dzięki jakimkolwiek lekturom wnikać w skomplikowane i dramatyczne losy opolskiej ziemi, jej tradycje, powstające przeszłość, przenikanie się w kulturze i obyczajach różnoplemiennych wątków, w jej podziałach etnicznych nie rzadko przechodzące przez środek jednej rodziny. Przykładem był sam p. Koszyk, pożeniony z Niemką, która przetrwała po wojnie go opuściła.

Uwielbiał grzebać w archiwach i bibliotekach a początkiem tych pasji była wieloletnia praca archiwisty u księcia piśmiennego w okresie przedwojennym. Wyszperał m.in. w Bibliotece Jagiellońskiej udział rycerzy z Opolszczyzny w bitwie grunwaldzkiej 1410 roku (część wsparła Krzyżaków). Wyjaśniał historyczne symbole znaków herbowych śląskich gmin i miasteczek. Na łamach „Trybuny Opolskiej” odkrywał wiele nieznanych bliżej ciekawostek krajoznawczych, z którymi zaznajamiał także jako przewodnik turystyczny PTTK liczne wycieczki z kraju i zagranicą, w czym pomagała mu biegła znajomość języka niemieckiego. W jego domowej bibliotece, zasobnej w znakomite cymelia (do dziś nie wiadomo kto się nim oblowił po jego śmierci) co i raz natykałem się na prace jego własnego pióra, wydawane przez TRZZ lub Instytut Śląski. Był erudyta, choć wystawiał się w gwarze, przetykanej licznymi germanizmami i wielokrotnie byłem świadkiem zauroczenia się nim jego słuchaczy. Wspomnieć wreszcie należy, iż był nie mniej znanym i zasłużonym co ówczesny „prezydent” Opola Karol Musiol działaczem społecznym, poświęcającym swój wolny czas PTTK (był jego honorowym prezesem) oraz Towarzystwu Rozwoju Ziemi Zachodnich, w którym sprawował funkcję wiceprezesa.

Któregoś wieczora lat 60-tych zjawiał się u mnie, by pochwalić się kolejnym plonem swych długetnich penetracji.

— Jak wiesz, Ryszardzie — zaczął — trwałość języka narodowego sprawdza się nie tylko przez jego codzienne używanie w rodzinie, ale także w tym, co kto śpiewa na co dzień... Tak, w pieśni, tej „gminnej” zwłaszcza. Taką świąteczną jak modlitewne, dostojnej i rubasznej, karcezmnej i odpustowej, okazującej i trwałej. Otóż, wyobraź sobie, Ryszardzie, że w trakcie wieloletniego szperania po źródłach i w bezpośrednim styku ze Ślązakami wyszło mi, iż przez minione kilkadziesiąt lat Opole nie znało 2.500 do 3.000 przeróżnych pieśni, pieśniček, hymnów, przyspiewek, kołysanek, kolęd i ballad. Więc już samo to



Szymon Koszyk. Foto: Z archiwum Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego

SZYMON KOSZYK — znany przywódcą powstańców i działacz plebsowy. Urodził się w Opolu w roku 1891. Po maturze rozpoczął studia politeczne w Wiedniu. Wcielony do wojska służył w armii niemieckiej podczas I wojny światowej i był trzykrotnie ranny. Po dezercji z wojska przebywał w Tarnowie, skąd wraca by rozpocząć działalność w ruchu niepodległościowym na Opolszczyźnie. Jest członkiem Powiatowej Rady Ludowej i delegatem na rozmowy konsultacyjne z Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu. Jako jeden z organizatorów POW Górnośląska — w latach 1920-1921 komendant w powiecie opolskim, ma uznane zasługi w rozwoju tej organizacji oraz w mobilizacji do działań zbrojnych. Szeroki odzew zyskał organizowane przez niego obchody 3 Maja w Opolu. Uczestniczył w akcji plebsystycznej jako działacz i publicysta, organizując Towarzystwo Skautów Opolskich. W III powstaniu był oficerem sztabowym w dowództwie podgrupy „Linke”. Po roku 1922 działał na terenie województwa śląskiego: jest redaktorem pism (m.in. „Polonia”) i pracownikiem archiwum Sejmu Śląskiego. Po wybuchu wojny dojechał do Kresy, następnie osiadał w Krakowie, uczestnicząc w ruchu oporu.

Po roku 1945 organizuje struktury polskiej państwowości na Ziemiach Odzyskanych — jako burmistrz w Glińcach. Od roku 1948 mieszka w rodzinnej Opolu niezwykle czynny jako działacz społeczny i kulturalny, zasłużony m.in. dla rozwoju Instytutu Śląskiego. Wiele pisze i publikuje. Jest członkiem Związku Literatów Polskich i licznych towarzystw społecznych i kulturalnych. Zmarł w 1972 roku.

Był inicjatorem budowy pomnika Karolinki w Gogolinie — w mieście gdzie bolikowkarze niemieccy zamordowali podczas III powstania 19 Polaków, skąd po wycofaniu wojsk powstańców 300 mieszkańców było zmuszonych uciekać na talszycę. Pomnik Karolinki odsłonięto 24 maja 1967 roku. Akt ten był „bohemą złośliwym” przez współczesnych opolan pieśni ludowej, która w długich latach niewoli nie tylko podtrzymywała ducha polskości, ale pomagała tam przetrwać w najtrudniejszych chwilach germanizacji”.

świadczy o bogactwie kultury ludowej Śląska! I wyobraź sobie, Ryszardzie, że w owej mnogości doszukałem się ledwie — i tu pan Szymon znacząco zawiesił głos — ledwie, zaledwie... 250 rozumiesz, dwieście pięćdziesiąt znacząco w pieśni niemieckich! Tyle co nic — oznajmił i dla potwierdzenia tej prawdy podniósł znacząco do góry palec. — Wiesz Ryszardzie co to oznacza?

Po raz nie wiedzieć który z rzędu począł mi przypominać, jak to w czas Konferencji Wersalskiej po I wojnie światowej wybrał się do Paryża z delegacją Ślązaków, by tam Dmowskiemu i Paderewskiemu, którzy asystowali wytępieniu powojennych granic w Europie, wręczyć petycję domagającą się powrotu Śląska do Macierzy. — Także i teraz — ciągnął — będzie musiało dojść do podobnej Konferencji, która ostatecznie utrwali naszą obecność na odzyskanej ziemi wokół Nysy i Odry. Przecież Konferencja Poczdamśka oddała nam te ziemie tylko w administrację odsyłając ostatecznie jej załatwienie do Traktatu Pokojowego. Więc dopóki to się nie stanie, Niemcy nie ośmieszają w korzystnym dla siebie czasie upomnieć się o nie. Gdy do tej Konferencji dojdzie, to ja wtedy Ryszardzie...

Tu znów znacząco zawiesił głos, dłoń zwinął w pięść i tą pięścią z całej siły trzepnął o stół aż zadzwoniły filiżanki, w których popijałymi kawę. Zaraz potem wypalił:

— Ja te piosenki zabiorę z sobą tam, na tę konferencję! Rzucę je tam na stół i krzyknę — macie! Oto nasz najmocniejszy argument za polskością tej ziemi! Nasze pieśnički. Pomnik by im należało wystawić!...

Nagle mnie coś oślnięło. Chwyciwszy mego rozmówcę za rękę wrzasnąłem z emocji:

— Panie Szymonie! — to kapitalny pomysł, wręcz znakomity! Właśnie — **POMNIK DLA PIOSENKI!** Śląskiej piosenki. Na ten przykład „Do Bytomskich Strzelców”, dla „Kukuleczki”, dla „Ptaszka co za Jaskiniem do Śląska”, dla „Karolinki...”! Tak jest — panie Szymonie, prawdziwy pomnik! Z kamienia, z brązu czy gipsu — byleby powstał! Czegoś takiego jeszcze nie było — chyba na całym świecie!

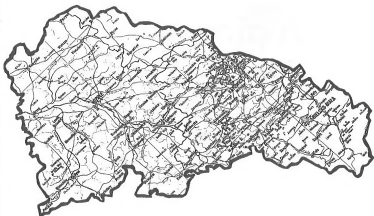
Sam się zdumiałem, jak mi to nagle wpadło do głowy. Ze trafiałem w dziesiątkę, poznałem to po nagle roziskrzonych oczach pana Szymona. Dogadaliśmy się zatem z miejsca: a na najbliższym posiedzeniu ZW TRZZ zgłosi stosowny wniosek — i zobaczymy...

Chwyciło! Pomysł został z entuzjazmem „kupiony” przez wojewódzkie gremium. Ustalono, że będzie to pomnik Karolinki i że stanie on w Gogolinie na przydworowym placu. Rozpisano też rychło stosowny konkurs, wygrał go znany rzeźbiarz Tadeusz Wencel.

Nie minęło pół roku, jak realizacyjna, zastępa w ruchliwym dynamizmie grupa bohaterów piosenki z bielonego cementu stanęła na wyznaczonym miejscu. Od tej pory Karolicek i Karolinka w „roztaczającym marszu” podziwiani są nie tylko przez uczestników licznych wycieczek, fotografujących się na ich tle, lecz i podróżnych, przelatujących pociągami przez gogolińskie tory...

RYSZARD HEADKO

List przewodniczącego Górnośląskiej Partii Regionalnej, Edwarda Poloczka, zamieszczamy z nieznacznymi skrótami, traktując go jako polemiczny głos w nieustającej dyskusji o sprawach Górnego Śląska i jego przyszłości.



Przemyślenia o Górnym Śląsku

Zawsze mnie denerwują publiczne wystąpienia na temat regionalizacji, a już na pewno takie, jak dyskusja redakcyjna „Śląska”, w zamyśle, o autonomii, czyli samorządności. Dyskutanci, jak zwykle mówili o wszystkim i tym samym, o niczym, o autonomii, o powiatach, o separatyzmie, kielbasie wyborczej, regionalizacji nauczania itd. W moim przekonaniu — o rzeczach mało istotnych w tej sprawie i nawet marginesowych. Tak można mówić i dyskutować w sferze teorii przez dziesiątki lat i nie praktycznego z tego nie wyniknie.

Już trzy lata temu proponowałem wymazać słowo „autonomia” z polskiego słownika, szczególnie tu na Górnym Śląsku, bo słowo to, nie z naszej winy, sprawie regionalizacji Górnego Śląska nie sprzyja i wręcz przeszkadza. Uważam także, że wszelkie rozważania na temat przyszłych powiatów, obecnych gmin i kontraktu regionalnego dla Górnego Śląska, sprawę ogólnopolskiej regionalizacji tylko rozmydlają i przesuwają w czasie.

Pojawiło się już wiele „recept” na wydobycie z zapasów naszego górnośląskiego regionu. Szkoła, że dotyczyły tylko wybranych zagadnień i fragmentarycznych pseudo-rozwiązań, a te o większym zasięgu problemowym zawsze były oparte o założenia warszawskiej władzy centralnej, która w dalszym ciągu przeciwstawia się ogólnokrajowej decentralizacji. Tymczasem górnośląskie zapasy nigdy się nie zlikwiduje, jeżeli się wprawdzie nie stworzy samorządowego systemu, od którego przecież zależy cała przyszłość tej ziemi. Jak bowiem inaczej poradzić sobie z bezrobociem i modernizacją przemysłu, poprawą warunków ekologicznych, opieką zdrowotną i emerytalną itd.

Przecież dalsza kolonialna eksploatacja naszego regionu leży w interesie całej Polski. Przykro to powiedzieć, ale historia ostatnich 70 lat, a w szczególności 4. ostatnie, to potwierdzają.

Mieszkańców Górnego Śląska historia także poucza, że żadna władza centralna, żadne partie polityczne, związki zawodowe o zasięgu ogólnokrajowym nie nam w tej sprawie nie pomogą — działałyby przeciwieństwo samemu przeciwko sobie. Dlatego też, jak sądzę, jesteśmy zdani tylko na siebie, a więc tylko na mieszkańców Górnego Śląska, a to jest siła, z którą każdy w Polsce musi się liczyć.

Dlatego też należałoby poczynić starania o zmianę dotychczasowego stanu i doprowadzić do integracji wszystkich środowisk społecznych na Górnym Śląsku pod wspólnym „sztandarem”, w imię wspólnej wartości lub ideałów. I tu, co trzeba wyrazić podkreślić, nie widzę lepszej idei, jak wartości górnośląskie, podjęcie w jak najszerszym zrozumieniu i zaakceptowane dla wspólnego dobra przez wszystkich mieszkańców Górnego Śląska. Jestem święcie przekonany, że nikt lepszych nie wymyśli — bo takich optymalnych po prostu już nie ma: wartości górnośląskie, to prawda że 600-letnia historia, kultura, tradycja, zwyczaj, jeden z najwyższych poziomów społecznego zaangażowania, gospodarności, rozwoju naukowego — szczególnie technicznego i cywilizacyjnego. Jest to etos pracy, zmysł organizacyjny, uczciwość i dyscyplina już na poziomie europejskim. Sądzę, że dla każdego mieszkańca naszego regionu nazywać się Górnoślązakiem — to brzmi bardzo dumnie.

Integracja wszystkich środowisk na obszarze naszego Regionu umożliwi

dopiero powstanie zwartego i prężnego organizmu.

Ale od czego zacząć? Sądzę, że z atych przesłanek zrodzi się idea założenia, nie jak dotychczas związku, lecz prawdziwej partii politycznej. A więc i odpowiedzialnego partnera dla innych ugrupowań politycznych w kraju. Nazywałbym ją Górnośląską Partią Regionalną. W tych trzech słowach mieszczą się zarazem podstawowe kryteria programowe i statutowe. Przede wszystkim członkami G.P.R. mogą (i powinni) zostać wszyscy mieszkańcy naszego regionu. Powinniśmy być za Polską — państwem samorządnych regionów, a w konsekwencji takiego układu — za najszybszym powstaniem Regionu Górnośląskiego. Po takie wzory, jak kantony w Szwajcarii, landy w Niemczech, prowincje we Francji, można śmiało sięgać, bo są wypróbowane przez czas. O korzyściach dla lokalnych społeczności z tego tytułu nie ma nawet co mówić. A także o ich znaczeniu dla państwa, dla ekonomii, gospodarki i kultury. Region odwołujący się do miejscowych korzeni, pięknych i bogatych tradycji, to przyszłość. I według tego modelu należałoby myśleć także u nas o nowym podziale administracyjnym kraju.

Wybermy mądrość i nie zaczynajmy od końca — od gmin, potem powiatów i województw, zależnych budżetowo od centrali w Warszawie, ale od punktu wyjściowego: zapisu w przyszłej konstytucji, że Rzeczpospolita jest państwem samorządnych regionów, by potem na podstawie tej ustawy utworzyć Region Górnośląski na obszarze trzech województw: opolskiego, bielskiego i katowickiego (bez Zagłębia), z małymi przygranicznymi poprawkami, a więc na obszarze historycznie, kulturowo, cywilizacyjnie, et-

nicznie i gospodarczo uzupełniających się i spójnym. Za włączeniem województwa polskiego do Regionu Górnośląskiego przemawia także polska racja stanu. Wschodnią administracyjną granicą Regionu Górnośląskiego byłaby rzeka Brynica, którą proponuję nazwać „granicą pojednania”.

System regionalnych władz powinien tworzyć: prezydent Regionu Górnośląskiego oraz trzej wiceprezydenci, stojący na czele okręgów: opolskiego, katowickiego i bielskiego. Władzą ustawodawczą byłby „Sejm Regionu”, składający się z przedstawicieli trzech okręgów. Równocześnie już teraz powinien powstać projekt i zarys terytorialny przyszłego Regionu Górnośląskiego, z podziałem na gminy wiejskie i miejskie. Tylko taki, optymalny obszar przyszłego Regionu Górnośląskiego, wyposażony w samorządność budżetową i decyzyjną władz regionu, gwarantować może likwidację bezrobocia, rekonstrukcję i modernizację przemysłu, poprawę warunków ekologicznych, opiekę zdrowotną i emerytalną, należyty rozwój nowoczesnego szkolnictwa podstawowego, średniego i wyższego oraz rozwiniecie frontu prac publicznych na maksymalną skalę. Na potrzeby ogólnopolskie mniej więcej 40 proc. budżetu regionalnego przekazywane byłoby do budżetu centralnego w Warszawie. Szczegóły w tych sprawach obliczą nasi górnośląscy ekonomiści.

Mój zarys pomysłu na pomyślną przyszłość Górnego Śląska wymaga jeszcze szeregu uzupełnień i uzasadnień. Ale nim przystąpię do tego, chciałbym jeszcze na samym początku zasygnalizować sprawy może mniej istotne, ale wspomagające w znacznym stopniu nasz program. Chodzi mi o nazewnictwo i słownictwo, którym nasze środki masowego przekazu, jak i my, w naszym życiu codziennym, się posługujemy. Powinniśmy w pierwszym rzędzie zrezygnować z takich pojęć jak: „Śląsk”, „śląskość” i „ślązak”, w szczególności gdy chodzi nam o problemy teraźniejszości i przyszłości Górnego Śląska. Naszej sprawie sprzyja używanie pojęcia „Górny Śląsk”, „górnoszląskość” i „Górnoślązak”, a jeszcze lepiej — „mieszkaniec Górnego Śląska”. Uzasadnim to krótkim i wystarczającym stwierdzeniem, pojęcia „Śląsk” i „Górny Śląsk”, to dwa różne pojęcia. Reasumując, posługujemy się od dzisiaj zamiast słowem „Śląsk”, pojęciem „Górny Śląsk”, a zamiast słowem — województwo pojęciem regionu.

Ważnym problemem „wstępnym” są także nasze zmagania z nieprawdopodobnymi stereotypami na temat Górnego Śląska i Górnoślązaków, krążącymi po całym kraju. Wspominając tylko o najważniejszych, wylizuje że: Górnoślązacy dążą do samodzielnosci, bo chcą się oderwać od Polski, chorują na ciagoty niemieckie, nawet, że są Niemcami i marzą o

przyłączeniu Górnego Śląska do Niemiec, że są stworzeni tylko do kilofa i łopaty, że powinni pomagać i finansować całą Polskę — nawet kosztem wyrzeczeń, różnią się mentalnością od reszty kraju, chcą opanować i podporządkować sobie cały Górny Śląsk, są najbogatszą częścią polskiego społeczeństwa i że jest jeszcze na Górnym Śląsku bardzo dużo Niemców.

Odpowiadam i prostuję: przez ponad 600 lat byliśmy wychowani na styku trzech kultur — polskiej, niemieckiej i czeskiej. Kwituję to jednym określeniem — byliśmy wychowani w kulturze europejskiej. Ciągoty mamy i to wyraźne, ale nie do Niemiec, a do Zjednoczonej Europy Regionalnej. Sądźmy, że za 10 do 15 lat zagadnienie państwowości będzie w przyszłej, zjednoczonej Europie problemem już drugorzędny. Nasza nierozważna chęć pozostania na wieki w Polsce, wynika z przyczyn ideowych i praktycznych. Zdajemy sobie w pełni sprawę z tego, rozważając te sprawy w czysto teoretycznych rozważaniach, że w zjednoczonych już Niemczech, byłibyśmy po obywatelach byłego NRD, obywatelami już III kategorii. To nam pod żadnym względem nie odpowiada, bowiem w Polsce, z uwagi na nasz poziom cywilizacyjny, naukowy, gospodarczy i z takimi bogactwami naturalnymi, będziemy zawsze obywatelami I kategorii. Problem Niemców na Górnym Śląsku, a właściwie mniejszości niemieckiej, jest już dzisiaj problemem marginesowym, zwążywszy, że w porównaniu z 7-milionową liczbą mieszkańców w przyszłym Regionie Górnośląskim, jest ich już tylko (na moje wnikliwe rozeznanie) około 300 tysięcy. Uważamy ich też, jako rdzennych Górnoślązaków, za naszych pełnoprawnych braci. My, mieszkańcy Górnego Śląska, mamy rzeczywistość od wielu lat mentalność zachodnią (europejską), a nie wschodnią, ale to dobrze o nas świadczy.

Uważamy także, że jesteśmy na razie na pewno za słabi, aby w dalszym ciągu wspomagać gospodarczo i finansowo całą Polskę, i to kosztem niemiłosiernie kolonialnej eksploatacji, ale jesteśmy jeszcze na tyle silni, bardzo mocni, aby w pierwszej kolejności uratować cały Górny Śląsk, a dopiero potem pomagać całej Polsce, bo dopiero wtedy to będzie możliwe. Tylko bogaty może biedniejszemu pomóc, biedny tylko współczuć.

Przyszły Region Górnośląski obszar terytorialny ma obejmować trzy dotychczasowe województwa: bielskie, katowickie (bez Zagłębia Dąbrowskiego) i opolskie. Dlaczego? Z grubsza już na to odpowiedziałem. Uzupełniam to jeszcze stwierdzeniem, że np. obecne województwo opolskie posiada tylko niecały 1 milion mieszkańców, a więc tyle, co większe miasto lub powiat w Europie. To samo dotyczy obecnego województwa bielskiego. Dalej, jeżeli w interesie nasze-

go państwa ma powstać około 12 samorządnych regionów, to samodzielność województw opolskiego i bielskiego jest sprawą zupełnie nierealną. W skali zjednoczonej Europy nasze polskie regiony wielkością, ilością mieszkańców i potencjałem gospodarczym muszą dorównywać landom, prowincjom, kantonom i regionom europejskim.

Bardzo kontrowersyjnym tematem jest nasz projekt oddalenia Zagłębia Dąbrowskiego od przyszłego Regionu Górnośląskiego i ustawienia przyszłej wschodniej administracyjnej granicy na rzece pojednania — Brynicy. Już tony atramentu na ten temat wypisałem, więc powiem krótko — ta sprawa znów leży nie tylko w interesie mieszkańców Górnego Śląska, ale także w interesie mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego, którzy zawsze podkreślają, że nigdy Górnoślązakami nie będą, że mają swoją dumę itd. To trzeba uszanować. Ta administracyjna granica na rzece pojednania — Brynicy, nareszcie nas pogodzi. Sądję, że nikt lepszego już sposobu nie wymyśli. Skończą się żale, wzajemne pretensje i waśnie. Gdyby Zagłębie pozostało w granicach przyszłego Regionu Górnośląskiego, to cała regionalizacja naszego kraju nie miałaby żadnego sensu, to wszystko pozostałoby po staremu. Kończąc ten temat tylko jeszcze wspomnę, że po drugiej stronie rzeki pojednania — Brynicy pozostałyby: jedna z największych na świecie hut „Huta Katowice”, dwie najnowocześniejsze i największe w tym kraju elektroniczne, zakłady elektroniki i potężne rozbudowane osiedla i miasteczka, dar górnośląskich górników i hutników dla Zagłębia.

Sądję, że ani Sejm i Senat, łącznie z Sreszadą regionów (szczególnie tych wschodnich), optymalnej regionalizacji Regionu Górnośląskiego w całości nigdy nie zaakceptują i w parlamencie nie przegłosują.

Dlatego też jedyne rozwiązanie tego problemu widzę w silnym, liczącym ponad 100 tysięcy członków i sympatyków, środowisku (partii), które bez strajków i przemocy, samą swoją obecnością na mapie politycznej naszego kraju, postawi na baczność całą Polskę i władze centralne w Warszawie. Z taką partią polityczną Regionu Górnośląskiego, reprezentującą interesy 7-milionowej aglomeracji, każdy w Polsce musi się liczyć, bo to siła polityczna nie do przebiccia.

Kończąc, jeszcze nadmienię, że te moje marzenia staną się realne w momencie, gdy uda nam się zmienić mentalność większości mieszkańców Górnego Śląska, stroniących od polityki i przynależności partyjnej. Pokonanie tej bariery jest zadaniem arcytrudnym, ale i decydującym o sukcesie tego, tak wspaniałego przedsięwzięcia.

EDWARD POŁOCZEK
Przewodniczący
Górnośląskiej Partii Regionalnej



- „Nikt mnie nie rozumie” — poskarżył się wiersz i stał się sławny.
- Słowa są skorupami po rozbitym milczeniu.
- Literatura jest sztuką głośnego grania na najcichszych tonach.
- Objechałem świat dokoła i nigdzie nie znalazłem siebie.
- Czerwień jest kolorem miłości, rzekłś, i podkreśliłaś czerwoną kredką moje błędy.
- Dźwięk budzika budzi łęki poranne.

Tłum. Feliks Netz

AFORYZMY

Matthias Kneip

LIMERYKI

Tadeusz Kijonka

1 TENOR
Bohaterski tenor z polotem
Górne tony brał jak nikt potem.
A takie miał mocne góry,
Ze wyskakiwał ze skóry —
I już nie mógł trafić z powrotem.

2 JABŁKO
Cwana Ewa, zwana też „żabką”
Dała zawsze się skusić na jabłko.
A choć bili się o nią,
Pod niejedną jabłonią,
Wciąż bawiła się tą ciuciubabką.

3 RADYKAŁ
Ekologiczny radykał,
nawet kominy zatykał.
Aż stoczył się z dachu,
Bęc — najadł się strachu...
I odąd ledwo utyka.

4 KARZEŁ
Karłowaty nadzwyczaj karzeł,
W każdy wieczór rozrabiał w barze.
Co walnął kogoś w szczękę,
To zmykał pod sukienkę
5 Z rykiem: — Ja ci pokażę!

KUNEGUNDA
Kunegunda, sądząc z ubioru,
Nie znosiła jasnych kolorów.
Wielbiła za to bure,
I wszystko — co ponure,
Nie wyłączając amorów.

„Było-nie było”

● Pogłębia się kryzys rządowy. Bezrobotna Janina C. wycofała rekomendację dla prezydenta, rządu, parlamentu, wojewody, wójta, proboszcza i kierownika sklepu monopolowego.

● Spór przed Trybunałem Pracy: czy zdymisjonowany wice-premier ma dostateczne kwalifikacje, by nałożyćwszy pomarańczową kamizelkę przeprowadzać dzieci szkolne przez jezdnie jako tzw. labudziarz.

● Czy parlamentarzystę po trzech kadencjach można resocjalizować?

● Silny ból głowy, płtki przed oczami, zwiótczenie mięśni, drżenie palców u rąk i nóg oraz duszności i wymioty — to typowe objawy epidemii PIT 31, występujące najczęściej u małżonków usiłujących za pierwszym podejściem wypełnić prawidłowo zeznanie podatkowe. Na Zachodzie epidemia ta nosi nazwę choroby wściekłych podatników.

● Etylina drobiowa wkrótce na skalę przemysłową.

● Kamizelki cenooodporne hitem przednówka 97.

● Nieuczciwy przedsiębiorca wypuścił na rynek błędne koło ratunkowe.

● Tragedia w willi biznesmena: zatrucie dwutlenkiem komfortu.

REPLAY MIESIĄCA

Jerzy Bilewicz

Kronika kryminalna
Niedawno, wyjątkowo perfidny złodziej,
ukradł księdzu przydomek
dobrodziej.

Myśli prezydenta W
Może któryś z uczonych kiedyś
to uściśli,
co się dzieje z człowiekiem, gdy
myśli, że myśli?

Wymazywanie pamięci
Niejedna karta historii odsłania,
że dokonano na niej gumowania.

Pochwała maxi
Kiedys ubrana w kieckę do kostek,
znacznie wydłuża się czas miłostek.

Spowiedź
Ciekawe jak odbierane jest to
w niebie,
gdy donosimy tak sami na siebie?

Nie walcz z naturą
Dla świętej zgody
mogę być młody.



Feliks Netz
TRANSPLANTACJA
Operacja przebiegała obiecująco. Wycięto mi zdezcelowane serce, co prawie nie nie bolało i wyrzucono je do kubła, stojącego obok stołu operacyjnego. Potwierdziły się opowieści ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną: znalazłem się pod sufitem i z niejaką melancholią przyglądałem się sobie, z którym łączyła mnie pamięć wspólnej matury, służby wojskowej i szalonej przygody miłosnej z histonosem, płcią, na szczęście, żeńskiej. Czegoś mi było trochę żal. Poczułem bolesne ukłucie, chciało mi się powiedzieć w sercu, ale serca już nie miałem. Jednakowoż operacja przebiegała obiecująco: wniesiono na tacy zdrowe serce, które jeszcze było, i już-już dowódca kierujący całą operacją miał mi je włożyć do klatki piersiowej, i wszystko mogło zakończyć się sukcesem, gdy rozległa się syrena, jakby alarmowa, i cały zespół zamarł w bezruchu.

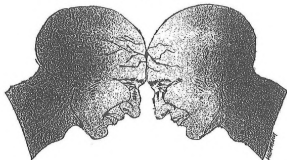
Wojna? Ruskie? Niemcy? I tak źle, i tak niedobrze! W pierwszej chwili pomyślałem, że to mogą być Niemcy. Przed operacją przeczytałem w „Gazecie Polskiej” artykuł pt. „Czy Polacy zostaną wyrzuceni z Ziemi Zachodnich?”. Może to odpowiedź na pytanie publicysty? W polityce nigdy nie mów nigdy. Ale może Ruskie? Może powrócili, aby nas przekonać, że w temacie przyjaźni polsko-radzieckiej jeszcze nie wszystko zostało powiedziane. Nie umiałem wskazać żadnego innego potencjalnego najeźdźcy. Z radością pomyślałem, że nie mamy pływających granic i z tą myślą opatrzoną w myślach wykrzyknikiem, byłem gotów wrócić do mojego zmatrocowanego ciała, gdyby Wielki Operator zechciał włożyć nowe serce do mojej klatki piersiowej. Ale on tego nie zrobił. Bo nie mógł.

Ogłoszono strajk lekarzy wszystkich specjalności.
To prawda, że natychmiast przystąpiono do rozmów z rządem. Ale, jak wszystkie takie rozmowy, i te przeciągały się. Po paru godzinach lekarze zdjęli maski i zapalili, co było dopuszczalne, w sali operacyjnej stał — obok stołu operacyjnego — kubel z wodą na odpadki, takie jak moje zdezcelowane serce na przykład. Można było do niego strzepywać popiół i wrzucać pety. Niebezpieczeństwo zaproszenia ognia było naprawdę znikome. Wszyscy skupili się przy kubku, polili w milczeniu, patrząc w ten kubek. Wszyscy, z wyjątkiem Wielkiego Operatora. Nie palił, bo miał zajęte obie ręce.

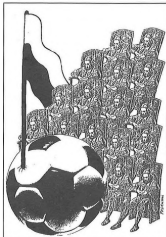
Przez kilka pierwszych dni negocjacji z rządem nie wypuszczał z rąk tacy z nowym sercem. Po dwóch tygodniach ją wypuścił, ale czy ja sam, na jego miejscu, utrzymałbym tacy po dwóch tygodniach negocjacji, tym bardziej, że nie było widać światełka w tunelu? To znaczy, ja już je zobaczyłem. Jak wielu innych, którzy o tym opowiadają, a nikt nie daje im wiary. A jednak jeszcze się waham. Już jestem trochę ponad szpital, lecz utrzymuję się na tej wysokości. Jeszcze zaglądam do sali operacyjnej. Leżę, chyba jednak bez życia. Rozmowy z rządem przeciągały się. Złe wyglądał. Monitor, na którym niegdyś rysowała się linia mojego życia, świecił solidnową podwiatą. Jak Pustostwo się domyślał — zmarłem. Ale tu można powiedzieć uczciwie: nikt sali operacyjnej nie opuścił. Są pierwsze, a nawet już drugie ofiary, lecz mimo strajku, ładnie nie opuszczają miejsc pracy.

I to jest obiecujące!
Naprawdę, warto było umrzeć, aby coś takiego zobaczyć.

Crash test



Rys. Marek Michalski



Rys. Marek Polarski

RYSUNKI



Zmarły 10 lat temu Andy Warhol, czyli Andrzej Warhola, urodził się 6 sierpnia 1928 roku w Pittsburghu jako syn ubogich emigrantów, w rodzinie lemkowskiej, wywodzącej się z Mikovej, okręg Medziaborce. W 1945 roku rozpoczął studia w Carnegie Institute of Technology w Pittsburghu, w pracowni malarstwa i projektowania. Studiował m.in. z Balcombem Greene, Robertem Lepperem, Samuelem Rosenbergiem, Howardem Wornem. W czasie studiów prezentował postawę „młodego gniewnego”. Jeden z pierwszych obrazów opatrzył tytułem „Dziwka dała mi moją twarz, lecz mogę dłużej sobie w nosie”. Praca ta została odrzucona przez związkowe jury Associated Artists w roku 1948. W rok później Andy Warhol przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie rozpoczął błyskotliwą karierę jako grafik i projektant reklamowy. Pracował między innymi dla tak renomowanych magazynów jak „Vogue” i „The New Yorker” oraz dużych supermarketów. W pierwszych latach nowojorskich późniejszy gwiazdor pop artu starał się jeszcze aspirować do kultury wyspy.

Ambitny i zdolny, dobry obserwator życia i rządzących nim mechanizmów, dość szybko zdefiniował na swój użytek funkcję i znaczenie sztuki w otaczającej go rzeczywistości. Swoje poglądy opublikował w wiele lat później w książce „Filozofia Andy Warhola (od A do B i z powrotem)”. Czyż są A i B? Art and Business, America and Buying. Sztuka jest biznesem wtedy i tylko wtedy, gdy kupowanie jest Ameryką: ART = Business ↔ Buying = America. To jest cała filozofia Warhola. „I taka jest cała jego prosta logika i to jest to, co przedstawiał nam jako lustro współczesnej kultury, współczesnego społeczeństwa” - napisał Jerzy Truszkowski w szkicu pomieszczonego w katalogu bielskiej wystawy.

W końcu lat pięćdziesiątych w Stanach zaczyna się pop-art. Jedną z pierwszych manifestacji nowego kierunku to obrazy Jaspera Johnsa i Roya Lichtensteina. Johns w 1958 r. narysował „Zarówek”, w latach 1958-59 „Cyfry w kolorze”. Lichtenstein mechanicznie powielał fragmenty komiksów, dając im formę dużych obrazów. Zostało to przyjęte znakomicie na amerykańskim rynku sztuki.

Andy Warhol dostrzegł w tym błyskawicznie swoją szansę na uzyskanie pieniędzy i prestiżu. Zrozumiał, że kreowanie dzieł oryginalnych, własnych, jest drogą donikąd, społeczeństwo amerykańskie oczekuje reprodukcji obrazów już mu dobrze znanych. Ta droga poszła konsekwentnie do końca, „do ściany”. Swoje studio nazwał „Fabryką” (The Factory) i tam multiplikował wyobrażenia dobrze znanych przedmiotów, będących towaram w szerokim obiegu społecznym.

Rozpoczął od skopiowania akrylami na płótnie w 1960 r. scenki z komiks „Dick Tracy” oraz w rok później kredką i akrylami, też na płótnie, „Supermana”. Również w 1960 r. namalował puszkę „Polówek brzoskwiń” oraz schematycznie powiększył przedstawienia butelek coca-coli. W dwa lata później namalował butelki coca-coli multiplikowane jako ornament. Warhol określony został mianem „reproducenta reprezentacji”, bowiem niczego nowego nie wymyślił, nie stworzył. Sam kiedyś tak się wyraził: „Nigdy nie czytałem niczego, co piszą o mnie. Ale kiedy przestałem „robić rzeczy, a zacząłem je „produkować” zaczęło mnie ciekawić, co też ludzie mają do powiedzenia na ich temat, bowiem nie było w tym niczego osobistego.”

Arcykapłan zupy pomidorowej

Myślenie i postawa Warhola były bardzo konsekwentne. Ponieważ w społeczeństwie wysokiej konsumpcji wszystko jest towarem, albo mówiąc inaczej produktem uznał, że dotyczy to również gwiazd filmu, polityków itp., dlatego też multiplikował twarze Marilyn Monroe, Jacky Kennedy i inne, traktując je na równi z reklamą produkcji przemysłowej. Nie mniej konsekwentnie samego siebie przedstawiał jako produkt społeczny.

Michał Byćko, prezes Towarzystwa Andy Warhola w Słowacji, we wstępie do katalogu wystawy trafnie napisał: „Nawiązując bezpośrednio lub pośrednio do Andy Warhola - niezwykłego fenomenu naszego stulecia - można by powiedzieć, że nie ma już niczego zaskakującego, ani nowego. Ale tak naprawdę Andy Warhol zaskakuje tym, że... nie zaskoczył, ani nie zaskoczy. Ta jego „właściwość” prowadzi go po śmierci również tam, gdzie według Bohumila Hrabala, został wystrzelony rakietą Apollo, aby przez wieki rozświecać coca-cole i puszki zupy Campbella. Wydaje się, że notoryczne patrzyenie na Andy Warhola jedynie jako na gwiazdę pop-artu - z całym jego „dobytkiem”, który tworzą Marilyn, Presley, zupa Campbella, afery, półprawdy, plotki i fakty - nie wnosi już dzisiaj nic interesującego. Ale chyba za mało „dłubienie” w takich sprawach, jak społeczne korzenie Warhola, jego pochodzenie itp. (...) Kiedy i dlaczego zrodziła się tęsknota młodego chłopca z biednej rodziny, by zostać gwiazdą, bogaczem, po prostu amerykańską „super starą”? Czy to był kompleks spowodowany biedą, chorobą, czy też genialne narodziny pomysłów, których wówczas Ameryce brakowało?”

Dla wielu wybitnych współczesnych historyków sztuki pop-art był zwiastunem nadchodzącego nieuchronnie upadku naszej cywilizacji. Przekonanie takie wygłosił Herbert Read, dla którego pop-art jest zaledwie „produktem kapitalistycznej konkurencji”. Według Reada „jego rodzaju sztuka nie ma żadnych korzeni w historii kultury

narodów, służy handlarzom do reklamowania swoich towarów.”

Theodor W. Adorno wręcz obawiał się sztuki będącej specyficznym „przemysłem” kulturowym, mechanicznie wytworzonym towarem, co daje w efekcie produkcję dzieł tandetnych, estetyczny konformizm i prowadzi „do pewnego rodzaju urzeczywistnienia i technicyzacji świata wewnętrznego”, a to z kolei wynika z nadmiaru postępu techniki.

W zupełnej opozycji do przytoczonych opinii europejskich historyków sztuki, znajduje się przeświadczenie Marshalla McLuhana, kanadyjskiego filozofa, socjologa i pisarza. „Reklamy nie są przeznaczone do świadomego odbioru. Są to pigułki, które działają na podświadomość i rzucają na ludzi (zwłaszcza socjologów), hipnotyczny czar. Jest to zresztą jeden z najbardziej budzących aspektów tej wielkiej instytucji, nazywanej reklamą, która dysponuje funduszami w wysokości 12 mld dolarów rocznie, a więc sumą równą w przybliżeniu budżetowi szkolnictwa amerykańskiego. Kosztowna reklama tworzy się na podstawie szczegółowych badań ludzkich stereotypów i postaw (...)

Pewnego dnia historycy i archeolodzy odkryją, że reklamy naszych czasów są najbogatszym i najwierniejszym odzwierciedleniem życia codziennego i wszelkich czynności ludzkich, jakie pozostawiało po sobie jakiejkolwiek społeczeństwo. Po tym względem hieroglify egipskie nie uymają się do reklam”.

Z tym przeświadczeniem koresponduje postawa antropologów kultury, których nie interesuje sfera wartościowania i estetycznych ocen, lecz reklama rozumiana jako tekst kultury, jako obszar znaczeń a także jako przestrzeń kreowanych i sugerowanych sensów. Rozumiana jest jako drobny fragment znacznie większej całości historii kultury, z której czerpie mity, znaki, symbole dla budowania nie mniej mitycznych „światów szczęścia”. Reklama postrzegana jest w tym kontekście jako nieodłączny element kultury współczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego.

Bez przytoczonego wyżej, nader szkicowo, kontekstu, fenomen twórczości, a raczej działalności reklamowo-produkcyjnej Andy Warhola, jego ogromny sukces - może być w naszych warunkach społeczno-świadomościowych nie całkiem zrozumiały. Jest w jego działaniu jednak coś, co zastanawia. Przez sprowadzenie pewnych mechanizmów w obszarze sztuki nierozdzielnie związanej z reklamą, do pełnego absurdu, ukazał, być może mimowiednie, faktyczny wzierunek „duchowy” społeczeństwa, dla którego masowa konsumpcja stała się „świętym celem”. Lapidarnie i trafnie ujął to J. Truszkowski: „Problem konsumpcji zupy pomidorowej stał się bardziej dyskusyjnym i rozważanym zagadnieniem niż problem przyjmowania Krwi Pańskiej pod postacią winy podczas mszy świętej. A przecież dla protestantów w XVI w. stanowił on jeden z podstawowych powodów rebelii przeciw papieżowi”.

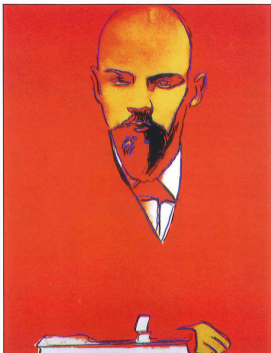
Ekspozycja w Bielskim BWA była efektowna, utrzymana w klimacie pop-artu. Aranżacja przestrzenna starała się nawiązywać do wnętrza „The Factory” Andy Warhola.

SEWERYN A. WIŚŁOCKI

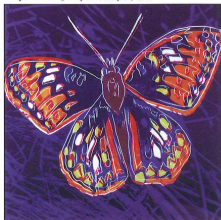
„Andy Warhol”: Galeria Bielska BWA Bielsko-Biała Polska, Muzeum Sztuki Nowoczesnej Andy Warhola Medziaborce - Słowacja, 21.01-22.02.1997. Kurator wystawy: Natasa Hrišenkova



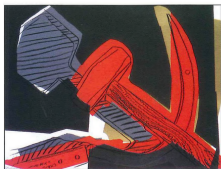
Andy WARHOL „Campbell's soup II", 1968



Andy WARHOL „Red Lenin", 1987



Andy WARHOL „Endangered species (San Francisco Silverspot)", 1983



Andy WARHOL „Hammer and Sickle", 1977



Andy WARHOL „Mick Jagger", 1975

TOMASZ STRUK

Stan pamięci III,
1996,
drewno,
650x550x90 cm
(fragment),
BBK Stapelhaus,
Kolonia 1996



ŁUKASZ
KOROLKIEWICZ

Autoterapia,
1995,
olej na płótnie,
136x190 cm



Muzeum Górnolaskie w Bytomiu od stycznia do marca zaprezentowało wystawę prac Tomasza Struka, z urodzenia bytomianina, obecnie przebywającego najczęściej w Berlinie i Paryżu a także w Katowicach.

Artysta znany z wielu międzynarodowych wystaw, pokazuje charakterystyczne dla siebie prace „o oszczędnej wizualności”, jak określił to autor wstępu do katalogu Leszek Brogowski, lecz „za to o złożonej wielowarstwowej strukturze sensu”. Docieranie do struktur sensu nie jest z pewnością łatwe dla widza spragnionego obrazu. Ta nadzwyczaj ezoteryczna sztuka stara się rzeczywiście być jak najmniej wizualna. Ot, tyle tylko, aby całkiem z wizualności kontaktu nie zatracić.

Twórczość Struka koncentruje się — jak sam to przyznaje — na problemie pamięci, a ściślej: pamięci w sztuce. Według niego pamięć, to zachowana prawda, ślad, zapis, stan utrwalaony. Innymi jeszcze słowy: pamięć, to po prostu opowieść o prawdziw. Ponieważ tradycyjne sposoby przedstawień artystycznych zostały podczas obecnego wieku poważnie zakwestionowane — a przynajmniej wielu krytykom i artystom, do których i Struk należy, tak się wydaje — trzeba szukać dalej, głębiej, inaczej i wydobyć szkielet spod warstw dotychczasowych narracji, wyprowadzić z tradycyjnej estetyki mimesis. Prawda w tym ujęciu nie jest oczywiście związana z jakąś konkretną treścią, lecz przede wszystkim jest formą. Z materii pamięci wyłania się prawda formy.

Ta prawda formy przedstawiana jest przez Tomasza Struka w różnych wersjach i modyfikacjach sześciokąta, który w mniej lub bardziej wyraźny sposób nawiązuje do kształtu siedemnastowiecznego polskiego portretu turleniennego, którego — cóż za zbieg okoliczności — znakomitą monograficzną wystawę mogliśmy oglądać w Muzeum Narodowym w Poznaniu w tym samym czasie. Oprócz sześciokąta jako nośnego wehikułu pamięci prawdy upodobał sobie Struk oryginalny proceder odsłaniania. Polega on na obnażaniu tego „co skryte w materii”. Za tymi tajemniczymi słowy skrywa się proces z grubsza biorąc następujący: deska wielkości 1m x 1m artysta gruntuje białą farbą, po czym narzuca na mokry grunt odpryski glinianych naczyń, które wtapiają się w tło. Wszystko to zostaje ponownie pokryte kilkoma być może warstwami również białej farby. Teraz całość jest szlifowana, a wyłaniające się odłamki przybierają kształt niezliczonych — jak pisze Leszek Brogowski — „spoglądających na widza oczu. Kiedy spojrzenie widza osadza się na obrazie, pamięć spogląda na obrazu”.

Brzmi to rzeczywiście bardzo poeńnie i poetycko, jednak efektywny jest — jak powiedziano to wcześniej — oszczędny i skromny. Wielka ściana złożona z kilkunastu owych metrowych kwadratów zawierających białe, lekko nakrapiane obrazy, pozostawia nas w podobnie oszczędnym dystansie wobec tej „pamięci, która sięga narodzin świata”. Cóż więc z tą pamięcią i tą prawdą, które przemawiają do nas na tyle oszczędnie, że nie jesteśmy pewni czy w ogóle mó-

wią cokolwiek? Mówiąc krótko, realizacja ta w gruncie rzeczy nie porusza nas w widoczny sposób. Prawda w tym ujęciu byłaby zatem obojętnością?

Gdyby nie erudycyjny tekst Brogowskiego, gdyby nie własne wypowiedzi Struka, nigdy byśmy nie wpadli na to, że o jakiejś sprawie z pamięcią, a już broń Boże z prawdą, tu chodzi. Spora część tak zwanych awangardowych artystów w swych ikonoklastycznych dążeniach do wyeliminowania ze sztuki zarówno mimesis jak i zwykłych uczuć, które wydają się im sentymentalne i niegodne prawdziwego człowieczeństwa, chcą nie chcąc, z braku innego skutecznego środka, musiła zwrócić się ku pojęciu, do słowa. Aby przydać obrazowi utracone znaczenie, nie pozostaje nic innego do zrobienia, jak go uściwić, upoeciwić. Tego typu działania o niesłychanie „oszczędnej wizualności” w ogóle nie są w stanie przemówić same, jeśli pozbawione zostaną słów zawartych w erudycyjnych i wnikliwych, mądrych i dogłębnych krytycznych komentarzach. Odrzucając protezę mimesis sztuka tego rodzaju, chcąc nie chcąc, musiła przyjąć protezę pojęciową i słowa. Słowo w istocie stało się jej bezsłownej w zasadzie sztuki narkotykiem i uzależnieniem, o wiele większym, niż dotychczasowe naśladowanie wyglądu.

Naśladowanie wyglądu a przynajmniej nawiązywanie do nich, w sposób naturalny odwołuje się do immanentnie tkwiących w nas uczuć, związanych czy odnoszących się do tych przedstawień. To właśnie sprawia, że obraz wprowadza nas w swoisty psychiczny rezonans, że przemawia do nas — jak polarnie powiadamy. Tutaj obraz nie przemawia prawie w ogóle, przemawia natomiast w jego zastępstwie słowo krytyka lub autokomentarz artysty. Jeśli o mnie chodzi, wołalbym aby obraz przemawiał sam. Zawieszam mam wrażenie, być może niesłuszne, że każda rzecz, każde działanie, możemy skomentować w wieloraki i wieloznaczny, choć niekiedy bardzo wyszukany sposób. Komentarz o słusznej mocy perswazji z łatwością nas przekona, jakie

to piękne i rozumne szaty ma król, a my w naszym pełnym oddaniu zaufaniu do słów chętnie nie dopuścimy do siebie myśli, że być może, jest on po prostu nagi. Wolę zaufać zatem swoim — może niedoskonałym, ale moim własnym — oczom, niż polegać na przekonywujących mnie słowach.

W katowickim BWA z kolei obejrzelismy w lutym dużą wystawę Łukasza Korolkiewicza. Artysta warszawski, rocznik 1948, obecnie profesor ASP, od lat z niezrozumiałych przyczyn związany jest z hiperrealizmem — co wytłumaczyć można tylko polskim prowincjonalizmem i skłonnością do szufladkowania. Ta pozornie tradycyjnie realistyczna sztuka w istocie nie ma zbyt wielu odniesień czy to w sztuce światowej czy polskiej. Krystyna Czerni, autorka pięknego wstępu do katalogu, pisze o tej twórczości wnikiwie i obszernie, jednak jej tekst, nie ujmując w żaden sposób jej wartości, nie jest bynajmniej nieodzownym mostem, po którym musimy przejść, aby do tej sztuki się zbliżyć. Równie dobrze możemy uczynić to sami, nie czytając tego czy innego komentarza, po prostu spoglądając na obrazy.

Właśnie te obrazy są dla mnie krwią pamięci. Nie opowiadające co prawda o pamięci materii, nie dotyczą również idei pamięci jako prawdy, lecz są zapisem prywatnej pamięci artysty, nurtujących go codziennych problemów z samym sobą, tych problemów, jakie mamy wszyscy, choć nie wszyscy próbujemy je rozważać i nad nim się zastanawiać. Artysta nieco przewrotnie to ukrywa, zdaje się nam sugerować, że są to jakby tylko wielkie powiększenia amatorskich zdjęć. Przypuszczam, że przekorną radość sprawiają mu ci naiwni fanatycy nowoczesności, którzy w swej pryncypialności — którą może należałoby nazwać brakiem wrażliwości — wprowadzają tę sztukę do fotografii. Związki Korolkiewicza z fotografią w istocie wprowadzają się do tego, że artysta posługuje się charakterystyczną optyką obiektywu dla stworzenia i wywołania specyficznego i bardzo własnego wyrazu swoich wielkich malowideł. Jest to strategia podstępna, bowiem na pierwszy rzut oka obrazy te rzeczywiście przypominają niedbale powiększone fotografie, widoki wnętrza, cienistych ogrodów i podwórek. W następnej chwili zauważamy jednak, że jest to świat sam w sobie, wewnętrzny świat artysty, świat, którego związek z fotografią jest czysto iluzoryczny, a który ma głębokie korzenie w sztuce symbolicznej. I związki te są tym głębsze, że nie narzucają się wprost.

Problem „prawdy” w powiązaniu z pamięcią — tak jak u Struka — chyba nie pojawia się u Korolkiewicza. Artysta przekazuje swoje wizje nie dbając — jak się wydaje — o obiektywizm. Mimo to, a być może właśnie dlatego, obrazy te są wymownym zapisem nastrojów i tendencji końca wieku. Ta sztuka jest równie wymownym świadectwem, że mimesis nie musi być złożona do lamusa spraw nieużytecznych, że wciąż może być nośnym wehikułem artystycznej wizji.

ANDRZEJ URBANOWICZ

Preparacje pamięci - Struk i Korolkiewicz

„Normalny człowiek przez całe życie nie robi tego, na co ma ochotę. Taką rozkosz sprawia mu obowiązek. Im lepiej mu się udaje nie być sobą, tym więcej mu płacę. W wieku 65 lat normalny człowiek idzie na emeryturę. Ma wreszcie czas dla siebie, ale niestety, siebie zapomniał” —

Heinar Kipphardt

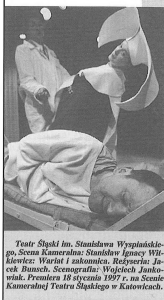
Witkacy napisał po prostu (aż dziwi że po prostu) — „trzeba być kimś w tej matni”. Oczywiście, że trzeba. Każdy wie, że trzeba, a jednak to, co trzeba, nie zawsze jest najprostsze. Przypominałam sobie tę kwestię, oglądając „Wariata i zakonnicę” na scenie Teatru Śląskiego. Zwyczajnego wariata i zwyczajną zakonnicę. Stop... Zagalopowałam się. Chciałam powiedzieć, że zobaczyłam przedstawienie, które sztukę Witkacego przedstawia po bożemu, bez uduziwnień i atrakcyjnych dywagacji reżysera na temat: co autor chciał przez to powiedzieć.

Witkacy stał się najważniejszym odkryciem okresu odwilży. Ożywione dzieje dramaturgii Witkacego na polskich scenach rozpoczynają się od 1962 roku, co wiąże się z wydaniem 22 jego dramatów w edycji przygotowanej i poprzedzonej świętym występem Konstantego Pułzyna. Wcześniej jednak, bo w 1959 roku „Wariata i zakonnicę” wystawiono w Teatrze Dramatycznym w reżyserii Wandy Łaskowskiej i scenografii Józefa Szajny. Po zakazanych w 1957 roku „Szewcach” była to pierwsza zawodowa realizacja Witkacego w polskim teatrze powojennym. Spektakl ten ukazywał Witkacego jako wizjonera i prekursora teatru absurdu i właściwie utarował mu drogę na polskie sceny. Ta inscenizacja zaważyła swym kształtem na dalszych inscenizacjach Witkacego, który odbierany był na zasadzie wyjątkowego zjawiska, wciąż przez reżyserów i scenografów „dodatkowo” uduziwnianego. Nie bez wpływu był to zapewne fakt, że wprowadzili go do teatru plastycy i to o określonej indywidualności, tacy właśnie jak Szajna czy Kantor. Dzięki licznym, często nieudolnym naśladowcom, Witkacy stał się synonimem innego lub bardziej podejrzanej nowoczesności czy ekstrawagancji.

Tak więc sformułowaniu, że katowicki spektakl zrealizowany jest „po bożemu” próbuję powiedzieć, że reżyser Jacek Bunsch nie popchnął tego dramatu w kierunku na przykład farsy i nie wyznaczył mu tym samym roli, którą ma pełnić tak zwana masowa dramaturgia użytkowa. Dzięki temu wyraźniejsze staje się przesłanie Witkacego-filozofa, który w swoich pesymistycznych wizjach obnażał strach przed tym, by nie zostać śrubką w maszynie bezdusznego społeczeństwa, czy też „zabłąkanym ka-

Kim być w tej matni?

TEATR



Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego, Scena Kameralna: Stanisław Ignacy Witkiewicz: Wariat i zakonnica. Reżyseria: Jacek Bunsch. Scenografia: Wojciech Jankowiak. Premiera 18 stycznia 1997 r. na Scenie Kameralnej Teatru Śląskiego w Katowicach.

Foto: Eliza Oleksy

mykiem wśród zębanych, stalowych kół”, by nie pędzić wraz z jego bezmyślnie rozpedzonym motorem, którego nikt już nie potrafi skontrolować ani zatrzymać.

Katowickie przedstawienie jest więc sztuką o samotności artysty, ale i każdego wrażliwego człowieka, który pod koniec naszego wieku próbuje ocalić swoją tożsamość i „być kimś w tej matni”, gdzie „jest tylu dobrze ubranych ludzi i tyle kanałii”. Jest sztuką o samotności mężczyzny i kobiety, którzy nie znaleźli dla siebie miejsca w pogmatwanych i zawilonych sytuacjach, powodujących podobne emocje. Jest wreszcie sztuką o potrzebie jasnych, czystych uczuć, w których można byłoby się odnaleźć, a nie zniszczyć.

Tytułowy wariat — Walpurg, grany przez Juliusza Krzysztofa Warunka, jest poetą wyklepym, którego potrzeba własnej ekspresji, indywidualności i wolności, a w oczach innych — zbrodniczego szaleństwa — przywiódł do szpitala wariatów na mocy orzeczenia lekarskiego „szlachetnych katów-psychiatrów”. Zakonnica — siostra Anna (Anna Kadulska) poddała się surowej klasztornej regule po miłosnej tragedii. Dopiero tutaj,

w szpitalu wariatów, ci „galernicy wrażliwości” przekonują się, że przekraczanie granic, norm i konwencji nie czyni z nich ludzi bezwartościowych, a wręcz przeciwnie — jest raczej miarą ich humanistycznego odczuwania w świecie bezosobowej cywilizacji, anonimowości oraz alienacji. Wzajemna erotyczna fascynacja jest pierwszym krokiem do bliskości, współodczuwania i wiary w to, że zejście w chaos może dać również nadzieję na odrodzenie się, choćby metafizyczne, choćby za cenę śmierci fizycznej i groteskowego zmartwychwstania.

Juliusz Krzysztof Warunek potrafi być zahukany, diabolicznym wystraszonym, bo zniewolonym izolacją, lekami i kaftanem bezpieczeństwa wariatem, ale też czułym i tkliwym kochankiem, umiejącym zachować dystans i trzeźwo zdziagnować siebie oraz sytuację. Anna Kadulska jako zakonnica operuje całą gamą uczuć i reakcji, z których zawstydzenie, egzaltacja ustępują beznadziei, żywiołowości oraz otwartości na ciepło, które może dać bliskość z kimś, kto podobnie jak ona więcej czuje i inaczej rozumie.

Aktorzy mają do swojej dyspozycji przestrzeń Sceny Kameralnej zaaranżowaną prostymi środkami scenograficznymi: łóżko stoi w centralnym miejscu sceny, otoczone z dwóch stron parawanami imitującymi szklane okna i drzwi. Sprawia to wrażenie szpitalnej celi, którą podglądać mogą lekarze i pielęgniarki, co zresztą czynią, manifestując owo podglądanie odpowiednio opracowanym ruchem scenicznym. Wariat i zakonnica, po miłosnym uskrzydleniu, wykorzystują okienne szkło do malowania pędzlem i farbą swoich odczuć, nadając im kształt Witkacowskich portretów, jakie powstawały pod wpływem różnych używek.

Świetną rolę w tym przedstawieniu stworzył także Jerzy Głybin, grający doktora Gruna, miotającego się pomiędzy wiarą w terapeutyczną wartość psychoanalizy a farmakologiczną torturą, na jaką skazuje swoich pacjentów. Ogromne wrażenie robi także wejście profesora Waldorffa (Romana Michalskiego), zjawiającego się w glorii zadowolonego z siebie naukowca, który doszedł do wniosku, że lepiej wrócić do chirurgii mózgu, bo to przynosi większą sławę niż zajmowanie się psychiatrią.

Przedstawienie zgodne jest ponadto z moimi wyobrażeniami o klimacie sztuk Witkacego, który uważał, że „wistość rzeczy jest nie z świata tego”.

MARTA FOX

Od lata 1910 roku mocnym akcentem architektonicznym miasta nad Olzą, głównym punktem urbanistycznym cieszyńskiej „starówki”, odsuniętym nieco od głównego traktu handlowego, jest pięciokondygnacyjny gmach Teatru im. A. Mickiewicza.

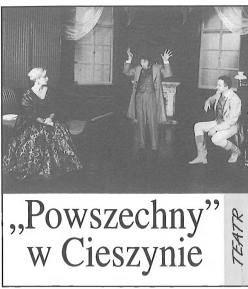
Wzniesiony wedle projektu wybitnych architektów wiedeńskich (Fellner — Helmer), harmonijnie skomponowany z wyznacznym pięknem, umiarem i smakiem, z doskonale widoczną fasadą frontową zdobną w swym zwieńczeniu w motyw liry — atrybut Apollina, utrzymany jest w stylu wiedeńskiego historyzmu z przełomu wieków. Białe-złote-czerwona tonacja wnętrza, plusze i draperie, kryształowe żyrandole i lustra czynią zeń prawdziwe cacko architektoniczne. Podobnie system bogatych w ornamentykę balkonów i łóż, sprzyjający formom rozwiniętego okospektaklowego życia towarzyskiego, tak jak to niedługo w XIX-wiecznych teatrach bywało.

To teatr bombonierka (jakich w kraju niewiele), z interesującą wielosmakową zawartością. (O zróżnicowanie owych teatralnych smaków dba dyrektor Teatru — Andrzej Łyżbicki, prowadząc szeroko pojętą działalność impresaryjną).

Dawnych wspomnień czar ożywa szczególnie dwa razy do roku — podczas Koncertu Noworocznego i Koncertu Karnawałowego. Koncerty te pozwalają pierwszy i ostatni wieczór karnawału spędzić ze znanymi im przedstawicielami świata artystycznego. Atrakcją Koncertu Karnawałowego jest degustacja specjalnie pieczonych na tę okazję babeczek. Zwykle w kilku z osiemset znajdujących się zafofowane numery. Wybrańcy muz oddbarowani zostają złotymi precjami.

Wnętrze teatru przystroja się kompozycjami z żywych kwiatów. Ich naturalna barwa i wóch miesza się z kolorem wytworzonego toalet i zapachem drogich perfum. (Na koncercie obowiązują bowiem stroje galowe). Odywa klimat minionej epoki, która tak de facto z Cieszyna nigdy nie odeszła. Wręcz przeżywa swój renesans.

Świadomi owej niezwykłej magii cieszyńskiej sceny byli twórcy filmu „Ziemia Obiecana” i serialu telewizyjnego o Helenie Modrzejewskiej — Andrzej Wajda i Jan Łomnicki. To na cieszyńskich „deskach świata oznaczających” Modrzejewską-Jandę wcieliła się w postać Adrianny Lecocœur, Ofelii, Kleopatry. Odbierała należne jej hołdy, przyjmowała, nierzadko materialne, dowody uwielbienia. To wreszcie w stylowych wnętrzach „Mickiewicza” nestor polskiej sceny, w prasie „najstarszy aktor świata” — Ludwik Solksi — obchodził w 1951 roku 75-lecie swej pracy artystycznej (spektakl „Kościszko w Berville” J. T. Dybowskiego). Grał Karol Adwentowicz, Nina Andrycz. Wielkie gwiazdy polskiego teatru. Zawsze z należną estymą w grodzie nad Olzą przyjmowane.



„Powszechny” w Cieszynie

TEATR

Kult aktora — fenomen dwóch ostatnich dziesięcioleci ubiegłego wieku — zmieniając swą formę, trwa w Cieszynie niezmiennie do dziś. Łącząc to co dawne z tym co współczesne. Publiczność cieszyńska chodzi do swojego teatru nie na konkretną sztukę, nie na inscenizację, nie na reżysera i nie na — choćby nawet najbardziej interesujący — teatr eksperymentalny. Chodzi na nazwisko aktora. Nazwisko uznane, przez współczesnych pociągane jako jedno z najwspanialszych w polskiej konstelacji gwiazd. Nazwisko popularne. A że popularność staje się głównie udziałem aktora filmowego, telewizyjnego, a nie teatralnego, stąd Cieszyńszczanie chętnie — spośród artystów młodego pokolenia — ogląda na scenie gwiazdy znane z telewizyjnego ekranu. Także z poniedziałkowego Teatru Telewizji.

W tradycję cieszyńskiego teatru (teatr bez stałego zespołu aktorskiego, z wyjątkiem kilku miesięcy roku 1945, gdy Cieszyń był samodzielną placówką artystyczną, dysponującą kilkusetosobową trupą aktorską) wpisuje się nowa autorska propozycja dyrektora Teatru im. A. Mickiewicza — „Dni Teatru Powszechnego z Warszawy w Cieszynie”.

„Dni Teatru...” w zamysle dyrektora Andrzeja Łyżbickiego mają być imprezą cykliczną. „Raz w roku proponowane będą Dni jakiegos teatru, do którego widownię z Cieszyńskiego mają daleko. Teatr z uznanymi nazwiskami. Teatr gwiazd.”

„Dni...” (których tegoroczny — marcowy — termin nie jest obligatoryjny) mają stanowić, podobnie jak wspomniany Koncert Karnawałowy, swego rodzaju wizytówkę instytucji. Wzbogacać teatralną pejzaż nad Olzą. Na ile ten element krajobrazu okaże się trwały, pokaże czas. Koncepcja wydaje się jasna. Co istotne, pozyskano już stałego sponsora — Bank Śląski.

Od 3 do 6 marca artyści z Powszechnego: Janda, Ziolkowska, Kępińska, Her-

man, Gajos, Machalica, Pieczka, Kowalski, Lutkiewicz, Stroiński zaprezentowali się cieszyńskiej publiczności w czterech komediach: „Ożenku” Gogoła, „Shirley Valentine” Russeła, „Mężu i żonie” Fredry, „Tutam” Schaeffera. (Spektakle grane dwukrotnie, przy czym klasykę także dla szkolnej widowni).

Z zaproszonych inscenizacji najprzychylniej przez krytykę potraktowaną i po wielokroć nagradzaną (za sztukę aktorską własną) był „Ożenek” w reżyserii Andrzeja Domalika. Przystawowym deszczem nagród obdano Władysława Kowalskiego — Podkolesina. Mieśnięć „Teatr” przyznał mu Nagrodę im. Aleksandra Zelwerowicza za najlepszą rolę męską sezonu 1994/95, jury XXXV Kaliskich Spotkań Teatralnych — Grand Prix. Władysława Kowalskiego uznano także w styczniu br. Najprzemyślejszym Aktorem na odby-

wającym się w Łodzi III Ogólnopolskim Festiwalu Sztuk Przyjemnych. Podkolesin Kowalskiego, „jakby pozbowiony życia, apatyczny, wiecznie skwaszony” (takim postrzegą go Wojciech Majcherek), nosi w sobie smutek (melancholijny) i gorzcy człowieka, „który nie nadaje się do społeczeństwa rządzącego się utartymi normami zachowań.”

Szczęśliwizmy, a nade wszystko bardziej zobowiązującym, od niedosłownego mariażu Podkolesina z Agafią, okazał się może związek Melpomeny z parą widzów, których los (ręką teatralnej „sirotki”) oddawał srebrnymi, z wygłuszanym napisem „Ożenek”, obrączkami, ufundowanymi przez firmę KRUK z Poznania — najstarszą firmę jubilerską w kraju. Obrączki przeznaczone zaopatrzone w certyfikat, zapewne w „certyfikat na szczęście”. Szczęście prawdziwe, którego nie dane było zaznać ani zagubionemu w świecie społecznym konwenansów Podkolesinowi, ani prowadzącym (zapewne z nudy) salonową grę pozornych uczuć i namiastek Elwirze i Wacławowi, ani zniewolonej przez męża Shirley, ani też jej i Jemu — bohaterom „Tutamu” (bez względu czy będzie On „tu — intelektualistą, pisarzem, człowiekiem kulturalnym”, „tam — rozenliwionym, tępym prostakiem kelerem” i odpowiednio „Ona”, „tu — egzaltowaną intelektualistką o sposobie bycia damy”, „tam — tępa, pyskata kuchta z wiecznymi pretensjami”).

Ale wbrew wszystkiemu co powyżej napisano „Ożenek”, „Mąż i żona”, „Shirley...” „Tutam” to sztuki optymistyczne. Realizują, pomimo odmienności czasów i miejsc, w których powstały, wspólne przesłanie, sformułowane najwyraźniej przez Schaeffera: „Mamy dobre życie i nie wolno go zmarnować. Należy walczyć o realizację własnej (dla każdego przecież odmiennej) wizji szczęścia.

MIROSLAWA PINDÓR

Marcowe wizyty Krzysztofa Pendereckiego i Jana Krenza w Katowicach sprawiły, że koncerty symfoniczne prowadzone przez tych wybitnych artystów przejdą do historii jako ważne wydarzenia muzyczne sezonu. Oba wieczory cieszyły się zresztą ogromnym zainteresowaniem publiczności, a co za tym idzie wysoką frekwencją. Wspólną cechą obu był wszakże brak równowagi, odpowiedniości między dyrygentem i wykonawcami. Bo oto Penderecki – świetny kompozytor i raczej słaby dyrygent poprowadził znakomitą WOSPR, zaś Krenz – doskonały dyrygent stanął za pulpitem dyrygentkim orkiestry Filharmonii Śląskiej będącej w nienajlepszej formie. Takie właśnie mariaże nie pozwoliły melomanom na stuprocentową satysfakcję z koncertów, a i ceniącego krytyka stawiają w nieco kłopotliwej sytuacji.

Krzysztof Penderecki przebywał ostatnio na Śląsku w grudniu ub. roku. Wówczas to podczas spotkania w chorzowskim Teatrze Rozrywki kompozytor zapowiadał bliskie prawykonywanie 70-minutowego dzieła oratoryjnego skomponowanego na finał obchodów 3000-lecia Jeruzolimy. Obecnie wielki twórca pojawił się w siedzibie katowickiej WOSPR już po fantastycznym sukcesie „Siedmiu bram Jeruzolimy”, jako artysta, który znów potwierdził swoją klasę. O którym powiedział jeden z najwybitniejszych współczesnych dyrygentów Lorin Maazel: „Jestem wielkim fanem maestro Pendereckiego, jednego z największych kompozytorów współczesnych”.

Sława Pendereckiego, jak i atrakcyjność programu koncertu WOSPR – na wieczór składały się V Koncert fortepianowy Beethovena i „Symfonia fantastyczna” Berlioza – z całą pewnością sprawiły, że w piątek 14 marca tysiącosobowa sala Górnośląskiego Centrum Kultury szczelnie wypełniła się słuchaczami. Biletów zabrakło już kilka dni wcześniej, tłumy młodych melomanów zaś tuż przed koncertem oblały wejście licząc mimo wszystko na wejściówki.

Bohaterem I części wieczoru był Piotr Paleczny. Ten znany i podziwiany na wszystkich kontynentach pianista, rodem z Rybnika, stworzył znakomitą kreację Beethovenowskiego arcydzieła. Wykryształ swą najwyższą próbę techniki gry dla budowania dzieła nie tylko pełnego wirtuozerii i polotu, ale też i idealnie zrównoważonego pod względem emocjonalnych treści. W równej mierze zachwycały mocne, żywe, zdecydowane motywy utworu co i fragmenty liryczne, delikatne w barwie. Wielka dojrzałość muzyczna Palecznego przejawiała się też w kształtowaniu fraz kompozycji, a co za tym idzie w stworzeniu pasjonującej narracji. Dodajmy, że to pianista nadawał ton interpretacji podporządkowując sobie Pendereckiego i orkiestrę WOSPR.



Krzysztof Penderecki

Penderecki i Krenz

Foto: Jan Zemanicki

Także „Symfonia fantastyczna” Berlioza w większym stopniu stała się popisem katowickiej orkiestry niż samego Pendereckiego. Kompozytor ten sprawdza się najlepiej w prowadzeniu napisanej przez siebie muzyki – wtedy znakomicie kształtuje formę utworu i wydobywa ważne dla niego myśli. W przypadku Berlioza trudno mówić natomiast o dyrygenckiej kreacji. Penderecki swymi prostymi, kancystymi, malowidlowiskowymi i, sądząc, nie zawsze czytelnymi dla orkiestry ruchami prowadził romantyczną muzykę. Na szczęście jednak wielkie walory tej kompozycji kryją się w jej bogactwie instrumentalnym, barwności brzmienia. A że WOSPR to zespół, w którym każdy muzyk może być solistą, więc i instrumentalne solówki zabrzmiały fantastycznie. W sumie więc symfonia zachwyciła, a orkiestrze i dyrygentowi zgotowano na finał długie owacje.

Katowicka wizyta Jana Krenza przypadła również po trzech miesiącach. Dyrygent – przypomnijmy, w ub. roku świętował jubileusz 50-lecia pracy artystycznej i 70-lecia urodzin, a finał obu obchodów przypadł 13 grudnia podczas koncertu WOSPR. Krenz z niemałym wzruszeniem prowadził więc orkiestrę, której przez 15 lat – od śmierci Fitelberga w 1953 roku do 1968 roku – był dyrektorem.

Obecnie Krenz gościł w Filharmonii Śląskiej, gdzie 22 marca poprowadził Uwerturę do opery „Lohengrin” Ryszarda Wagnera i „Ein deutsches Requiem” Johannes Brahmsa. Wizyta znanego dyrygenta oczekiwana była chyba już od dawna, bo szef Filharmonii Śląskiej Jerzy Swoboda skomentował ją słowami: „Cierpliwi będą wynagradzani. Czekaliśmy sześć lat na przybycie maestro. I oto dziś ten dzień”. Sam koncert włączony został ponadto w cykl tzw. „wieczorów ambasadorowych”, organizowanych od kilku lat przez Filharmonię Śląską. Dla-

tego obok melomanów na widowni znaleźli się przedstawiciele dyplomacji niemieckiej, z konsulem RFN Andreasem Zimmerem na czele.

Koncert pod batutą Krenza wzbudził we mnie mieszane uczucia. Z jednej strony zachwyciłam się dyrygencką kreacją muzyki, skupioną i głęboko przeżyta. Z drugiej zaś rozczarowałam niedostatkami imitacyjnymi i warsztatowymi chóru, a bardziej jeszcze orkiestry Filharmonii.

Już w pierwszych taktach – skrzypcowych – wstępu do opery „Lohengrin” Wagnera muzykom nie udało się uniknąć złej intonacji, nieprecyzyjności. Dokładne ruchy Krenza, czulejące szczególnie nie znalazły odbicia w orkiestralnej grze. Dobre ujęcie formy dzieła, logiczne i rozwojowe deprecjonował pewien chaos w muzykowaniu, brak wyważanego brzmienia.

Podobne „plusy i minusy” nasuwają mi się w stosunku do „Niemieckiego Requiem” Brahmsa. Krenz świetnie wydobywał piękno i głębię muzyki. Kształtowanie przezeń frazy układały się w konsekwentną całość. Czy to modlitewne skupienie czy kantylenowe dialogi chóru i solistów zachwyciły. Zwłaszcza, że para młodych niemieckich wokalistów: Michaela Kaune – sopran i Sebastian Noack – baryton stanęła na wysokości zadania. Jej sopran, tchnący świeżością, pozbawiony nadmiernej wibracji przynosił słuchaczowi niemal w anielski wymiar, jego baryton szlachetny w barwie raz brzmiał donośnie, zdecydowanie, raz urzekał lirycznością.

Dyscyplina, jaką Krenz narzucił orkiestrze i chórowi Filharmonii Śląskiej, przyniosła dobre rezultaty. „Żelazna reka” kapelmistrza z pewnością nie pozwoliła muzykom śląskim na dowolność, nieuzasadnioną swobodę. Odpowiedzialna interpretacja jednak niestety też ujawniła braki intonacyjne orkiestry, brak jednoci, zespołowego zgrania czy nieumiejętność błyskawicznego reagowania na narzucone wymogi. Na szczęście w dość dobrej formie znaleźli się filharmoniczni chór przygotowany przez Jana Wojtacha. Dlatego też prawie wszystkie jego partie zabrzmiały dobrze, wyrównanie, z uczuciem.

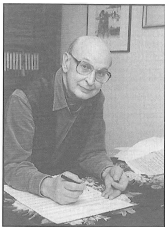
Choć w powyższej recenzji padło sporo słów krytyki pod względem otwórców muzyki życzeniem piszącej te słowa, i jak sądząc, wielu melomanów, byłoby jak najczęstsze wizyty na Śląsku autorytetów tej miary co Penderecki czy Krenz. Ich bowiem udział w koncertach nie tylko mobilizuje słuchaczy czy wykonawców, nie tylko ożywia życie muzyczne regionu. Przywraca wiarę w wartość „sztuki dźwięków” każdemu, kto w tych wydarzeniach muzycznych uczestniczy.

BOGUMIŁA MIKA

W wypełnionej po brzegi auli Szkoły Muzycznej imienia Mieczysława Karłowicza świętowaliśmy 3 marca siedemdziesiąt rocznicę urodzin Witolda Szalonka, twórcy, którego dokonania nie trzeba „jubileuszowo” przypominać, bo są nie tylko znane, lecz realnie budowane w krwioobiegu polskiej kultury. Aby określić sposób i zasięg funkcjonowania zjawiska zwanego „szalonkizmem” należałoby zacząć od opisu wartości artystycznych i warsztatowych utworów, którymi wzbogacił artysta nasz kulturowy majątek. Ponieważ jednak felieton odświętny prosi się raczej o syntezę, z ogromu problemów jakie się w związku z „szalonkizmem” zarysowują wybierzemy tylko jeden, bardzo ogólny: predyspozycję kompozytora do wzbudzania rozmaitych reakcji, począwszy od alergicznych (tymi nie będziemy się zajmować) do silnie ugruntowanych sympatii i wręcz „zachowań kulturowych”.

Witold Szalonek jest osobowością predestynowaną do sprawowania roli przywódce. Decyduje o tym jego nonkonformizm, odwaga obstawiania przy własnych wizjach sztuki i rzeczywistości, ustawiania się w ciągłej konfrontacji z „resztą świata”. Nad działalnością Witolda Szalonka nikt nie przechodził do porządku, gdyż kryje się w niej ogromny zapas rozchodzącej się na wszystkie strony energii, pasji i Norwidowskiej miłości, którą uznaje artysta za jedyny motyw sztuki. Owa miłość dała na jubileuszowym koncercie wyraźny znak swojej obecności w postaci „zwrotniej”, jako urodzinowy dar od kolegów — kompozytorów, którzy napisali specjalnie na tę uroczystość utwory — powinszowania.

W tych okolicznościowych, bezprezjonalnych dedykacjach nadesłanych z całego świata, w tym również z Katowic (świeży zart Aleksandra Lasonia z przeznaczeniem do wykonania przez rodzinny kwartet oraz utwór gitarowy Jolanty Zdechlikiewicz) wychowało się wspólną intencją zapewnienia o przyjaźni i gotowości wyznania tej samej wiary artystycznej. Wiara to trudna, bo wojująca, zapalna, prowadząca do polaryzacji postaw, co w przekładzie na obyczajowość artystów oznacza nieuchronne konflikty. „Szalonkizm” jako siła sprawcza konfliktów jest pierwotnym, tragicznym — w duchu nietzscheańskim, aktywistycznym, niedopuszczającym do zmniejszenia społecznej uprawy sztuki i w tym sensie pierwotnym niezwykle cennym. Nie trzeba być agronomem by wiedzieć, że uprawie zagrażają najbardziej nie pojedyncze okazy szkodników (na nie znajdują się potrzebne pestycydy), lecz monotonia i niedobór odżywczych impulsów. Ktoś, kto potrafi diagnozować kulturę, zapuszczając papierkę lakmusową w jej wrażliwą glebę, może uczynić dla niej więcej, niż niejeden



Witold Szalonek

Foto: Stanisław Jankowski

pozyce rozwiązań technicznych, które będą pełnić rolę gruntu własnego świata artystycznego, świata, w którego centrum legnie religijnie niemal, panteistycznie zafascynowanie elementarną, fizyczną urodą dźwięku. Wówczas jeszcze związany z katowicką uczelnią muzyczną jako profesor w klasie kompozycji, zaraża swoją wizją i zainteresowaniami humanistycznymi grono studentów, z których niektórzy podejmą je we własnej twórczości (wymownie świadczą o tym oryginalna muzyka pisana przez Jolantę Zdechlikiewicz).

Przerzucając nagle pracę pedagogiczną wybiera inną formę splendoru izolacji niż Wojciech Kilar (który właściwie nigdy nie uczył), czy Henryk Mikołaj Górecki (który dopełnił fatum ciągłego nad katowicką Akademią Muzyczną opuszczając ją w podobnym okresie): wyjechał za granicę.

Sztuka dźwięków — kształtem miłości

MUZYKA

poeciwi stróż spichlerza. Co z tego ma odważny diagnosta?

Dzieje życia i twórczości Witolda Szalonka można odczytywać jako przypowieść na temat typowej drogi, jaką kroczy sztuka polska ostatnich dwóch stuleci. Sama „geografia” owego życia mówi bardzo wiele. Na początku mamy etap rodzimy, nad którym górze traktowany przez Szalonka symbolicznie, lub nawet metafizycznie, motyw śląskiego, łagiewnickiego „basioka”, w którym tkwią pokłady skarbów o utajonej dla wielu wartości.

Opracowania śląskich melodii ludowych, którymi debiutował kompozytor na początku lat pięćdziesiątych wpisują się w kontekst zapoczątkowanej przez Szymanowskiego, a kontynuowanej po wojnie przez autorytety tej miary, co Witold Lutosławski tradycji ześrodkowanej na kreowaniu modelu sztuki muzycznej o wyraźnych etnicznych korzeniach. Poszukiwanie to nie ma nic wspólnego z oddziaływaniem aury estetycznej socrealizmu, do której bywa ostatnio w bardzo prymitywny sposób winterpretowywane. Miara wartości tego modelu, a zarazem jego aktualizacja jest kolejnym renesans, jaki przeżywa on obecnie, u progu nowej ery w starej Europie.

Kolejny etap drogi Witolda Szalonka to lata sześćdziesiąte — okres fascynacji otwartymi przez polityczną przelotkami na świat, dzielonej przez ogół liczących się artystów tamtej epoki. Przez owe okna spogląda Szalonek bez kompleksów, czerpiąc z propozycji Wielkiej Awangardy pro-

wybierając na miejsce pobytu miasto, w którym jeszcze nikt z polskich kompozytorów nie zdołał zapuścić korzeni. Berlin — miejsce spektakularnej kłeski Moniuszki, Noskowskiego, Karłowicza i Szymanowskiego traktuje kompozytor jako ziemię dla siebie jałową. Chociaż wycisnął na tamtejszej kulturze trwałe i wartościowe ślad — co poświadcza przyznanie mu honorowego doktoratu przez uniwersytet w Münster, a także jubileuszowe dowody pamięci od berlińskich uczniów, z którymi łączy Szalonka serdeczne (jedynie, zdaje się, jakie uznaje) kontakty, w dzisiejszych rozmowach i dzisiejszych utworach powraca kompozytor obsesyjnie do spraw naszych, tutejszych. „Jestem Śląsakiem” — to aktualny sposób samookreślenia się artysty, który przebył całą, typową polską drogę pomiędzy biegunami uniwersalizmu i swojskości.

Dedykowana Janowi Pawłowi II Symfonia B-A-C-H, najnowsze zbiory utworów religijnych pisanych dla Piekar i dla ukończonego chóru z Łagiewnik (Litanie Lorettańskie, Hymny o św. Janie Nepomucenie) to nie abstrakcyjne pomnik fundowany kulturze rodzinnej w wygodnych berlińskich pieleszach — to wyzwanie, na które powinni odpowiedzieć nasi artyści, przede wszystkim młodzi, którym oferuje Profesor Witold Szalonek podczas swoich bytności w Katowicach optymistyczną wizję przyszłości, dawkę bynajmniej nie śląskiej siły psychicznej i pewności siebie.

MAGDALENA DZIADEK



Tym tekstem pod tytułem „Raporty kulturalne” rozpoczynamy druk cyklu złożonego z kilkunastu pozycji poświęconych problemom kultury i sztuki województwa katowickiego.

Indywidualne i zbiorowe uczestnictwo w kulturze zależy od wielu czynników. Z pewnością do najistotniejszych spośród nich należy typ wychowania w rodzinie, rodzaj i poziom wykształcenia dziadków, rodziców i dzieci czy rodzinne tradycje uczestnictwa. Nie bez znaczenia jest także dostępność instytucji kulturalnych, ich oferta i otwartość. Tylko pięknoty i hipokryta zlekceważy finansowe uwarunkowania uczestnictwa, tak ważne w gospodarce rynkowej.

Liczne i różnorodne czynniki sprzyjają zatem gotowości do uczestnictwa w kulturze lub – przeciwnie – ugruntuowanej w niej nieobecności i wyłączenia. Wpływają także na ujawnianie trojakich przynajmniej postaw. Do najbardziej pożądanych, choć zbyt rzadko występujących, zaliczyć należy postawę uczestnika, aktywne zaangażowanie w kulturę, nie tylko poprzez udział, ale także przez jej tworzenie. Widz z kolei pojawia się na imprezach i w instytucjach kulturalnych raczej jako obserwator niżli ich twórcą czy współtwórcą, przyjmując czasami pojęcie wyrażające izolację i dystans. I wreszcie nieobecny skazany jest – bądź świadomie wybiera – telewizor, video, taśmę z muzyką *disco-polo*, niewysmakowane gazety czy książki, słowem udomowioną wersję *pop-kultury*.

Rodzina i uczestnictwo w kulturze

Szczególną rolę w procesach kształtowania postaw wobec uczestnictwa w kulturze odgrywa rodzina. Jak wiadomo pełni ona funkcje kluczowe – oprócz szkoły – instytucji wychowawczej. Przystosabia zatem do życia społecznego nowe pokolenia, wpływa na akceptowanie przez nie wzorów awansu zawodowego i społecznego, podzielenie systemy wartości, апробowane normy, ideologie i doktryny. Walt W. Rostow, amerykański ekonomista i socjolog, twierdził nawet, iż warunkiem rozwoju społeczeństwa jest naturalne pragnienie rodziców, aby ich dzieci miały lepsze, łatwiejsze życie, odważnie uczestniczyły w życiu kulturalnym, zajmowały wyższe stanowiska, pełniły bardziej odpowiedzialne role. Słowem, rodzina tworzy zrzęby kapitałów indywidualnych i społecznych. To one w pierwszej kolejności oddziałują na zakres jednostkowego i zbiorowego uczestnictwa w kulturze. Kapitał indywidualny to po prostu zasób wiedzy, najszybciej pojmowanej, umiejętności językowych pozwalających jednostce funkcjonować

w społeczeństwie, podejmować skuteczne działania realizujące jej aspiracje życiowe i kulturalne. Najważniejszym wszakże elementem jest poziom kompetencji symbolicznych. Ten niepotrzebnie skomplikowany przez socjologów termin oznacza znajomość symboli, kodów i kanałów wykorzystywanych w kulturze, czy szerzej w przekazie informacji. Chodzi w istocie o zdolność uczestnika, widza do zrozumienia intencji i treści przekazu nadawanego z telewizora, radia, sceny teatru, ekranu kina, organizowanego *happennig* artystycznego. To także zdolność odbiorcy do przeżywania treści czy przechowywania i sięgania

a przodującymi – aglomeracyjnymi – regionami Polski (np. warszawskie, krakowskie, poznańskie, łódzkie). Trudno aby było inaczej jeśli w grupie rozpoczynających naukę w szkołach ponadpodstawowych (1994/1995) dominują uczniowie zasadniczych (36,1 proc.) i średnich szkół zawodowych (38,1 proc.). A zatem jest ich łącznie trzykrotnie więcej aniżeli słuchaczy liceów ogólnokształcących (25,8 proc.). Wprawdzie proporcje te ulegają zmianie, ale jej tempo wciąż jest niezadowalające. Dla celów porównawczych można na przykład podać, iż w roku szkolnym 1990/1991 udział uczniów szkół zasadni-

Jak być?...

(Społeczne uwarunkowania uczestnictwa w kulturze)

po właściwe informacje w celu ich wykorzystania w życiu codziennym. Mówiąc wprost, kapitał indywidualny, sprawia, iż widz czy uczestnik wie i rozumie co impreza kulturalna czy zdarzenie mu komunikuje. Powszechnie znane są przypadki, iż imprezy kulturalne, dopracowane w detalach, nie docierały do wielu uczestników i obserwatorów. Były bowiem przygotowane na zbyt wygórowanym językowo i koncepcyjnie poziomie.

O skali uczestnictwa w kulturze decyduje nie tylko kapitał jednostek, ale także kapitał społeczny, czyli nagromadzone zasoby kompetencji i umiejętności całych grup społecznych, ich zdolności do podejmowania działań zmierzających do realizacji wyzwań cywilizacyjnych. Wysoki poziom kapitału społecznego umożliwia sprostanie tym wyzwaniom i odwrotnie: niski – jest skuteczną barierą przed ich pokonaniem.

Widz i uczestnik wyedukowany

W końcu 1995 roku Janusz Czapliński, psycholog z Uniwersytetu Warszawskiego, opublikował obszerne opracowanie poświęcone społecznym kosztom polskiej transformacji. Wynika z niego jednoznacznie, iż wykształcenie łagodzi indywidualne koszty transformacji, a ludzie najlepiej wyedukowani żyją dłużej niż inni, rzadziej trapią ich depresje, osiągają wyższe dochody, częściej uczestniczą w kulturze, a poczuć bezradności raczej ich omija. W 1994 roku – napisał J. Czapliński – *osoby z wykształceniem wyższym miały już ponad dwukrotnie wyższe dochody od osób z wykształceniem podstawowym, a o połowę wyższe w porównaniu z osobami, które zakończyły edukację na poziomie średnim*. Czapliński – stwierdza dalej – *psychologiczne koszty nieprzystosowania (poczucia bezradności i symptomów depresji) (...) były w latach 1991-1994 (...) powiązane z poziomem wykształcenia*.

Można również przyjąć, iż skala i zakres uczestnictwa w kulturze w województwie katowickim zależy w znacznym stopniu od przeobrażeń systemu oświatowego w regionie. Wydaje się jednak, iż obecny system kształcenia – mimo licznych, a przy tym pozytywnych zmian – sprzyja pośrednio marginalizacji regionu i jego społeczeństwa w zakresie przygotowania do uczestnictwa w kulturze symbolicznej. Pogłębiać ulegają bowiem istniejące dystanse edukacyjne, społeczne, cywilizacyjne i kulturowe między województwem

czych wynosił 52,4 proc., średnich szkół zawodowych 29,3 proc., a liceów ogólnokształcących 18,3 proc. Sądząc, że te pozytywne tendencje winny doprowadzić do radykalnego wzrostu młodzieży pobierającej naukę w szkołach ogólnokształcących (minimum: 50-60 proc.) oraz poważnego powiększenia odsetka młodzieży studiującej. W 1996 roku na 1000 mieszkańców województwa przypadało 16 studentów, a odsetek zatrudnionych we wszystkich szkołach wyższych i placówkach naukowo-badawczych w stosunku do ogółu zatrudnionych wynosił jedynie 0,8 proc.

Struktura kształcenia jest w województwie katowickim wysoce zróżnicowana. Przykładowo analiza przeglądu sieci szkolnej przeprowadzona w Delegaturach Kuratorium Oświaty na przełomie 1994/1995 wykazała, iż odsetek młodzieży pobierającej naukę w szkołach średnich wahał się między 64 proc. a 82 proc. Do gmin tworzących czołówkę w tym osobliwym rankingu należały: Dąbrowa Górnicza (82 proc.), Olkusz (78 proc.), Siemianowice Śląskie (78 proc.), Sosnowiec (77 proc.), Zabrze (76 proc.) i Myszkowice (74 proc.). Do gmin o niekorzystnym wskaźniku zaliczono: (Knurów (54 proc.), Żory (57 proc.), Jastrzębie Żródło (62 proc.), Rudę Śląską (64 proc.), Pszczynę (64 proc.), Tarnowskie Góry (64 proc.), Tychy (64 proc.) i wreszcie Jaworzno (64 proc.). Warto w tym kontekście wspomnieć, iż poziom kształcenia na poziomie średnim jest istotny i rzutuje bezpośrednio na dynamikę i zasięg kształcenia w uczelniach wyższych. Wszak na każdą dziesiątkę polskich studentów siedmiu to absolwenci liceów ogólnokształcących.

Ze niezbyt korzystny dla województwa katowickiego uznac także należy wskaźnik liczby lat nauki przypadających na jednego mieszkańca, oddziałujący bezpośrednio na skalę uczestnictwa w kulturze. W 1992 roku średnia liczba lat nauki dla całego kraju wynosiła 9,59. Do liderów należały: województwo warszawskie (10,45), krakowskie (9,92), wrocławskie (9,89), łódzkie (9,86), górnośląskie (9,86), poznańskie (9,77), szczecińskie (9,66) i lubelskie (9,60). Województwo katowickie zajęło miejsce dwudzieste, a osiągnięty wskaźnik był nieco niższy od średniej krajowej (9,57). Pozycja województwa jest niezadowalająca gdyż w tym szczególnym rankingu wyprzedzone zostało przez wszystkie województwa aglomeracyjne, same zaś zostało w tyle

głównie województwa mniejsze (np. bielskie: 9,45, częstochowski: 9,32) oraz o więksim charakterze i wyraźnie zdeformowanej strukturze wykształcenia (np. kieleckie: 9,35, przemyskie: 9,28 czy ostatnie w tym zestawieniu siedleckie: 9,01).

Nieobecni w kulturze

Z wielu ogólnopolskich badań socjologicznych dotyczących rodzinnego systemu oświatowego wynika jednoznacznie, iż poziom kompetencji szkolnych i kulturalnych młodzieży – mierzony zasobem i opanowaniem podstawowych pojęć – jest niski. Badania te w pełni potwierdziły najnowsze studia porównawcze nad poziomem tak zwanego alfabetyzmu funkcjonalnego przeprowadzone w Polsce, Kanadzie, RFN, Holandii, Szwecji, Szwajcarii i USA. Wyniki tych studiów, przeprowadzonych na zlecenie organizacji skupiającej najbardziej rozwinięte kraje świata (OECD), opublikowane niemal jednocześnie z tryumfalnymi wystąpieniami byłego wicepremiera, Grzegorza Kołodki, z okazji przyjęcia Polski do tego elitarnego grona. Nieznośny termin funkcjonalny alfabetyzm oznacza zdolność człowieka do wykorzystania w życiu codziennym zdobytych i nagromadzonych wiedzy. Ta umiejętność jest z całą pewnością jednym z elementów kluczowych warunkujących uczestnictwo w kulturze. Jeszcze do dzisiaj pamiętam, iż świat społeczny oglądany oczyma mojej niezręcznej babci – nie znającej terminu funkcjonalny alfabetyzm – był dwudzielny, tworzyli go bowiem ludzie *gramotni i niegramotni*. Ci pierwsi bez trudu dawali sobie radę w każdej, nawet trudnej, sytuacji społecznej (funkcjonalni alfabetici), ci drudzy skazani byli na sytuacyjne stresy (funkcjonalni analfabetici). Tymczasem w świetle badań OECD aż czterech na dziesięciu Polaków osiągnęło tylko najniższy poziom w zakresie rozumienia prostych tekstów (np. artykuły z gazet, ogłoszenia), dokumentów (np. formularze, karty gwarancyjne, instrukcje obsługi) i prowadzenia nieskomplikowanych obliczeń (np. rachunki, formularze bankowe, zeznania podatkowe).

Radykalne oceny i prognozy zawarte w konkluzjach tych badań zachowują walor poznawczy w warunkach województwa katowickiego. Uczestnikami zdarzeń i imprez kulturalnych nie mogą być bowiem funkcjonalni analfabetici, osoby o niskim kapitale edukacyjnym, wyłączone przy tym w znacznym stopniu z obiegu kulturowego. W tym kontekście trudno też pominąć zastanawiające wyniki studiów opublikowanych w *Raporcie o Rozwoju Społecznym Województwa Katowickiego*. Aż 58 proc. indagowanych mieszkańców regionu jest zadowolonych z osiągniętego poziomu wykształcenia, a jedynie 37 proc. deklaruje swoje niezadowolone. Pociągający jest natomiast fakt, że 28,2 proc. zapewniało o stałym podnoszeniu własnych kwalifikacji zawodowych, a wśród ogółu pracujących 34,9 proc. uzupełniało swoje wykształcenie w ciągu ostatnich pięciu lat. Warto też zauważyć, że 61,8 proc. rodziców pragnie wykształcenia wyższego (dziennego) dla swoich synów i 64,3 proc. dla swoich córek. Także cząstkowe badania prowadzone w Tychach i innych miastach województwa potwierdzają, że edukacja i wyższe wykształcenie to wartości cenne, egzystencjalne, lokowane obok zdrowia i pomyślności rodzinnej na najwyższych szczeblach hierarchii aspiracyjnej. To dobrze rokuję uczestnictwu w kulturze tyle tylko, że dopiero w trzecim tysiącleciu.

Tymczasem kapitał edukacyjny czy szerzej społeczny mieszkańców województwa jest wciąż bardzo skromny i w żadnej mierze nie odpowiada wymogom projektowanych działań restrukturyzacyjnych oraz oczekiwaniom zasadniczego wzrostu uczestnictwa w kulturze. Warto może przypomnieć, iż w końcu 1996 roku struktura wykształcenia ludności województwa katowickiego (osoby w wieku 15 lat i więcej) była wyjątkowo niekorzystna i jednocześnie zdeformowana. 65 proc. ludzi posiadało bowiem wykształcenie niepełne podstawowe, podstawowe lub co najwyżej: zasadnicze zawodowe. Ledwie 27 proc. legitymowało się świadectwem ukończenia szkół średnich, a pozostałe 8 proc. tworzyło elitarną – w regionie – grupę osób dysponujących wykształceniem wyższym. Wiadomo tymczasem, iż o przyszłych losach województwa, tempie jego zmian i skali uczestnictwa w kulturze zdecydować ludzie bardzo dobrze wykształceni, o osobowości nowoczesnej, współkształtowanej przez zreformowaną instytucjonalnie i programowo regionalny system oświatowy.

Pieniądze, kultura i parametry

Raymond Aron, wybitny myśliciel francuski, wskazywał, iż wszelkie procesy rozwoju opierają się na trzech podstawowych czynnikach: ludziach, kapitale ekonomicznym oraz opowie instytucjonalnej. W tym ostatnim przypadku chodzi o liczebność, przestrzenną lokalizację i dostępność instytucji kulturalnych, a także różnorodność ich oferty. W odniesieniu do uczestnictwa w kulturze najistotniejsze są placówki oferujące powszechny dostęp do dóbr kultury, wysokiej i niskiej, wyrafinowanej i masowej, zwłaszcza zaś biblioteki, kina, teatry, galerie i inne instytucje artystyczne. Szczególnie niepokoią malejąca liczba placówek bibliotecznych w województwie. Wszak czytelnictwo to jedna z podstawowych form uczestnictwa w kulturze. Między 1990 a 1995 rokiem sieć ta w Katowickim skurczyła się o 68 placówek, choć jednocześnie wzrosła liczba wypożyczeń przypadających na jednego czytelnika (z 22,3 w 1990 do 24,2 w 1995 roku). Wzrosła również, co cieszy, liczba czytelników zarejestrowanych (z 644 tys. w 1991 do 779 tys. w 1995). Między 1991 a 1995 rokiem zmalała natomiast liczba muzeów (z 27 do 25), lecz ilość wystaw wzrosła znacząco (ze 173 do 204). Liczniejsze są także instytucje artystyczne (z 12

w 1990 do 17 w 1995). Spadła z kolei liczba kin z 54 do 46, zmniejszyła się także liczba miejsc na widowni, ale samych widzów przybyło. Na niemal niezmiennym poziomie, co wydaje się może nieco zastanawiające, znajduje się liczba abonentów telewizyjnych, a nieznacznie skurczył się rejestr abonentów radiowych. Spadła też liczba domów kultury, choć nie ubyło w nich uczestników i prowadzących zespołów artystycznych.

Fascynatom statystyk i liczb warto jednak przypomnieć, iż czteromilionowe *miasto Górny Śląsk* wypada jeśli chodzi o stan posiadania w dziedzinie kultury. W województwie, w którym mieszka dziesiąta część ludności kraju znajduje się jedynie 4,2 proc. polskich muzeów, 6,6 proc. kin i 6,0 proc. wszystkich domów kultury, ośrodków kultury i świetlic. W kraju na jedną placówkę biblioteczną przypada nieco ponad 3700 osób, w województwie blisko dwukrotnie więcej. Na każdą setkę Polaków zarejestrowano 321 egzemplarzy książek bibliotecznych, w województwie – 251. W *Raporcie o Rozwoju Społecznym* anonimowy autor napisał: *W województwie katowickim na jedno miejsce w teatrze lub instytucji muzycznej przypada czterokrotnie więcej widzów niż w Krakowie, pięćkrotnie więcej niż w Łodzi i aż sześciokrotnie więcej niż w Warszawie*. Ale nawet te szczupłe zasoby kultury rzadko bywają w pełni wykorzystywane. Przed kinami i teatrami nie ma kolejek, instytucja *konika kinowego* dawno już nie istnieje, a wcale do rzadkości nie należy odwoływanie się do spektakli, niekiedy wybitnych, z powodu notorycznego braku widzów.

Wszystkie te procesy i zjawiska rozpatrywać warto w perspektywie polskiej transformacji, ekonomicznych reguł rynku czy nadmiernej centralizacji państwa i jego finansów. Nie lekceważyłbym także technokratycznego uosobienia kolejnych ministrów finansów i RZCZypospolitej, słabej siły przebiecia szefów resortu kultury, a nawet folklorystycznego-orkiestralnych preferencji przynajmniej jednego z nich. Nic zatem dziwnego, że wydatki ponoszone z budżetu centralnego na kulturę nie są wygórowane i wynoszą w skali kraju nieco ponad 1,1 proc. Znacznie korzystniej, choć również niezadowolająco, kształtuje się wskaźnik wydatków na kulturę z budżetu wojewody (w 1992 – 2,7 proc.; w 1994 – 2,9 proc.) oraz budżetów gminnych (1992 – 3,6 proc., 1995 – 3,4 proc.). Tymczasem ten typ inwestycji to prosta i pewna – choć kosztowna – droga do zszerszenia polskiego i regionalnego *snu o potęgę*. Wiadomo też, że po 1990 roku funkcje organizatora kultury przejmują lub przejęły samorządy lokalne. Jednak wydatki na kulturę z budżetu gmin spadają, gdyż skumulowane przez lata zamieszkania w zakresie oświaty, komunikacji, służby zdrowia, transportu czy sieci dróg niwelowane są najczęściej w pierwszej kolejności. W warunkach niskich nakładów, niedostatecznego budżetu wojewody i gmin, niezwykle ważną jest częściowa przynajmniej *parametryzacja* kultury – jak się ją nazywa w języku biurokratycznym. Chodzi o taką część nakładów przekazywanych z budżetu centralnego na potrzeby kultury, która uwzględnia stan i liczbę placówek kulturalnych, liczbę uczestników i widzów oraz zatrudnionego personelu czy wreszcie liczbę mieszkańców. Proces ograniczonej parametryzacji został już rozpoczęty, choć na jego zakończenie i efekty trzeba jeszcze sporo poczekać.



Rys. Marek Polanski

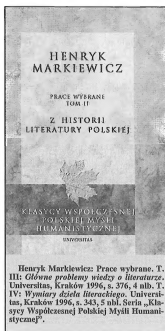
DARIA I MAREK SZCZEPANSCY

Tytuł tej recenzji jest nieco enigmatyczny, gdyż w zasadzie powinien brzmieć zupełnie „niekomercyjnie”: *Najważniejsze książki Henryka Markiewicza* bądź *Lekturowe dwa tomy Markiewicza*. Chodzi mi o to, że jeśli monumentalna synteza podręcznikowa krakowskiego Uczzonego – *Pozytywizm* – jest tylko potencjalną lekturą polonistyczną (bliższą habilitantom i doktorantom niż zwykłym studentom), to omawiana tu dylogia towarzyszy od wielu lat początkującym teoretykom literatury i ich bardziej doświadczonym kolegom. *Główne problemy wiedzy o literaturze* były po raz pierwszy opublikowane w roku 1965 (a studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego – wśród nich i niżej podpisany – poznawali treść tego przyszłego bestsellera od roku 1961 na wykładach prof. Markiewicza). Krótszą historię ma drugi człon dylogii – *Wymiary dzieła literackiego* – gdyż tytuł 12-letnią (pierwsze wydanie: 1984).

W obecnej edycji oba tomy uległy znaczącym metamorfozom: 10 rozdziałów *Głównych problemów wiedzy o literaturze* (dalej skróć: GP) poszerzono o aktualną bibliografię, czyli ok. 30 stronice maszynopisu, a jednocześnie pozbawiono prawie 30-stronicowego „Przeglądu chronologicznego dzieł wiedzy o literaturze. 1851-1972” (zapowiadana jest odrębna broszura, w której Autor GP doprowadzi tę bibliografię najważniejszych prac teoretycznoliterackich do naszych dni). *Wymiary dzieła literackiego* (dalej: WDL) zostały poszerzone o 100 stronice (242 w pierwszym wydaniu) oraz o 5 rozdziałów (2 w tekście głównym, 3 w aneksie). Edycja zyskała też na lepszym papierze (belszy!), wyraźniejszej czcionce, a także bardziej „wysmakowanej” – optycznie i dotykowo – okładce.

Dlażec dwa recenzowane tomy tworzą większą całość? Skąd mój pomysł o dylogii? Jakże są podstawy stwierdzenia, iż GP i WDL stanowią najistotniejszą lekturę teoretycznoliteracką polonistów i w ogóle filologów? Żeby odpowiedzieć na te pytania, muszę najpierw przekonać Czytelnika o tym, że obie książki dopełniają się treściowo. Otóż 10 klasycznych już rozdziałów GP podejmuje najbardziej podstawowe tematy i zagadnienia wiedzy (tak woli Autor nazywać naukę o literaturze) filologicznej: kierunki badań literackich, wyznaczniki literatury, budowa dzieła literackiego, styl, fikcja, genealogia, kierunki literackie, realizm, prawa historycznoliterackie, aksjologia. Nikt nie wątpi, że po przeczytaniu takich 10 rozdziałów wstępuje w szeregi wtajemniczonych znawców „filozofii” beletrystyki, czyli wkracza w krąg tych, którzy potrafią co więcej niż tylko streścić jakąś lekturę. Myślę, że tacy czytelnicy mają szansę na zapoznanie się z profesjonalnym językiem krytyki (w najszerszym sensie tego słowa) literackiej. Od poznania „alfabetu” tego języka do „wyprodukowania” (wysłowienia) pierwszych fachowych sądów i osądów – droga jeszcze daleka. Może ją skrócić zapoznanie się z drugim tomem analizowanej dylogii.

Tom ten (WDL) prezentuje nie tyle ideologię literaturoznawstwa (co jest jednak domeną GP), co narzędzia mogące służyć w konkretnym opisie danego dzieła



Księgi Henrykowe

ła literackiego. Z wyjątkiem dwóch początkowych rozdziałów tomu (1. „Obrazowość a ikonizacja literatury”, 2. „Miejsca niedookreślenia w dziele literackim”), które szybują jeszcze w kierunku „filozofii” teoretycznoliterackiej i nie mają większej styczności z „ziemią” konkretnie analizy polonistycznej, 14 pozostałych części WDL świetnie nadaje się jako podbudowa większości rozpraw historycznoliterackich, nie wspominając już o naukowym „zapleczu” prac magisterskich bądź doktorskich. Przykładowo, rozdział „Uwagi o semantyce i budowie metafory” jest znakomitą uzupełnieniem rozważań o stylu w GP. Trzeba tu jednak wyraźnie zaznaczyć, że Markiewicz bardzo niechętnie zniża się z obłoków teorii na „padół” egzemplifikacji: w GP pojawia się kilka przykładów prac z zakresu stylistyki lingwistycznej (S. Rospond, J. Trypućko, Z. Klemsiewicz, T. Skubalanka) i tyleż z kręgu stylistyki literackiej (W. Weintraub, A. Sandauer, K. Wyka, antologia E. Miodońskiej-Brookes pt. *Stylistyka polska*), a w WDL w zasadzie jako studia do naśladowania dla badaczy metafory czy obrazowania poetyckiego są wskazywane tylko dwie pozycje: J. Kleinera (*Z zagadnień metaforyki Mickiewicza i Słowackiego*) oraz J. Sławińskiego (*Koncepcja języka poetyckiego Awangardy krakowskiej*). Tak więc, aby naprawdę przekonać się, co napisano w Polsce o stylu,

trzeba sięgnąć równocześnie i dodatkowo do innych źródeł (np. do roczników czasopisma „Stylistyka”, które ukazuje się w Opolu od 1992 roku).

Jakie jeszcze zjawiska literackie omawia Autor w drugiej części dylogii? Będą to m.in. kwestie związane z kompozycją dzieł beletrystycznych (dialog, narrator, fabuła, czas i przestrzeń, postać literacka) bądź też genealogią (parodia, paszkwil i pamflet). Ponadto znajdziemy w WDL wprowadzenie w modny obecnie kierunek badań – intertekstualizm (tym razem muszę przyznać, że Markiewicz omawiając przeróżne i przedziwne koncepcje „archetektu” czy „protoarchetektu” – zachowuje zdrowy rozsądek klasyfikacyjny i nie propaguje bardzo zawitych i „przekombinowanych” subtelności dotyczących relacji jednego tekstu z innym tekstem, niektórzy badacze twierdzą, iż istnieje ponad 30 „modalności relacji intertekstualnych”; uważam zresztą, że dla zwykłego czytelnika nawet 9 wyróżnionych klas transeksktualności – WDL, 233-235 – będzie dużym wstrząsem intelektualnym i przeszkołą „nie do wzięcia”).

W omówieniu teoretycznoliterackiej dylogii pora na refleksję dotyczącą języka wywodów i wyjaśnień Markiewicza. Nie jest to język dostępny każdemu laikowi. Nasycenie roztrząsań metodologicznych rzadkimi wyrazami nikogo chyba nie zdziwi (np. we fragmencie określającym rodzaje transeksktualności występują m.in. takie terminy: „intekstualizacja”, „kontrafaktury”, „centony”, „permutacje”, „paralelizacje”, „metatekstualizacje”). Nie może też dziwić obcojęzyczna bibliografia, pojawiająca się niemal na każdej stronie GP czy WDL. Bardziej – w roku 1997 – zaskakuje wienność Autora wobec leksyki i swoistej aksjologii marksizmu (nie tylko w rozdziale „Proces literacki w świetle strukturalizmu i marksizmu”, WDL, 239-249, ale w dylogii i w 4 tomach *Prac wybranych*). Czy to oznacza, że w ogóle „nie można ugryźć” książek Markiewicza? Otóż są tu enklawy normalnej mowy i ciekawej gawędy nawet. Tak jest z rozdziałem „Tytuły dzieł literackich” (WDL, 271-295). Przytaczam wyimek z tego opisu przygód pisarzy z nadawaniem nagłówków swoim utworom: „Ze względu religijnych przedewolucyjna cenzura rosyjska zakwestionowała tytuł poematu Majakowskiego *Trzydziesty apostoł*. Poeta zdecydował się wtedy na obojętny dla cenzury *Obłok w spodniach*. Tytuł ten jednak okazał się kłopotliwy z innego powodu. Jak sam Majakowski potem opowiadał, «książki nie kupowano, bo głównymi odbiorcami wierszy były panielki i panie, a one nie mogły kupować ze względu na tytuł. Gdy pytały o *Obłok*, odpowiadano pytaniem: »w spodniach?« – a wtedy klientki zawstydzone uciekały...» (WDL, 288).

Nie będę ukrywał, że podobnych oaz „zrozumiałości” i enklaw gawędowych w omawianych tu książkach jest mało. Są wyjątkami! Nie należy więc studentom polonistyki zazdrościć „łatwego chleba” i przyjemnych lektur – także i oni muszą się intelektualnie „sprężyć” i „wyjść z siebie”, by wchłonąć „pigułki” GP i WDL...

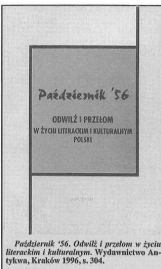
JERZY PASZEK

Książki

Ponad cztery dekady dzielą nas od wydarzeń, które zwykle się określał — „wyposażając” tytuł powieści Erenburga — mianem odwilży oraz październikowego przełomu. „Tajny referat” Chruszczowa, śmierć Bieruta, tragedia „odrabiania rąk podniesionych na władzę ludową”, przejęcie władzy przez Gomułkę; a w innym obszarze doświadczeń — krytyczne wystąpienia na sesji Rady Kultury i Sztuki, ważny — przynajmniej od strony postulatowej — zjazd Związku Literatów Polskich, wznowienie „Tygodnika Powszechnego”. To za ledwie kilka faktów z wyjątkowo gęsto (i jakże często — niewyraźnie) zapisanej historii powojnia. Czy polski Październik był — według określenia Jana Brzokowskiego z 1957 roku — „ogromnym krokiem naprzód, (...) niewątpliwie maksimum tego, co w chwili obecnej i w aktualnej konfiguracji stosunków międzynarodowych można było osiągnąć”, a może wcześniejsza odwilż sprowadziła się jedynie — co sceptycznie odnotowywał w *Dzienniku* Jan Lechoń — do „ponurego tańca niewolników”? W tak zarysowane spektrum wpisywałyby się formułowane „na gorąco” oceny. W jaki sposób wreszcie październikowe przemiany wpłynęły na życie kulturalne lat następnych, jakie konsekwencje — a wpisuje już rzecz całą w perspektywę historycznoliteracką — wniosły zmiany na mapie polskiej literatury?

We wrześniu ubiegłego roku odbyła się w Rzeszowie ogólnopolska sesja poświęcona tej właśnie problematyce, a już w grudniu (tempo wydawnicze zaiste imponujące) i w świecie naukowym raczej niespotykane) otrzymaliśmy książkę zbierającą teksty przedstawionych referatów. Słusznie podkreślił we wstępie Adam Kulawik — redaktor naukowy publikacji, iż spotkały się oto polonistyczne pokolenia, spośród których najstarsze świadomości uczestniczyły w wydarzeniach Października, a najmłodszym roztrząsa problemy dla siebie „historyczne”. Tego typu spotkania bywają znakomitą okazją do wymiany zdań i podjęcia oczekiwanych rozrachunków (szkoda jednak, iż nie zdecydowano się zamieścić tutaj — choćby częściowego — zapisu dyskusji). W szkicach 21 autorów przedmiotem zainteresowania stały się teksty poetyckie (W. Wójcik, J. Detka), prozatorskie (W. Maciąg, A. Kulawik, J. Paclawski, M. Rabizo-Birek), dramatyczne (M. Napiontkowa, L. Kaczyńska) — postrzegane w perspektywie krajowej, jak również emigracyjnej; przedstawiono ujęcia metakrytyczne (M. Kisiel, Z. Andres, M. Kozłowska), nado — w wystąpieniu S. Bortnowskiego — metodyczne uwagi o programach nauczania z roku 1951 i 1957. Autorzy nie stroniли od refleksji nad językiem czasów stalinowskich i uwikłaniem literatury w „nieprzejrzystość” nowomowy (K. Ozóg, M. Zawodnicki). Znalazł się tutaj tekst o charakterze wspomnieniowym — M. Stępnia *Październik 1956 na Uniwersytecie Jagiellońskim*, także szkic o piśmie „Czarno na białym czyli Zebra” piora Tadeusza Bujnickiego, od 15. numeru współredaktora krakowskiego periodyku. Obejmując tedy dość rozległy obszar zjawisk, *Październik '56* oddania — ze skłonnością do ujęć socjologiczujących — różne oblicza kultury doby październikowej.

Tom otwiera szkic Wojciecha Tomasika, który to odwołując się do zasady „architektury mówiącej” (i dwóch obiektów-wsymboli: oddanej w 1949 roku trasę W. S. oraz otwartego szesła lat później warszawskiego Pałacu Kultury) deszyfruje elementy stalinowskiej retoryki ujęte w motywy „szerokiej drogi” i „gmaczu ze światła”. Dalej pomieszczono zarzysy



Wokół październikowego przełomu

„przekrojowe”, poszukujące egzemplifikacji w panoramicznych zestawieniach zjawisk literackich, a także teksty poświęcone twórczości wybranych pisarzy: Jerzego Andrzejewskiego (dwukrotnie), Mieczysława Jastruna, Witolda Gombrowicza, Włodzimierza Odojewskiego, Juliana Strykowski. Centrum zainteresowania staje się przede wszystkim stosunek literatów do październikowych wydarzeń, reakcja na zmianę sytuacji i artystycznego paradygmatu. W tym bloku godną szczególną uwagi wydaje mi się reinterpretacyjna propozycja Adama Kulawika dotycząca pary słynnych tekstów Andrzejewskiego. *Ciemności kryją ziemię i Brama raj* — we wcześniejszych odczytaniach klasyfikowane jednoznacznie jako powieści polityczne rozliczające się ze stalinizmem — przedstawiane są jako utwory moralistyczne, „rozrachunki z własnym sumieniem”. Intrzygą jest włączenie tekstów Andrzejewskiego w układ romantycznych odniesień (brat Diego jako Kordian, los Mellisse na jego repryza dramatu Waltera Alfa). Autor szkicu stwierdza, iż „Andrzejewski pokazał nie zbrodniczy system — w końcu zło jest jednym z parametrów świata — lecz to, co tkwiąc w człowieku ubezwłasnownia go wobec zła, wpycha w nie i czyni za niego w jakimś stopniu odpowiedzialnym”. Włodzimierz Wójcik z kolei przygląda się tomikowi *Gończy* Papiłki Mieczysława Jastruna — wyznaczającemu — po socrealistycznych kompromisach i „schronieniu” w historii — początek niezwykle twórczego okresu w życiu poety i godne nawiąza-

nie do międzywojennych osiągnięć. Badacz odwołuje się przy tym do fragmentów dziennika pisarza — w wielu miejscach gorzkiego świadectwa stalinowskiej rzeczywistości (w maju '56 notował Jastrun np.: „Represje: skonfiskowano mi wszystkie wiersze, jakie dałem do „Twórczości” z wyjątkiem dwóch. Zamykają mi usta, gdy próbowałem je otworzyć nieco szerzej”). Do innego dziennika sięgnęła Barbara Gulkowska. Przybliżyła ona stanowisko Witolda Gombrowicza, który każdą zapisywaną myśl mierzył się z polskim duchem, a — wyraźnie rozdrażniony postawami rodaków — stwierdzał: „Chciałbym zajeźrć im do głów: co myślą? Zrozumieć, co się z nimi stało? Czy jest możliwe takie zduszenie słowa, że ono niczym się nie zdradzi?”. Warto również poznać zwięzłe i interpretacyjnie wyważone teksty Jerzego Smulskiego (*Immanentne zło komunizmu jako temat literatury i publicystyki, „odwilżowej”*) oraz Włodzimierza Maciąga (*Andrzejewski wobec komunizmu*).

Wśród wystąpień powracających do „przełomowych” dyskusji odnotowałbym natomiast dwa: Mariana Kisiela (*O model literatury nowoczesnej*) oraz Marii Napiontkowej (*Pozorna normalizacja*). Pierwsze z nich uznaje można za rozrachunek z krytycznym schematem, sprowadzającym problem nowoczesności do formuły „mitu” i „fetyzacji”. Jak wiadomo dyskusja o nowoczesności toczyła się na łamach wielu czasopism (m.in. „Nowej Kultury” zamieszczającej artykuły pod wspólnym nagłówkiem *O nowoczesności. Przeglądu Kulturalnego*) z cyklem *Jak widzę współczesną polską sztukę rewolucyjną*, a rozpoczęła ją — inspirowana wystawą w Arsenał — wymiana zdań dotycząca sztuki. Potem — co wnikliwie śledzi autor — przeniosła się na obszar poezji i prozy. Tekst, kreśląc pewien etap kształtowania się świadomości literackiej „po stalinizmie”, przekonuje o istotności sporu o nowoczesność, o którym rzeczywiście można powiedzieć, iż „w ujęciu tradycyjnym (...) inicjuje nową fazę procesu historycznoliterackiego, zwaną „przełomem 1955-1959”, w ujęciu radykalnym natomiast, że daje (...) początek tzw. przełomowi postmodernistycznemu” (s. 40). Drugi tekst dotyczy odwilżowego poszerzenia w polskich teatrach repertuaru klasyki i problemów, które — co oczywiste — nastercał kanon romantyczny (zwłaszcza *Diady* i *Nie-Boska komedia*) oraz neoromantyczny (m.in. Wyspiański). Treść go bowiem było interpretacyjnie „oswoić” — tu przypomniane są wystąpienia lat 1954-55 — i dopasować do potrzeb „socialistycznej publiczności”.

Rok 1956 był zdecydowanym krokiem ku normalności. Jakis czas temu, publikując artykuł w drugogobiegowym „Almanachu Humanistycznym”, Janusz Sławiński zauważył: „I dziś przecież, gdy spoglądamy (...) na to, co wydobyło się w polskiej poezji z okoliczności roku 1956, nie mamy wątpliwości, że istotnie nastąpił wtedy prawdziwy przewrót”. Przewrót w poezji, przewrót w prozie... Literatura odzyskiwała po prostu naturalną „wielogłosowość” — w odnowieniu związków z tradycją, w nawiązaniu do tendencji nowatorskich, podjęciu „zabronionych tematów”. Badania nad dorobkiem z lat 50, przyniosły ostatnio kilka cennych rozpoznań (m.in. książki Wojciecha Tomasika, Michała Głowińskiego, Jerzego Smulskiego). Dzisiaj, bez obawy o cenzorskie ograniczenia, bez koniecznych niedgdy peryfrazy i dwuznaczności sformułowań, można pokusić się o rzetelny bilans krytyczny. *Październik '56* jest owego bilansu kolejnym ogniwem.

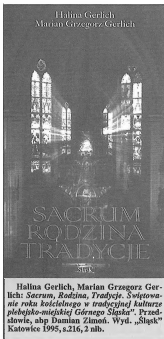
Książka Haliny i Mariana G. Gerlichów *Sacrum, rodzina, tradycje* jest pozycją ważną. Stanowi niezaprzeczalne novum w kontekście dotychczasowych opracowań etnograficznych, dotyczących duchowej sfery kultury górnośląskiej. Będąc efektem kilkunastoletnich badań terenowych, prezentuje ich wyniki uczciwie, bez naginania, czy upraszczania pod kątem z góry założonej tezy badawczej, co było i jeszcze bywa grzechem głównym publikacji naukowych, dotyczących Śląska i jego kultury. Ponadto jest to pierwsze, na gruncie polskim, opracowanie dotyczące ludności miejskiej, zaś opisy naukowe i wnioski finalne odnoszą się do okresu od końca XIX wieku do momentu wybuchu II wojny światowej.

Omawiane studium etnologiczne autorzy sytuują w szerokim kontekście wcześniejszych i współczesnych opracowań ludoznawczych, jak i etnologicznych. Jan Stanisław Bystroń napisał: „Chryścianizm, coraz to silniej na ziemiach polskich się utwierdzający, rozbił ten dawny (pogański - przyp. SAW) rok obzędowy i wprowadził własny, zupełnie nowy (...) Zaczyna się więc walka, trwająca przez wieki pomiędzy tradycją pogańską i narzuconą przez Kościół obzędowością chrześcijańską. Kalendarz chrześcijański zwyciężył szybko, ale niezupełnie: można było zrobić dawny system tradycyjnych świąt pogańskich i na jego miejsce zaprowadzić nowe terminy i nowe praktyki, ale nie udało się wykorzystać bez reszty dawnych zwycięzów.”

Nawiązując do tej wypowiedzi wielkiego badacza, Gerlichowie we wprowadzeniu piszą: „Bezustannie też zachodziły dwa szczególnego rodzaju procesy - to znaczy chrystianizacji folkloru i folklorizacji chrześcijaństwa. Można też w efekcie zaryzykować twierdzenie, iż wykształciła się również w kontekście roku liturgicznego swoista „teologia ludowa” (...) Przedmiotem naszych zainteresowań są otoczka kulturowa i swoiste formy świętowania roku liturgicznego, jakie funkcjonowały w realiach tradycyjnej, górnośląskiej rodziny plebejsko-miejskiej. (...) Koncentrować się będziemy zwłaszcza na poszukiwaniu związków i relacji między interesującą nas kategorią kulturową a upamiętnianymi w liturgii roku kościelnego wartościami, treściami i wydarzeniami. Tak więc w obrębie wierzeń, swoistej »ludowej ontologii«, zabiegów magicznych, wróżb, a także usankcjonowanych tradycją wzorów zachowań, także działań o charakterze obzędowym, ważny dla nas będzie wpływ, jaki wywierała religia.”

Swoją uwagę skupili oni na tradycjach związanych ze świątami Bożego Narodzenia i Wielkanocy oraz okresach poprzedzających je, czyli Adwencie i Wielkim Poście. W tym przedziale czasowym roku liturgicznego ukazane zostało, najważniejsze z punktu widzenia lokalnej kultury świątecznej, pojmowanie istoty tych świąt i formy w jakich były one realizowane. Studium etnologiczne Haliny i Mariana G. Gerlichów dotyczy przede wszystkim obecności sacrum w życiu dawnych rodzin plebejsko-miejskich Górnego Śląska i związanego z tym »oswajania« wartości i tradycji oficjalnych, oraz kulturowej otoczki świętowania roku liturgicznego, czyli regionalnej tradycji.

Opisy, jak i wnioski z nich wnioski, sytuowane są w szerokich kontekstach historycznych, dotyczących np. porządku kalendarzycznego w roku liturgicznym, jego genezy, bądź dotyczących porównań



Halina Gerlich, Marian Grzegorz Gerlich: *Sacrum, Rodzina, Tradycje. Świątowa roka kościelnego w tradycyjnej kulturze plebejsko-miejskiej Górnego Śląska*. Przedświątka, abp Damian Zimoń. Wyd. „Śląsk” Katowice 1995, s.216, 2 nrb.

Sacrum, rodzina, tradycje

tradycji śląskiej z tradycją z innych stron Polski, a nawet szerzej - z innymi obszarami słowiańszczyzny.

Jako przykład omówię bardzo interesujący i nie znany powszechnie powód, dla którego Święto Bożego Narodzenia przypada właśnie w dniu 25 grudnia. Nastąpiło to pod koniec III wieku i ma rzymski rodowód. Autorzy, w oparciu o źródła historyczne i ich współczesne opracowania, przywołują fakt, iż cesarz Aureliusz w 274 (lub 275) roku wprowadził w dniu 25 grudnia święto Niezwyciężonego Słońca. Cesarz chciał umocnić swój autorytet, swoją potęgę przez identyfikację z Niezwyciężonym Słońcem, przez postawienie swojej osoby na równi z nim. Te przesłanie apoteozę cesarza i mitów niezwyciężonego słońca - Kościół przeciwstawił wówczas cześć Chrystusa - prawdziwego Słońca, które nie zna zachodu. Tak więc w tym samym dniu, poświęconym kultowi Słońca, który w Rzymie zyskał wielką popularność - chrześcijanie zdecydowali się ustanowić swoje najważniejsze święto ku czci Jezusa Chrystusa, który, jak to określa tradycja, jest „Prawdziwym słońcem”, „Słońcem Zbawienia” i również „Zwycięskim Światłem”. Pierwotne formy obchodzenia tego święta, posiadały pewne elementy z pogańskiego rytuału „Natale Solis Invicti”, a więc było to palenie ognia i procesja z pochodniami.

Porównania, niebanalnie rozbudowane kulturowe układy odniesień, przy języku,

który na szczęście, nie ma formy hermetycznego żargonu specjalistycznego - powodują, że książka jest bardzo interesująca i zrozumiała dla nieprzygotowanego czytelnika. Ukazuje ona szeroką perspektywę, w jakiej należy sytuować i rozumieć górnośląskie tradycje w tym wymiarze.

Nie należy pominąć jeszcze jednej, bardzo ważnej zalety metodologicznej omawianej książki. Obowiązywała dotychczas na gruncie nauki polskiej jednostronna analiza obzędowości i zwyczajów dorocznych wynikająca z przebrzmiałych paradygmatów badawczych. W tym ujęciu wypracowana została specyficzna klasyfikacja obzędów, zupełnie nie przystająca do istoty zjawiska. Wyodrębniano sztucznie wśród obzędów dorocznych: „przyrodnicze”, „gospodarcze”, „agrarne”, „hodowlane”, następnie „zapewniające człowiekowi życie, zdrowie, powodzenie, bogactwo”, „receptyjne”, „religijne i kultowe” oraz „o charakterze rozrywkowym”. Rezultatem takiego podejścia było rozbieżanie na niespójne elementy (w pracach analitycznych i opisowych) całego, koherentnego systemu wierzeniowo-obzędowego.

Etnologiczne studium Gerlichów nie ma nic wspólnego ze wspomnianą anachroniczną metodologią. Autorzy zdecydowanie od niej się odznaczają. Dzięki temu czytelnik otrzymuje rzetelny i kompleksowy obraz realiów tradycyjnego świętowania roku kościelnego w plebejsko-miejskich środowiskach naszego regionu, jako specyficznego kategorii zjawisk występujących w centrum każdego systemu kulturowego. Owo świętowanie stanowi częstą i zarazem funkcję systemu, w którym dominantą była (i jest jeszcze) pełna akceptacja tego, co dawne, odziedziczone. W kontekście roku kościelnego tak pojmowana tradycja miała dodatkowe usankcjonowanie, swoistą sakralizację. Dotyczy to oczywiście polskojęzycznej ludności rodzimej, lecz przez wspomnianą wcześniej metodę opracowania całości, czytelnik styka się z realiami wielokulturowej tradycji słowiańsko-polskiej, niemieckiej i nie tylko.

W *Przedświątka* abp Damian Zimoń m.in. napisał: „Na przykładzie górnośląskich rodzinnych tradycji miejskich okresu od lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia aż do schyłku lat międzywojennych Autorzy tego studium przedstawili bogate formy tradycyjnej kultury świątecznej związanej z rokiem liturgicznym. Penetracja plebejsko-miejskie tradycje, ludową aksjologię, ludową etykę, koncepcję dobra i zła, znormalizowane kulturowo wzory zachowań i specyfikę oraz zakres i natężenie realizowanych aktów religijnych szukały w nich siły i atrakcyjności sacrum.”

Na zakończenie zacytuję fragment wypowiedzi jednego z informatorów: „Wszystko, co się człowiek tak prawdziwie nauczył, jako człowiek, to ino w domu się nauczył. (...) To jużaś co złe, to żodyn człowiek, który dobre rzeczy z domu wyniósł, nie weźnie. Dobre rodzina dowo. I jak sie tak człowiek nad tym zastanowi, to widzi, że ta rodzina nabra najbardziej była wyrażona w obchodzeniu świąt kościelnych (...) Z pozy, chodniozy do kościoła, spowidzi. I tego człowieka brol na nuda i przykrold. Radość tyż w tym była. Widać z tego, jak ważne som te wszystkie święta. Bez świąt życia nie ma...”

SEWERYN A. WISŁOCKI

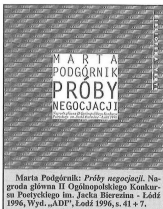
Świat składa się z nieuniknionych konieczności, zatem „coś w tym mimo wszystko musi być, jeśli wszyscy się na to / łapią, biorą na ten lep, więc skoro już wszadzono nas do / tego pociągu z życzeniami przyjemnej podróży, spędźmy ją / na korytarzu, koniecznie w przeciagu, trąciami brzuchami / i walizkami przechodzącymi” (*Asymetria*).

Taką właśnie podróż proponuje w *Próbach negocjacji* Marta Podgórnik. Jej świat jest światem oczekiwanego wypełnionym przypadkowymi spełnieniami, zapowiadającym jednak to, co nieuniknione i prawdziwie prawdziwe. Co oznacza owo „prawdziwie prawdziwe”? Oznacza coś więcej niż przypadkowość, oznacza spełnienie ostateczne, oznacza dotarcie do prawdy niepodważalnej, być może w życiu nieosiągalnej, lecz osiągalnej w poezji, gdyż kiedyś musi nadejść „czas planowanej puenty doskonałej” (*Abstrakcja*).

Podróż, oczywiście, przyjemna nie jest, mimo dobrych życzeń tych, którzy wszadzili nas do „tego pociągu”. Pełna jest zasadzek, jak każda odyseja: fałszywych śpiewów syren, obietnic rozkoszy kończących się w szpitalnym łóżku na „oddziale niedoszłych młodych samobójców” (*Oddział*), bulimią i surrealistycznym graffiti oznajmującym, że „kto nie czyta poezji ma wjebane” (*Graffiti*). Świat Podgórnik jest spójny i w zasadzie odrażliwiający, smutny, pełen zapachów i klęsk, ale te wiersze rzeczywiście są, jak oznajmia tytuł, „próbami negocjacji”. Być może należałoby oczekiwać, że światło w tunelu jest jakimś wyjściem, tymczasem: „światło w tunelu okazuje się ogniskiem stworzonym / na bazie porzuconej butelki, z której mógłby / wyleżeć dzień, ale nie wylazi, za to cień kładzie się / pod nogami coraz dłuższy i węższy jak margines” (*Wiersz dla Maćka Meleckiego*).

Nie znaczy to jednak, że nie należy wierzyć w spełnienie, w wyjście w światło dnia. By to się stało, konieczne jest gdzieś przesunięcie akcentów, niewielkie, jednak niezbędne dla ocalenia tej szansy, jaka jest, mimo wszystko, dana każdemu. Zawsze pojawia się przed nami, w nas, w naszym życiu „ten punkt”: „dlaczego wszystko musi odbywać się nudno, głucho, / bez pompy i bez naszej zgody? / ten punkt - nie znika, on / daje się złapać” (*Wiersz z kluczem*). Wtedy: „zadziwiająco, że kolejny raz dało się powrócić cało / z czarnej dziury!” (*Szerokie spektrum*).

„Ten punkt” jest punktem wyjścia i punktem dojścia tej poezji - nie-



To się kiedyś przydarzy

osiągalny, a jednak realny tak, jak realna jest sama poezja. Literackość tych wierszy widoczna jest już w samych tytułach: *Literacki, Wiersz dla Maćka Meleckiego, Wiersz z kluczem*; także w zapisach, w których refleksja autotematyczna pojawia się dość często, jak choćby w incipicie utworu zatytułowanego *Graffiti*: „mógłby to być kolejny taki wiersz...”. czy w literackich nawiązaniach, jak w *Płodnych dniach*: „w takie dni już tylko herbata liptona nad/tomikami bohdana zadury...”. I tu cytowane graffiti okazuje się prawdą - wyrażoną w języku niemal wulgarnym, posługującym się brutalizmami - których w wierszach Podgórnik sporo - lecz przecież „wziętym z życia”, przeto prawdziwym, gdyż notującym dominujący typ wrażliwości, a zarazem nie zmierzającym, jak do niedawna część przynajmniej wierszy publikowanych na łamach „bruLionu”, do „szokowania” czytającej publiczności. Już sam ten fakt świadczy o pisarskim talencie autorki, o językowej, warsztatowej sprawności tej poezji, w której brutalizmy i wulgaryzmy nie zaskakują, lecz wpisują się w tok artystycznej refleksji, odtwarzają ten typ wrażliwości, który jedynie tym językiem może być wypowiedziany. To nie demonstracja, nie manifestacja, lecz lirycznie zobiektywizowany opis, realistyczne odwzorowanie

w języku poezji tego, co współtworzy naszą codzienność. To wydobycie i podkreślenie emocjonalnej wartości owego języka.

Podróż trwa dalej: „jazda bez trzymanki na imprezie albo tramwajem kończy / się zwykle na czychich kolanach, potem bąkanie cichego / „przepraszam” z miną, jakby zamiast spodziewanego roweru / górskiego na urodziny dostało się wperdło” (*Jazda?*).

W końcu jednak dochodzi się do siebie, dochodzi się do formy - właśnie w wierszu, przez wiersz, wierszem, który jednak może okazać się tylko „samoistnym ponurzeniem” marzenia o jakiejś wspólnotce, miłości, bliskości. Jednak warto wciąż próbować na nowo, otwierać się na innego, adresować słowa do kogoś, kto być może je zrozumie, gdyż są odpowiedzią na jego słowa nie wypowiedziane: „tym słowem, którego nie chciałeś wypowiedzieć / zapisałam każdy skrawek papieru w twoich / kieszeniach, nawet bilet, teraz złościsz się / w pociągu na wspomnienie” (*Nasz ostatni raz*).

Podróż trwa dalej. Podróż pełna pomyłek, zastępczych gestów, mąskujących słów. Podróż w świecie niedopowiedzeń i zawstydyżeń, wreszcie wśród zbyt brutalnie wypowiedzianych prawd: „już nie rzucamy się sobie na szyję / jak głodny szczur, już tylko dbamy o / pozorny ład naszych stosunków, jak / to brzmi, posuchaj” (*Te drugie*). Jedni odjeżdżają, inni zostają. Lepiej jest czekać, gdyż: „pozostającym nie pozostać innemu, jak tylko zadowolić się szybko, byle czym” (*Telefon milczy albo kłamie*).

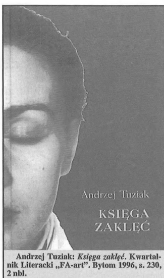
Nadzieja w podróży, w poezji, w wymianie słów. Tę właśnie nadzieję stara się wyrazić w debiutanckim, odważnym i niezwykle sprawnie napisanym, dojrzałym tomie Marta Podgórnik. W tonacji poezja ta przypomina wczesne wiersze Bursy czy Wojaczka, jest jednak mądrzejsza o ich doświadczenia, mniej agresywna, bardziej refleksyjna. To bez wątpienia głos w naszej poezji nowy, któremu nie można zarzucić, jak Zbigniew Bieńkowski debiutu Artura Szlosarka, „cieriekania”. To próba wyrazu własnego, nie zamglonego filtrem „literackości” widzenia świata, ale też manifestacji marzeń i tęsknot - wypowiedzianych co prawda nie wprost, lecz jednak dobitnie. To zarazem zgoda na ryzyko egzystencji, która jest podróżą z nadzieją na dotarcie do „puenty doskonałej”.

Pisarstwo Andrzeja Tuziaka urzeka swoją konsekwencją. Autor *Księgi zaklęć* wybrał dla siebie rodzaj ekspresji literackiej gdzieś na początku lat osiemdziesiątych i nie zdarzyło mu się – jak dotąd – odstępstwo od obranej wówczas drogi twórczej. Czy to wczesne zbiory opowiadań (*Historia naturalna malarza wędrownego*; 1985 i *Odwrocony od siebie*; 1987), czy tomy wydane w ostatnich latach (*Oskarżam pana, doktorze Kąfka*; 1991 i *Wariackie papiery*; 1994), łącznie z komentowaną tu *Księgą zaklęć*, książki Tuziaka jawią się jako podporządkowane jednemu programowi artystycznemu. Od razu też warto powiedzieć, że to raczej kłopotliwa filozofia pisarska, w dekadach na jakie przypada dotychczasowa aktywność Tuziaka nie ciesząca się wzięciem u publiczności czytającej i zaufaniem krytyków. Swoisty eskapizm, jawna *désinterressement* okazywana domniemanym społecznym powinnością literatury, obojętność pisarza na to, co modne, salonne i dobrze widziane – tego, oczywiście, światek literacki darować Tuziakowi nie potrafili.

Na czym więc polega pomysł na literaturę dający się wydobyć z książek bytomskiego prozaika? Najchętniej oddalym głos narratorowi *Księgi zaklęć*: „Epifaniusz był jednym z tych ludzi, którzy ubzdurali sobie, że książki pisze się po to, aby wyjaśnić ludziom, jak należy w życiu postępować, czym jest świat, człowiek, kosmos, piękno, miłość, czego należy unikać i w czym tkwi prawda”. I nieco dalej: „Niektórzy, a może nawet większość, poznają właściwie życie poprzez czytanie książek. Uważają to za bezpieczny, tańszy i ciekawszy sposób spędzania życia. Wśród takich ludzi krąży powiedzenie, że kto czyta książki, żyje dwa razy. Tacy ludzie bardziej przeżywają miłość Romea i Julię niż miłość do własnej żony, bardziej im smakuje ciastko z pierwszego tomu Prousta niż szarlotka domowej roboty, wódka pita przez bohaterów Hłaski bardziej uderza im do głowy niż ta ze sklepu”.

Andrzej Tuziak – tak jak jego opowiadacz – nie wierzy w tradycję funkcji literatury. Śmiechy jego powaga i koturn sztuki słowa, a nawet całe humanistyczne dziedzictwo, jeżeli tylko pisarz wykrywa w nim fałsz i nieautentyczność. Jawnymi wrogami tej prozy są komunał i stereotyp, inteligencje miny i pozy, zadufanie i sztuczność, schematy i nawyki myślowe, jednym słowem – tzw. normalność. To nad nią Tuziak znęca się okrutnie, z niej drwi, mnożąc paradoksy, pokazuje „normalność” jako absurd istnienia.

Oczywiście, dla czytelników mniej wyrozumiałych, za to bardziej prostoliniowych, tak wcześniejsze opowiadania, jak i premierowa powieść, to nade wszystko pisarskie wygłupy. Owszem – powiedzą oni – tu i ówdzie widać nieźle skrojoną groteskę, zabawnie opowiedziane anegdoty, żrące wyieczniki paradytystyczne, ale poza porządkim zabawowym nie dzieje się nic takiego, co by zasługiwało na uwagę i usprawiedliwiała sam akt lektury. Przy tej okazji spodziewać się należy frazesów o prozie postmodernistycznej rozumianej nader vulgarnie: zabawa w literaturę (czy raczej: z literaturą), parodiowanie konwencji, nicowanie porządków, mnożenie ponad potrzebę konceptów pisarskich, zjadanie własnego ogona. Wówczas zresztą istota



Śmiech czy głębsze znaczenie?

literackiego postmodernizmu ma szansę być wyłożona w prostych żołnierskich słowach: igraszki, wygłupy, brednie, a *Księga zaklęć* wydaje się doskonałą egzemplifikacją, potwierdzającą trafność tych – jakże powierzchownych – obserwacji. Mówię o tym, gdyż obawiam się właśnie takiego scenariusza lektury, według mnie – wielce niesprawiedliwego, krzywdzącego prozę Tuziaka, aczkolwiek prawdopodobnego, rzekłbym – standardowego. Lecz *Księgę zaklęć* można przecież przeczytać zupełnie inaczej.

Otóż wcale nie wydaje mi się, aby pisarstwo Tuziaka – paradoksalnie – wynikało z niewiary w literaturę. Raczej z innego paradoksem mamy tu do czynienia: Tuziak – mimo wszystko – interweniuje w rzeczywistość pozaliteracką; między światem jego powieści a praktyką życia społecznego istnieją silne w gruncie rzeczy „poważne” związki. Błażeńska czapka, groteskowa deformacja, zabiegi kosmetyczne nastawione na ciągłe podkreślanie obecności autora w tekście (tu: m.in. *Dodatki* umieszczone na końcu książki), cały ten mechanizm deziluzji i tekstualizacji wypowiedzi sprytnie kamufluje interwencyjny i demaskatorski żywioł *Księgi zaklęć*.

Weźmy na przykład głównych bohaterów powieści. Każdy z nich jest outside'em, dziakiem bądź nieudacznikiem, ewentualnie jednym i drugim równocześnie. Jednak tylko przy powierzchownym oglądzie figury te mogą być traktowane, jakby powstały ku uciesze gawiedzi; w istocie każdej z nich autor przypisał ja-

ką funkcję polemiczną. I tak w Epifaniuszu de Voto skumulowały się cechy tych wszystkich osobowości, które kompletnie nie radzą sobie z własną egzystencją, za to chętnie powierzają swój los Objawieniu – Księdze, Idei, czemuś co przychodzi z zewnątrz (choćby miało być – jak w powieści – znalezione na śmietniku). Profesor Naj to, oczywiście, zhiperbolizowana i wszechstronnie skompromitowana postać naukowa, a być naukowcem – zdaje się podpowiadać Tuziak – to wejść w rolę największego hochsztaplera naszej doby, sama zaś nauka to niezwykle niebezpieczna szarlataneria, wręcz magia XX wieku. Sabina Bielska to z kolei kobieta-idiotka, jakich pełno w prozie Tuziaka, a kompozytor Marek Marek i jego doświadczenia to skrót dzisiejszej sytuacji artysty i sposobu funkcjonowania sztuki na zidiociałym, sterowanym snobizmem i komercją rynku, gdzie wznobienie i manipulacja decydują o wszystkim.

Autor *Wariackich papierów* to przenikliwy obserwator rzeczy dziwnych i ulotnych. Niektóre epizody *Księgi zaklęć* rysują zjadliwym sarkazmem; błyskotliwie skonstruowane nakazują podziwiać pisarza jako demaskatora i ironistę. Do moich ulubionych należą te wyelowane w „życie artystyczne”: wernisaż rzeźb Kowalskiego, wizyta na planie filmowym, działalność grupy rockowej Ka-Zet. Równie wysoko oceniam niektóre wątki zrodzone z obserwacji obyczajowych i choć wydaje się, że na przykład na temat przeróżnych komplikacji damsko-męskich (Sabina i Epifaniusz) powiedziano już wszystko, Tuziak potrafi zaskoczyć przewrotną puentą, zgrabnym żarciem, czymś świeżym.

Z tego, co do tej pory powiedziałem, mogłoby fałszywie wynikać, że autor *Księgi zaklęć* problematyzuje kwestie poważne i doniosłe, tyle że robi to w błażęmskim przebraniu. Nic takiego się nie dzieje, jak sądzę. Utwór Tuziaka to powieść – by tak rzec – rozrywkowa, to propozycja lokująca się gdzieś w połowie drogi między Gogolowskim „Z czego się śmiejeć...”, a zdeklarowanym żartem literackim. Na pewno nie jest to powieść dla tych, którzy dialog z literaturą zwykli umieszczać w porządku zdarzeń szczególnych, niejako odpowiednich, ale też nie ma zgody na to, aby w *Księdze zaklęć* widzieć puste pudełko, zabawkę, jałowe w gruncie rzeczy gępiarstwo.

Kłopot Tuziaka – po raz kolejny dał on o sobie znać właśnie po opublikowaniu *Księgi zaklęć* – polega na tym, że w zasadzie nie ma u nas publiczności dla tego typu pisarstwa. Co więcej – jak łatwo może sobie wyobrazić, komu się *Księga...* nie spodoba, tak istnienie entuzjastów prozy Andrzeja Tuziaka nie mieści się w mojej wyobraźni. Pożeracz fabuły skrzywi się, bo to rzecz zrobiona ze zbyt dużego świadomościowego konwencji, pewnie za mądra i jakby „udziwniona”, zwolenników eksperymentu w prozie odrzucił jawna antynowoczesność i nieoryginalność *Księgi zaklęć*, a już najbardziej nadąsani będą rzecznicy sztuki wysokiej; toż to zwykłe zwracanie głowy – zawołają. Jak zatem na tym leżę podpisywany opisywał własne doświadczenie lektur? Mając do wyboru śmiech lub głębsze znaczenie, stawiam na to drugie, toteż szukam go nawet w *Księdze zaklęć*. Ze dość rozpaczywie, to już osobna sprawa...

DARIUSZ NOWACKI

Księga górniczych dowcipów, Wydawnictwo Górnicze, Katowice 1996, s. 127, 1 nlb.

Ta książka, a raczej książeczka narodziła się w redakcji branżowej „Trybuny Górniczej”, która ogłosiła jakiś czas temu konkurs na dowcipy górnicze. Na wezwanie redakcji odpowiedziało sporo czytelników. I w efekcie powstała książka, uzupełniona o zasoby Maszalskiego. Wybrane przez Aleksandra Trzaskę dowcipy podzielono dla przejrzystości na poszczególne działy (np. „Górniki pracuje”, „Górniki i rodzina” itp.), co ułatwia korzystanie z niej przy odpowiednich okazjach. W sumie kilkaset górniczych dowcipów, przez które przebijają się sprawy najbardziej z górnictwem związane. (JFL)

Kazimierz Ciechanowicz, Biografie Zawiercian. Miejski Ośrodek Kultury „Centrum”, Zawiercie 1996.

W broszurze zebrano ponad osiemdziesiąt biografii ludzi związanych z wieloma dziedzinami życia społecznokulturalnego, starostów, prezydentów, osób duchownych, którzy żyli, pracowali lub nadal pracują dla miasta i miejscowej społeczności. Dokumentacja – zdaniem autora – powstawała zazwyczaj przy współudziale najbliższych rodzin lub osób z nimi związanymi. Nie zawsze możliwe było dotarcie do innych źródeł archiwalnych. Gdyby nie publikacja, być może wiele postaci z czasem poszłoby w zapomnienie, jak np. Bolesław Masłowski, o którym we wstępie pisze autor: *Mijające lata robią swoje. Ludzka pamięć jest zawodna. Niewielu z nas wie lub pamięta o dyrektorze Bolesławie Masłowskim, kreatorze polityki kadrowej w TAZ (Towarzystwo Akcyjne „Zawiercie”), eliminującym miejscową tysiącenną kolonię Niemców w odwiecie za wysiedlenie rodzin polskich z zaboru pruskiego m.in. do Zawiercia w okresie działania oślawionej Hakaty. Dyrektor Masłowski to człowiek, dzięki któremu Zawiercie nie zostało zgermanizowane. Po dyrektorze Masłowskim pozostały tylko niewielkie wzmianki archiwalne, a on sam pozostał zapomnianym obywatelem, nie mającym nawet swojego pomnika w postaci nazwy ulicy jego nazwiskiem.* (kon)

1001 aforyzmów o kobiecie, mężczyźnie i... Wybór: Wiesława i Marek Kamińscy. Videograf II, Katowice 1997, s. 176.

Kolejny po — 1001 aforyzmów polskich, 1001 aforyzmów obcych, 1001 aforyzmów starożytnych (wszystkie w wyborze Włodzimierza Masłowskiego) oraz 1001 aforyzmów erotycznych Wiesławy i Marka Kamińskich — zbiorek bardzo interesującej serii wydawnictwa Videograf II. Owe złote myśli, swoistą księgę cytatów na temat związków między mężczyzną i kobietą, a także o nich samych, można czytać na wiele różnych sposobów. Jednym z najbardziej uprawnionych wydaje się jednak ten, który nakazuje poszukiwać miejsc wspólnych w naszym myśleniu — osób odmiennych płci. Bo przecież zdarza się tak nie od dzisiaj, że każda z płci starać się będzie przedstawić w niezbyt korzystnym świetle tę drugą. Sporo w tej książce cytatów znanych, są jednak i takie, które zostały przywołane po raz pierwszy. Na przykład taka myśl Johna Lennona: „Kobieta jest murzynem tego świata”. Czy jest to osąd fałszywy? (m)

Danuta Sieradzka: Miasta województwa śląskiego i ich reprezentacje samorządowe 1922-1939, Wyd. Sponsor, Kraków 1996, s. 224.

Józef Kula, Zapiski internownego, Księgarnia św. Jacka, Katowice 1996, s. 196.

Spisywane od 13 grudnia 1981 roku zapiski internowanego działacza „Solidarności”, Józefa Kuli, są dzisiaj oryginalnym świadectwem okresu stanu wojennego. Autor, syn powstańca śląskiego, spisywał je na bieżąco od momentu internowania aż do zwolnienia z obozu w Nowym Łupkowie w połowie lipca 1982 roku, a dodatkowo dołączając w epilogu kilka późniejszych notatek z zatrzymań i przesłuchań przez Służbę Bezpieczeństwa. Zapiski są lakoniczne, lecz przemawiają autentycznością. I są też w pewien sposób odbiciem osobowości autora, człowieka głęboko religijnego. „Wróg partii i ustroju socjalistycznego, przesadnie religijny” – tak zaprezentowano mu w grudniu 1981 roku podstawę internowania. Między swoje zapiski autor załącza teksty wierszy i piosenek z czasów internowania, jak również listy do rodziny i inne dokumenty. W efekcie lektura daje wrażenie obcowania z nastrojami przeszłości. To przede wszystkim dokument swego czasu, wprowadzający w klimat wczesnego stanu wojennego. (JFL)

Bernard Szczech, Przywileje miasta Bytomia 1323-1711, Wydawnictwo Muzeum Miejskiego w Zabrze, 1996, s. 68.

Zbiór przywilejów dawnego Bytomia nawiązuje do zbioru transumptów (czyli odpisów dokumentów) spisanych przez rajców opolskich i uwierzytelnionego w 1716 roku podpisami sześciu członków rady miejskiej Opola. Znajdujemy w nim 21 dokumentów powstałych w latach 1323-1711, a spisanych w oryginale po łacinie, po czesku i po niemiecku. Pierwszym chronologicznie jest dokument z 1323 roku, w którym książę bytomski Władysław darowuje zakonowi cystersów w Mogile wieś Dąbrówkę koło Bytomia. Najwięcej dokumentów pochodzi z XV, XVI i XVII wieku. Oryginały wielu z nich uległy zniszczeniu bądź zaginęły, stąd znaczenie owego zbioru odpisów z 1716 roku, który teraz udostępniono w opracowaniu Bernarda Szczecha. Dla historyków dawniejszych dziejów Górnego Śląska, jak również dla zainteresowanych przeszłością Bytomia, jest to cenna publikacja źródłowa. (JFL)

Marek Haltof, Duo Nowak, „Śląsk” Sp. z o.o., Katowice 1996, s. 104.

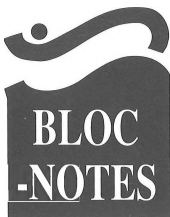
Znany więcej z eseistyki filmowej Marek Haltof zadebiutował jako prozaik przed dziesięć laty powieścią „Maks jest wielki”, wydaną także w katowickim „Śląsku”. W nowej powieści „Duo Nowak”, autor, który zdążył w ciągu tego dziesięciolecia „zaliczyć” Australię i Kanadę, opowiada historię outsidera lądującego w Australii i opowracającego pamięcią do swego dawnego świata cieszyńskiego. Zresztą, nie tylko pamięcią, bo treścią powieści jest także wizyta w Cieszynie po latach emigracji. Można powiedzieć, że to mieszanina australijsko-cieszyńska, powieść o kimś, kto zdaje sobie sprawę, że „życie biegnie gdzie indziej”, lecz czuje się wszędzie na świecie jednakowo. Powieść o luźnej, epizodycznej konstrukcji, operująca zdarzeniami z jakże odmiennych światów i także nostalgicznymi wspomnieniami, które tworzą w największej mierze jej aurę. (JFL)

Witold Wedeck, Bielsze od czerni, Opracowanie i przedmowa Roman Samsel, Wydawnictwo Ypsilon 1996, s. 208.

Ta książka, ledwie ukazała się drukiem, już została atakowana wydaniem. Miesiąca, sezonu, roku. Przynajmniej wszyscy tak mówili - syn Jerzy, wydawca z „Iskier” oraz pierwszy lektorzy liczący 950 stron tomiszczą. I co? I zapowiadana burza nad „Dziennikami” Stefana Kisielewskiego przeszła bokiem. Dwie-trzy debaty etatowych mądrali z telewizora ugrzęzły w pustostoiu, skromne zaś gazetowe recenzje zdobyły się na niewiele więcej jak oprawienie książki w ramy skandalu.

Ow skandal na tym miały polegać, że oto Kisiel, lata całe związany ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego”, błądząc odien etatowe pieniądze nawet w długich okresach zakazu publikowania, w swoim dzienniku intymnym dyktował się od swoich przyjaciół; a więc Kisiel kłujący balon puchy Jerzego Turowicza, Kisiel strofujący bliźniarską realpolitik Stanisława Stommy, Kisiel przeciwko czerwonym, to oczywiście, ale także - Kisiel sam pośród swoich... Wywołani do tablicy tłumaczą się cokolwiek żałośnie, tymczasem przeciwnicy korzystają skwapliwie z okazji i anektują autora na swoją stronę. W „Gazecie Polskiej” wyjęli z „Dzienników” garść antysemickich dociepów. Z kolei „Polityka” zrobiła z Kisielewskiego filosemitę. Wychodzi więc, że skoro Kisiel jest swój, czyli niczyj, może być „nasz” i każdy, komu wystarczy lektura towarzysko-polityczna, może brać z niego skolko ugodno, byle szturchnąć politycznych nieprzyjaciół.

O, tak, to prawda: „Dzienniki” bogactwem tematów zastawiają aż nadto możliwości dla każdej doraźnej interpretacji. Tymczasem Kisielewsky pamiętnik pozostaje (tak mi się przynajmniej zdaje) jedynym wielkim krzykiem samotności. W tej samotności zawiera się i najwykliczniejsze osobiste osamotnienie, i polityczna bezsilność, i twórcze niespełnienie. Zwierzę polityczne, jakie w Kisielu drzemie, budzi się przy każdej nadarzającej się okazji i wali głową prosto w kraty systemu. On o tym wie - to do bez sensu, że tak się długo nie da - i to go mierzi najbardziej. „Jestem jakiś nadmiernie rozgorączkowany i zderenowany komunizmem - oczywiście absurd, nie można denerwować się np. tym, że tygrys jest drańszczyzną” - zapisuje pod datą 5 stycznia 1969 roku. Ale mimo to „wciąż polemizuję z prasą - piszę cztery miesiące później - choć przeciwko „prasie” tej przyszły lektor moich zapisków nie będzie zgotował pamięta!ł, toteż nie bardzo zrozumie, czego ja się tak „wsiepie”. No, ale dzienniczek ten służy również i mojej żółci - aby ją trochę rozładować - nie chodzi o prasę, chodzi o mnie. Podobno hinduscy jogowicie zalecali, że jak się czuje do kogoś złość, należy napisać list z wymysłami, a potem list ten zniszczyć. No właśnie, coś podobnego ja tutaj robię”. Po cóż innego da się robić w tym pozamykanym granicami życiu, „jaka pełnia można w ogóle żyć? Jeśli chodzi o politykę, to nie ma innej, tylko właśnie popieranie rosyjskiej racji stanu” (21 czerwca 1975). A jeśli kto nie chce popierać, pozostaje mu pisać do sztabucha. 15 maja 1973: „Pomyślałem sobie, że prowadzę do dwa pamiętniki: jeden cenzurowany, drugi nie. Cenzuro-



wany to są cotygodniowe felietony w „Tygodniku”, niecenzurowany to są te zapiski, też mniej więcej co tydzień uskuteczające. Ciekawe może by było takie porównanie, konfrontacja podwójnego życia zniewolonej duszy. Ciekawe, ale dla kogo, kiedy, jak? Toć w przyszłości komunizm wszystko przepadnie, a jeden zapracowany Giedroyc całej polskiej kultury nie ocali. O jerum, jerum, jerum! Schować gdzieś te bruliony, zakopać do ziemi?! Nonsens - kogo to będzie obchodzić?!”

W więc to po to jest ten dziennik. Potrzebny jest jako narzędzie autoterapii pisarza, który posługując się mui pół-słownem; kompozytorem, który pisze pół-notami, który wciąż strofuje siebie za twórcze lenistwo („Trzeba by się pocieszyć muzyką”), okupuje każdą nową kompozycję straszliwymi mękami („Skończyłem tę przeklętą muzykę”), aż w końcu przyznaje się, że komponowanie idzie mu „niesporo”. A tymczasem „czas płynie między palcami i to zgola nietwórczo - mnóstwo drobnych codziennych czynności, które się spełnia, zajmuje uwagę i niewielka ilość potencjalnej energii twórczej ulatnia się. Miał rację Einstein, że trzeba żyć samotnie, nie wiązać krawata, nie golić się i nie strzyć, aby zachować reszki myśli świeżej”.

Nie dziwi zatem skromne miejsce, jakie zajmują w „Dziennikach” najbliżsi. Tym mniejsze zaskoczenie wywołuje fakt, że nawet nieeliczni polityczni przyjaciele zostają surowo osądzeni (w zasadzie tylko Tyrmad z Giedroyciem, może jeszcze Bartoszewski z Brzezińskim na dokładkę, wychodzą obronną ręką). Kisiel-samotnik ma dla nich miejsce w rzędzie mniej lub bardziej skłódlivych naiwniaków, dla całej reszty rezerwując epitetu dośroże, jako to: duren (Stonimski), kabotyń (Wańkowicz), głupiec (Gierek), tchórzak (K. Malczyński), itepe, itede. W ogóle: „Nie zachwycają mnie Polacy. Komunizm plus polska natura to już stanowczo za dużo!”.

Tymczasem po zachodniej stronie muru - też sami idoci: „de Gaulle pajacuje”, Nixon „belkocze o pokoju”, Brandt, owsem, porządny facet, ale i on, po prawdzie - głupi, bo z Moskalami paktuje i daje legitymację NRD, przypieczeto-

wując jałtański porządek świata. Dziennikarze z „Monde” u” zadają rozsądne pytania, a potem piszą, jakby niczego nie rozumieli. Zachodni politycy tracąci kieszkiem szpandą na przyjęciach w ambasadach, wciąż wypłacają coś o geopolitycznych realiach i wracają do swoich sytych domów w Londynie, Paryżu i Waszyngtonach. A do tych Waszyngtonów Kisiel, choć się aż rwie, pojechać nie może, bo jakiś tepey ubełk chowa w szufladzie jego paszport. Horrendum! Więc Bóg z nimi, głupimi zachodnimi kunkatorami, którzy Polskę mają w nosie, niech sobie strajkują eurokomuniści o pół franka podwyżki i wołają na pomoc Rosjan, może by nareszcie na te pomoc zasłużyli...

Nie, Kisiel nie jest złośliwym Zyziem, który na swoje odejście przyszykował towarzyską bombę przyjaciółom z „Tygodnika Powszechnego”, „Znaku” i „Więzi”, smagając po drodze komuchów i romansujących z nimi zachodnich polityków. Kto tak sądzi, ten ugął się pod ogromem tego tekstu i wyjął z niego jedynie przytyki straszliwego dziadunia, jeszcze dziś na tyle palące, by można było ich użyć przeciwko tym lub tamtym. Kisiel jest wściekły, zgorzkniały, zrozpaczony - ale tym, że nie może powiedzieć i napisać wszystkiego, co chciałby napisać i powiedzieć. W świecie zakneblowanym, w którym może sobie pozwolić jedynie na „głupie recenzynki dla Tygodnika” i pisane pod pseudonimem powieści, słane potajemnie dla Księcia, ta niemożność użycia słowa jest najstraszliwym ograniczeniem. „Po cóż prawda, której nikt nie chce? Po co pisać?”, pyta dramatycznie. Stąd te „Dzienniki”, dlatego te hektolitry żółci, które wylewa na wszystko i wszystkich z wysokości swojej samotni.

Ala i tu pojawia się ograniczenie. I Kisiel je zna. Pokonawszy cenzurę, kładąc swoje zapiski do brulionów chowanych skrytnie po znanych domach, Kisiel wciąż nie jest pewien: „Kończę pierwszy zeszyt tego dzienniczka - ani się obejrzałem, kiedym się do niego przyzwyczail. Oddaję go „na garnuszek”, nie chcę mieć w domu - ciekawe, czy też on przetrwa i czy będzie go można kiedyś ogłoseć?” (25 lipca 1968). Przecież nawet „Lechołł nosił wszystkie zeszyty swoich dzienników ze sobą, tak się o nie bał. A co ja mam mówić, kiedy każdego dnia może przyjąć UB i zabrać wszystko. O kur...ka wodna!” (14 września 1968). A więc gra z cenzurą to także - gra z autocenzurą. Strach sprawia, że nawet odzyskana na prywatny użytek, wolność słowa podsyta jest kłamstwem. I przestaje być prawdziwą wolnością. Najważniejszy zapiszek tomu, z 10 sierpnia 1968: „Czy piszę ten dziennik całkiem szczerze? Doziedłem do wniosku, że nie, bo boję się, że on wpadnie w rączki UB (spółdzielnia „Ucho”), więc nie podaję nazwisk, pomijam niektóre rozmowy, a także przeżyca osobiste, które mogłyby posłużyć przeciwko mnie. Tak więc stosuję autocenzurę, jestem własnym cenzorem. Czyżby więc nie było u nas tekstów niecenzurowanych, poza napisami w kłozetach?!”

MAREK BASTER



Listy spod kapelusza

Witaj droga moja,

postanowiłam być dla siebie dobra na wiosnę. Może w ten sposób uda mi się łagodnie przejść przez koniec dnia marca i przez kwiecień, a to okrutny miesiąc, o czym dobrze wiedział Eliot i czego zdecydowanie doświadczył mój ojciec. Tak więc stosuję afirmację typu: zasługuję na odpocznik. Wyrażam tym samym ze swojej głowy, na miesiąc przynajmniej, słowa: muszę i powinienam. Jak się domyślasz - jest to dla mnie bardzo trudne zadanie, prawie tak trudne, jak porzucenie palenia, co skutecznie zrobiłem 2 lata, 3 miesiące i 17 dni temu. Coś jednak muszę sobie dać w zamian. Nie odmawiam sobie teatru i teatrali. Czujesz Wacpanna te koïncydencje.... Ja i telewizor! No, nie byłabym sobą, gdybym spośród rozlicznych programów nie wybrała czegoś specjalnego. Już prawie zapomniałam, że istnieje Teatr Telewizji. Trafiałam jednak dobrze, bo na sztukę Ronaldą Harwooda pt. „Odbicia sława” i w dodatku z przednimi wykonawcami: Gajosem, Olbrychskim, Jandą. Nawet Agata zrzegnała ze swojego „Archiwum X” na korzyść tego przedstawienia. Powiesz, że jestem monotematyczna i będziesz miała rację. Ale widać moja podświadomość wyszukuje tego, co mnie nurtuje od dawna. Tak więc znalazłam się w kręgu tematów dręczących większość autorów: czy literatura jest autonomiczna i żyje własnym życiem? Czy rozdwajają się na prawdę i zmyślenie? Czy pisarz musi osobiście doświadczyć tego, o czym pisze? I co to znaczy doświadczyć? Aktor doświadcza rzeczywistości sceniczej, kreując postać. Od tego ma on swoje aktorskie dary. Płodnemu pisarzowi życia by zabrakło na uczestniczenie w świecie przedstawionym swoich książek. Od tego on ma wyobraźnię inną od niepiszących, od tego ma specyficzny dar empatii, by kreować światy istniejące, choć w nim tylko wyobrażone. I ta zasada dotyczy nie tylko powieści historycznych, ale również najbardziej współczesnych, ocierających się o rzeczywistość pisarzy, choćby i tej prywatnej. O tym właśnie była oglądana przeze mnie sztuka, dlatego ryle emocji wzbudziła w mojej rodzinie, która czasami ma ochotę zabawić się w cenzora i zdecydować, o czym mi wolno pisać, a o czym nie wolno.

Kochana, droga moja, świat jest, jaki jest, po prostu. Najważniejsze, abyśmy zrozumieli to „po prostu”. W ramach czego „po prostu” daliśmy się porwać emocjom podczas premiery „Człowieka dla Mancy”. Poszłam na premierę, podążając o marcowym świecie teatru i o tym, jak mi tego teatru brakuje (od podszewki, od strony przygotowań, czyli od czasu, gdy w nim przestałam pracować). Poszłam, zobaczyłam i daliśmy się porwać, unieść, przemienić, zmienić. Nie było komu wskazać. Mojemu ukochanemu Człowiekowi Teatru - Żukowi Opalskiemu, który spektakli reżyserował - i moim ukochanym aktorom z Teatru Rozrywki, do których sympatii nie chcę ukrywać. Stanisław Piak (Cervantes-Don Kichot) stworzył kreację na miarę swojego talentu i nieprawdopodobnych doświadczeń. Ciągle myślałam o tym, co dzieje aktor, któremu życie daje szansę powrócić do roli granę przezło ćwierć wieku temu i o tym, jaka trzeba być rasową aktorką, aby z granę od roku Ewity wykroczyć w Aldonę-Dulcynę. A Maria Meyer zrobiła to świetnie. Sancho Panse zagrał oczywiście Jacenty Jędrak i oczywiście był Paną wymarzoną. A poza tym tak dobrze mi było zobaczyć na scenie Martę Tadlę (Złota Maską w tym sezonie z Gershwiną), która niedawno jeszcze grała Macocha w „Kopciuszku” w bieżącym teatrze, też Złotą Maską nagrodzoną. I mogłam patrzeć na Janusza Krucińskiego, który wydawał by się mogło, jeszcze wczoraj zdawał u mnie maturę z polskiego, a swoimi artystycznymi zdolnościami czarował na szkolnej scenie. Wzruszyłam się, choć coraz rzadziej siebie o wzruszenia podejmuję. Ale Żuk jest taki... zresztą wieś, jaki on jest... więc mogłam go nie podejrzewać o typowy mizant, a raczej o to, że zrobił coś bardziej teatralnego, a jednocześnie naznaczonego piętnem swojej pokretnie osobowości. Poczułam się don Kichotem i po raz pierwszy nie miałam o to do siebie pretencji, że „śnię sen, najpiękniejszy ze snów” i że żyję czasem na półce z książkami.

Bądź dzielna, droga moja, „idź tam, gdzie nie dotarłby nikt... ślegaj w gwiazdy, co zakryte chcą być”. Tego Ci życzę nie tylko z okazji Wielkiej Nocy, która nadchodziłszy szybkimi krokami, choć dzisiaj znów spadł śnieg, a jeszcze wczoraj wiosenne manowce miały szansę być cudne.

Tvoja MARTA FOX

W Katowicach, 19 marca 1997 roku - w Dniu Józefa - więc ścisłam również w Twoim imieniu Józefa-Zuka Opalskiego i Józefa Zbyszka Czernieckiego (porzucił nas, okrutnik, dla czeskich teatrow), i Józefa Hena (rozczulił się właśnie w jego opowiadaniach z tomu „Niebo naszych ojców”) i Józefa Krupińskiego, który trwa na poetyckiej placówce w Tychach i... Józefine Rebeś (bardzo kochana, no nie?)

Tęgo akurat artysty nie mogło zabraknąć w tym osobliwym miejscu - korytarzach Radia Katowice, od niedawna, co kilka tygodni przemienianych w „przechodnią” galerię sztuki, docieranie i adekwatnie nazwaną „Na Żywo”. Andrzej Urbanowicz musiał tu trafić jako jeden z pierwszych, lecz bynajmniej nie tylko dlatego, że już od wczesnych lat 60. jest stale obecny w Katowicach i na Śląsku (odliczywszy kilkunastoletni pobyt w Stanach Zjednoczonych) i osobną pozycję artystyczną wypracował sobie jeszcze w obrębie grup ARKAT czy ONEIRON - tak bardzo istotnych w epoce kontrkulturowych prób wyrwania się z obywatelskiego akademizmu i tego nieznoszonego racjonalizmu, zabijającego wyobraźnię i duchowość. Właśnie Urbanowicza trzeba było tu zaprosić, choćby tylko z niewielką częścią dorobku ostatnich lat, skoro nowa instytucja (?) chce „na żywo” (a więc także przed mikrofonami, w seriach wywiadów, rozmów i dyskusji) komentować sztukę współczesną i jej „społeczne pogranicza”, czy raczej - sferę jej powinności, jej zmieniający się status. Któż bardziej na Śląsku niż Urbanowicz od takich rozmów skłania, prowokuje, zachęca?

Pytanie retoryczne, bo Urbanowicza wolno traktować wręcz instrumentalnie, jako dręczący znak tego „anty-znak” (reżej), czym dzisiaj - w dobie konsumpcjonizmu i prostych recept na szczęście - stała się tzw. wysoka kultura, jakże często mylona z dworskimi bankietami, z mizdzeniem się do telewizyjnych kamer, z „marketingowym” podejściem do świata wartości, w konsekwencji - i do człowieka samego, zredukowanego, okaleczonego, bo sprowadzonego do jakiegoś nieistotnego elementu, ważne-

Urbanowicz „na żywo”

go tylko na tyle, na ile stanowi fragment większej całości. Urbanowicz jest jak wyrzut sumienia, bo uparcie trwa przy swoim, wierząc, że sztuka musi zmierzać ku temu, czego tak naprawdę nigdy nie osiągnie - musi więc nazywać to, co definiowaniu unika, odkrywać to, co zamknięte w czwólczycej monadzie, wbiegać się w te wewnętrzne przestrzenie jednostki, która dla niej samej jest czymś tajemniczym, nie do końca zrozumiiałym, niekiedy nawet przerażającym. Urbanowicz znaczy zatem coś więcej niż znaczył może jego malarstwo. I nie myślę tu tylko o tym, że jest „wszędzie”, że także krytycznym piórem towarzyszy życiu artystycznemu, że nie wystarcza mu zamknięcie się w pracowni, że zachował tę młodzieńczą energię, którą pamiętają uczestnicy wszelkich zdarzeń artystycznych, tak często niegdyś przez niego prowokowanych. Chodzi tu głównie - o postawę i pokorę wobec sztuki, o wierność - jakże to banalnie zabrzmiało - samemu sobie, o tę naiwną, właśnie młodzieńczą, szlachetną wiarę, że trzymając w dłoni pędzel, przede wszystkim waży się jakąś niepokojącą prawdę, niechby nawet tylko w sobie nakierowaną. To jest jakaś szansa - zdaje się sugerować artysta - na dotyk tego, co w człowieku transcendentne.

Te nieziemnie tęsknoty Urbanowicza łatwo przesiedzieć i na tej wystawie. Dwa wątki - według mnie - są najciekawsze. Uprość mi sprawę i pierwszy nawymyślajemy czołowy, drugi - szukaniem w naturze (choćby w monochromatycznych pejzażach morskich) metafizycznego napięcia. I w jednym, i w drugim przypadku wyśitek artysty zmierza do uchwytności stanu swegoistnego zawieszenia między tym, co zmysłowe, a tym, co fizyczne (cielesne). Urbanowicz nie rezygnując z wcześniej znanych rekwizytów i ornamentacji gry (wzce, gwiazdy, ogniste języki, różne formy pisma kinowego etc.), próbuje ostatnio redukować ikonograficzne znaki (choćby owe zatrzymane w bezczasie twarze kobiet dziś mogą już być tylko ich fragmentem). Jest więc Urbanowicz bardziej stonowany, może mniej prowokacyjny. Prowadząc narrację w tonacjach barw zdecydowanych i jaskrawych, nie gardząc doświadczeniami pop-artowskimi, osobiście mieszanymi z wizjami surrealistycznej prownienia, może Urbanowicz te swoje fascynacje, fobie i niepokoje wyrażać z większym dystansem, ba, z miłym nawet cieniem ironii.

KRZYSZTOF KARWAT

Andrzej Urbanowicz: Wystawa w Galerli Na Żywo. Katowice. Luty-marzec 1997



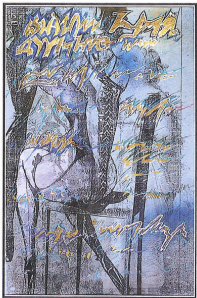
ANDRZEJ URBANOWICZ

od góry:

▲ „Gwiazdy. Twarz”

◀ „Panienka Lith”

▼ monoprint,
technika własna
oraz tusz





Fragment drzwi katedralnych.

Katedra w Katowicach ma stać się symbolem kultury i potęgi narodu, ma świadczyć o odwiecznych prawach naszych ziem śląskich i stać się widocznym znakiem sprawiedliwości dziełowej" – pisał w 1924 r. Adolf Szyszko-Bohusz, znakomity architekt, przed ogłoszeniem konkursu na projekt świątyni. W dniu 19 kwietnia 1925 r. rozstrzygnięto konkurs, nie wybierając spośród nadesłanych projektów żadnego, który w sposób jednoznaczny powinien zostać skierowany do realizacji. Dlatego wiele wątpliwości i krytyki wzbudziła decyzja mówiąca o realizacji projektu

Zygmunta Gawlika – jednego z uczestników konkursu. Po licznych poprawkach, dokonywanych wspólnie z Franciszkiem Mączyńskim powstała ostateczna wersja projektu katedry. O takim wyborze zdecydowały ówczesne władze kościelne.

Projekt Gawlika i Mączyńskiego przewidywał potężną, utrzymaną w wydłużonych proporcjach kopułę, która wraz z latarnią miała liczyć 95 metrów wysokości. Całość bryły utrzymano w klasycyzującym charakterze, zaś wewnątrz miało mieć zdecydowanie barokowy charakter. Ale projekt ten w swym pierwotnym kształcie również nie został zrealizowany. W latach 30-tych dobudowano prezbiterium, a w latach 50-tych nakazano przerobienie projektu kopuły, która w pierwotnej wersji zbyt mocno dominowałaby nad miastem. A zatem do dziś trwa zniekształcony, niespójny stylistycznie twór. Utracono szansę na powstanie w Katowicach okazałej, monumentalnej budowli, wybitnego sakralnego dzieła architektonicznego.



Projekt katedry Chrystusa Króla w Katowicach.

Pierwotnie autorem wyposażenia katedry miał być Xawery Dunikowski. Długotrwałe prace przekreśliły i tę szansę. Tak więc we wnętrzu dominuje stół ołtarzowy z umieszczoną nad nim rzeźbą Chrystusa Zmartwychwstałego autorstwa Jerzego Kwiatkowskiego. Jest on również projektantem płaskorzeźbionych drzwi katedralnych.

W ostatnich latach wnętrze zostało wzbogacone o tablice komemoratywne według projektów Zygmunta Brachmańskiego.

(wk)

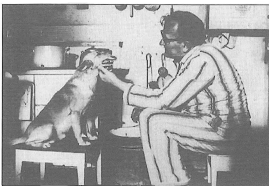


10 marca Kazimierzowi Kutzowi został przyznany doktorat honoris causa Uniwersytetu Opolskiego. Było to wielkie wydarzenie dla Śląska i to nie tylko dla Śląska Opolskiego, dla Śląska w ogóle. Katowice i Uniwersytet Śląski miały swój bezpośredni udział w tym wydarzeniu, bowiem jednym z recenzentów dorobku Kazimierza Kutza jest filmoznawca, były dziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego, a obecnie dyrektor Instytutu Nauk o Kulturze tegoż Wydziału profesor Tadeusz Mieczka. Jego recenzja została przyjęta przez Senat Uniwersytetu Śląskiego. Dla mnie jest to też wydarzenie o wielkim znaczeniu osobistym. Kazimierz Kutz jest stałym gościem Kuśusów wakacyjnych dla cudzoziemców organizowanych co roku w sierpniu przez Szkołę Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego. Kazimierz Kutz swoje wakacje spędza niedaleko, w Miłowie, więc już sobie chyba nam wpisał w swoje wakacyjne plany. Umawiamy się z nim zawsze w drugiej połowie kursu, by wcześniej móc naszym gościom-cudzoziemcom zorganizować przegląd jego filmów, by wiedzieli z kim się spotykają.

Kiedy pierwszy raz zaprosiliśmy Kutza do siebie, zaczęliśmy przegląd jego twórczości od teatralnych spektakli telewizyjnych, a potem postanowiliśmy zaprezentować *Paciorki jednego różańca*. Po pierwszych piętnastu minutach przetrwałśmy na chwiejnej projekcji, by zapytać widzów, czy mamy tłumaczyć kwestie dialogowe filmu w trakcie, czy też większymi partiami co jakiś czas. Ogładali ten film wask obokorajcowy o różnym stopniu zaawansowania znajomości języka polskiego, a przecież ten akurat film z obsadą w dużej mierze nieprofesjonalnych aktorów prawie w całości mówiony jest gwarą. Widzowie zdziwili się naszymu pytaniu: „po co tłumaczyć? — pytali — przecież to wszystko jest zrozumiałe!“. W tym właśnie tkwi fenomen Kazimierza Kutza.

Filmy Kutza są zrozumiałe zawsze i pod każdą szerokością geograficzną. Dotykają bowiem problematyki duchowej i etycznej Śląska. A wartości tak prezentowane są bezwzględnie uniwersalne. Kutz zawsze opowiada o miłości, o śląskiej miłości. O miłości do kobiety, do mężczyzny, do dzieci, do rodziny, do swego domu, do swego miejsca pracy, do pracy samej, do przyjaciół, do rodzinnej ziemi — tej bliższej i dalszej, bardziej ogólnie rozumianej, a więc do Śląska i do Polski.

Najpiękniejszym obrazem filmowym Kutza o miłości mężczyzny do kobiety są sceny z jabłkiem, które Jaś ma ze sobą w czasie strajku na dole w kopalni w *Perle w koronie*. W tym symbolicznym jabłku widz widzi wszystko, co piękne, czyste i co pozwala przetrwać. Miłość kobiety do mężczyzny to Jasiowa żona, która myje mu nogi po powrocie z *szczytu* i która jest piękna, wspaniała i podziwiana przez



„Paciorki jednego różańca” — Antoni Halota

Oscar dla Kutza

wszystkich dla niego, dla niego jedynego. Ona zawsze na niego czeka, zawsze jest stęskniona i w niego zapatrzona. Miłość do dzieci też widać na przykładzie Jasiowych dzieci. Chyba nie ma nikogo, kto oglądałby *Perłę w koronie* i nie pamiętałby sceny, w której Jorgus gwizdał ojcu z talerza *karbinadel*. *Karbinadel*, który *wonio!* Jorgusiowi tak pięknie, że ten nie mógł się powstrzymać przed próbą zjedzenia go, który zmuszany do pokazania drugiej schowanej za plecami ręki, mówi niesłyszalnie płaczliwym głosem: „*Jo ny mom dzisiej drugi rynki*“. I kiedy wreszcie zrytowana Wichta woła: „*Jorgus, lojcu łobiod sie ziombi*“, Jaś z pełnym wyrozumiałym spokojem, który wypływa z prawdziwej ojcowskiej miłości mówi: „*Jo już wiy. My się wżacy łobrycimy i potym, jak karbinadel bydzie na talyrzu, to bydzie łobnaczało, że łon sam zawsze był*“. Oni też kochają swego ojca tak, jak dorosli chłopcy swojego we wcześniejszej *Soli ziemi czarnej*. Kochają, szanują, poważają. Dają sobie łać tyłki, bo to ojcowe prawo. Bo oni wiedzą, że ojciec wie. Śmierć ojca pod gruzami chałupy jest dla nich tragedią, mogą, a właściwie muszą iść dalej walczyć, ale dopiero kiedy znajdują ciało ojca, bo pochowanie ojca to absolutna synowska powinność. Stracili ojca i stracili dom, ale poszli walczyć o coś równie ważnego. Jaś zostawił swoją Wichtę i dom, by ratować kopalnię. Górnicy w *Perle w koronie* nie strajkują o pieniądze, oni z pełną determinacją walczą o byt kopalni. Kopalnia zaś musi być, aby górnik mógł być i aby Śląsk mógł być. Strątę dom można przeboleć tylko dla bardzo wielkiej sprawy. Nie jest tak wyburzanie w *Paciorkach jednego różańca*. Ojca nie skusiło mieszkanie w blokach z wszelkimi wygodami. Kiedy wreszcie musiał się przenieść do willi, nie namieszkował się w niej wiele, zmarł. Kutz pokazuje więc Śląsk kochający i ciężący nieustannie ku Polsce, nawet wtedy, kiedy Polska nie ma dla Śląska czasu. W *Soli ziemi czarnej* Polskę widać przez lornetkę, Polskę przedcudzą z Tatrami, Mazowszem i morzem, Polskę, do której warto biec boso, pod kulami, dla której warto dać się zabić.

Język w filmach Kutza (język „bardzo śląski”) jest jak melodia i muzyka w tych filmach, współgra z nimi, sam właściwie nie znaczy i film bez niego nie znaczy. Dlatego można film oglądać i rozumieć go, nie do końca rozumiejąc poszczególne kwestie. Znaczenia niektórych słów nawet nie trzeba się domyślać. Wypowiedzenie kwestii znaczy samo w sobie. Nie znaczy to, że filmy Kutza mówią samymi obrazami. Język jest ich integralną nieodrywającą tkanką, ale obraz i język są tak dobrze ze sobą splecione, że tłumacząc się wzajem. Poza tym muszą być razem, bo gwarą — jak powiedział Janusz Gajos w czasie premiery *Śmierci jak kromka chleba* w Katowicach — „świadczy o korzeniach, o kulturze tego środowiska, w którym powstała, świadczy o jakości ludzi, a właściwie świadczy o wszystkim”.

Filmy Kutza nasączone są humorem, który tak charakterystyczny jest dla Śląska (wice są nieodłączną częścią śląskich *jubl* i *fajerów*). Humor widoczny jest w tekstach i w obrazach. To dowcip słowny i sytuacyjny, a właściwie słowno-sytuacyjny. Jedną ze scen, która nie tylko mnie rozczyła, ale i śmieszy niezmiennie przy każdym kolejnym oglądaniu, jest wspomniana już scena z *Perły w koronie* z Jorgusem rozpaczliwie ukrywającym *karbinadel*, świetna jest scena ze starzami kłami biegającymi za tłumem idącym strajkować, z których jeden martwi się, że nie zaczął na niego ten, który umarł na wzgórzu: „*przeżył wiedziol, że ny moga tak szybko*“, nieustannie bawi Erwin (*Sól ziemi czarnej*) z garnkiem zakrywającym intymne części ciała, który z tego garnka robi sobie bęben. Świetne są teksty górników z *Paciorków jednego różańca*, który gwałt żonę obdarza epitetem „*ty staro demokracjo*“. Humorem nasycony jest groteskowy Zawronów, gdzie tytułowi bohaterzy to para prosto ze śląskich dowcipów rysunkowych: on chudy i mały, ona potężna i wielka — gdy go przylutują, on ginie wręcz w obfitościach jej górnej połowy.

Filmy Kutza są przesiąknięte Śląskiem aż do „szpiku” kliszy, a jednak, a może właśnie dlatego są uniwersalne — niezależnie od czasu i przestrzeni. Łatwo kochać taki Śląsk, kochać Śląsk Kutza. Łatwo nie tylko Ślązakowi, który z tą miłością się urodził, który ma ją we krwi. Łatwo każdemu.

Niedawno w kwartalcu „Postscriptum” wydawanym przez Szkołę Języka i Kultury Polskiej Piotr Wilczek zadał pytanie: czy Jan Kochanowski zasługiwał na nagrodę Nobla? (nb. w moim lutymowym tekście „wypadł” akapit z Noblem, ale Nobel pozostał w tytule, dlatego teraz to nazwisko aż trzy razy w różnych przypadkach) więc ja na łamach „Śląska” postawię podobne: czyż Kazimierz Kutz nie zasługuje na Oscara — albo choć na nominację doń?

JOLANTA TAMBOR

Gwara i obyczaje

W. Fójcik ponownie prezesem

„Dziękuję Państwu za te 103 głosy, które otrzymałem podczas wyborów do Rady Polaków i mogę powiedzieć, że mam te głosy dla mnie o wiele większe znaczenie niż ponad 150 głosów, które otrzymałem przed dwoma laty, gdyż w ten sposób oceniliście dwa lata moich działań jako prezesa poprzedniej Rady” — powiedział w sobotę, 22 lutego br. staronowy prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik po pierwszym posiedzeniu Rady, które zakończyło trwałe ponad 12 godzin w czesko-cieszyńskim „Piastie” obrady VI Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w RC.

Uczestniczyło w Zgromadzeniu w sumie 141 delegatów, 105 delegatów wybrano zaś na sejmikach gminnych. Niestety nie we wszystkich gminach wspomniane sejmiki się odbyły — nie zorganizowano ich w wielu głównie podbeskidzkich miejscowościach, a całkowicie zrezygnowali z udziału w największym forum Polaków mieszkających w RC, członkowie Kuchni Politycznego „Co-Existenta - Wspólnota”. No cóż, można z tego faktu wynioskować tylko jedno: „rodaków rozmowy” o teraźniejszości i przyszłości polskiego społeczeństwa, coraz mniej ostatnio członków tego społeczeństwa interesują...

W. Fójcik uznał jednak Zgromadzenie za bardzo ważne, gdyż udało się przede wszystkim uchwalić znówelutowany statut Kongresu Polaków. Chociaż z wstępnego, dyskusyjnego jeszcze na sejmiku polskim statutu wynikało, że KF może przekształcić się w „Kongres Organizacji Polskich w RC”, delegaci zdecydowali jednak inaczej. Nazwa pozostaje ta sama. Dojście natomiast do pewnych zmian w strukturze organizacyjnej Kongresu, m.in. do tworzenia Komitetów Gminnych, które będą prowadziły siatki terenowe. Wykreślono też ze statutu — jako dyskryminujące — zdanie o tym, iż „prezesem Rady Polaków może zostać wybrana wyłącznie osoba posiadająca obywatelstwo RP”.

Delegaci wybrali też nową 9-osobową Radę Polaków, w skład której weszło 5 nowych członków. — „I to ludzi stosunkowo młodych i energicznych, którzy chcą pracować dla polskiego społeczeństwa. Rada Polaków będzie więc mogła moim zdaniem więcej działać i pracować z dużo większą energią niż jej poprzedniczka, której członkowie byli, zwłaszcza pod koniec kadencji, wyraźnie już zmęczeni” — powiedział po zakończeniu obrad prezes Fójcik.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Nowy tomik W. Przeczka

Macierz Ziemi Cieszyńskiej wydała kolejną książkę poetycką Wilhelma Przeczka „Małe, nocne modlitwy — Wpisane w Beskid”. Jest to już 26 pozycja w dorobku twórczym zaolziańskiego pisarza i poety. W pierwszej części zbioru zamieszczono wiersze powstałe w latach 1986-1996, druga część stanowi II wydanie tomiku „Wpisane w Beskidy”, który pojawił się w Bielsku-Białej przed 16 laty.

Renata Putzlacher odchodzi...

W kawiarni poetyckiej „Avion” w podziemiach Teatru w Cieszynie odbył się pożegnalny spektakl Renaty Putzlacher pt. „Z Cieszyńska wyjeżdżają pociągi co kwadrans”, oparty na tekstach poetki, a przygotowany wspólnie z czesko-cieszyńskim bardem Jaromirem Nohavią.

No cóż, po roku istnienia polsko-czeska kawiarnia artystyczna będzie musiała ograniczyć swą działalność. Jej założycielka i animatorka R. Putzlacher, która była zarazem kierowniczką literacką Sceny Polskiej RC, opuszcza bowiem Zaolzie i przenosi się do stolicy południowych Moraw, Brna.

Jak zapowiadają autorzy spektaklu pożegnania, z powodu wielkiego zainteresowania będzie można zobaczyć go jeszcze raz w kwietniu br.

Konferencja „Wspólnoty”

Polityka regionalna w kontekście problemów polityczno-społecznych samorządów lokalnych w Republice Czeskiej była głównym tematem konferencji organizowanej przez Ruch Polityczny „Co-Existencia - Wspólnota”, która odbyła się w Domu PZKO w Jablonkowie. Prócz działaczy „Wspólnoty”, która skupia w swoich szeregach przedstawicieli mniejszości narodowych w RC oraz przedstawicieli samorządów lokalnych, uczestniczyli też w konferencji konsul RP w Ostrawie Piotr Szwarc oraz poseł na Sejm RP Kazimierz Wilk (KPN).

W trakcie konferencji przedstawiono m.in. referaty „Stan świadomości narodowej społeczeństwa polskiego na Zaolziu”, czy „Aktualne problemy szkolnictwa polskiego w RC”.

Najważniejsze postulaty przyjęte przez uczestników konferencji uchwaliły dotyczyć problemów polskich szkół i przedszkoli oraz powołania stowarzyszenia pracowników, którzy podejmowaliby się spraw procesowych, dotyczących praw polskiej mniejszości narodowej.

W Senacie RP również o Zaolziu

Prezes Rady Polaków, poseł Wawrzyniec Fójcik, przebywał na zaproszenie marszałka Senatu RP Adama Strużnika w dniach 4 i 5 marca br. w Warszawie, gdzie wziął udział w posiedzeniu plenarnym wyższej Izby Zgromadzenia Narodowego RP, poświęconym sprawom Polonii i Polaków mieszkających poza granicami Polski. Poseł Fójcik wystąpił w drugim dniu debaty poselskiej z 20 minutowym wystąpieniem nt. sytuacji mniejszości polskiej w RC.

Po powrocie na Zaolzie W. Fójcik stwierdził, że sytuacja Polaków w RC zwłaszcza na Zaolziu, jest senatorem dobrane znana, chociażby z ich częstych przyjazdów do RC. „Co mnie jednak zaskoczyło, to fakt, że już w pierwszym dniu obrad, jeszcze przed moim wystąpieniem, zabrzmieli na forum słowa o wszystkich problemach nurtujących nasze społeczeństwo. Była więc mowa o szkolnictwie, majątkach, kwestii podwójnego obywatelstwa, czy o dorobku kulturalnym Polaków RC” — powiedział W. Fójcik.

Podczas warszawskiej wizyty miał też W. Fójcik okazję spotkania się z polskimi parlamentarzystami z Litwy, Łotwy i Europy Zachodniej, których zaprosił na seminarium poświęcone prawnej ochronie mniejszości narodowych w Republice Czeskiej, które odbędzie się 17 kwietnia w Pradze pod egidą poselskiej komisji petycyjnej i Rady Europy.

Sejmik polskiego śpiewactwa

Ukoronowaniem obchodów 70. rocznicy powołania Związku Polskich Chórów na terenie dawnej Czechosłowacji był uroczysty sejmik śpiewaczy połączony z walnym zgromadzeniem delegatów Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego, który odbył się w sobotę, 8 marca w czesko-cieszyńskim hotelu „Piast”. Prócz reprezentantów polskich chórów i polskich organizacji, wzięli udział w sejmiku liczni goście, m.in. konsul w Ostrawie Piotr Szwarc, prezes ZG PZChO Walter Strzyga oraz Jarosław Stula z Okręgowego Zarządu Unii Czeskich Zespołów Śpiewaczych w Ostrawie.

Jak stwierdził podczas sejmiku prezes ZG ZSM, pomimo wielu problemów, wynikających chociażby z faktu starzenia się zespołu, dorobek śpiewactwa zaolziańskiego nadal zajmuje istotne miejsce na mapie kulturalnych dokonań polskiej mniejszości w RC, a chóry zrzeszają obecnie ok. 800 osób.

■ Protokół wykonawczy do pierwszej czesko-polskiej umowy terenowej pozagranicznej, a mianowicie powiatu brzeclawskiego i województwa przemyskiego podpisano 13 lutego w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie.

■ Scena Polska Teatru Cieszyńskiego wystawiła 15 lutego sztukę znaną niekiedy mianem pisarza czeskiego Bohumila Hrabala „Podziękuj pod specjalnym nadzorem”, w reż. Janusza Klimy.

■ Również nauczyciele z zaolziańskich polskich szkół wzięli udział w strajku rotacyjnym pracowników resortu szkolnictwa.

■ Biskup Władysław Volný ze Śląskiego Kościoła Ewangelickiego oraz katecheci Halina Przeczka i Renata Hinrix, wzięli udział w spotkaniu Europejskiego Zgromadzenia Świątowej Federacji Literackiej w Warszawie.

■ Pod koniec lutego sfinalizowano w Karlinie rozmowy z katowicką agencją handlową „B. Kmieci i spółka” o stałej, comiesięcznej pomocy finansowej dla szkół polskich na Zaolziu, a także dla Harcerstwa Polskiego w RC.

■ W warszawskiej Małej Galerii — MAGAL otwarto wystawę fotografii artystycznej Brunna Michałaka. Wystawa potrwa do 6 kwietnia.

■ Chór Studencki „Collegium Iuvenum” z Polskiego Gimnazjum w Cieszynie zajął pierwsze miejsce w eliminacjach Ogólnopolskiego Konkursu Chórów Szkolnych, które odbyły się w Katowicach.

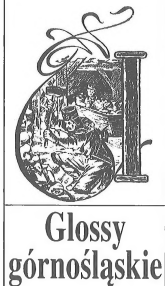
■ Uroczyste popołudnie z programem artystycznym zainaugurowało w Domu Kultury w Lutyni Dolnej obchody 50-lecia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

P przed 250 laty — 3 marca 1747 roku — urodził się w Cieszynie Leopold Jan Szersznik. Nie tylko z racji tak pięknej rocznicy godzi się przypomnieć postać pedagoga, humanisty i mecena. Długoletni rektor gimnazjum cieszyńskiego, inspektor szkół, dobroczyńca miasta, fundator muzeum, uczony był we wszystkich tych funkcjach reprezentantem wieku Oświecenia. Bibliolodowie cenią go za stworzenie wspaniałego księgozbioru, który przetrwał burze dziejowe w stanie niemal nienaruszonym ciągle jest wyzwaniem dla badaczy. Potwierdzeniem tego była konferencja w Cieszynie uczonych z trzech krajów, w październiku ubiegłego roku. Biblioteka Szersznika jest wyjątkowym zabytkiem jednoczącym w sobie zamyśl jej twórcy (czyli przejaw mentalności) z obiektami materialnymi, czyli cennymi księgami rejestrującymi zasób ówczesnej wiedzy. I pomyśleć, że w miejscu tak nieodległym utrzymuje się, wcale niebłahy, ślad epoki, która skończyła się przed dwustu laty. Zauważyliśmy w tym miejscu, że w mieście nad Olzą są jeszcze inne zabytkowe księgozbiory i że punktem wyjścia do ich badań pozostaje praca prof. Marii Pawłowiczowej „Książka polska i biblioteka na Śląsku Cieszyńskim w latach 1740-1920” (1986).

Jeszcze mniej rozpoznane pozostaje najważniejsze badanie (z dzisiejszego punktu widzenia) spośród wydanych dzieł Szersznika: „Nachrichten von Schriftstellern und Künstlern aus dem Teschner Fürstenthum” drukowane w Cieszynie w roku 1810. Ten słownik pisarzy (w szerokim tego słowa znaczeniu) i artystów wywodzących się i działających w księstwie cieszyńskim w wiekach XVI-XVIII składa się ponad stu krótkich notek bio-bibliograficznych. Profesor Józef Chlebowski podkreślał w swoim czasie wyjątkowe znaczenie tej książki dla badań nad przeszłością kulturalną Śląska Cieszyńskiego. Dzisiejsze czasy ujawniają inny jeszcze jej walor. Co najmniej kilkudziesięciu twórców działało na pograniczu trzech kultur i języków, co może czynić ich prekursorami, czy patronami, tendencji integracyjnych w naszej części Europy. Przypomnienie ich postaci i dzień wydaje się zadaniem pilnym i koniecznym.

Głos z przeszłości

W numerze „Zarania Śląskiego” sprzed półwiecza Zdzisław Hierowski, najbardziej wtedy uznany krytyk, opublikował szkic sprawozdawczy, „Dwa lata pracy pisarzy śląskich”. Był to czas, gdy Katowice były „głównym skupieniem literatów na ziemiach śląskich”, tu też wychodził tygodnik „Odra”, jedyne pismo literackie na ziemiach zachodnich. Z prozą wszakże nie było dobrze. Na pierwszym miej-



scu Hierowski wymieniał Żukrowskiego, który mieszkał w Katowicach do lata 1946 roku i wydał w tym czasie „Porwanie w Tiuturiłanie” oraz tom opowiadań „Z kraju milczenia”. Musiał jednak westchnąć: „Gdyby Żukrowski był Ślązakiem (...) na tle rozpaczyliwego ubóstwa prozy na Śląsku byłby naprawdę fenomenem”, bowiem „proza pochodząca spod pióra samych Ślązaków nie tylko nie wyszła poza Morcinka, ale stanowi jego słabe, czasem karykaturalne odbicie (Kobiela, Fierla)”. Sam Morcinek przebywał jeszcze, po latach obozów, na Zachodzie. Wydał w tym czasie „Listy spod morwy”, „Listy z mojego Rzymu” i „Dziewczynę z Pól Elizejskich”, z których na Śląsku znana była tylko ta pierwsza książka. Ciekawskie za to były dokonania poetów. Wyszedł tomik Edmunda Osmańczyka „Walka jest zwycięska”. Krytykowi narzuciło się porównanie jego utworów z Broniewskim, któremu jednak nasz twórca nie zdołał dorównać. Pozytywną natomiast ocenę zyskał tom „Posągi” Wilhelma Szewczyka: „to pierwsze wtargnięcie rodzimej poezji śląskiej do poezji ogólnonarodowej i uplasowanie się w jej hierarchii na wyższym, niż Śląsk dotychczas zdołał zająć, szczeblu osiągnięć”. Dwoma tomami w starannym bibliofilskim opracowaniu Jana Kuglina debiutował po wojnie Zbyszko Bednorz. Były to „Glossy śląskie” i „Strofy serdeczne”. Staraniem Śląskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów ukazały się wtedy trzy pierwsze tomiki z serii „Arkusz Śląski”. Były to zbiorki Jana Baranowicza, Aleksandra Baumgardena (przybyłego ze Lwowa) i debiutantki tom Aleksandra Widery. Do śląskiej produkcji wydawniczej zaliczył też

Hierowski „Pieśni żałobne getta” Izabelli Gelbard, czyli Stefanii Czajki, zapomnianej już dziś nieco a aktywnej wtedy uczestniczki katowickiego życia literackiego.

Wydaje się, że warto sięgać do współczesnych ocen utworów, które od lat mają swoje miejsce w historii literatury. Choćby po to, by zafundować sobie chwile refleksji nad czasem, który niekiedy wystrzaś, a niekiedy łagodzi spojrzenie.

Wiedza, serce i pióro

Mija 125 rocznica urodzin człowieka niepospolitego. Mowa o Konstantym Prusie, który przyszedł na świat w Wielopolu koło Rybnika 14 kwietnia 1872 roku. Żył w czasach przełomowych, a przez to burzliwych, działał przy tym na wielu obszarach. Od roku 1900 był redaktorem gazet koncernu „Katolika”, z przerwą trzyletnią (od r. 1902), kiedy redagował najbardziej radykalne — inspirowane przez Narodową Demokrację — „Nowiny Raciborskie”. Był założycielem Towarzystwa Kultury Polskiej na Śląsku (Bytom, 1913). „Poza pracami dziennikarskimi byłem bardzo żywo czynny w tak zwanej agitaacji polskiej (...) Na niezliczonych posiedzeniach stowarzyszeń polskich, na zebraniach i wiecach publicznych wygłaszałem na całym Górnym Śląsku niezliczone wykłady, mów, odczyty itp., w sprawach społecznych, oświatowych, narodowych, politycznych itd.

Praca ta była bardzo ważna i konieczna, bo docierała w Niemale mierze do tych, co żadnych polskich gazet nie czytali” — pisał w życiorysie własnym opublikowanym w 1947 roku. Jako pracownik Wydziału Prasowego Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego, napisał kilka polemicznych broszur. Na zlecenie Naczelnej Rady Ludowej wykonał żmudną pracę, której efektem był „Spis miejscowości Polskiego Górnego Śląska” (1920), który pomógł później utworzyć prawdziwe nazwy miejscowe. Do dziś zachowują wartość jego opracowania: „Józef Lompa, jego życie i praca” (1913), „Karol Miarka w 100 rocznicę jego urodzenia” czy okazały rozmiarom monografia „Miasto Mikołó i okolica” (1932). Po powstaniu województwa śląskiego organizował poprzędkę dziesięć Bibliotek Śląskiej, uczestniczył w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, pisał hasła do Polskiego Słownika Biograficznego.

Zwracali się do Prusa najwybitniejsi uczeni, poszukujący wiadomości o sprawach śląskich, a on — systematyczny encyklopedysta — używał chętnie swej wiedzy. Zgromadził wielki zbiór rzadkich ślasiaków, z których tylko część ocalała, przekazana do śląskiej księżnicy. Większość zniszczyli hitlerowcy w czasie okupacji.

CENTRALA

ul. Warszawska 6
40-006 Katowice, skr. poczt. 1138
tel.: (32) 596-231
fax: (32) 586-497

II ODDZIAŁ KATOWICE

ul. Powstańców 25A
40-039 Katowice, skr. poczt. 1198
tel.: (32) 156-41-30
fax: (32) 156-41-80

ODDZIAŁ BIELSKO-BIAŁA

ul. 3-go Maja 25
43-300 Bielsko-Biała, skr. poczt. 289
tel.: (33) 216-56, 216-57
fax: (33) 216-57

ODDZIAŁ GLIWICE

Pl. Piłsudskiego 9
44-100 Gliwice, skr. poczt. 317
tel.: (32) 318-094/6
fax: (32) 318-732

ODDZIAŁ KRAKÓW

ul. Szpitalna 6
31-024 Kraków, skr. poczt. 228
tel.: (12) 224-772, 229-744, 227-864,
223-982
fax: (12) 224-785

ODDZIAŁ RYBNIK

ul. Miejska 8
44-200 Rybnik, skr. poczt. 31
tel.: (36) 4228-210, 4228-268
fax: (36) 4228-208

EKSPOZYTURA KNURÓW

ul. Szpitalna 8
44-190 Knurów
tel.: (32) 135-15-20, 135-15-74,
135-15-67
fax: (32) 135-00-66

EKSPOZYTURA CIESZYN

ul. Górna 24c
43-400 Cieszyń
tel.: (33) 520-824, 520-850
fax: (33) 524-911

ODDZIAŁ JASTRZĘBIE ZDRÓJ

ul. Harcerska 14
44-335 Jastrzębie Zdrój
tel.: (36) 4716-116, 4716-045,
4716-187
fax: (36) 4714-335



NOWA OFERTA DLA KLIENTÓW GÓRNOŚLĄSKIEGO BANKU GOSPODARCZEGO W KATOWICACH

KREDYT 24 — KREDYT DLA WSZYSTKICH I NA WSZYSTKO, MIESZKANOWY I BUDOWLANY

DLACZEGO KREDYT 24

- można go wykorzystać na przynajmniej 24 sposoby
- możliwość uzyskania 24-miesięcznej karencji w spłacie kapitału
- możliwość uzyskania informacji o kredycie, przez 24 godziny, poprzez infolinię

DLA KOGO

- dla wszystkich, którzy posiadają stałe dochody bądź odpowiednie zabezpieczenie spłaty kredytu

NA CO TEN KREDYT MOŻNA PRZEZNACZYĆ

- na budowę różnego typu domków
- na budowę mieszkań w domkach, spółdzielniach na podstawie zawartych umów z właścicielami
- na budowę małej architektury ogrodowej, altanek, fontann, garaży
- rozbudowę, remont, modernizację domu lub mieszkania, wymianę okien, podłóg
- zakup działki

OD CZEGO ZALEŻY WYSOKOŚĆ UZYSKANEGO KREDYTU

- od zdolności kredytowej Kredytobiorcy i nie może przekraczać 70 procent łącznej wartości kosztorysowej bądź rynkowej budowanego mieszkania lub domu

NA JAKI OKRES MOŻNA KREDYT UZYSKAĆ

- do 5 lat

JAKIE OPROCENTOWANIE I PROWIZJĘ POBIERA BANK

- wg. zmiennej stopy procentowej
- prowizja wg. obowiązującej tabeli

JAK KREDYT MA BYĆ SPŁACANY

- raty równe
- raty malejące
- możliwość 2-letniej karencji, przy kredycie budowlanym
- wniosek o specjalną umowę z bankiem

ZABEZPIECZENIE KREDYTU

- może być ale nie musi hipoteka
- cesja praw
- zastaw, przewłaszczenie
- blokada środków
- poręczenie cywilne i weksłowe osób fizycznych i prawnych
- pełnomocnictwo do dysponowania rachunkiem osobistym lub bieżącym

SZCZEGÓŁOWYCH INFORMACJI
UDZIELAJĄ PRACOWNICY
WYDZIAŁU KREDYTÓW
WE WSZYSTKICH ODDZIAŁACH

EKSPOZYTURA ŻORY

ul. Baldyka 4
44-240 Żory
tel.: (36) 4345-645
fax: (36) 4345-645

I ODDZIAŁ KATOWICE

ul. Warszawska 4
40-006 Katowice, skr. poczt. 1050
tel.: (32) 596-231
fax: (32) 586-636

ODDZIAŁ BĘDZIN

ul. Sączewskiego 17
42-500 Będzin, skr. poczt. 96
tel.: (32) 167-60-32, 167-50-73
fax: (32) 167-69-35

ODDZIAŁ BYTOM

ul. Katowicka 18
41-902 Bytom
tel.: (32) 182-90-30
fax: (32) 810-241

ODDZIAŁ RACIBÓRZ

ul. Kilińskiego 2
47-400 Racibórz, skr. poczt. 26
tel.: (36) 415-30-75, 415-22-95
fax: (36) 415-22-95

ODDZIAŁ SOSNOWIEC

ul. Mościckiego 21
41-200 Sosnowiec, skr. poczt. 11
tel.: (32) 192-17-58, 192-17-62, 192-17-63
fax: (32) 192-11-54

EKSPOZYTURA HALE TARGOWE

ul. Obroki 130
40-833 Katowice
tel.: (32) 154-05-64
fax: (32) 154-05-64

EKSPOZYTURA ŻERNICA

ul. Powstańców 10
44-143 Żernicka k. Gliwice
tel.: (32) 135-12-42

PUNKT KASOWY PRZY URZĘDZIE CELNYM

ul. Francuska 76a
40-507 Katowice
tel.: (32) 157-24-92

EKSPOZYTURA WODZISŁAW ŚLĄSKI

Pl. Gładbeck 8
44-300 Wodzisław Śląski
tel.: (36) 551-925
fax: (36) 555-998

EKSPOZYTURA JASTRZĘBIE

ul. 1-go Maja 29
44-330 Jastrzębie
tel.: (36) 476-36-88
fax: (36) 476-36-81



Szanowni Państwo!

„RUCH” S.A.

**pragnie Państwa zachęcić do zawarcia umowy kolporterskiej
na dostawę prasy do prowadzonych
przez Was placówek handlowych**



Proponujemy bardzo korzystne warunki współpracy:

- wysoki rabat
- pełna oferta tytułów prasowych
- rozliczenie po sprzedaży z prawem zwrotu niesprzedanych egzemplarzy
- dostawa zamówionych tytułów do punktów sprzedaży i odbiór zwrotów prasy naszym transportem
- możliwość dokonywania na bieżąco zmian w tytułach oraz wielkościach nadzłałów

Serdecznie zapraszamy do współpracy

KATOWICE,
ul. Dąbrówki 13
tel. 58-70-51; 9

BYTOM,
ul. Karola Miarki 8
tel. 88-12-20

DĄBROWA GÓRNICZA,
ul. ks. Augustynika 1a
tel. 162-22-51

TYCHY,
ul. Budowlanych 166
tel. 127-20-76

WODZISŁAW ŚL.,
ul. ks. Konstancji 12
tel. 55-34-92

SOSNOWIEC,
ul. Szkolna 4
tel. 66-96-51

ZABRZE,
ul. Średnia 1
tel. 171-32-70

**Wszelkie
informacje
uzyskacie Państwo
w placówkach
„RUCH” S.A.**

TERAZ TWÓJ

RUCH

CZĘSTOCHOWA,
ul. T. Wilsona 24/28
tel. 24-46-18

MYSZKÓW,
ul. Waryńskiego 13
tel. 13-22-64

BIELSKO-BIAŁA,
ul. Warszawska 28
tel. 270-54; 7

CIESZYN,
ul. Stawowa 24a
tel. 52-03-30

WADOWICE,
ul. Legionów 16
tel. 336-64

OŚWIĘCIM,
ul. B. Prusa 5
tel. 43-28-98

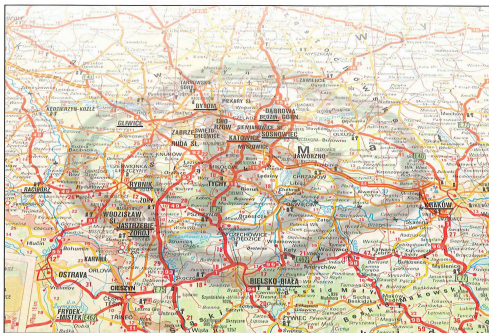
ŻYWIEC,
ul. Leśnianka 62
tel. 46-26; 30-71

Prenumerata poprzez sieć

Internet: <http://www.ruch.com.pl>

Gdzie Ty tam Twój Bank

351674



KORZYSTAJĄC Z USŁUG GBG S.A.
WSPIERASZ FUNDACJĘ ROZWOJU
KARDIOCHIRURGII W ZABRZU.



GÓRNOŚLĄSKI BANK GOSPODARCZY S.A.
Grupa kapitałowa PBK

Centrala: ul. Warszawska 6, 40-006 Katowice, skr. poczt. 1138, tel. 0-32/ 596 231, fax 0-32/ 586 497